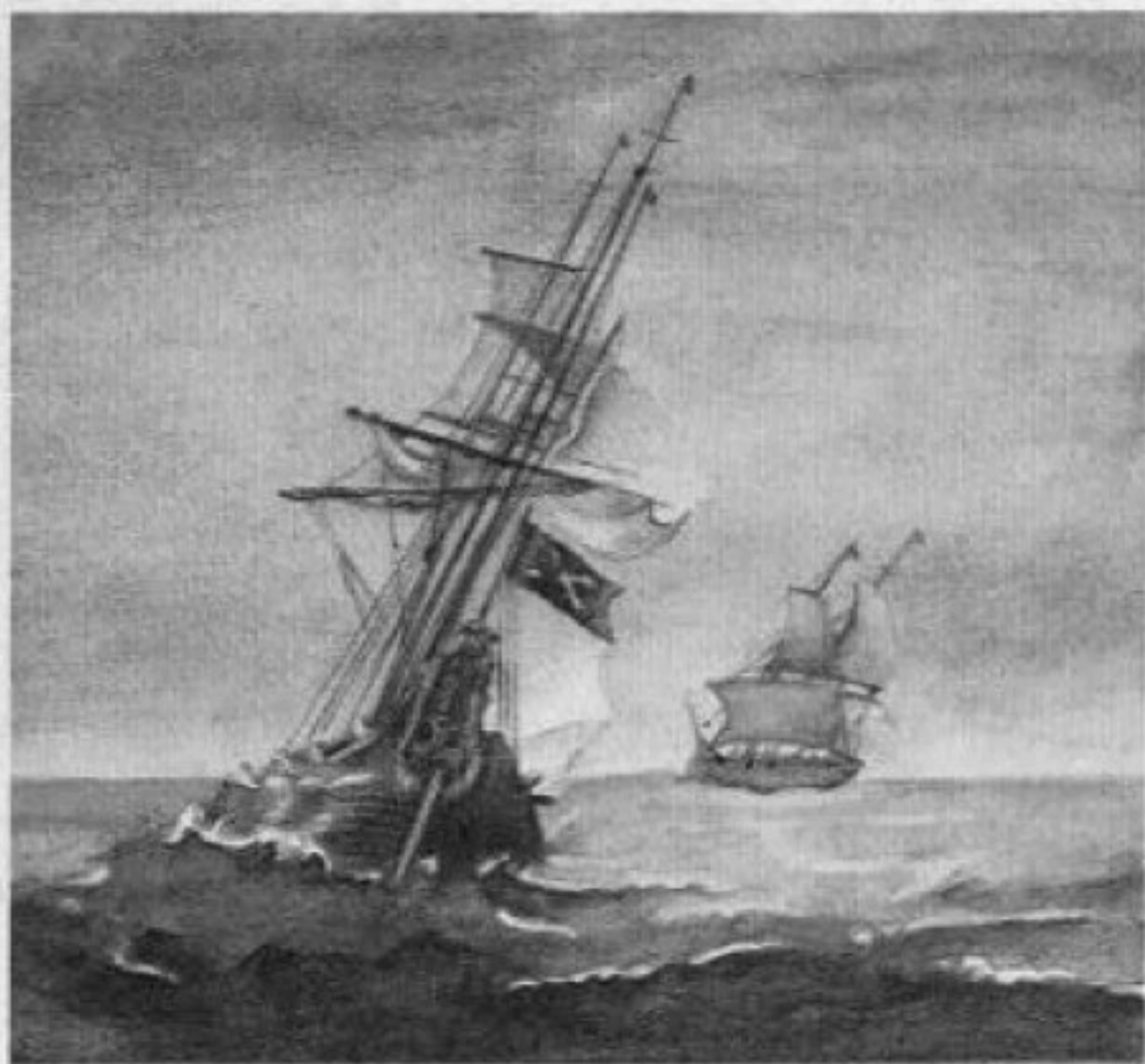


JANUSZ
MEISSNER



Czarna bandera

WYDAWNICTWO SPÓŁDZIELCZE

MEISSNER JANUSZ

Korsarz Jan Marten #1 Czarna

Bandera

MESSNER JANUSZ

1

Jan Kuna, zwany Martenem, szyper korsarskiego okrętu „Zephyr”, stał na pokładzie i patrzył w górę, gdzie na szczyt grotmasztu wspinała się szybko czarna bandera z wizerunkiem złotej kuny rozciągniętej w skoku. Pod tęgim tchnieniem północno-wschodniego pasatu ciężka jedwabna materia zwijała się i rozwijała jak wąż czy też smok o długim ogonie, połyskując w słońcu złotym haftem. Na szczycie przedniego masztu, tuż pod jabłkiem rzeźbionym w kształt orła, powiewała już inna flaga, prostokątna, o czterech polach z herbami Tudorów, angielskimi lampartami i irlandzką harfą.

Upewniwszy się, że czarno-złote godło „Zephyra” zostało należycie umocowane, Marten odwrócił się i objął wzrokiem cztery inne okręty spowite obłokami dymu po odpaleniu salw armatnich.

Dwie duże trzymasztowe karawele * manewrowały z bocznym wiatrem, okrążając smukły, znacznie mniejszy angielski okręt o niskich kasztelach – zapewne po to, aby użyć przeciw niemu swych dział z drugiej burty. Na ich masztach powiewały czerwono-żółte flagi hiszpańskie. Anglik – „Golden Hind”, jak brzmiała jego nazwa, którą Marten zdołał odczytać na rufie – szedł pełnym wiatrem wprost pomiędzy nie a największy, czteromasztowy statek frachtowy z opuszczonymi i porwanymi przez pociski żaglami, który dryfował bokiem, poddając się fali. Jego biało-niebieska flaga wskazywała na przynależność portugalską, a stan omasztowania i ożaglowania zdradzał, że ogień działowy napastnika był celny i skuteczny. Ten napastnik widocznie sam z kolei stał się celem ataku okrętów hiszpańskich, lecz – jak dotąd – wymykał im się bardzo zręcznie.

Marten podziwiał w duchu bystrość jego orientacji: żadna z karawel nie mogła go teraz razić nie ryzykując przy tym, że pociski podziurawią burty i pokład portugalskiego statku. Lecz wiedział także, iż ów statek tylko przez krótką chwilę będzie osłaniał Anglika, który musiał go minąć. Dlatego, chcąc zwrócić uwagę obu walczących stron na „Zephy-ra”, podniósł na przednim maszcie również angielską banderę. Spodziewał się w ten sposób odciągnąć choćby jeden z hiszpańskich okrętów, a zarazem umocnić na duchu załogę „Złotej Łani”, zanim jeszcze sam wmisza się do bitwy.

Ale Hiszpanie, pewni swojej przewagi, mając tuż blisko jednego wroga, widocznie postanowili skończyć najpierw z nim, a dopiero potem pokonać drugiego, który mu przybywał z odsieczą. Zaufali ilości swych dział i potędze ognia,

z pewnością znacznie większej od tej, jaką rozporządzali tamci dwaj; nie wzięli

jednak w rachubę ich zręczności w manewrowaniu lekkimi, zwinnymi okrętami.

Oto w chwili, gdy obie karawele wykonały zwrot i gdy podwójne rzędy paszcz armatnich skierowały się przeciw „Złotej Lani”, jej szyper nagle zmienił kurs, wykręcając w lewo, tuż za rufą Portugalczyka. Prawie jednocześnie zagrzmiały jego cztery fałkonety umieszczone na tylnym kasztelu, a jedna z kul strzaskała reje fokmasztu bliższej karaweli. Wielki czworokątny żagiel spadł na pokład, sprawiając tam nagłe zamieszanie, a salwa wymierzona w burtę Anglika chybiła o kilka jardów.

W tej samej chwili opustoszały dotąd pokład statku portugalskiego zaroił się ludźmi. Marten ujrzał z daleka kłęбки dymu, a potem usłyszał bezładną, gęstą palbę z hakownic, od której na angielskim okręcie padło kilku marynarzy. Druga karawela wykręciła obszernym łukiem w lewo, odcinając odwrót Anglikom, a jej przednie działa zagrzmiały raz po raz dwiema salwami z górnego i dolnego pokładu.

To przyśpieszyło decyzję Martena. „Zephyr”, lecąc jak na skrzydłach, znalazł się wreszcie w odległości skutecznego ognia, a jeśli jego interwencja miała uratować „Złotą Łanię”, był już wielki czas, aby działać. Kanonierzy z zapalonymi lontami stali przy działach tuż za celowniczymi, ^tórzy rych-towali lufy; główny bosman, Tomasz Pocięcha, czekał na znak szypra, aby skoczyć w głąb luku, na dolny pokład do

swoich baterii; sternik, Henryk Schultz, patrzył na Martena z góry, gotów do manewru; bosmani i chłopcy trwali nieruchomo u burt przy brasach w oczekiwaniu na rozkaz obrócenia rej. Wszystkie spojrzenia utkwione były w wysokiej, barczystej postaci kapitana, czujne, wyostrzone, płonące niecierpliwością. On zaś stał pośrodku głównego pokładu, rozstawiwszy szeroko nogi, duży, mocny, jak tęgi młody dębczak z rodzinnych pomorskich lasów. Nozdrza drgały mu wciągając słony powiew pasatu; zdawały się wietrzyć zapach prochu i krwi, którą miał przelać. Krwi hiszpańskiej, tak samo, a może nawet bardziej nienawistnej niż krew gdańskich patrycjuszów, z którymi kiedyś w przyszłości także miał się policzyć. Nie myślał teraz o nich; przed sobą miał Hiszpanów, a los walki, do której się gotował, był niepewny. Po raz ostatni rozejrzał się po swojej załodze i ukradkiem rzucił spojrzenie w tył, za rufę. Spodziewał się, że ujrzy tam na horyzoncie maszty i żagle „lbexa”. Lecz jego towarzysz, Salomon White, spóźnił się. „lbex” nie dorównywał prędkości „Zephyrowi”. Nie można było liczyć na jego pomoc, która wyrównałaby szanse wobec przewagi Hiszpanów.

Marten postanowił wszystko postawić na jedną kartę: minąć pierwszą karawelę, na której zapewne nie zdołano jeszcze nabić powtórnie dział na prawej burcie, i zaatakować tę, która odcinała odwrót Anglikowi.

–Dwa rumby w prawo! – zawołał.

–Ay, ay, dwa rumby w prawo! – powtórzył bosman przy sterze.

„Zephyr” pochylił się wchodząc na łuk zakrętu, a gdy padła następna komenda: „Prosto ster!” – wstał, posłuszny i zwinny, jakby sam dźwięk tych słów kierował jego biegiem, chyżym jak lot mewy.

Marten skinął na głównego bosmana, wskazał mu cel. – Reje i żagle – powiedział głośno. – Musicie je znieść za pierwszym razem.

Brodatą, zarośniętą aż po oczy twarz Pocięchy wykrzywił grymas, który miał być uśmiechem. Podniósł ogromną, sękatą dłoń i uczynił ruch naśladujący pociągnięcie nożem po gardle. Potem znikł pod pokładem.

Tymczasem załoga hiszpańskiego okrętu, który ostrzelał „Złotą Łanię” i teraz zbliżał się do niej od strony nawietrznej, szykowała się do abordażu: kilkudziesięciu ludzi z długimi bosakami w rękach tłoczyło się przy burcie, a inni, stojąc na przednim kasztelu, usiłowali z góry zarzucić liny z hakami na wanty Anglika, aby przyciągnąć go do siebie. Druga karawela zostawała coraz bardziej w tyle, a jej dowódca widocznie zdecydował się na zwrot, bo wykręcała powoli w lewo, jakby z zamiarem ominięcia pozostałych dwóch okrętów i podejścia do „Złotej Łani” od przodu.

Wtem huknęły cztery działa „Zephyra” z dolnego pokładu lewej burty, a w sekunde po nich jeszcze trzy ustawione pomiędzy przednim a środkowym masztem. Spiżowe lufy skoczyły w tył, szarpnęły linami, lawety poddały się nieco i wróciły na miejsca, chmura czarnego dymu na chwilę przesłoniła widok. Gdy wiatr ją rozwiał, okrzyk triumfu wyrwał się z piersi puszkarzy. Ani jeden żagiel nie pozostał na grot-maszcie, a jego reje bądź zwisały na poły zerwane, bądź runęły na pokład szerząc zamieszanie i spustoszenie wśród załogi.

Marten skoczył do steru.

–Gotuj zwrot! – zawołał.

Schultz pobiegł na dziób, starsi bosmani odkołkowali

brasy, ludzie zaczęli ciągnąć, a „Zephyr” gwałtownie wykręcił w prawo pod wiatr, przeciął spienioną bruzdę wody, którą przed chwilą pozostawił za rufą, znów nabrał pędu i pognał w ślad za drugą karawelą.

Mijając z bliska wciąż dryfujący statek portugalski, Marten odczytał jego nazwę ułożoną ze złożonych liter na rzeźbionych ścianach przedniego kasztelu: „Castro Verde”, a potem ze swych dziesięciu arkebuz * ostrzelał pokład, na którym kłębili się w nieładzie marynarze napędzani przez kapitana i jego pomocnika do stawiania żagli. Salwa „Zephyra” spędziła ich do kasztelu, a umieszczeni na marsie wyborowi strzelcy Martena razili z muszkietów każdego, kto odważył się stamtąd wychylić.

Lecz Marten nie zamierzał jeszcze rozprawić się ostatecznie z Portugalczykiem,

który nie wydawał się groźny. Obie hiszpańskie karawele – pomimo uszkodzeń, jakim uległo ożaglowanie jednej z nich – nadal miały przewagę. Każda musiała liczyć co najmniej czterdzieści armat i około trzystu lub czterystu ludzi załogi. „Złota Łania” mogła ich mieć co najwyżej dwustu, jej artyleria nie przekraczała trzydziestu kartaunów i falkonetów, a „Zephyr” był od niej prawie o połowę mniejszy. Marten pomyślał, że osiemnaście dział „lbexa” i jego hakownice bardzo by się teraz przydały...

Ta przelotna myśl ani na chwilę zresztą nie odwróciła jego napiętej uwagi od rozgrywającej się bitwy; nie miał czasu nawet na jedno spojrzenie ku północy, skąd mógł nadpłynąć White. Sam ujął ster, a bosman, który dotychczas

trzymał uchwyty koła, usunął się o krok w tył, aby mu zrobić miejsce.

Bliski huk dział znowu targnął powietrzem, pociski z wyciem i chichotem przeleciały obok burty „Zephyra” i wpadając do morza wzniosły potężne wytryski wody, a rój kul z muszkietów zaświstał przeciągle nad pokładem, klaszcząc o kolumny masztów, dziurawiąc żagle i odłupując drzazgi od ścian tylnego kasztelu. Jakiś człowiek spadał z góry, czepiając się po drodze want i lin, aż z łoskotem rozpląszczył się na wznak u słóp Martena, rzygając krwią. Szyper spojrzał na jego twarz i zmarszczył brwi; stracił jednego z najlepszych muszkieterów.

–Odpowiedz im! – zawołał do Schultza.

Trzy oktawy zagrzmiały z przedniego kasztelu wymiatając trzy bruzdy wśród załogi hiszpańskiej karaweli, lecz sześćofuntowe lekkie pociski nie mogły wyrządzić poważniejszych szkód jej burtom. Marten nie liczył zresztą na to; czekał sposobnej chwili, by dać Tomaszowi Pocieszę okazję użycia dwóch półkartaunów, które miał na dolnym pokładzie.

„Zephyr”, żeglując z bocznym wiatrem, płynął teraz niemal dwukrotnie prędeziej niż ciężki okręt hiszpański; dopędzał go, a Marten postanowił wyprzedzić go z lewej strony, przypuszczając, że hiszpańscy puszkarze nie zdążyli ponownie nabić lewoburtowych armat.

Te przypuszczenia potwierdziły się, gdy bukszpryt „Zephyra” znalazł się na jednej linii z rufą Hiszpana: grad kul z hiszpańskich muszkietów i hakownic przeszył powietrze, nie donosząc zresztą do celu i tylko burząc wodę u burty korsarskiego okrętu, ale artyleria karaweli milczała.

Marten roześmiał się. Mały, dwustułasztowy „Zephyr” – niedościgniony „Zephyr”, zwinny jak drapieżny ptak – raz jeszcze brał górę nad potężnie uzbrojonym, trzykrotnie większym wrogiem.

W tej chwili siedem armat bluznęło dymem i ogniem, „Zephyr” ugiął się, jakby z

wysiłku, a okręt hiszpański, trafiony poniżej linii wodnej i nad nią, wykręcił w prawo, pochylił się na lewo i wypadłszy spod wiatru załopotał rozpaczliwie żaglami.

Wrzask radości rozległ się na pokładzie i nagle umilkł jak ucięty nożem. Z obłoków dymu na wprost dzioba „Ze-phyra” wyłoniła się druga karawela, przecinając mu drogę tak blisko, że nie sposób ją było wyminąć. Oba okręty szły ku sobie pod ostrym kątem: hiszpański z ogołoconym grot-masztem, ale z żaglami pełnymi wiatru na masztach przednim i tylnym, „Zephyr” zaś z działami, które jeszcze dymiły po oddanej salwie. W owej chwili nie miało to zresztą znaczenia. Starcie z potężną masą karaweli tak czy owak mogło skończyć się tylko strzaskaniem mniejszego okrętu. Wysoka, okuta żelazem sztaba, wyniosły kasztel i sterczący przed nim skośnie gruby dębowy bukszpryt górowały nad pokładem „Zephyra” jak stroma skała, o którą musiał się rozbić.

Lecz Marten nie stracił zimnej krwi. Jednym rzutem ramienia wprawił w ruch kolo sterowe z taką prędkością, że rozpędzone szprychy zaśniły w słońcu jak gładka, wypolerowana tarcza, a „Zephyr” – posłuszny jak dobrze ujeżdżony koń ściągnięty wędzidłem – zwinął się w miejscu i burta w burtę przytarł do wysokiego kadłuba. Rozległ się trzask, zgrzyt i pisk twardego drewna ścierającego się w miażdżącym zwarciu.

'Zdumieni i zaskoczeni Hiszpanie patrzyli z góry na to, co się stało, nie mogąc pojąć, dlaczego ich karawela nie rozcięła na dwoje małego okrętu. Zanim się opamiętali, zgraja dziko wrzeszczących korsarzy z toporami, nożami i pistoletami w rękach wtargnęła na ich pokład.

Cofnęli się zrazu przed tym wściekłym natarciem, lecz spostrzegłszy, że mają przed sobą zaledwie kilkudziesięciu napastników, ruszyli przeciw nim ze wszystkich stron, usiłując zepchnąć ich pod przedni kasztel, skąd zaczęły padać gęste strzały z ręcznej broni palnej. Ta dywersja zmieszała korsarzy, ale sytuację uratowali główny bosman, Tomasz Pociecha, i cieśla Broer Worst. Obaj mieli topory, którymi władali zaiste z siłą olbrzymów. Pod ich ciosami okute dębowe wrota kasztelu rozpadły się w drzazgi, a gdy wejście stanęło otworem, runęli tam we dwóch, pociągając za sobą jeszcze z dziesięciu innych.

Hiszpański oficer, który ośmielił się stawić im czoło, został rozplątany od głowy do pasa przez olbrzymiego Worsa. Pociecha, waląc obuchem, szerzył spustoszenie wśród stłoczonych żołnierzy, którzy nie mogli teraz ani strzelać, ani też użyć skutecznie swoich pik i halabard na długich drzewcach. Dziesięciu wyjących wniebogłosy diabłów dźgało nożami, wypruwało im wnętrzości, rąbało i kłuło krótkimi mieczami torując sobie drogę naprzód. Rozległy się wołania o litość; przerażeni Hiszpanie rzucali broń, padali na kolana, wznosili ręce w górę i umierali albo zalani krwią walili się na oślizły pokład.

Tymczasem na zewnątrz wrzała walka pomiędzy niespełna trzydziestu ludźmi Martena a całą niemal pozostałą załogą karaweli. Było tam więcej miejsca i ogromna przewaga Hiszpanów zdawała się przechylać szalę zwycięstwa na ich korzyść. Na próżno Marten z ociekającym krwią rapierem w ręku raz po raz rzucał się w tłum wrogów; na próżno. wspierali go najdzielniejsi bosmani z żaglomistrzem Hermanem Staufflem na czele. Szeregi regularnej piechoty morskiej cofały się wprawdzie przed tymi wypadami, ale z boków nacierały inne, a na rufie oficerowie gromadzili rezerwy, aby przedostać się z nimi na opustoszały pokład „Zephyra”, gdzie pozostał tylko Schultz z kilku chłopcami okrętowymi.

Marten wiedział, że jeśli dotąd jeszcze „Zephyr” nie został zaatakowany bezpośrednio, to tylko dlatego, iż Hiszpanie liczyli się z możliwością wysadzenia go w powietrze przez zropanowaną załogę. Lecz gdy ujrzał dwudziestu hiszpańskich muszkieterów wspinających się na wanty fokma-sztit, zrozumiał, że teraz zbliża się klęska: jego ludzie zostaną wystrzelani jak zwierzyna zapędzona w ślepy zaułek, skąd nie ma odwrotu... Pozostało mu poddać się lub zginąć broniąc się do ostatka w przednim kasztelu, który zdobyli Worst i Pocięcha.

Bez namysłu wybrał to drugie. Przeleciało mu przez głowę, że – być może – zdoła przedostać się stamtąd na niższe pokłady karaweli i podpalić prochownię. Byłby to koniec lepszy niż niewola i śmierć na powrozie, poprzedzona wymyślnymi katuszami.

Obejrzał się na Stauffla i wskazał mu rozwalone wrota kasztelu.

–Tam! – krzyknął. – Wszyscy!

Sam cofał się osłaniając ten odwrót z garstką swych najstarszych kaszubskich bosmanów, którzy służyli na „Zephyrze” jeszcze pod Mikołajem Kuną, a jego, Jana Martena, znali od dziecka. Każdy z nich walczył za czterech; każdy bez wahania oddałby życie za młodego szypra; każdy – tak jak on – wybrałby raczej śmierć z bronią w ręku niż hańbę hiszpańskiej niewoli, nawet gdyby ta niewola nie groziła męką i stryczkiem.

Gdy byli już u wejścia do kasztelu, Marten ostatnim spojrzeniem objął swój okręt, omiół wzrokiem błękitny horyzont i nagle ujrzał zbliżającą się od północy wyniosłą, bia-

łą piramidę żagli. Serce skoczyło mu w piersi, a gorąca fala krwi buchnęła do twarzy. „lbex” przybywa z odsieczą!

–White! White płynie! – zawołał głośno.

Ten okrzyk powtórzony przez kilku bosmanów wzniecił wśród korsarzy dziką radość; dodał im sił, jak tęgi łyk wina – spragnionym. Nie zważając na nic wypadli z

kasztelu i raz jeszcze rzucili się naprzód, wbijając się klinem w piechotę, która prysła na obie strony przed tym niespodziewanym natarciem.

Niemal w tej samej chwili gdzieś blisko gruchnęła przeciągła salwa, cień padł na pokład karaweli, a z want fok-masztu jeden po drugim zaczęli spadać muszkietierowie jak chrapaszczce otrząsane z drzewa.

To „Złota Łania” szepiła się z przeciwległą burtą Hiszpanów i razila ich gęstym ogniem, a chmara angielskich marynarzy sypnęła się z tyłu i z boku na oniemiałych z przerażenia piechurów.

Teraz nic już nie mogło powstrzymać straszliwej rzezi. W ciągu kilku minut pokład karaweli zaścielony został trupami i rannymi, a tylny kasztel, w którym zabarykadowało się paru oficerów z niedobitkami, objął ogień podłożony przez bosmana ze „Złotej Łani”;;.

Jej kapitan, szczupły, niewysoki mężczyzna o kędzierzawych ognistorudych włosach i gęstych brwiach wygiętych w wysokie łuki nad jasnoniebieskimi oczyma, rozglądał się po owym krwawym pokładzie, jakby szukając wzrokiem tego, komu zawdzięczał nieoczekiwaną pomoc w rozprawie z Hiszpanami. Dojrzał go wreszcie: Marten, zziębnięty, mokry od potu i krwi, ukazał się na czele kilkunastu ludzi. Zmierzał w stronę płonącego kasztelu, a jego gniewna twarz i błyszczące oczy wyraźnie wskazywały, że bynajmniej nie życzy sobie pożaru i gotów jest zaatakować z kolei tych, którzy go wzniecili. Krzyknął na nich z daleka, a gdy to nie odniosło żadnego skutku, zwrócił się do swoich i już miał wydać jakiś

rozkaz, gdy szyper „Złotej Łani” wyrósł mu pod boki i spokojnym, opanowanym głosem zapytał:

–Kim jesteście?

Marten spojrzał na niego z góry i uczynił ruch, jakby go

chciał usunąć z drogi, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili. We wzroku, w postawie, w tonie pytania tego człowieka, o głowę niższego niż on, było coś, co nakazywało szacunek.

–To wasz okręt? – spytał znów tamten wskazując ruchem głowy „Zephyra”.

–Mój – odrzekł Marten. – Zdobyłem tę karawelę i...;

–Jestem kapitanem „Złotej Łani” ~ przerwał mu angielski szyper wyciągając do niego dłoń. – Nazywam się Drake. Francis Drake.

Marten cofnął się o krok;;.

–Jak? – spytał zdumiony. – Drake?

Machinalnie ujął jego rękę i zamknąwszy ją w swojej potężnej dłoni potrząsnął nią raz po raz.

–Drake!... – powtarzał. – Drake! To wy? Do licha...

Nazwisko najslawniejszego z angielskich żeglarzy podziało

nań jak haust tęgiej gorzałki przełkniętej omyłkowo zamiast wody: nie mógł złapać tchu, niemal się krztusił. Drake roześmiał się.

–Zgaście ogień! – zawołał odwracając głowę ku swoim marynarzom.

Spełnili ten rozkaz w milczeniu, z wyraźną niechęcią, jakkolwiek biała szmata wysunięta na zewnątrz kasztelu od dłuższej chwili świadczyła, że Hiszpanie pragną się poddać.

Kapitan „Złotej Łani” znów spojrzał w oczy Martena.

–Dziękuję – powiedział. – Zjawiliście się tutaj w samą porę. Chciałbym wiedzieć, do kogo należy „Zephyr”.

Marten opanował się wreszcie.

–Nazywam się Jan Marten – rzekł.

–Jesteście Anglikiem?

–Jestem korsarzem pod opieką królowej. W moim kraju nazywam się Kuna. To po polsku – wyjaśnił – to samo co Marten po angielsku.

–A ten? – spytał Drake wskazując zbliżający się okręt White'a.

–Przyjaciel – odrzekł Marten. – Trochę się spóźnił.

W tej chwili podszedł do nich Pocięcha, trącił Martena

w ramię i szepnął mu coś, czego Drake nie zrozumiał. Marten drgnął, rozejrzał się po morzu.

Druga karawela pochylała się coraz bardziej na burtę, widocznie tonąc; spuszczano

z niej łodzie i tratwy. „Castro Verde” z rejami ogołoconymi z żagli nadal dryfował z wiatrem, lecz na horyzoncie, daleko na południu, można było dostrzec cztery białe plamki, których kształt nie pozostawiał żadnych wątpliwości: okręty!

Marten odwrócił się gwałtownie i spotkał pogodny wzrok Drake'a.

–To moi – powiedział kapitan „Złotej Łani”. – Też się

trochę spóźnili. Tylko wy przybyliście na czas.

–Aha – mruknął Marten uspokojony. – Myślałem...?

i- Co chcecie zrobić z tą karawelą? – zapytał Drake;

–Zatopić ją – odrzekł Marten bez namysłu. – Nie lubię

żywcem palić ludzi. Nawet Hiszpanów.

Drake uśmiechnął się nieco ironicznie.

–Wolicie, żeby potonęli?

–Pozwolę im spuścić łodzie. Portugalczykom także.

W jasnych oczach Drake'a zamigotały iskierki. Zmarszczył

lekko brwi.

Czy uważacie, że zdobyliście także „Castro Verde”? – zapytał nie zmieniając tonu.

~ Zaraz go zdobędę – odparł Marten. – Zanim jeszcze wasze okręty znajdą się na odległość skutecznego ognia. Drake roześmiał się.

–A niech was!... – powiedział. – Podobacie mi się, słowo

daję! Nikt nie będzie do was otwierał ognia – dodał. –

Zabierzcie sobie ten statek, należy wam się. Tylko, jeżeli chcecie

przyjąć dobrą radę, nie zatapiajcie go zbyt spiesznie i nie

puszczajcie wolno wszystkich, którzy się na nim znajdują. Jest tam

niezgorszy ładunek i być może kilku ludzi wartych niezgorszego

okupu.

Marten spojrzał na niego przyjaźnie.

**–W takim razie możemy to zrobić razem – rzekł. – Po
połowie.**

Ale Drake potrzęsnał głową.

**–Wiem, że sami dacie sobie radę. Ja mam dosyć zdobyć: takiej ilości złota i
srebra nie widzieliście jeszcze w życiu; myślę, że nikt w całej Anglii tyle naraz nie
widział.**

**–Ho, ho – wykrzyknął Marten z odcieniem niedowierzania. – Odkryliście nowy
Tenochtitlan?**

Być może – odparł wymijająco Drake;

Zdobycie portugalskiego statku „Castro Verde” odbyło się bez rozlewu krwi. Podczas gdy „Ibex” i „Złota Łania” trzymały go w szachu, „Zephyr” szepił się z nim za pomocą długich bosaków, a Marten wszedł na pokład na czele połowy swej załogi. Broń ręczna – muszkiety, pistolety, szpady, czekany i topory, noże i sztylety leżały pośrodku pokładu rzucone na stos, a załoga – oddzielnie oficerowie, oddzielnie marynarze – stała uszykowana w kilka rzędów, tak jak tego zażądał zwycięski korsarz.

Kapitan, niski, krępy człowiek o smagłej cerze i siwiejącej brodzie, wspierał się na swojej szpadzie, patrząc spode łba na Martena z takim wyrazem chmurnej twarzy, jakby zamierzał stawiać opór i nie dać się rozbroić. Lecz gdy Marten zatrzymał się przed nim i wyciągnął rękę po broń, dobył ją z pochwy i ująwszy oburącz klingę uderzył nią na płask o kolano. Ten gest, mający na celu złamanie szpady, aby nie mogła służyć wrogowi, chybił: stal wygięła się, ale nie pękła, a Marten roześmiał się głośno.

–To się nie tak robi -powiedział, ujmując błyskawicznym chwytem rękojeść. – Daj pochwę.

Portugalczyk płonął wstydem i gniewem puścił klingę w obawie, aby ostrze nie przecięło mu dłoni, po czym drżącymi rękami odpasał srebrną, grawerowaną pochwę i rzucił przed siebie. Marten schwycił ją w lot, wsunął szpadę i bez żadnego widocznego wysiłku zgął ją w kabłąk przed twarzą kapitana. Jęk pękającej stali i chrupnięcie srebrnej pochwy rozległy się w ciszy; złamana broń błysnęła w promieniach zachodzącego słońca, zatoczyła wysoki łuk w powietrzu i wpadła w morze'za burtę.

–Dziękuję – mruknął Portugalczyk.

Marten już na niego nie patrzył. Zainteresowały go cztery żelazne falkonety ustawione skośnie przy burtach na przednim, wyższym pokładzie.

–Przydadzą się nam – powiedział do swego porucznika.

Henryk Schultz skinął głową. Jego niezwykle długi, cienki

nos zwisający nad górną wargą, poruszał się lekko, jakby obwąchiwał działa. Pociągła, blada, melancholijna twarz nie zmieniała wyrazu, ale zmrużone ciemne oczy ciekawie myszkowały po pokładzie.

–Zobaczmy, co jest w środku? – zapytał oblizując usta końcem języka.

–Tak – odrzekł Marten. – Zostaw tu Pociechę. Stauffl pójdzie z nami. I ten – wskazał portugalskiego kapitana.

Zeszli ciasną, krętą schodnią na samo dno statku. Portugalczyk prowadził ich w milczeniu, odpowiadając krótko, gdy Marten rzucał jakieś pytania. Na najniższym poziomie, od dzioba do rufy, ciągnął się długi ciemny korytarz przecięty w kilku miejscach grodziami z mocnych belek. W każdej z tych grodzi były małe, okute żelazem drzwi, które kapitan otwierał prostym kluczem zwalniającym wewnętrzne zasuwę i zostawiał otwarte.

W obszernych ładowniach sięgających lukami aż ku górnemu pokładowi piętrzyły się bele bawełny, paki z koszenilą, worki z badianem, imbirem, kardamonem, pieprzem, skrzynki cynamonu, goździków, owoców muszkatowca, migdałów pistacjowych i innych „korzeni”. Silny aromat jak przezroczysta, wonna mgła wisiał w powietrzu, zapierając oddech.

Wyżej w przewiewnych pomieszczeniach był skład żywności; wisiały długie, wąskie płyty suszonego mięsa, stały wory mąki i kaszy, skrzynie sucharów, beczki z wodą i winem, a dalej – zwoje lin, płótno żaglowe i żelastwo. Wreszcie – kilka beczek prochu i kule armatnie ułożone w specjalnych zagrodach.

Na widok tych bogactw Schultz doznawał raz po raz gwałtownego skurczu w krtani. Ostra, wystająca grdyka podskakiwała mu w górę, krople potu spływały po twarzy, a palce rąk zaciskały się jak szpony.

Herman Stauffl, tęgi, rumiany jak dojrzałe jabłko, wytrzeszczał z podziwu swoje dziecinne niebieskie oczy i nieustannie poruszał w górę i w dół lewym przedramieniem, jak zawsze, gdy bywał czymś podniecony. Był mańkutem, a ów charakterystyczny odruch pochodził od rzucania nożem, w której tej groźnej sztuce żaglomistrz „Zephyra” nie miał sobie równego między wszystkimi korsarzami Anglii, Niderlandów i Francji.

Jan Kuna zwany Martenem śmiał się głośno i od czasu do czasu klepał po plecach portugalskiego kapitana, który aż przysiadł wskutek tych przyjaznych karesów, choć korsarski szyper miarkował swą niedźwiedzią siłę.

Zaiste było co podziwiać i z czego się cieszyć. Tak cennego łupu, zdobytego z taką łatwością, żaden z nich się nie spodziewał, gdy przed niespełna dwoma tygodniami „Ze-phyr” i „Ibex” opuszczały Plymouth. Oto w ciągu godziny stali się ludźmi zamożnymi; po odliczeniu dziesięciny, należnej skarbowi jej królewskiej mości, nawet najmniejszy udział zwykłego majtka przedstawiał okrągłą sumkę, którą można bądź odłożyć na starość, bądź umieścić na procent

w zyskowym przedsiębiorstwie, bądź przehulać w niezliczonych szynkach.

Marten dopiero teraz uświadomił sobie, jak hojnym sojusznikiem okazał się Drake. Mógł przecież zażądać co najmniej trzeciej części, jeśli nie połowy zdobyczy; mógł pokusić się o zagarnięcie tego statku wyłącznie dla siebie, bo wszak walka przeciw „Złotej Łani” w obliczu zbliżających się czterech angielskich okrętów byłaby przedsięwzięciem bardzo ryzykownym.

Chyba nie wie, z czego zrezygnował – pomyślał Marten.

Wtem przeleciało mu przez głowę, że w postępowaniu Drake'a kryje się podstęp. Czyż nie było prawdopodobne, iż Drake grał na zwłokę? Z chwilą gdy przybędą tamci czterej, któż im się oprze?

Zaniepokoił się, ale po chwili odrzucił tę możliwość. Po pierwsze to, co ze słyszenia wiedział o Drake'u, nie zgadzało się z taką zdradą. Po wtóre, Drake już kilkakrotnie wracał ze skarbami z Indii Zachodnich, a sława tych jego wypraw nie pozostawiała wątpliwości, że i tym razem towarzyszyło mu powodzenie.

Tak, Francis Drake nie kłamał: jego powrót po trzyletniej podróży mógł być tylko nowym wielkim triumfem. Martenowi obijały się o uszy zdumiewające wieści o tej wyprawie dokoła świata; o dziesiątkach zdobytych okrętów hiszpańskich, o zrabowanych i spalonych miastach na wybrzeżach Meksyku, Peru i Chile, o odkryciu Nowego Albionu, o złocie i srebrze zagrabionym w Zacatecas, Potosi i Veta Madre.

Drake wracał z olbrzymim łupem; każdy z jego okrętów był pływającym skarbcem. Nie narażałby żadnego z nich na zatopienie przez takiego człowieka, jakim okazał się Jan Kuna zwany Martenem, a czegoż innego mógł się po nim spodziewać, gdyby podstępnie doprowadził go do ostateczności? Z drapieżców walczących o zdobycz najczęściej

zwycięża ten, który jest głodny, a jeśli ginie pod przewagą sytych, zadaje wiele ran śmiertelnych.

Mimo tych rozważań Marten zapragnął jak najprędzej znaleźć się znów na pokładzie „Zephyra”. Tylko tam czuł się pewnie; tylko stamtąd mógłby stawić czoło wszelkim niespodziankom.

–Dość - powiedział nagle cło kapitana „Castro Verde”. – Chcę zobaczyć waszych pasażerów.

Portugalczyk spojrział na niego ponuro i ruszył przodem. Wspięli się na wyższy poziom i przemierzali teraz szerszy korytarz, z którym krzyżowały się boczne przejścia ku burtom i strzelnicom między pomieszczeniami załogi. Wszędzie panowała głucha cisza, maćona jedynie dudniącym odgłosem ich kroków. Podłoga

pod nogami unosiła się i opadała rytmicznie, grodzie pochylały się z prawa na lewo i z lewa na prawo, smugi światła wpadające z boków przez strzelnice i od góry przez skylighty zataczały eliptyczne kręgi w półmroku. U końca korytarza na rufie wiła się w górę tylna schodnia, jak wąż unoszący głowę przed ukąszeniem ofiary.

Wtem, w chwili gdy minęli ostatnie poprzeczne skrzyżowanie, spoza małych drzwi z okralowanym okienkiem, które pozostały za nimi, rozległ się zduszony okrzyk i łoskot padającego ciała, a w sekundę potem drzwi otwarły się gwałtownie i wypadł z nich jakiś człowiek o zmierzwionych włosach i dawno nie golonym zarostem, odziany w strzępy cienkiej, niegdyś białej koszuli i czarnych atlasowych pantalonów. W rękę miał zwykły długi rapier o szerokiej mosiężnej gardzie, za pasem – zatknętą machetę bez pochwy. Wyglądał groźnie, a w jego przenikliwych, ciemnych oczach płonęła desperacka odwaga.

Schullz i Slauffl skoczyli pod ściany, a Marten odwrócił

się błyskawicznie, unosząc za kołnierz przerażonego Portugalczyka i stawiając go przed sobą jak wypchany wiórami manekin. Ten manewr, wykonany w mgnieniu oka, świadczący o niezwykłej sile młodego korsarza, wywołał najpierw zdumienie, następnie zaś błysk uśmiechu na twarzy uzbrojonego obszarpańca;

–Rzućcie broń! – zawołał Marten uprzedzając jakikolwiek jego ruch lub słowa.

Człowiek z rapierem nie zareagował na to wezwanie; skłonił się lekko, okrągłym gestem przyłożył gardę rapiera do piersi i... w tej samej chwili dwa noże jeden po drugim utkwily tuż nad jego głową w deskach otwartych drzwi.

Stauffl opuścił ramię i zezował ku Martenowi w oczekiwaniu na jego znak, aby od ostrzeżeń przejść do czynów decydujących. Lecz Marten nie dał żadnego znaku, mimo iż rapier zatoczywszy płynne półkole salutem pozostał w ręku intruza.

Ten ostatni spojrział w prawo i w lewo na dwie jednakowe kościane rękojeści noży, które jeszcze drgały na lśniących klingach, wbitych głęboko w twarde drewno, potrząsnął z uznaniem głową i zwracając się do Martena rzekł:

–Nie należę do załogi tego statku. Przed chwilą byłem tu

więźniem. Myślę, że przynajmniej w części jestem winien panu

wdzięczność za okazję do wyjścia z tej nory.

Zręcznie przerzucił rapier w powietrzu, chwycił go za klingę i podał rękojeść Martenowi.

–Nazywam się de Belmont – pochylił głowę. – Kawaler

Ryszard de Belmont, kapitan korsarskiego okrętu „Arrandora”,

który niestety spoczywa już na dnie, i to

w bardzo złym towarzystwie pewnej portugalskiej fregaty, dość

daleko stąd. Czy mam oddać również tę drobnostkę? – zapytał

sięgając do pasa po ciężką machetę.

–Nie – odrzekł Marten. – Zatrzymajcie także ten szpikulec, kawalerze de Belmont – roześmiał się swobodnie. – Co do mnie, to jestem kapitanem okrętu „Zephyr” i nazywam się Jan Marten. To jest mój porucznik, Henryk Schultz...

–Panowie...’ – wytworny oberwaniec skłonił się im obu kolejno – jest mi niezmiernie miło.

Schultz patrzył na niego niczym zmieniając ani na chwilę wyrazu swej melancholijnej, bladej twarzy. Tylko w jego zmrużonych oczach można było dostrzec odcień podejrzliwej niechęci. Natomiast Stauffl otworzył gębę z podziwu i przysłuchiwał się dziwacznej w jego mniemaniu, potocznej wymowie kawalera de Belmont, pierwszego człowieka, który nawet nie mrugnął powieką, *gdy* dwa noże utkwiły o cal od jego głowy.

Kapitan „Castro Verde” milczał również, ze wzrokiem wbitym w podłogę, a *gdy* Marten puścił go wreszcie, aby uścisnąć dłoń Belmonta, zatoczył się na poręcz schodni i odetchnął z ulgą: nabrzmiałe żyły na jego czole i szyi świadczyły, że przez dłuższy czas był bliski uduszenia się w żelaznym chwycie korsarza.

–Nie chciałbym teraz sprawiać kłopotu swoją osobą –

mówił dalej de Belmont ze swobodą światowca. – Zdaje mi się,

że panowie się śpieszą. Może by jednak poprosić mego

dotychczasowego... hm... gospodarza, aby zamknął te drzwi.

Obawiam się, że człowiek, który mnie tam pilnował, przez pewien

czas nie zdoła chodzić o własnych siłach, ale dla pewności...

Schultz, który stał najbliżej, zajrzał do ciasnego wnętrza. Poza prostą ławą, stołem i twardą pryczą z tarcic nie było tam innych sprzętów. W ciemnym kącie majaczył nieruchomy kształt ludzki rozciągnięty na podłodze.

–Lepiej gość zabrać – mruknął Schultz.

Skinął na Stauffla i we dwóch wywlekli nieprzytomnego

marynarza na korytarz. Ujrzawszy jego zwałistą postać, Marten uniósł brwi w górę, a potem z uznaniem popatrzył na Belmonta.

–Widzę, że sami niezgorzej daliście sobie radę z tym drabem – powiedział z uśmiechem.

–Och, interesował się bardziej armatnią kanonadą niż moją osobą – odrzekł niedbale kawaler de Belmont. – Skorzystałem z jego roztargnienia, aby go rozbroić, a następnie... – wykonał gest uderzenia gardą po głowie. – Co z nim zrobimy? – spytał. – Jest zdaje się dosyć ciężki.

Marten dał znak Staufflowi.

–Nasz żaglomistrz się nim zaopiekuje. Przyślesz mu kogoś

do pomocy, Henryku – zwrócił się do Schultza. – Chodźmy.

Kapitan „Castro Verde” poprowadził ich r«a górę, do tylnego kasztelu. Po drodze Marten półgłosem wydawał Schultzowi jakieś polecenia. Porucznik skinął potakująco głową i ruszył ku wyjściu na pokład.¹ De Belmont zamierzał odejść wraz z nim, lecz korsarz go zatrzymał.

–Chciałbym, żebyście poszli ze mną – powiedział. – Na

pewno rozumiecie lepiej ich mowę niż ja.

Belmont z niesmakiem spojrzał po strzępach swojej odzieży, ale Marten stanowczo ujął go pod ramię.

–To nie będzie dworska wizyta. Przebierzecie się później.

Pasażerowie – trzech mężczyźni i dwie kobiety – czekali w obszernej, niskiej kajucie, która zajmowała całą szerokość rufy. Panował tam przepych, jeśli nie królewski, jak go osądził Marten, to w każdym razie nie spotykany na zwykłych statkach. Ściany

wykładane politurowanym drewnem, wschodnie dywany, ciężkie, wyściełane fotele obite adamaszkiem, stoły i ławy z mahoniem i palisandru.

Na jednej z tych ław w głębi siedział siwowłosej starzec

w pozie pełnej godności, wspierając się na hebanowej lasce ze złotą gałką. Na jego długich, cienkich palcach błyszcząły dwa pierścienie: jeden z rozetą z szafirów, drugi z wielkim diamentem.

Obok, na pół zwrócona ku niemu, spoczywała młoda, niezwykle piękna kobieta o ciemnych, wysoko upiętych włosach, ujętych w złocistą siatkę i bramkę * sadzoną perłami. Miała na sobie lekką błękitną suknię, zdobną w białe weneckie forboty i bryzy spięte pod szyją kosztowną szkofią ze złota i drogich kamieni. W ręku trzymała ogromny, oprawny w kość słoniową wachlarz z białych piór, który zasłaniał ją do połowy. Poruszała nim lekko od czasu do czasu, co wywoływało cichy dźwięk maneli na przegubie dłoni. Pod zmarszczonymi łukami brwi trzepotały jej ciemne, długie rzęsy, jak motyle skrzydła, kryjąc oczy, których spojrzenia Marten na próżno oczekiwał.

Po obu stronach ławy, nieco w tyle, stali dwaj mężczyźni – jeden w sile wieku, czarno ubrany, z koronkową krezą dokoła grubej, krótkiej szyi i ze złotym łańcuchem, którego ogniwa spływały mu aż na wydatny brzuch; drugi – młody, o nalanej, bladej twarzy i cofniętym podbródku. Jeszcze dalej, w kącie, kulila się jakaś postać dziewczęca tłumiąc łkania w chusteczce, którą trzymała przy oczach.

–Kim oni są? – spytał Marten, zwracając się do Belmonta.

Wytworny oberwaniec trącił końcem rapiera milczącego Portugalczyka, powtórzył pytanie w jego ojczystym języku, po czym, wysłuchawszy zwięzłej odpowiedzi, wyjaśnił:

~- Ma pan przed sobą, kapitanie Marten, ekscelencję Juana de Tolosa, pełnomocnika królewskiego do spraw Indii

Wschodnich. Ta piękna i dumna pani, która żadnego z nas nie chce obdarzyć spojrzeniem, jest jego córką i nazywa się senora Francesca de Vizella. Jej mąż jest obecnie gubernatorem Jawy. Opasły szlachcic z łańcuchem – to don Diego de Ibarra, właściciel rozległych dóbr ziemskich na Jawie, skąd wraca do swoich winnic w dolinie Duero. Pochlebiam sobie, kapitanie, że znam się na dobrych winach; lepszego portu na próżno szukałby pan po całym świecie. Mam nadzieję, że wśród zapasów na pokładzie „Castro Verde” znajdzie się także baryłka tego nektaru, stanowiąca prywatną własność don Diega, i że zdołamy ją osuszyć przed końcem tej czarującej podróży, jakkolwiek osobiście wolę wino burgundzkie.

–Dobrze, a ten wymoczek? – spytał niecierpliwie Marten wskazując palcem bladego młodzieńca.

–Szlachetnie urodzony caballero Formoso da Lancha, sekretarz osobisty jego ekscelencji – odrzekł Belmont. – Jedna z pierwszych rodzin w Traz os Montes. Natomiast ładniutka i bardzo zmartwiona morenita, która zalewa się łzami nie zaniehbując przy tym zerkać na was z wielkim upodobaniem, co zdaje się dowodzi jej dobrego gustu, pełni obowiązki cameristy seńłory Franceski.

Marten spojrzął na dziewczynę i rzeczywiście pochwycił błysk jej czarnych oczu. Roześmiał się ubawiony bystrością obserwacji swego przygodnego tłumacza, lecz zaraz potem na jego czole ukazała się zmarszczka, a rysy twarzy przybrały wyraz powagi i lekkiego zakłopotania. Przygryzał ciemnego wąsa, który wił mu się miękko nad górną wargą; zdawał się ważyć w myśli losy tych pięciorga ludzi i milczał.

De Belmont wypytywał o coś półgłosem portugalskiego kapitana, wspaniały starzec patrzył nieruchomo przed siebie kamiennym wzrokiem, pani de Vizella poruszyła kilka razy wachlarzem i opuściła dłoń, przy czym kosztowne bransolety zadzwoniły Jękliwie, a dwaj stojący za nią mężczyźni wymienili krótkie spojrzenie.

–Służba tych państwa znajduje się na pokładzie, wraz z załogą – powiedział Belmont.

–Służba? – powtórzył Marten.

–Tak. Sześć osób, nie licząc cameristy.

–Do diabła z ich służbą – mruknął Marten. – Myślę, co z nimi zrobić...

W tej chwili Juan de Tolosa wolno uniósł się ze swego miejsca i opierając się na lasce postąpił dwa kroki naprzód.

–Kapitanie Marten – przemówił po angielsku – czy zechce mnie pan wysłuchać?

Marten patrzył na niego trochę zaskoczony. Tolosa, wysoki, suchy, wyprostowany, zdawał się spoglądać nań z góry, jakkolwiek nie dorównywał mu wzrostem. Jego córka wstała także i podeszła bliżej. Dopiero teraz można było dostrzec, że jest w ostatnich miesiącach ciąży, co jeszcze bardziej zmieszało Martena. Spotkał jej wrogi, pełen pogardy wzrok. Odwróciła głowę i wyrzekła do ojca kilka gniewnych słów, po czym oddaliła się ku przeciwległej ścianie i znów usiadła w głębokim fotelu.

–Słucham – powiedział Marten.

–Jestem dość bogaty, aby wam zapłacić każdą cenę za jej życie i zdrowie – rzekł starzec. – Senor Ibarra z pewnością także wynagrodzi was tak, jak się z nim ułożycie, a krewni tego młodzieńca dadzą za niego okup równej wartości.

–Gdzie i kiedy? – spytał niedbale Marten.

–Nie wiem, dokąd płyniecie – odrzekł senor Tolosa. – Gdybyście jednak zechcieli zawinąć do Bordeaux albo do La Rochelle, to można by...

–Nie wybieram się do żadnego z portów francuskich – przerwał Marten.

Tolosa niecierpliwie wzruszył ramionami.

**–Chcę zapłacić za naszą wolność taką sumę, która po
zwoiłaby wam na spokojne życie aż do śmierci... – zaczął
wyniośle.**

Ale Marlen roześmiał się tylko.

**–Nie ma takiej sumy, za jaką zgodziłbym się na „spokojne
życie”, tak samo jak nie ma ceny, za którą sprzedał bym swój
okręt. Musi pan zrozumieć, ekscelencjo.**

Odwrócił się, bo w tej chwili do kajuty wszedł Henryk Schultz.

–Wszystko gotowe – powiedział półgłosem.

Marlen skinął głową.

**–Ci dwaj przesiądą się na „lbexa” – wskazał na don Diega
i kawalera da Lancha. – White ma się z nimi dobrze obchodzić.**

**Kobiety zajmą twoją kajutę na „Zephyrze”. A pan, ekscelencjo –
zwrócił się do Tolosy – zostanie na „Castro
Verde” pod opieką mego porucznika.**

**Tolosa zbladł i zachwiał się usłyszawszy ten wyrok. Spojrzał z rozpaczą na córkę.
Lecz sefiora de Vizella uśmiechała się lekko.**

**–Uspokój się, ojczy – powiedziała. – Ten mozo nie
ośmieli się mnie tknąć. A jeżeli, to... por Dios! Nie będzie ranie
miał żywej!**

**Cztery fregaty poprzedzane przez „Złotą Łanię” zatoczyły szeroki łuk dokoła
miejsca, gdzie woda pieniała się gwałtownie od bąbli powietrza wydzierających się z
kadłuba hiszpańskiej karaweli. Jej pochylone w tył maszty pograżały się coraz**

bardziej, a czerwono-żółta flaga szamotała się rozpaczliwie na wietrze, póki nadbiegająca fala nie zlizwała jej z powierzchni morza. Wtedy pięć flag angielskich zjechało w dół i wzniosło się z powrotem w górę, a „Zephyr”, „lbex” i „Ca«stro Verde” odpowiedziały podobnym salutem.

Ryszard de Belmont, umyty, ogolony, pachnący i wyświeżony, z kruczoczarnymi puklami lśniących włosów od-czesanymi na tył głowy, odziany w śnieżnobiałą koszulę z najcieńszego flamandzkiego płótna, czarne aksamitne pan-

talony do kolan i lekki kaftan z miękkiej sarniej skóry, stał na rufie „Zepliyrą” obok Marlena, który patrzył ku wschodowi, gdzie majaczyły jeszcze w zapadającym zmierzchu żagle hiszpańskich łodzi i tratw z obu zatopionych karawel.

–Za trzy lub cztery dni powinni wylądować – powiedział Marlen. – Jesteśmy w pobliżu brzegu.

–Mieli szczęście, że trafili na was – odrzekł Belmont. – Drake zapewne nie troszczyłby się o nich tak dalece.

–Drake leżałby teraz na dnie, gdyby nie ja – zauważył Marlen cbełpliwie.

Belmont spojrział na niego z boku i uśmiechnął się.

–Zyskaliście w nim przyjaciela – powiedział. – To warte

jeszcze więcej niż ten przyz – wskazał ruchem głowy portugalski

slalek, który kołysał się obok z żaglami ustawionymi w dryf.

„Złota Łania” mijala ich w odległości kilkudziesięciu jardów. Francis Drake stał na wzniesionym pokładzie rufy za plecami sterującego bosmana. Wiatr rozwiewał mu rude włosy o miedzianym blasku. Gdy okręty zrównały się, uniósł w górę prawą rękę i zawołał:

–Spotkamy się w Anglii, kapitanie Marten! Znajdziecie mnie w Deptford!

–Do zobaczenia, kapitanie Drake! – odkrzyknął Marten. – Spotkamy się na pewno!

Potem zwrócił się do Belmonta i ująwszy się pod boki rzekł: Moja przyjaźń, kawalerze de Belmont, warta jest właśnie tyle, ile przyjaźń Drake'a. Chyba że tę wartość mierzyłby ktoś wyłącznie liczbą dział i okrętów albo wagą posiadanego przez każdego z nas złota i srebra. Przypuszczam, że wy do takich nie należycie?

Belmont patrzył na niego z coraz większym zainteresowaniem.

Nie można powiedzieć, żeby ten bałtycki awanturnik grzeszył skromnością –

pomyślał. – W każdym razie to, czego dokonał, świadczy, że lepiej nie wchodzić mu w drogę. Nawet w obronie czci pięknej pani de Vizella... – dodał w duchu.

–Nie należę – powiedział głośno. – Ale potrafię ocenić także siłę działowego ognia i potęgę złota. Wprawdzie nie można okupić złotem szczerzej przyjaźni, lecz można za jego pomocą nabyć i uzbroić okręt. A ja, kapitanie Marten, straciłem swoją „Arrandorę” ...

Nuta goryczy zadźwięczała w ostatnich jego słowach i Jan Kuna zwany Martenem natychmiast ją odczuł i zrozumiał. – Nie mogę wam ofiarować ani tego przyzwoitości – rzekł wskazując wyniosłą nawę „Castro Verde” – ani nawet udziału, jaki otrzymają moi ludzie ze sprzedaży ładunku. Mogę wam tylko zaproponować stanowisko pierwszego sternika na „Zephyrze”, takie, jakie tu zajmuje Schultz. Przyjmujecie? Kawaler de Belmont zdawał się wahać, co widocznie gniewało Martena. Musiał obsadzić przyzwoitości swoimi ludźmi pozostawiając tam część załogi portugalskiej i zabierając także kilku bosmanów White'owi. Skutkiem tego sam został bez porucznika i pomoc Belmonta bardzo mu była potrzebna. Z drugiej strony uważał swą propozycję za niezwykle wielkoduszną. Wszak ten człowiek, pokonany przez los, nie posiadający nic zgoła, jeszcze przed paru godzinami był więźniem w rękach swych wrogów, a oto w tej chwili otwiera się przed nim okazja, której pozazdrościłby mu niejeden równie doświadczony marynarz w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach. A ten wahał się, zamiast z wdzięcznością pochwycić taką sposobność!

–Możecie na mnie liczyć do końca podróży – przemówił wreszcie, a Marten poczuł się tak, jakby mu wyświadczono niczym nie opłaconą usługę.

White podniósł górną wargę w złym uśmiechu, obnażając kilka spróchniałych zębów.

. – Wiem przypadkiem, że rynkowa cena koszenili wynosi ponad trzydzieści szylingów za funt – powiedział cicho. – Jeżeli chcesz ze mną robić interesy, nie staraj się mnie oszukać, rozumiesz?

–Nie miałem takiego zamiaru – odparł Schultz tonem pełnym urazy. – Dobiliśmy już niejednego targu i chyba nie straciliście na tym, prawda? Jeżeli rzeczywiście jest tak, jak mówicie...

–Wiem, co mówię – warknął White. – Trzydzieści szylingów, ani pensa mniej!

–Może panowie zechcecie wejść – rozległ się za ich plecami uprzejmy głos, w którego tonie można było pochwycić lekki odcień ironii.

Schultz drgnął! i omal nie uskoczył w bok, jakby chluś-nięto mu na grzbiet ukropem; White wyprostował się i rzucając przez ramię szybkie spojrzenie w tył, machinalnie sięgnął ku rękojeści noża, który miał za pasem.

–Kapitan Marten oczekuje panów z wieczerzą – mówił

dalej kawaler de Belmont na swój dworny sposób – a sefiora

Francesca de Vizella zaszczyca nas swoim towarzystwem przy

stole. Tędy, panowie – skłonił się lekko, wyciągając rękę w

kierunku wejścia do tylnego kasztelu.

White pogardliwie wzruszył ramionami.

–Znam drogę – mruknął. – Nie trzeba mi jej pokazywać.

Ruszył przodem i wszedł do jasno oświetlonej kajuty, którą istotnie znał dobrze,, lecz która teraz wydała mu się odmieniona jak pod działaniem czarodziejskiego zaklęcia. Proste sprzęty dębowe, które tu stały jeszcze wczoraj, zostały zastąpione kosztownymi meblami o bogato rzeźbionych oparciach i fryzach, podłogę zaścielały dywany, a niski mahoniowy stół lśnił polerowanym blatem jak gładka tafla

łodu, w której przeglądały się naczynia srebrne, chińskie misy *kivhwolve* i weneckie kryształ.

Na widok tego wszystkiego White zmarszczył brwi i utkwiał chmurne spojrzenie w twarzy kawalera de Belmont, jakby milcząco oskarżając go o jakieś przestępstwo. Jego pu-rytańska prostota wzdragala się przed zbytkiem. Skłonny był przypuszczać, że cały ten przepych jest dziełem szatana i że Belmont przy pomocy sił piekielnych zdołał już opętać Martena. A może ta kobieta?... – pomyślał.

Nie widział jej jeszcze, lecz od Schultza wiedział, że jest żoną portugalskiego dygnitarza, „papistką”, jak wszyscy Hiszpanie i Portugalczycy, których jednakowo nienawidził.

Miał zasiąść przy stole w jej towarzystwie! Ta myśl odbierała mu spokój, nurtowała w nim jak trucizna we krwi. W jakim celu Marten zmuszał go do tego? Czy to był tylko kaprys, czy też może ów Belmont wraz z nią uknuł jakiś podstęp przeciw nim wszystkim?

Belmont podszedł do ciężkiej kotary z granatowego aksamitu, która zasłaniała wewnętrzne przejście do kajuty Schultza, uchylił ją, jakby zamierzał przekroczyć próg, lecz usłyszawszy podniesiony, gniewny głos kobiety, zawahał się.

–Raczej umrę z głodu i pragnienia! – doszły go ostatnie
słowa.

Uśmiechnął się i opuścił zasłonę.

–Zdaje się, że senora de Vizella nie jest przy apetycie –
powiedział na pół do siebie.

W tej chwili po drugiej stronie trzasnęły drzwi, ciężka materia szarpnięta na bok zakołysała się gwałtownie i Jan Marten wszedł do swojej kajuty. Miał zmarszczone brwi, a oczy płonęły mu gniewem, lecz spotkawszy zdziwione

i zaciekawione spojrzenie trzech mężczyzn, nagle parsknął śmiechem.

–Łatwiej jest zdobyć portugalską karawelę niż przekonać
tę damę, że nic nie zagraża jej czci! – powiedział. – Siadajcie:
nie jesteśmy godni jej towarzystwa, ale mam nadzieję, że jakoś to
przeżyjemy.

Podeszli do stołu, White przeżegnał się i zaczął półgłosem odmawiać modlitwę. Schultz pobożnie złożył dłonie, odwrócił się nieco, aby go nie widzieć, i poruszał ustami utkwivszy wzrok w kryształowym kielichu.

Nie był pewien, czy nie popełnia śmiertelnego grzechu odmawiając modlitwę tuż obok heretyka, niejako razem z nim, i w dodatku wobec Martena, o którym wiedział, że jest synem czarownicy, Katarzyny Skórzanki, i wnukiem Agnieszki, spalonej na stosie. Któż mógł zaręczyć, że Jan nie ucieka się do pomocy szatana w swych zdumiewających przedsięwzięciach? Od lat siedmiu, od czasu gdy „Zephyr” wymknął się duńskiej flocie strzegącej Sundu, Martenowi towarzyszyło niezmiennie szczęście; uchodził cało z śmiertelnych niebezpieczeństw, nie imaly się go kule, nie został nawet draśnięty w żadnej z bitew, choć dokoła niego ludzie padali jak kłosa przy żniwie. Zginął jego ojciec, Mikołaj Kima, śmierć skosiła połowę dawnej gdańskiej załogi „Ze-phyra”, każdy z pozostałych miał ciało pokryte bliznami po ranach, tylko on jeden nie stracił ani kropli krwi własnej, przelewając tyle cudzej...

Od owego czasu – od śmierci swej matki i ucieczki przez Sund i Kattegat na Morze Północne – Jan nie był w kościele, nie spowiadał się, nie pościł. Zerwał z księżmi, związał się z heretykiem White'em, a oto teraz przygarnął tego Belmonta, który – podobnie jak on sam – nie uczyni nawet znaku krzyża, zanim zasiądzie do stołu.

–Ale nas zbaw od złego, amen – wyszeptał i

westchnąwszy z głębi piersi, powtórzył jeszcze po dwakroć to

zaklęcie, z myślą o dwu pozostałych – Angliku i Francuzie.

Marten czekał cierpliwie, aż skończą, a Belmont przyglądał im się spod oka nie okazując zresztą większego zainteresowania tym obrządkiem, jakkolwiek nic z tego, co się tu działo, nie uszło jego uwagi.

Usiedli wreszcie wszyscy czterej i gdy zaspokoiли pierwszy głód, Marten zapytał White'a, co jego zdaniem należy teraz uczynić: wracać) najkrótszą drogą do Anglii czy też wykorzystać posiadane zapasy i dalej szukać szczęścia między archipelagiem Zielonego Przylądka a Wyspami Kanaryjskimi i Madeirą.

–Wracać – odrzekł White bez namysłu. – Wracać tak

szybko, Jak tylko zdołamy. Nie rozumiem, na co tu czekamy;

dłaczego nie odpłynęliśmy razem z okrętami Drake'a, skoro

Opatrzność pozwoliła nam je spotkać.

Marten podniósł do ust puchar napełniony winem. Pił i spoglądał przez kryształowe szkło na surową, chmurną twarz starego korsarza. W szlifowanych wklęsłościach i rozetach kielicha jak w soczewkach odbijały się zwielokrotnione twarze Belmonta i Schultza. Dostrzegł błysk szybkiego spojrzenia, jakie ten ostatni wymienił z White'em, i zauważył ironiczne skrzywienie ust Belmonta, który w milczeniu

obserwował ich obu.

Ukrywają coś przede mną – pomyślał. – A Belmont wie o tym.

Od dawna przejrzał ich drobne oszustwa przy sprzedaży łupów. Nie dbał o to; nie miał ochoty wdawać się w drobiazgowo

obliczenia i kontrolować ich kramarskie transakcje. Zapewne i teraz ten pośpiech podyktowany był jakąś spekulacją handlową, na której spodziewali się zyskać nieco więcej, niż wyniósłby ich udział.

–Pryz miał połamane reje i pozrywane żagle – rzekł odstawiając opróżniony puchar.
– Trzeba je było wymienić. Poza tym musiałem pomieścić portugalską załogę na łodziach Hiszpanów, i to w ten sposób, żeby nie powyrzucali się nawzajem za burty. Nie przyjęto ich tam zbyt gościnnie: ledwie starczyło miejsca dla wszystkich, a przecież nie mogłem pozbywać się szalup z „Castro Verde”.

–Jeszcze by tego brakowało – mruknął White. – Tak czy owak piekło ich pochłonie.

–A co pan o tym sądzi, kawalerze de Belmont? – spytał Marten.

–O piekle czy o powrocie? – uśmiechnął się zagadnięty.

–O powrocie lub o dalszej podróży.

Belmont spojrział najpierw na White'a, potem na Schult-za, wreszcie wprost w oczy Martena.

–Nie należę do podziału, jeśli chodzi o „Castro Verde” –

rzekł po krótkim wahaniu. – Zatem w moim interesie leżałoby

zdobycie innego przyzu. Ale taka sposobność może się nam

przydarzyć równie dobrze w drodze powrotnej. Będziemy płynąć

pod wiatr, a zatem nie wprost, lecz raz jednym, raz drugim halsem.

Będziemy musieli dostosować prędkość „Zephyra” i „Ibexa” do

prędkości „Castro Verde”, który nie. może się z nimi równać pod

tym względem. Wreszcie... ~ zawiesił głos i ująwszy swój kielich

przyjrzał mu się pod światło. – Wreszcie – powtórzył – o ile mi

wiadomo, teraz jest najlepszy okres dla uzyskania wysokiej ceny

za korzenie, a także za koszenilę w Anglii.

Umilkł i uniósł kielich w górę.

–Za wasze zdrowie, kapitanie – powiedział skłaniając

lekko głowę. – I zawasze, panowie – zwrócił się kolejno w

stronę Schultza i White'a,

Marten trącił się z nim swoim pucharem. Schultz przybladł jeszcze bardziej, tak że jego żółtawa twarz nabrała ziemistego odcienia. White, który nie pił nic oprócz wody, machinalnie sięgnął po kubek, przy czym ręka zadrżała mu widocznie.

Nastraszył ich – pomyślał Marten. – Z pewnością coś wie.

–Co się tyczy, koszenili – ciągnął dalej kawaler de

Belmont – wiem, że płacą za nią w hurcie po osiemnaście

szylingów za funt.

Marten roześmiał się zadowolony.

Tym razem nie uda im się nic zarobić – pomyślał ubawiony.

–Słyszałeś? – spytał głośno, zwracając się do Sehult-za, który odetchnął z ulgą.

–Słyszałem o piętnastu – odrzekł porucznik spuszcżając oczy. – Ale...

–Kawaler de Belmont ma z pewnością bystrzejszy słuch, skoro słyszał o osiemnastu – przerwał mu Marten. – Przypuszczam, że zechce ci pomóc, jeśli sam nie zdołasz znaleźć kupca, który by tyle zapłacił.

–Oczywiście – potwierdził Belmont uprzejmie.

White wstał, uczynił znak krzyża i oświadczył, że wraca

na swój okręt. Marten powstrzymał go; należało przecież ustalić, kiedy i w jakim kierunku popłyną, jak będą się porozumiewali oraz jaki szyk zachowają w drodze.

Omawianie tych szczegółów przerwały im głośne okrzyki dochodzące z pokładu. Załoga „Zephyra” piła pod gołym niebem zdrowie swego kapitana.

–Pójdę do nich – powiedział Marten. – Wrócę za

chwilę. Zaczekajcie.

White zacisnął zwiędłe usta. Gdy za Martenem zamknęły się drzwi, dziki wrzask podniósł się na zewnątrz.

Kochają go – pomyślał Belmont. – Poszliby za nim do piekła, gdyby im kazał. – Spojrzał na swoich milczących towarzyszy, nalał sobie wina i sącząc je powoli, mówił z przerwami wprost przed siebie, jakby sam z sobą rozważał sprawę, która zaprzętała go całkowicie w tej chwili;

–Funt koszeni w Londynie dochodzi do trzydziestu trzech szylingów. W zimie cena podskoczy do trzydziestu sześciu. Ale nie będziemy czekali do zimy i prawdopodobnie nie uzyskamy więcej niż trzydzieści dwa szylingi za funt.

Ponieważ w imieniu nas trzech zaofiarowałem kapitanowi Martenowi po osiemnaście, cała transakcja przyniesie nam osiem tysięcy czterysta gwinei...

Odstawił opróżniony kielich.

–To jest o dwa tysiące czterysta więcej, niż pan przewidywał! – zwrócił się nagle do Schultza, jakby uderzony tym wynikiem swoich obliczeń.

Schultz spojrział na niego leniwie spod opuszczonych powiek i wierzchem dłoni otarł kropelki potu, które wystąpiły mu nad górną wargą.

–I co jeszcze? – spytał.

–Pozostawałaby tylko sprawa podziału tej sumy – odparł Belmont. – Myślę, że skromna nadwyżka należy się temu, kto ją potrafi uzyskać, to jest mnie. Resztą podzielimy się we trzech. Tym sposobem każdy z was otrzyma po dwa tysiące oprócz swego udziału,

–To już wszystko? – spytał znów Schultz.

–Jeśli chodzi o koszenilę, wszystko – odrzekł Belmont. – Co do innych transakcji porozumiemy się w Londynie albo w Plymouth Zawsze gotów jestem pomóc wam, poruczniku, jeżeli...

Urwał nagle i błyskawicznym ruchem zwrócił się ku White'owi.

–Zostaw pan to, kapitanie – powiedział rozkazującym tonem.

Schultz patrzył na nich zdumiony,, W ręku Belmonta lśnił pistolet oprawny w srebro i kość słoniową. Porucznik nie potrafiłby powiedzieć, skąd się tam wziął, kiedy kawaler de Belmont zdołał go dobyć. Prawa dłoń White'a przez mgnienie oka błędziła jeszcze u boku, gdzie w skórzanej

pochwie tkwił długi toledański sztylet, po czym opadła w dół.

–Ręce na stół! – rozkazał Belmont. – Ta zabawka może wystrzelić – dodał pokazując zęby w uśmiechu.

White przeszył go wściekłym spojrzeniem, ale usłuchał.

–Pana Boga waszego się bójcie, a on was wyrwie z ręki wszystkich nieprzyjaciół waszych. A przechodniów, którzy gośćmi są u was, te będziecie mieć za sługi – wyszeptał.

Ani Schultz, ani Belmont nie mogli słyszeć tych słów: zagłuszył je nowy, jeszcze głośniejszy wybuch wrzasków i krzyków, od których zadrżały ściany kasztelu. To kapitan „Zephyra”¹ z kolei pil zdrowie swojej załogi.

Senora Francesca de Vizella klęczała u wezglowia swego łoża, które Marten kazał przenieść z portugalskiego statku i ustawić w kajucie po prawej stronie kasztelu „Zephyra”. Usiłowała skupić się wyłącznie na modlitwie. Ale myśli rozpiezchały się co chwila, a Najświętsza Panna, której obraz w promiennej aureoli przywoływała w pamięci, zdawała się nie słuchać jej słów; odwracała słodką twarz, oddalała się, znikala za mgłą i przed wzrokiem Franceski, pomimo zamkniętych powiek, zjawiały się kolejno postaci ojca, don Diega de Ibarra, kawalera da Lancha, kapitana „Castro Verde” i jego świetnych oficerów. Zaraz potem tłum korsarzy zmiatał je precz, jak wichur zmiata liście opadłe z drzew na drodze. Słyszała ich okrzyki, huk wystrzałów, zgiełk bitwy i łomot własnego serca.

Nie bała się śmierci, była odważna. Natomiast wzbierał w niej gniew. Gniew i

pogarda, zarówno dla portugalskiego kapitana i tych jego oficerów., jak dla Hiszpanów. Nigdy nie uwierzyłaby, że trzy duże okręty mogą ulec tak nieznacznym

siłom korsarzy; że garstka rozbójników – parobków, jak ich nazywała w myśli – zdoła w ciągu pół godziny rozgromić paruset żołnierzy portugalskich. Lecz przekonała się o tym na własne oczy. Portugalscy i hiszpańscy caballeros, szlachcice z najlepszych rodzin, drżeli przed jakimś cudzoziemskim vaquero, przed człowiekiem z gminu, który powinien by zostać wychłostany za każde słowo, jakie ośmielał się wypowiedzieć do nich; za każde spojrzenie, jakim ją obrzucał! Widziała jego twarz, gdy mówił do jej ojca, jakby mu był równy. Ba! – jakby rozmawiał z pierwszym lepszym ze swoich zbirów, nie z namiestnikiem króla! Wyraz tej twarzy, drwiący uśmiech, wzrok dumny i twardy, gniewne zmarszczenia brwi – nic nie uszło jej uwagi. Jak śmiał ten prostak! Jak śmiał...

Gdyby tu był don Emilio... – pomyślała o mężu i przygryzła wargi. – Don Emilio i ten korsarz?... Nie! Lepiej, że nie ujrzała ich razem. Don Emilio nie zdołałby przecież poskromić takiego człowieka, nie mając za sobą władzy i siły, jaką rozporządzał w zwykłych okolicznościach.

Jego postać nie była imponująca, jeśli nie otaczał jej cały zastęp wysokich urzędników, oficerów i adiutantów. Don Emilio był znacznej tuszy, niewielkiego wzrostu, a jego wyniosłość i wspaniałość uwydatniały się tylko wówczas, gdy zasiadał w rzeźbionym krześle przy stole Rady Królewskiej albo gdy jechał otwartym powozem, niedbale spoglądając z góry na tłum. Bez splendoru swego urzędu, oko w oko z młodym, zuchwałym kapitanem „Zephyra”, mógłby się wydać równie bezradny jak kawaler cła Lancha lub don Die-go de Ibarra. Może nie potrafiłby nawet zachować tej godności, jaką umiał okazać jej ojciec...

Lepiej, że jestem sama – myślała Francesca. – Najświętsza Panna mi dopomoże; uczyni cud; nie pozwoli, abym musiała targnąć się na własne życie w obronie przed hańbą; uwolni mnie z rąk tego zbrojaka. A ja Jej to wynagrodzę: bę-

dzie miała własny kościół, nie tylko ołtarz u Świętego Krzyża w Alter do Chao.

Wstępowała w nią otucha. Czyż nie za sprawą Opatrzności ów korsarz aż dotąd nie ośmielił się jej tknąć? Cóż go powstrzymywało? Jej stan, bliskie macierzyństwo? Dla takich jak on z pewnością nie miało to żadnego znaczenia! A przecież na swój prostacki sposób okazywał jej pewne względy.

Co zamierzał? Czy skusiła go obietnica wysokiego okupu? Zatrzymała się przez chwilę na tym pytaniu. Na pół świadomie przyznała przed sobą, że wołałaby odkryć inną przyczynę jego powściągliwości. Czy zabrał ją tu, na swój okręt, aby łatwiej dokonać gwałtu, czy też aby ją przed gwałtem obronić?

Po raz pierwszy taka myśl zaświtała w jej głowie. Ujrzała w wyobraźni zgraję pijanych marynarzy wyłamujących drzwi i rzucających się na nią. Przebiegł ją dreszcz obrzydzenia i zgrozy. Mogło się tak stać; mogło ją to spotkać.

–Lecz teraz już się nie stanie – wyszeptała z ulgą.

Poczuła jakiś cień wdzięczności dla Martena i natychmiast zganiała się za to. Cała jej wdzięczność należała się Przenajświętszej Madonnie, Madonnie z Alter do Chao w dobrach rodziny Tolosa naturalnie, gdyż tę miała na myśli. A jednak Marten...

Znów o nim pomyślała! Gniewało ją, że ustawicznie zakrada się do jej myśli. Nienawidziła go przecież, pogardzała nim, ale zarazem nie mogła się oprzeć czemuś... czemuś, eó chyba graniczyło z podziwem.

Gdyby był szlachcicem – myślała dalej – gdyby nie moja ciąża, gdybym go spotkała przed rokiem... Quien sabe?...

Przeraziła się: o czym ja myślę? Uczyniła znak krzyża, zaczęła bić się w piersi.

Odejdź ode mnie, sza!anie!

Henryk Schultz leżał na wznak, utkwivszy wzrok w niskim pułapie kapitańskiej kajuty. Jeszcze przed wieczerzą na „Zephyrze” zdążył zapoznać się dokładnie z wykazami, rachunkami i frachtami * „Castro Verde”; obliczył nie tylko swój udział w zdobyczy, ale także przybliżoną sumę zysków

ubocznych i prowizji przy sprzedaży ładunku i przyzu.

Gdybym posiadał dwa razy tyle, ile mam – myślał – przestałbym pływać. Wróciłbym do Gdańska. Przystąpiłbym do spółki ze stryjem Gotliebem. Kupiłbym dom. A może otworzyłbym kantor bankowy. Albo założyłbym spółkę armatorów. Miałbym filię w Antwerpii i w Londynie. Miałbym agentów we wszystkich większych portach. Tak, gdybym posiadał dwa razy tyle, ile mam, z pewnością przestałbym pływać.

Henryk Schultz miał usposobienie marzycielskie, lecz był zarazem człowiekiem praktycznym: wcielał swoje marzenia w czyn, i to od wczesnej młodości, właściwie od dzieciństwa.

Mając lat jedenaście został sierotą. Opiekował się nim stryj, Gotlieb Schultz, bogaty kupiec gdański, współwłaściciel kilku statków handlowych i okrętów kaperskich. Lecz stryj Gotlieb miał dwóch synów i tylko oni byli przeznaczeni na dziedziców wielkiego majątku. Tylko oni nosili piękne, kosztowne ubrania, kształcili się w gimnazjum, pobierali lekcje obcych języków, jeździli powozem do kościoła na mszę. Henryk nie mógł nawet marzyć o czymś podobnym.

Jadał i sypiał ze służbą, czyścił obuwie swoim stryjecznym braciom, biegał na posyłki. Sam nauczył się czytać, pisać i rachować. Rozleglejszą wiedzę zdobywał dorywczo z zasłyszanych rozmów, z ukradkiem przeglądanych zeszytów i książek, od swych szczęśliwszych rówieśników ze szkolnych burs przyklasztornych, z którymi utrzymywał stosunki handlowe dostarczając im słodycze i łakocie kupowane na Długim Rynku, i wreszcie nad Motławą, gdzie od wiosny do późnej jesieni panował nieustanny ruch i gwar portowy.

Tam czuł się najlepiej. Mógłby z zawiązanymi oczyma trafić do wszystkich składów pszenicy i żyta, wskazać obcemu przybyszowi, gdzie może sprzedać jęczmień, owies i proso, gdzie mieszczą się olbrzymie stosy drewna – belek, desek, dylów, kłód cisowych, sosnowych i jodłowych, sterty wańchosu i klepek dębowych; gdzie w długich, spiętrzonych szeregach stoją beczki ze smołą i wory z popiołem.

Znał nazwiska wszystkich znaczniejszych kupców gdańskich i wiedział, dokąd jadać ich ciężkie wozy konne załadowane angielskim i holenderskim suknem, włoskimi jedwabiami i aksamitami, baryłkami francuskich i portugalskich win, skrzyniami niderlandzkiej porcelany, workami i plecionkami z łyka, zawierającymi figi, daktyle,

cytryny, pomarańcze, korzenie.

Włóczył się po nabrzeżu, gdzie wyładowywano śledzie ze Skanii, żelazo ze Szwecji, sól z Francji; kręcił się po mostach i

rynkach, wdawał się w rozmowy z marynarzami z Mechleburga, Holzacji, Fryzji, Inflant i Anglii, wskazywał im gospody, ułatwiał kontakty z maklerami i tłumaczami,

ofiarowywał swoje pośrednictwo cudzoziemskim kupcom i polskim szlachcicom, przyglądał się i przysłuchiwał zawieranej transakcji, zapoznawał się z próbkami towarów, z ich cenami, z kwitami, weksłami i umowami.

Czasem otrzymywał parę groszy lub knfelek piwa za te drobne usługi, częściej jednak częstowano go kopniakiem i obelgami, jeśli się upominał o zapłatę. Nie zniechęcał się jednak.

W sierpniu, od św. Dominika do św. Heleny, a często i dłużej, aż do św. Grzegorza, przez dwa do trzech tygodni trwał w Gdańsku wielki doroczny jarmark. Do portu zawijało ponad czterysta cudzoziemskich statków i niezliczona ilość barek, skut, komięg, kogg, tratw spławianych Wisłą, do miasta zaś przybywały setki i tysiące szlachty – kolaskami, za którymi ciągnęły całe tabory podwód i wozów.

U wejścia na Motławę od świtu do zachodu słońca czuwali strażnicy i pacholkiwie pana Zygryda Wedecke, członek senatu i zawiadowcy ruchu w przystani. Długa drewniana bariera zamykająca wejście unosiła się raz po raz w górę, aby przepuścić statek, szyper po uiszczeniu opłat wracał z Komory Palowej na jego pokład, przyjmował pilota i statek wolno sunął środkiem koryta, aby zacumować się przy nabrzeżu, w miejscu przeładunku. Łodzie i łódki, płaskie lichtugi i czworokątne komięgi podchodziły do burt, tragarze uginali się pod ciężarem przenoszonych towarów, wtaczali z brzegu po trapach i pomostach beczki z żywnością dla załogi, opuszczali na linach

i blokach skrzynie, wory, pakunki, ładowali je na wozy, krążyli tam i z powrotem, z lądu na pokład i z pokładu na ląd, roili się jak mrówki, zlanii potem, uznojeni i brudni. W pobliżu, na mostach, u wylotów ulic zbiegających zewsząd ku rzece, na placach wyczekiwali bednarze i stolarze nie posiadający własnych warsztatów i żyjący z doraźnych napraw. Łatali, skrzynie, nabijali obręcze na uszkodzone beczki, zbijali rozpękle paki. W tłumie uwijali się maklerzy, pośrednicy, faktorzy, tłumacze, pokątni bankierzy, spekulanci, oszuści, złodzieje, handlarze, przekupnie. Różnojęzyczny gwar, wrzawa okrzyków, skrzypienie dźwigów, zgrzyt bloków, turkot wozów, zgiełk czyniony przez rzemieślników mieszały się ze stukiem siekier i chrapaniem pił dochodzącym z Lastadii. gdzie budowano nowe statki, i z Brabancji, gdzie przeprowadzano ich remonty i naprawy.

Obroty zbożem, drewnem, smołą, potażem, lnem, woskiem, miodem i solonym mięsem 7 jednej, a winem, jedwabiami, dywanami, suknem, cyną, oliwą, owocami południowymi i przedmiotami zbytku z drugiej stronv – sięgały zawrotnych sum. Polem statki naładowane płodami polskiej ziemi wychodziły na Bałtyk i płynęły do swoich portów, a szlachta hucznie i strojnie rozjeżdżała się do dworów, uwożąc z sobą zamorskie frykasy, gdańskie meble i drogie materie.

W Gdańsku zostawało złoto: floreny, funty, gwinee i skudy, czerwone złote i dukaty. Gdańsk bogacił się. Pa-

trycjusze miejscy budowali coraz wspanialsze domy, kupowali posiadłości ziemskie i letnie rezydencje, wznosili kościoły, ozdabiali swój Dwór Artusa niczym królewski pałac. Przy ulicy Panieńskiej, Długiej, Browarniczej, Ogarnej₅ przy Długim Rynku, nad ciemnymi wodami leniwej Motławy i nad bystrą, spienioną Radunią wyrastały coraz piękniejsze kamieniczki z trójkątnymi szczytami ujętymi po bokach w kamienne ślimaki, girlandy, kule, iglice, ozdobione rzeźbami i figurami. Kute żelazne kraty i balustrady otaczały przedproża, na których stawiano ławy i stoły, gdzie bogacze zażywali wieczornego wypoczynku przy szklanicach miodu, piwa i wina.

Słynny architekt Jan Brandt budował największy i chyba najwspanialszy w Polsce kościół Mariacki z wysoką wieżą, w której zawisło sześć spiżowych dzwonów.' Jednocześnie wznoszono trzy inne świątynie: Sw. Piotra i Pawła, Sw. Jana i Sw. Trójcy, a odbudowywano kościół Sw. Bartłomieja i Sw. Barbary. Na Ratuszu Prawomiejskim u szczytu strzelistej wieży ze złotym hełmem stanął pozłacany posąg króla Zygmunta Augusta, a wewnątrz siedziby władz miejskich uświetniały rzeźby, malowidła i sprzęty wykonane przez najslawniejszych w Europie artystów.

Gdańsk bogacił się, lecz Henryk Schultz był nadal biedny. Wiedział przy tym, że zdobycie bogactw dla człowieka tak biednego jak on jest prawie niemożliwe. Biedacy mieszkali w starych czynszowych ruderach, gnieździli się całymi rodzinami w zbutwiałych szopach na przedmieściach, pracowali ciężko, głodowali i prawie nigdy nie udawało im się poprawić swego losu. Kto się urodził biedakiem, umierał w biedzie po nędznym życiu. Na to, aby zacząć się dorabiać, irzeba było mieć coś na początek. A Henryk Schultz nie miał nic.

Gdybym się zaciągnął na statek – myślał wtedy – może bym do czegoś doszedł. Zarabiałbym po dziewięć ma-

rek pruskich rocznie. Miałbym wyżywienie przez osiem miesięcy w roku. Mógłbym kupować i przewozić bezpłatnie po pół łasztu towaru na własny rachunek. A później, zostawszy bosmanem, zarabiałbym po osiemnaście marek i mógłbym przewozić cały łaszt towaru Tak, gdybym został chłopcem okrętowym, pewnie bym do czegoś doszedł...

Oprócz statków handlowych na Motławę wchodziły często okręty kaperskie, przeważnie trójmasztowe holki * o pojemności stu dwudziestu lub stu pięćdziesięciu łasztów albo małe, kilkudziesięciolasztowe krajery, których załogę stanowiło sześciu czy ośmiu ludzi. Lecz Henryk dowiedział się wkrótce, że nawet najmniejszy z nich przynosił armatorom dochody wyższe od zysków handlowych. Dowiedział się także, iż załogi uczestniczą w podziale zdobyczy, a ta ostatnia wiadomość skierowała jego marzenia ku okrętom kaperskim.

Gdyby mi się poszczęściło – myślał – zostałbym kaprem. Sam sprzedawałbym swój udział. Po kilku latach zdołałbym zebrać tyle, że mógłbym założyć małe przedsiębiorstwo maklerskie. Wtedy kupowałbym udziały innych kaprów i zaopatrywałbym ich okręty. Gdyby mi się poszczęściło, zostałbym kaprem...

Droga Henryka do tego celu wiodła nie przez port i nie bezpośrednio przez protekcję stryja, choć Gotlieb Schultz w owym czasie był współwłaścicielem studwudziestołasztowej koggi kaperskiej „Czarny Gryf”.

Henrykowi nie podobał się ten okręt. Był to stary jedno-masztowy, niezgrabny statek handlowy o klinkowym obiciu

kadłuba *, płaskim dnie, wysokich kasztelach na dziobie i rufie, uzbrojony w kilka sześćofuntowych okława i dwa ćwierć-kartauny. Jego prędkość nie przekraczała nigdy pięciu węzłów, a każdy sztorm groził mu wywróceniem i zatopieniem.

Dopóki „Czarnym Gryfem” dowodził Mikołaj Kuna, jeden z najlepszych kaprów na Bałtyku, okręt zarabiał na swoje utrzymanie i nawet przynosił pewien zysk udziałowcom. Lecz przed dwoma laty szyper wypowiedział umowę, a wraz z nim porzuciła służbę większość załogi. Nowy kapitan, Jan z Grabin, nie miał takiego doświadczenia jak poprzedni; było to jego pierwsze dowództwo. Toteż znacznie rzadko wpadała w ręce załogi, a Gotlieb Schultz pragnął wycofać się ze spółki i czekał tylko na sprzyjające okoliczności, aby jak najkorzystniej odstąpić swój udział.

Henryk upatrzył sobie inny okręt. Piękny, nowy okręt, zbudowany w Elblągu i spuszczonego na wodę w roku 1570. Okręt, którego właścicielami byli tylko dwaj ludzie: jego budowniczy, Wincenty Skóra, i zięć tego ostatniego, Mikołaj Kuna. Owego okrętu nazywał się „Zephyr”.

Lecz do załogi „Zephyra” niełatwo było się dostać. Nawet na chłopców okrętowych dobierano tam młodzieńców już obeznanych z morskim rzemiosłem, ludzi zdolnych, silnych, odważnych, synów i wnuków marynarzy. Służyć na „Zephyrze” było nie lada zaszczytem, a ci, których ten zaszczyt spotkał, nosili się dumnie i buńczucznie, choć przecież trafiali się pomiędzy nimi także biedacy i sieroty po kaprach gdańskich i królewskich. Kto dostał się na „Zephyra” i wytrzymał próbną podróż, mógł być

pewien dobrych zarobków. Kto się odznaczył, wkrótce zostawał marynarzem. Kto ulegał kalectwu, mógł liczyć na sprawiedliwą odprawę, a jeśli ginął, to ze świadomością, że jego rodzina oprócz odprawy otrzyma podwójny udział w zdobyczy.

Gdybym został chłopcem na „Zephyrze” – myślał Henryk Schultz – miałbym zapewnioną przyszłość. Chodziłbym w kaftanie z cienkiego sukna i w łosiovych pantalonach z frędzlą u kolan. Mógłbym codziennie jadać kockebakken i pić mocne piwo. Miałbym w kieszeni srebro, którym pobrzękiwałbym wesoło w gospodach. Bez trudu zaoszczędziłbym więcej niż na jakimkolwiek innym okręcie. Miałbym przed sobą piękną przyszłość zostawszy chłopcem na „Zephyrze”...

W jednym z zaułków Starego Miasta, w czynszowej kamienicy należącej do Gotlieba Schultza, mieścił się warsztat powroźniczy Macieja Paliwody. Henryk często tam zachodził bądź z jakimiś poleceniami stryja, bądź przyprowadzając klientów z obcych statków, którzy chcieli zaopatrzyć się w liny i drabiny sznurowe po niższych cenach, wprost u źródła ich wyrobu, bądź wreszcie aby zobaczyć Jadwigę Paliwodziankę.

Jadwiga była jego rówieśnicą – jasnowłosym dziew-czątkiem o modrych oczach i smutnym uśmiechu. Wydawała mu się istotą nieziemsko piękną, niemal anielską, i budziła w jego sercu uczucia, których z początku nie umiał nawet ująć w myśli, a tym bardziej w słowa. Ujrawszy ją przelotnie po raz pierwszy, doznał wrażenia, że to św. Agnieszka z Salerny zesła z obrazu, który widywał w kościele. Gdy jednak okazała się osobką z krwi i kości, bynajmniej go to nie rozczarowało. Wprawdzie nie poświęcała mu wiele uwagi, ale uśmiechała się do niego w odpowiedzi na nieśmiałe pozdrowienia, jakimi ją witał, a później,

gdy ich znajomość stała się bardziej zażyła, z niejakim zainleresowa-

niem słuchała jego opowiadań o porcie i okrętach. On zaś, czując potrzebę zwierzeń, mówił jej o swoich marzeniach, a raz wspomniał także o „Zephyrze”. Ta nazwa wywołała lekki rumieniec na twarzy Jadwigi, a gdy Henryk zapytał ją, czy zna kogoś z załogi, zaprzeczyła, lecz zmieszała się widocznie.

Wkrótce potem „Zephyr” zawinął do gdańskiego portu, a Henryk, przybiegłszy nazajutrz z tą wiadomością do warsztatu Macieja Paliwody, zastał majstra na rozmowie z szyprem, a Jadwigę zapatrzoną w wesołą, dorodną twarz Janka Kuny, który zabawiał ją pokazywaniem sztuczek z dwiema pętlami sznura.

Henryk poczuł żądło zazdrości w sercu, lecz starał się nie okazać tego po sobie. Ani w owej chwili, ani później. Poświęcił swoją tkliwość dla wybranej i wszelką nadzieję na jej wzajemność, poświęciłby ją samą, aby zdobyć przyjaźń młodego Kuny, który budził w nim tylko niechęć i zawiść.

Wyrzekł się na zawsze Jadwigi, lecz nie przestał o niej myśleć. Tylko że te myśli były teraz inne niż dawniej. Z pewnością przestał ją uwielbiać. Uważał, że sama zgotowała sobie los godny pożałowania, i odczuwał z tego powodu mieszaninę współczucia i wyższości.

Będzie tego żałowała – powtarzał sobie. – Zawiedzie się na nim. Nie potrafiła mnie ocenić i kiedyś będzie tego żałowała...

Zdawało mu się, że dotychczas pomiędzy nim a Jadwigą istniało jakieś porozumienie, jakieś nie wypowiedziane przyrzeczenie, które ona złamała. On pozostał wierny do końca. Wyobrażał sobie, że gotów był poświęcić jej całe życie. Powinna była to zrozumieć; powinna była uświadomić sobie, jakie szczęście ją spotyka. A ona widziała teraz tylko Janka Kunę.

Więc dobrze – myślał Henryk. – Niech mu się napatrzy, ile

tylko zechce. Nie będę im przeszkadzał; nawet im pomogę. Ale i mnie się za to coś należy.

Osiągnął to, czego pragnął: w jakiś czas potem kapitan „Zephyra” odwiedził swego dawnego armatora, Gotlieba Schultza, i sam zaproponował, że przyjmie jego bratanka do załogi.

Mikołaj Kuna był podówczas kaprem królewskim. On sam i jego okręt nie tylko ocaleli z pogromu flotylii kaper-skiej pod Helem i w Zatoce Puckiej w lipcu roku 1571, lecz wymknąwszy się blokadzie admirała Franka zdołali zatopić pomocniczy krajer duński. Jeszcze przed jesienią Mikołaj Kuna zdobył dwa statki francuskie płynące do Narwy, a po otwarciu przez króla bazy morskiej w Gdańsku przebywał tam stale pomiędzy jedną a drugą wyprawą na pobliskie wody przybrzeżne.

Właśnie w tym czasie Henryk Schultz został zamustrowany na „Zephyra” jako chłopiec okrętowy, odbył swą pierwszą podróż do Kołobrzegu, a stamtąd do Diamentu i Parnawy oraz wziął udział w zdobyciu duńskiej galeony ze znacznym ładunkiem przeznaczonym dla kupców moskiewskich.

„Zephyr” zimował w Gdańsku, a wiosną roku 1572 znów zaczął wychodzić na patrole. Krążył po wodach inflanckich, staczał drobne potyczki pod Rewlem, zawijał do Diamentu, bywał w Gdańsku i w Pucku. Lecz siły kaperskie floty króla polskiego topniały jak resztki zimowych śniegów. Raz po raz nadchodziły wieści o zatopieniu jakiegoś okrętu przez Duńczyków; raz po raz następowały zatargi z senatem gdańskim, który aresztował okręty,

więził szyprów i załogi; raz

po raz któryś z kapitanów porzucał ciężką służbę królewską i zaciągał się do

szwedzkiej marynarki wojennej.

Siódmego lipca roku 1572 umarł Zygmunt August, a gdy zabrakło tego opiekuna i przewodnika spraw floty polskiej, przestała również działać Komisja Morska pozostawiając kaprów ich własnemu losowi. Butny i chciwy Gdańsk, dążąc do porozumienia z Danią w interesach swego zagrożonego handlu, wiosną roku 1573 znowu zatrzymał w porcie kilka okrętów kaperskich, a między innymi „Zephyra” i duży, dwustułasztowy holk kapitana Wolfa Munkenbeka.

Henrykowi przestało się to podobać. Nie rozumiał, dlaczego szyprowie upierają się przy królewskiej banderze, skoro kaperstwo w służbie Rzeczypospolitej przestało się opłacać. Dlaczego nie przechodzą na stronę Gdańska? Po co Munkenbek i Mikołaj Kuna łamią sobie głowy nad sposobem ucieczki, skoro mogliby zawrzeć korzystną spółkę z najbogatszymi kupcami?

Domyślał się, że spiskują, że knują jakiś podstęp. Podsluchiwał pilnie ich rozmowy, a upewniwszy się w swych podejrzeniach, doznawał coraz większej pokusy, aby pokrzyżować te plany.

Gdybym o tym powiedział panu Wedecke – myślał – nie minęłaby mnie nagroda. Zdobyłbym zaufanie i protekcję senatu. Zostawiliby mnie na „Zephyrze” wraz z nowym szyprem i inną załogą. Wynagrodziliby mnie z pewnością za taką wiadomość...

Wahał się jednak: nie wiedział, kiedy ma nastąpić ucieczka, i nie znał szczegółów jej planu. Nie wiedział też, w jaki sposób mógłby wydostać się niepostrzeżenie z okrętu i czyby mu się udało przekonać pana Wedecke o prawdziwości doniesienia; czy taki dygnitarz zechciałby go wysłuchać.

Wypadki zaskoczyły go nagle, zanim zdołał powziąć jakąkolwiek decyzję. Pewnej nocy nieznanymi sprawcami wzniecili

dwa pożary: jeden w pobliżu miejsca postoju okrętów kaperskich, drugi przy wejściu na Motławę. Wśród zamieszania i popłochu Munkenbek i Kuna przecięli cumy, wyprowadzili swoje okręty na morze i pożeglowali na północny wschód, ku Diamentowi.

W odwet za tę ucieczkę rajcy miasta kazali uwięzić Katarzynę, żonę Mikołaja Kuny. Oskarżono ją o czary i o wywołanie pożarów. Podczas gdy „Zephyr” krążył po wodach inflanckich i odnosił drobne sukcesy w potyczkach pod Piewlem, nieszczęśliwą kobietę poddano torturom, po których zmarła w lochu więziennym.

Mikołaj Kuna dowiedział się o tym w kilka tygodni później od innego szypra, któremu udało się opuścić Gdańsk za wstawiennictwem kasztelana Kostki i dawnego przewodniczącego Królewskiej Komisji Morskiej, biskupa Karnkowskiego. Ow

szyper utrzymywał zresztą, że na decyzję wypuszczenia jego okrętu wpłynęły raczej groźby niż prośby. Groźby poparte wzrostem polskich sił wojskowych pozostających pod rozkazami pana Ernesta Weyhera w pobliskim Malborku.

Jednocześnie w Diamencie i w Parnawie rozeszły się pogłoski o obiorze nowego króla. Miał nim zostać Henryk Valois, a wraz z jego przybyciem z Francji miała przypląć na Bałtyk potężna flota złożona z czterdziestu okrętów.

Przed kaprami polskimi otwierały się nowe horyzonty: swobodne wyjście na oceany, azył we francuskich portach, zrównanie w prawach i przywilejach z francuskimi marynarzami. Gdy na koniec admirał Mateusz Scharping otrzymał od nowego monarchy potwierdzenie listu kaperskiego, prysły wszelkie wątpliwości: złe czasy mijały, a Gdańsk musiał się poddać woli Rzeczypospolitej.

Opatrzność czuwa nade mną – myślał pobożnie Henryk

Schultz – omal nie popełniłem głupstwa. Nie przeczuwałem, że tak się stanie. Opatrzność widocznie nade mną czuwa.

Mikołaj Kuna i jego syn nie mieli już zaufania do opieki Opatrzności. Nie po raz pierwszy opuszczała ich najbliższych i najdroższych. W ich sercach płonęła żądza zemsty.

W lipcu roku 1573 „Zephyr” wziął udział w konwoju, który wyruszył z Gdańska do Francji pod dowództwem kapitana Michała Figenowa. Konwój miał na celu osłonę statku posła francuskiego Gelais de Lansaca, któremu towarzyszył poseł polski, kasztelan raciąski, Stanisław Krzyski.

Przy sprzyjającej pogodzie okręty kaperskie wyszły na Bałtyk,, pożeglowały wzdłuż wybrzeża pomorskiego, minęły Kołobrzeg i Rugię, skierowały się na północ i wpłynęły do Sundu. Nikt ich nie usiłował niepokoić lub zatrzymać aż niemal po Kopenhagę. Dopiero tu, w cieśninie Drogden, nastąpiło pierwsze spotkanie z trzema wielkimi galeonami duńskimi, których dowódca zażądał opuszczenia żagli na znak salut, a następnie okazania dokumentów. Jednak po dwugodzinnych pertraktacjach, popartych ze strony polskiej przez pana de Lansac, który powołał się na istniejące pomiędzy Danią a Francją traktaty, Duńczycy zdecydowali się przepuścić konwój pod warunkiem, że otwory strzelnic armatnich zostaną zakryte, a załogi zejść pod pokład z wyjątkiem ludzi koniecznych do manewrowania.

Uczyniono zadość temu życzeniu, podniesiono żagle i okręty ruszyły znów w drogę. Ale trzy galeony duńskie płynęły teraz za nimi, wkrótce z obu stron pojawiły się jeszcze dwie inne, a gdy przed zachodem słońca konwój dotarł do Helsingor, zastał cieśninę zamkniętą i znów musiał się zatrzymać.

Tym razem Duńczycy nie bawili się już w rokowania: paszcze ich dział skierowały

się na małą flotyllę kaperską,

która otrzymała rozkaz wejścia na redę portu i rzucenia kotwic.

Tylko Michał Figenow i Mikołaj Kuna nie usłuchali rozkazu, lecz jedynie „Zephyr” zdołał zręcznym manewrem zmylić dwie duńskie fregaty, które usiłowały przeciąć mu drogę. Dkręt Figenowa wpadł na mieliznę i podzielił los pozostałych, a w jakiś czas potem głowy jego załogi spadły pod toporem kata wraz z głowami innych szyprów i marynarzy.

Mikołaj Kuna uniknął tego losu. Mając odcięty odwrót na Bałtyk, postanowił przebić się na północ. Pierwszy otworzył ogień, zmiotł żagle i reje największej galeony, która z kolei ruszyła do natarcia, i zawierzywszy gwałtownym podmuchom wiatru oraz szybkości „Zephyra” przeleciał pod samym nosem baterii nabrzeżnych tak blisko, że nie mogły razić go swymi pociskami.

Wypadł z Sundu na Kattegat i płynąc na oślep przez całą noc pod wszystkimi żaglami, o świcie ujrzał przylądek Skagen. Ominął go z daleka, wśród przelotnych burz i szkwałów północno-zachodnich wywalczył sobie drogę przez Ska-gerrak i wydostał się na Morze Północne.

W serca umęczonej załogi wstąpiła nadzieja: byli wolni; płynęli na południowy zachód, ku Francji! Mieli stamtąd powrócić wraz z potężną flotą nowego króla...

Lecz „Zephyr” nie dotarł do żadnego z portów francuskich: na wodach niderlandzkich, aż po wybrzeża fryzyjskie, uwijały się okręty Filipa II, a list kaperski Mikołaja Kuny wydany przez Henryka Valois wcale nie był dobrą legitymacją wobec hiszpańskich kapitanów.

„Zephyr” stoczył dwie, zwycięskie wprawdzie, potyczki z karawelami arcykatolickiego władcy, lecz sam doznał przy tym uszkodzeń i musiał wreszcie schronić się w rybackim porcie zelandzkim Brielle.

Ten mały port i miasteczko u ujścia Mozy stały się przed niespełna dwoma laty kolebką powstania przeciw rządowi hiszpańskim. Tu zawinęła flotylla kaprów Wilhelma Orań-skiego, zwanych gezami wodnymi *, i stąd najpierw wypędzono mały garnizon księcia Alby, namiestnika królewskiego. Zaraz potem powstały Vlissingen i Rotterdam, a ogień buntu ogarnął prowincje północne.

W czasie gdy „Zephyr” przebywał w Brielle, znaczna część Niderlandów była już w rękach powstańców. Mikołaj Kuna, doznawszy pomocy od gezów, przystał do nich i otrzymał nowy list kaperski od księcia Orańskiego.

Taki obrót sprawy stał się przyczyną rozterki w sumieniu Henryka Schultza. Kościół katolicki potępił powstańców jako heretyków, a Wilhelm Orański, ich przywódca, też

był wyznawcą Kalwina. Lecz z drugiej strony wojna przeciw Hiszpanom, wojna głodnych przeciw sytym, zaczęła przynosić załodze „Zephyra” coraz większe korzyści, w których Henryk brał udział na równi z innymi.

Gdybym mógł oczyścić się z grzechów bodaj raz na miesiąc – myślał Schultz – z pewnością uniknąłbym piekła. A przecież mój udział wcale nie zmniejszyłby się przez to. Gdybym tylko raz na miesiąc mógł się wyspowiadać i uzyskać rozgrzeszenie...

Od czasu do czasu, gdy bywał w prowincjach środkowych, udawało mu się to osiągnąć, a później dowiedział się od przygodnych spowiedników i wędrownych mnichów, którzy sprzedawali odpusty, gdzie i kiedy może ich najpewniej

spotykać, aby za drobną cząstkę zdobyczy doczesnych okupić zbawienie duszy.

„Zephyr” pozostawał w służbie Wilhelma Orańskiego prawie cztery lata. Wojna na lądzie przygasła, to znów wybuchała gwałtownie, zawierano rozejmy i zrywano je, zmieniali się namiestnicy Filipa II, armie protestanckie z Francji i Niemiec pustoszyły kraj na równi z katolickimi wojskami Hiszpanów, lecz coraz więcej miast i prowincji żądało wolności. Flandria, Geldria, Hennegan, Bruksela i Antwerpia, cała Holandia i Zelandia, dwanaście prowincji środkowych i południowych domagało się usunięcia hiszpańskich garnizonów. Na morzu zaś działania wojenne trwały nadal bez przerwy. Gezowie niderlandzcy sprzymierzali się z korsarzami angielskimi i francuskimi, korzystali z azylu w Calais, w Dover i Disungdale; topili hiszpańskie karawele z wojskiem, brali łupy, zdobywali broń i zapasy lub w razie przegranej sami szli na dno wysadzając swoje okręty w powietrze, aby uniknąć tortur i straszliwej śmierci, Jaka ich czekała w niewoli. Na morzu bowiem nie było pardonu.

„Zephyr”, w ciągu tych czterech lat wychodził na ogół zwycięsko z bitew i potyczek. Jego szyper działał ostrożnie i przezornie. Jeśli atakował w pojedynkę, to tylko słabszych przeciwników; jeśli rzucał się na silniejszego, to tylko wówczas, gdy był pewien pomocy ze strony sojuszników. Jeśli zaś napotykał większe siły wroga, zawierał raczej szybkości swego okrętu niż szczęściu w nierównym spotkaniu.

Lecz wojna morska jest grą, a każdy gracz kiedyś musi przegrać. I Mikołaj Kuna także uległ temu losowi...

Pewnej nocy jesienią roku 1577 wśród mgły „Zephyr” przypadkiem został otoczony przez trzy okręty hiszpańskie, które zabłąkały się u południowo-wschodnich wybrzeży Anglii. Gdy rankiem mgła się uniosła, Mikołaj Kuna spostrzegł pułapkę zgotowaną przez fatalny zbieg okoliczności. Natychmiast kazał rozwinąć wszystkie żagle i podjął próbę

ucieczki. Lecz zmienne, zaledwie wyczuwalne powiewy wiatru udaremniły ten zamiar, a Hiszpanie spuścili łodzie, aby z ich pomocą podholować swoje karawele na

odległość skutecznego ognia i odciąć korsarzowi wszystkie drogi odwrotu. W chwili gdy wiatr zaczął wreszcie wzmagać się i ustalać, huknęły pierwsze salwy.

„Zephyr” odpowiedział na nie ze wszystkich dwudziestu armat, lecz tylko połowa jego pocisków doniosła na odległość, z której strzelały ciężkie moździerze i hufnice hiszpańskie. Mimo to część ożaglowania najbliższej karaweli została zniszczona i Mikołaj Kuna w tę stronę skierował swój okręt.

Zdawało się przez chwilę, że raz jeszcze zdoła go ocalić. „Zephyr” ślizgał się po gładkim morzu i nabierał pędu, podczas gdy Hiszpanie ciągle jeszcze nie mogli manewrować bez pomocy łodzi i wiosł. Ale ich artyleria miała dalszy zasięg i następna salwa wymierzona w maszty „Zephyra” okazała się celna. Połowa żagli poszła w strzępy, a dwie reje spadły na pokład. Jedna z nich ugodziła w głowę Mikołaja Kunę, który padł trupem na miejscu, druga ciężko raniła sternika...

Zasługa uratowania „Zephyra” od ostatecznej zagłady przypadła w tych okolicznościach dwu ludziom: Salomonowi White'owi i Janowi Kunie.

Pierwszy z nich płynął na czele angielskiej flotyli korsarskiej, złożonej z sześciu fregat. Mijając przylądek North Foreland usłyszał kanonadę, a następnie – gdy „lbex” wyszedł z zatoki na pełne morze – zobaczył, co się dzieje, i niezwłocznie rozpoczął ogień do najbliższej karaweli.

Wprawdzie okręt hiszpański nie poniósł wskutek tego poważniejszych szkód, ale Jan Kuna zdołał tymczasem opanować rozpacz z powodu śmierci ojca i objąć komendę nad

załogą „Zephyra”, której nagle zabrakło dowódcy. Ludzie zahartowani w bitwach, doświadczeni w morskim rzemiośle natychmiast poddali się jego rozkazom. Żaden z nich nie zawahał się nawet przez sekundę, gdy osiemnastoletni młodzieniec wystąpił na wanty. Jednomyślnie uznali w nim swego kapitana. Pod gradem kul z hiszpańskich muszkietów i hakownic wciągali nowe reje i żagle, podczas gdy on kierował ogniem z pokładu, powstrzymując skutecznie Hiszpanów od abordażu, do którego widocznie się przygotowywali.

Tymczasem spoza przylądka ukazały się jeszcze dwie angielskie fregaty, a następnie jeszcze pięć innych okrętów i rozpaczliwa obrona samotnego dotąd „Zephyra” zmieniła się w klęskę jego prześladowców. Dwie karawele hiszpańskie płonęły objęte pożarem, trzecia z wolna tonęła, podziurawiona pociskami, wśród których z pewnością było kilka wystrzelonych przez półkartauny polskiego korsarza.

Tak zaczęła się znajomość, a następnie ścisła, długoletnia współpraca między szyprem „lbexa”, surowym purytaninem White'em, a Henrykiem Schultzem. Henryk bowiem z wrodzoną sobie bystrością dostrzegł i natychmiast pochwycił sposobność,

jaką los mu podsunął wśród owych dramatycznych okoliczności.

Jan Kuna miał wprawdzie za sobą sześć lat praktyki morskiej i wystarczający zasób nabytych od ojca wiadomości nawigacyjnych, aby dowodzić okrętem, który poza tym stanowił jego własność, lecz brakowało mu sprytu handlowego i doświadczenia w zawiłych kwestiach prawnych. Gdy więc zaszła potrzeba uregulowania takich spraw, jak opłaty portowe, a następnie formalne wciągnięcie „Zephyra” do rejestru okrętów korsarskich jej królewskiej mości Elżbiety (na co zdecydował się za radą White'a). – zajął się nimi Schultz.

Złatwił je pomyślnie i korzystnie, wprawiając w podziw nie tylko Salomona White'a, lecz również królewskich urzędników morskich w Deptford, z którymi prowadził rokowania przed podpisaniem umowy o list kaperski dla Jana Kuna vel Jana Martena, jak przetłumaczono na angielski jego polskie nazwisko. Zdobył przy tym niemałe¹ poważanie wśród załogi, a palem, już naturalną kolejną rzeczą, stał się człowiekiem niezbędnym przy wszelkich zakupach i transakcjach, przy podziale zdobyczy i jej zbywaniu, przy targach o część należną skarbowi oraz przy zaspokajaniu osobistych ubocznych żądań tych, co stali na straży interesów królowej.

Salomon White umiał ocenić ich obu: porywczego i nieustraszonego kapitana, który okazał się równie biegłym żeglarzem, jak znakomitym dowódcą w czasie walk na morzu, i rozważnego, przebiegłego porucznika, który potrafił niemal podwoić zyski obu okrętów, nie zapominając zresztą o własnych.

White był doświadczonym szyprem i człowiekiem bardzo odważnym, a zarazem bardzo religijnym. Mniemał, że Opatrzność powołała go do wycięcia w pień, wystrzelania lub zatopienia jak największej liczby „papistów”, a przede wszystkim Hiszpanów. Poczytywał to sobie za obowiązek wobec Boga, za najpewniejszą drogę zbawienia. Nie gardził jednak złotem. Przeciwnie: wśród doczesnych marności tylko ono budziło jego szacunek i pożądanie.

Dlatego sprzymierzył się z tymi dwoma; dlatego wkrótce zrezygnował z roli opiekuna młodego szypra i stał się jego towarzyszem, ulegając mu zresztą we wszystkim, co się tyczyło taktycznej strony wspólnych wypraw korsarskich. Dlatego wreszcie zawarł cichą spółkę z Schultzem – spółkę, z której miał wcale pokaźne uboczne dochody.

Tak oto we trzech uzupełniali się nawzajem: chciwy, fanatyczny purylanin Salomon White, romantyczny i nieustra-

szony niedowiarek, syn znachorki i wnuk czarownicy Jan Kuna, zwany Martenem, oraz nabożny katolik, marzyciel i zarazem człowiek praktyczny, Henryk Schultz, niegdyś biedak, sierota na łasce stryja, dziś posiadacz majątku, który pragnął

podwoić. Skończywszy odmawiać paeierz wieczorny, Salomon White wyciągnął się na twardej koi, po czym sięgnął po Biblię. Otworzył ją na chybił trafił i przy migotliwym blasku świecy zaczął czytać od środka rozdziału XIX Ksiąg Czwartych Królewskich. „Przetoż to mówi Pan o królu Assyryjskim: Nie wnijdzie do tego miasta ani wystrzeli na nie strzały, ani go ostrzyma tarcza, ani obtoczą go szańce.

Drogą, którą przyszedł, wróci się, a do tego miasta nie wnijdzie, mówi Pan". Pomyślał znów o Belmontie. Zjawienie się tego człowieka zaniepokoiło go od pierwszej chwili. I jakże prędko okazało się, że to przeczucie było trafne!

Belmont był niebezpieczny; jego przenikliwość i czelność zaskoczyły nie tylko White'a, lecz także Schultza. Obaj wpadli w pułapkę, którą na nich zastawił. Należało pozbyć

się go za wszelką cenę. Ale jak? White myślał o tym prawie nieustannie, lecz dotąd nie znalazł odpowiedzi na to dręczące pytanie. Teraz wydało mu się, że natrafił na wskazówkę Opatrzności: to co w Starym Testamencie dotyczyło władcy Asyrii, w chwili obecnej mogło odnosić się do tego intruza. Pragnął uwierzyć, że tak jest istotnie. Bóg chciał go pocieszyć, natchnąć otuchą. Czytał dalej:

„I obronię to miasto, i zachowam je dla mnie i dla Dawida, sługi mego". Czyż to nie brzmiało jak przepowiednia? Jeśli pod osobą Sennacheryba można się było domyślać Belmonta, to Dawidem mógł być tylko on sam, White, sługa boży.

„Stało się tedy onej nocy, przyszedł Anioł Pański i pobił w oboziskach Assyryjskich osiem tysięcy i czterysta. A wstawszy po ranu, ujrzał król Sennacheryb wszy stkie ciała umarłych i odjechał. I wrócił się, i mieszkał w Niniwie". Osiem tysięcy czterysta

–powtórzył w myśli White. Czego może dotyczyć ta liczba?

Nagle przypomniał sobie, że na taką właśnie sumę *gwinei*

Belmont obliczał uboczny zysk ze sprzedaży koszenil To było

z dumiewające! Zaprağnął zgłębić do końca wyroki boskie, które

zawisły nad kawalerem de Belmont.

„A gdy się kłaniał w kościele Nezroch Bogu swemu. Adramelech i Sarasar, synowie jego, zabili go mieczem i uciekli do ziemi Armeńskiej. I królował Asarhaddom miasto niego". A więc zginie! Zginie, choć Pan powstrzymał moją rękę gdy chciałem go zabić – pomyślał White, zapominając, że to raczej pistolet Belmonta powstrzymał go od pchnięcia sztyletem.

Doznał niejakej ulgi w swym strapieniu. Bóg nie opuściłby go przecież tak nagle i

bez żadnego powodu. Bóg czuwał nad nim i kierował jego krokami. Być może chciał go doświadczyć, lecz oto już go pocieszał, pozwalając mu wejrzeć w przyszłe losy tego przybłądy, którego on, Salomon White, tak- się obawiał.

Gorący powiew wiatru wpadł do kajuty przez uchylone okno i zachwiał płomieniem świecy. Z oddali dochodziły śpiewy i okrzyki pijanej załogi „Zephyra”.

White zmarszczył brwi. Jego własna załoga na morzu pijała tylko wodę, lecz zły przykład działał. Niektórzy z młodszych marynarzy zazdrościli tamtym, wiedział o tym. Gdyby ich nie trzymał krótko, Bóg wie do czego by doszło na jego okręcie.

Ale podczas postojów w portach nie mógł zapobiec hulankom i rozpuście. Tylko nielicznych starszych bosmanów z „lbexa” spotykał w kościele na nabożeństwach; młodzież zabawiała się w gospodach i szynkach, a nocowała w lupa-narach pospołu z marynarzami Martena, którego to bynajmniej nie gorszyło.

Gdybym się z nim nie sprzymierzył, nie grzęzłiby w grzechu

–pomyślał.

Lecz wiedział dobrze, jakie korzyści zawdzięcza temu przymierzu. W owym czasie, gdy przed trzema laty pewnego jesiennego ranka wypłynął z zatoki Herne i minąwszy przylądek North Foreland wmieszał się do bitwy toczonej przez „Zephyra” przeciwko trzem okrętom hiszpańskim, nie przypuszczał nawet, że Jest to punkt zwrotny w Jego losach. Rok Pański 1577 przyniósł mu same niepowodzenia, a utrzymanie „lbexa” w stanie zdatnym do żeglugi pochłaniało wszystkie dochody. Musiał sam dbać o ten okręt (który tylko w dwudziestej części stanowił jego własność), tak bowiem brzmiała umowa, którą podpisał z pozostałymi armatorami. Nie mógł się z niej wycofać, bo z czegoż by żył,

mając na utrzymaniu żonę i siedmioro dzieci? Posiadał wprawdzie niewielki kapitał, niespełna dwieście funtów, umieszczony w spółce handlowej, która płaciła mu cztery procent rocznie, lecz to nie wystarczyłoby na opędzenie nawet najskromniejszych potrzeb całej rodziny. „lbex” zaś wymagał remontu, kapitalnego remontu.

W tych okolicznościach przed Salomonem White'em raz po raz stawało widmo ruiny, perspektywa utraty wszelkich dochodów i konieczność naruszenia owych dwustu funtów.

Tego obawiał się najbardziej. Mając lat pięćdziesiąt cztery naruszyć kapitał? Byłoby to chyba największym grzechem; większym niż krzywoprzysięstwo; większym niż kradzież; większym niż cudzołóstwo! Takim pokusom można się przecieżyć oprzeć. Jeśli czytuje się regularnie, co dnia Biblię i jeśli człowiek czuwa nad sobą, aby nie stracić głowy w chwilach podniecenia, *można* ich w ogóle uniknąć. Ale czerpać z odłożonych oszczędności i uszczuplać kapitał, to co innego.

White wiedział, że takie rzeczy zdarzają się. Zdarzają się nawet najszanowniejszym ludziom. Jak potajemne nałogowe pijaństwo. Rodziny rozpadały się, zrywano więzy małżeńskie, narażano się na wstyd wobec sąsiadów, a wszystko z powodu naruszenia kapitału.

I oto właśnie wtedy, na samym skraju tej katastrofy, Bóg zesłał mu Jana Marlena wraz z „Zephyrem”. Od czasu pierwszej wspólnej wyprawy z młodym szyprem szczęście zaczęło sprzyjać im obu: ładunki z hiszpańskich statków i karawel, które kolejno zdobyli, nie tylko pokryły dawniejsze straty, lecz uczyniły Salomona White człowiekiem zamożnym. Jeśli zaś chodzi o sprawy niematerialne, to wszak dla dobra wiary i czystości religii uczynił przez ten i czas więcej niż kiedykolwiek przedtem. I on sam, i jego marynarze. Ufał, że zasługi na morzu z nawiązką wyrównają przed Panem ciężar grzesznych wybryków załogi „Ibexa” na lądzie, bo wszak każdy z tych ludzi okupywał swe grze-| chy przelaną krwią Hiszpanów, a jeśli ginął, to w walce przeciw „papistom”, zapewniając sobie tym samym zbawienie. W sumie zatem bilans się zgadzał, a nawet kredyt przewyższał debet. Opatrzność musiała brać to pod uwagę w swych sądach.

Pokrzepiony tymi myślami oraz nadzieją na rychłą śmierć kawalera de Belmont, Salomon White, szypier „Ibe-xa”, zdmuchnął płomień świecy, przeżegnał się w ciemności i odwróciwszy się na bok zasnął snem człowieka sprawiedliwego.

Jan Marten nie spał i nie oddawał się ani marzeniom, ani wspomnieniom, ani żadnym rozważaniom, ponieważ pochłaniała go hazardowa gra w kości z kawalerem de Belmont.

Zaczął się od tego, że Marten wróciwszy od swych marynarzy do kajuty, gdzie zostawił trzech współbiesiadników, zauważył w ręku Belmonta piękny pistolet oprawny w kość słoniową i srebro. Nie przyszło mu do głowy, że ta broń odegrała w czasie jego krótkiej nieobecności jakąś rolę w związku z poprzednią rozmową o cenie koszenili.

Zdało mu się, że White i Schultz po prostu zapragnęli obejrzeć to cacko i że przed chwilą zwrócili je właścicielowi. Sam także chciał mu się przyjrzeć, lecz ponieważ Belmont tymczasem zatknął już pistolet za pas, a Schultz powrócił do omawiania szczegółów podróży powrotnej, odłożył to na później. Dopiero gdy White z Henrykiem po skończonej naradzie wsiedli do

oczekującej ich szalupy, Marten zostawszy sam na sam z nowym porucznikiem „Zephyra” przypomniał sobie o jego pistolecie.

–Podoba wam się? – spytał kawaler de Belmont, wyciągając ku niemu rzeźbioną rękojęść.

Marten odwiódł i opuścił kurek, spróbował chwytu, złożył się jak do strzału.

–Piękna sztuka – mruknął z uznaniem.

Wstał, wziął ze stołu jedną z płonących świec, postawił ją w

otwartym oknie po nawietrznej stronie kajuty, po czym odszedł ku przeciwległej ścianie i odwróciwszy się strzelił, prawie nie mierząc. Płomień świecy znikł, a jednocześnie za ścianą rozległ się stłumiony okrzyk.

Belmont roześmiał się.

–Zapominacie o sąsiadkach – powiedział.

–Rzeczywiście – mruknął Marten, nieco zmieszany. Nasłuchiwał przez chwilę, ponieważ jednak po drugiej

stronie kasztelu panowała zupełna cisza, wrócił na swoje miejsce przy stole.

–Piękna sztuka – powtórzył ważąc pistolet w dłoni.

–Piękny strzał – rzekł Belmont. – Zatrzymajcie ten

drobiazg, jeśli się wam podoba. To jedyna moja własność, jaką odzyskałem na „Castro Verde”.

Lecz Marten wzdragał się przed przyjęciem takiego podarunku.

–Gdybyście go chcieli sprzedać, to co innego.-Belmont przecząco potrząsnął głową.

–Sprzedać? Nie. Ale możemy zagrać, jeśli macie ochotę. Wyjął z kieszeni pięć kostek rzeźbionych w czarnym hebanie

i wsypał je do kubka.

–Zgoda – powiedział Marten. – Stawiam trzy dukaty.

Gramy tylko o ilość punktów.

Belmont potrząsnął kubkiem i wyrzucił kości na stół. Miał trzy szóstki i dwie jedynki. Marten zgarnął je do kubka i odwrócił do góry dnem. Przegrał: zabrakło mu dwóch punktów. Znów wyjął trzy sztuki złota i znów przegrał. A potem jeszcze raz i jeszcze.

–Drogo was będzie kosztował ten pistolet – zauważył

Belmont. – Zagrajmy o wszystko razem: dwanaście dukatów i

pistolet przeciwko piętnastu dukatom.

–Dobrze – odrzekł Marten i przegrał znowu.

Tym razem musiał wstać, aby wyjąć ze schowka większy

zapas złota. Ale szczęście nadal mu nie dopisywało. Przed Belmontem leżał mały wzgórek dukatów obok pistoletu, który jak gdyby przyciągał je do siebie. Dopiero za siódmym razem szczęście odwróciło się od Belmonta, lecz właśnie wtedy Marten postawił tylko trzy dukaty.

–Złoto czy pistolet? – zapytał Belmont.

–Grałem o pistolet – odrzekł Marten. – Nie zależy mi na

przegranej.

Belmont podał mu broń, a Marten położył ją przy swoim do połowy opróżnionym mieszku.

–Chcecie grać jeszcze? – zapytał;

Belmont potrząsnął kubkiem.

–Z przyjemnością. Ale teraz możemy grać zwyczajnie, na dwa rzuty.

–Z prawem podwojenia stawki – dodał Marten, kładąc na stole trzy dukaty.

Belmont podał mu kubek z kośćmi i nalał sobie wina;

–Wygraliście – zaczynacie.

Marten miał dwie piątki, dwie trójki i szóstkę; postanowił

grać ostrożnie i nie dodał nic. Belmont wyrzucił dwie szóstki, piątkę, dwójkę i jedynekę i także nie podniósł stawki.

Przy drugim rzucie Marten użył trzech kostek pozostawiając parę piątek. Przybyła mu jeszcze jedna piątka oraz dwie jedynki. Natomiast Belmont w rzucie trzema kostkami nie zyskał nic i przegrał.

Za to w następnej rozgrywce, mając zaledwie parę trójek, podwoił stawkę i wyrzuciwszy jeszcze dwie trójki wygrał przeciw trzem szóstkom Martena.

Pili i grali dalej, aż do świtu. Dopiero ruch na pokładzie i głośny okrzyk Henryka Schultza, który obwołał „Zephyra” mijając go na „Castro Verde” pod wszystkimi żaglami, uprzytomnił im, że noc minęła i że czas ruszyć w drogę. Wtedy

także Marten uświadomił sobie, że przegrał więcej niż połowę posiadanej gotówki. Istotnie pistolet kawalera de Belmont kosztował go bardzo drogo...

Senora Francesca de Vizella zaszczyliła Jana Martena krótką rozmową. Nie przestąpiła progu jego kajuty, lecz posłała tam swoją pokojówkę z prośbą, aby su merced coman-danto de salteadores zechciał przyjść na chwilę do niej.

Martena rozśmieszył ów tytuł, wynaleziony zapewne przez dziewczynę. Domyślał się, że jej pani nazywała go po prostu picarem lub w najlepszym razie mówiła o nim jefe de partida, co jednak wydało się ładniutkiej morenicie zbyt rażące.

Zanim zastosował się do życzenia senory de Vizella, zapragnął okazać sympatię kameriście, która patrzyła w niego jak w tęczę. Nie ufając jednak swemu szczupłemu zasobowi słów hiszpańskich, zdatnych do tego celu, wyraził to w sposób o wiele prostszy przez wyciśnięcie gorącego pocałunku na jej pełnych, czerwonych ustach, przy czym przekonał się, że obrał właściwą drogę i został zrozumiany.

Senora Francesca przyjęła go stojąc na środku swej kajuty, wsparta obu dłońmi o poręcz fotela, który stwarzał rodzaj obronnej przegrody między nią a korsarzem. Była wyniosła i chłodna. Uskarżała się na hałasy, krzyki i strzały, które nie pozwoliły jej zasnąć. Żądała widzenia się z ojcem, o którego los i stan zdrowia niepokoila się bardzo. Wreszcie oświadczyła, że ją okradziono: w całabozo, do którego zo- I stała wtrącona, brakowało dwóch kufrow z jej osobistą garderobą i bielizną.– Chciała je odzyskać, i to natychmiast; musiała się przebrać.

Marten wysłuchiwał tych skarg i żądań w milczeniu. Patrzył na jej smukłą postać do połowy zasłoniętą przez oparcie fotela i na piękną twarz o delikatnych rysach zastygłych

w wyrazie urażonej dumy. Szukał spojrzenia jej oczu i usiłował zajrzeć w ich czarną głębię, jakby się spodziewał, że dostrzeże tam coś jeszcze prócz gniewnej pogardy.

I oto gdy skończyła mówić, a on milczał nadal, spojrzenia ich spotkały się na chwilę i Martenowi wydało się, że w tych ciemnych źrenicach zamigotały iskierki uśmiechu. Na twarz donii Franceski spłynął rumieniec, a jej usta poruszyły się lekko.

Ta zmiana wyrazu trwała zaledwie sekundę, lecz w ciągu owej sekundy Marten uświadomił sobie, jak bardzo pani de Yizella przypomina mu Elżę Lengen, i nagle fala wspomnień uniosła go w przeszłość.

Obiecał, że wieczorem sprowadzi owe kufry i umożliwi jej rozmowę z don Juanem

de Tolosa, jednak tylko na odległość, jaką musi zachować między obu okrętami na pełnym morzu nawet podczas ich chwilowego postoju, po czym odwrócił się i wyszedł, aby ukryć wzruszenie.

Elza Lengen, pierwsza jego kochanka... Właściwie – przelotna miłostka, jakby należało określić ten krótki związek, będąc bardziej dojrzałym. Lecz Jan Kuna, później przezwany Martenem, miał wówczas lat siedemnaście.

Poznał ją w Antwerpii, dokąd ojciec wysłał go po odbiór kwadrantu zamówionego u znanego mechanika i zegarmistrza, Coraelisa, który przez kilka lat był współpracownikiem samego Tycho Brahe. Lecz gdy Jan Kuna zgłosił się w jego warsztacie, okazało się, że Cornelis wyjechał na kilka dni do Gandawy i że trzeba będzie poczekać na jego powrót.

Jan nie miał nic przeciw tej zwłoce. Zamieszkał w pobliskiej gospodzie „In den Reghen-boogh” ~ „Pod Tęczą” – i tam właśnie ujrzał po raz pierwszy Elzę, gdy roznosiła koeckebakken, naleśniki z pszennej mąki, i podawała gościom bruinbier lub clauwert. Miała rude włosy, lśniące jak wypolerowana miedź, i czarne oczy, właśnie takie jak se-nora Francesca de Vizella. I pełne dumne usta, jak tamta. I podobny uśmiech, zarówno wtedy, gdy drwiła z jego zalotów, jak wówczas, gdy mu powiedziała, że jest jej miły...

Z początku czuł się trochę onieśmielony „In den Reghen-boogh”. Była to jedna z lepszych gospód w mieście, z dużą izbą jadalną i olbrzymim szynkwasmem, za którym królowała tęga, rumiana oberżystka. W dwu sąsiednich alkierzach przyjmowano znamienitszych gości. Na piętrze i na poddaszu znajdowały się izby gościnne, a w przyległych oficynach – stajnie i mieszkania służby. Zatrzymywali się tu bogaci kupcy i nawet wielcy panowie, których pojazdy stały na obszernym podwórku, w oberży zaś bywali poważni mieszczanie, zamożni rzemieślnicy i hałaśliwi, pewni siebie oficerowie hiszpańskiego garnizonu.

Jan Kuna usiadł w kącie pod piecem i czekał cierpliwie, aż go obsłużą. Ale dziewczyna zdawała się nie dostrzegać go wcale, jakkolwiek dawał jej znaki, żeby do niego podeszła. Wreszcie, gdy mijała go po raz trzeci z dzbanem piwa w jednej ręce i półmiskiem dymiących kielbas w drugiej, zagroził jej drogę.

–Jestem głodny i spragniony – powiedział zaglądając jej w oczy. – Zjadłbym cię razem z tą kielbasą, ślicznotko.

–Doprawdy? – zdziwiła się. – Nie wyglądasz na ludożercę.

–Jeżeli mi podasz dobbelkuyt i porcję gorącej szynki,

zostawię cię przy życiu.

–Zaczekaj; możliwe, że się to da zrobić – odrzekła.

Po chwili przyniosła mu, czego żądał.

**–Czy wiesz, że jesteś bardzo ładna? – zagadnął ją,
podczas gdy nalewała mu piwo do cynowego kubka.**

Spojrzała na niego z góry, mrużąc oczy.

–Nie, nie wiem. Jeszcze nikt prócz ciebie nie mówił mi o tym.

–Jak ci na imię? – zapytał nie zrażony tą ironią.

–Oh, możesz mnie nazywać Marią Stuart, jeżeli ci to dogadza.

–Kiedy miałabyś wolną chwilę dla mnie? – badał dalej.

–Nigdy. Pracuję bez przerwy; cały dzień i całą noc – dwadzieścia pięć godzin na dobę.

–Widziałem nad Skaldą namiot cyrkowy; nie miałabyś ochoty pójść tam ze mną?

–Miałabym, ale nie z tobą.

–Masz narzeczonego?

–Czterech.

**Nie mógł się z nią dogadać: kpiła sobie z niego. Gdy zjadł i
zapłacił dodając suty napiwek, nawet mu nie podziękowała.**

**–Przyjdę wieczorem – powiedział odchodząc. – Może
będziesz w lepszym humorze.**

–Nie śpiesz się za bardzo – rzuciła za nim.

Istotnie, nie miał się po co śpieszyć: wieczorem była

**niemal równie szorstka i nieprzystępna Jak w południe. Niemal, ale przecież raz czy
może nawet dwa razy pochwyił jej chmurne spojrzenie, właśnie wtedy, kiedy się
tego najmniej spodziewał: kiedy obsługiwała innych gości, pod przeciwległą ścianą.
A więc wzbudził w niej niejakie zainteresowanie.**

Nazajutrz był czwartek, dzień targowy, no i nie mając innego zajęcia, poszedł na

rynek. Włóczył się pomiędzy wozami i straganami, gdy nagle spostrzegł Elzę. (Wiedział już, że ma na imię Elza; tak ją nazywała tęga baesina siedząca za szynkwasem.)

A więc zobaczył Elzę targującą się zawzięcie o szylkre-towy, okuty srebrem grzebyk do upinania włosów. Zaczął się ku niej przepychać w tłumie, lecz zanim dotarł na miejsce JUŻ stamtąd odeszła, pozostawiając grzebyk w rękach zawiedzionego przekupnia. Jan z gorączkowym pośpiechem nieomal wyrwał mu go z garści, bez targu zapłacił żadaną cenę i roztrącając gromadę gapiów podążył za dziewczyną, która tymczasem znikła mu z oczu.

Nie mógł jej odnaleźć i wreszcie zniechęcony wrocd do gospody. Lecz i tu czekał go zawód: nielicznych gości, którzy popijali piwo, obsługiwała puciołowata pomywaczka z kuchni.

Zapytał o Elzę i dowiedział się, że dziś jeszcze Jej tu nie było. Jest albo w mieście, albo w swojej stacji.

–A gdzie mieszka? – spytał. Dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie; Jak to gdzie? Tutaj, w

oficynie –

wskazała mu niski budynek przylegający do stajni. Mieszka ubaosa. Toprzecieżjegokrewniaczka.,

Kuna podziękował i wyszedł na podwórzec zatłoczony pojazdami i podwodami, z których wyprzęgmęto konie. Nie wiedział, co ma robić z czasem. Zajrzał do wnętrza kilku okazalszych powozów, spłoszył kota drzemiącego na wyściełanym siedzeniu jakiejś wielkiej landary i wreszcie przysiadł na występie muru przy bramie wjazdowej.

TTTTs, b a e s i n a (hol.) – gospodarz, gospodyni. Szył-kret – naturalny surowiec otrzymywany z płytek rogowych okrywających ptnc. kostny żółwia szylkretowego; używany do wyrobu, przedmiotów dekoracyjnych.

Przyszło mu na myśl, że mógłby zajrzeć do warsztatu Gornelisa, gdy znów zobaczył Elzę. Wracała do domu!

Skinęła głową w odpowiedzi na jego powitanie i chciała go minąć, ale zastąpił jej drogę.

–Kupiłaś inny grzebień, Elzo? – zapytał.

Spojrzała na niego zdziwiona, zmarszczyła brwi.

–Szpiegowałeś mnie – powiedziała. – Niewiele ci z tego przyjdzie.

–Nie szpiegowałem cię wcale – odrzekł. – Po cóż miałbym cię szpiegować?

–Po to cię tu przysłali.

Wzruszył ramionami.

–Na razie kupiłem dla ciebie ten grzebyk – oświadczył

wyjmując go z zanadrza.

Odruchowo wyciągnęła rękę, ale cofnęła ją zaraz. Spojrzała mu w oczy, a gdy się uśmiechnął, usta jej drgnęły lekko, jakby mimo woli miały uśmiechnąć się także.

–Bardzo ładny – powiedział Jan. – Będzie ci w nim do

twarzy.

Zręcznie wpiął grzebień w jej włosy, zanim zdążyła się cofnąć.

–Spójrz – pociągnął ją ku drzwiom lakierowanej karocy.

–Tu jest lustro.

Otworzył drzwi i uniósł ją w górę, aby mogła się przejrzeć.

Była tak zaskoczona, że nawet nie protestowała, a ujrzawszy swe odbicie w małym owalnym zwierciadle, nie mogła się na niego gniewać. Tak bardzo chciała mieć ten grzebień!

–Proszę mnie puścić – powiedziała w końcu, zaru

mieniona i zmieszana.

Jan, czyniąc zadość temu życzeniu, postawił ją ostrożnie na wysokim stopniu powozu; ona zaś, opierając się na jego ramieniu, wyjęła grzebień z włosów i obracała go w pal-

cach. na wszystkie strony, a potem, ulegając pokusie, wpięła go znowu i znów spojrzała w lustro.

Wreszcie jednak przemogła się i zeskoczyła na ziemię, po czym Jan Kuna dowiedział się, że wprawdzie jego upominek został przyjęty, lecz że nie powinien

oczekiwać w za mian żadnych dowodów wdzięczności, a szczególnie żad nych informacji o obywatelach Antwerpii odwiedzających¹ gospodę, i oberżę „In den Reghen-boogh”.

To ostatnie zastrzeżenie wydało mu się dziwaczne i śmie szne. Odrzekł, że obywatele Antwerpii nic a nic go nie obcho dzą z wyjątkiem mistrza Fryderyka Cornelisa, który właśni wyjechał do Gandawy. Co się zaś tyczy obywaterek, to inte resuje go wyłącznie Elza, i to w stopniu o wiele większy niż Cornelis, na którego powrót czeka. Wygłosiwszy taki credo, chciał je poprzeć pocałunkiem, ale Elza mu się wy mknęła.

–Czy naprawdę znasz mistrza Cornelisa? – zapytała.

Powiedział jej, w jakim celu przyjechał do Antwerpii,

a po krótkim wahaniu wspomniał też, w czyjej służbie pozostaje „Zephyr”.

–Ach, więc to tak! – wykrzyknęła. – A ja myślałam... – rozejrzała się dokoła. – W Antwerpii jest pełno I hiszpańskich szpiegów – powiedziała szeptem. – ~- Kręcą I się także u nas „Pod Tęczą”...

–A ty wzięłaś mnie za jednego z nich – dokończył | śmiejąc się. – Nie przypuszczałbym nigdy, że wyglądam na szpiega. Musisz mnie przeprosić za to posądzenie.

Tym razem uległa i pocałowała go w policzek, ale to mu j wcale nie wystarczyło: chciał jeszcze. I otrzymał.

W sobotę miała dzień wolny od pracy, więc po południu poszli razem na podmiejskie błonia nad Skaldę, gdzie wielki wędrowny cyrk rozbił swoje namioty. Zwiedzili mena-

żerię, częstowali marchwią wielbłądy, zebry i słonia, a potem przyglądali się popisom cyrkowców i linoskoczków, wol-tyżerkom, koniom skaczącym przez obręcze i klownom, którzy naśladowali te sztuki okładając się wzajem po umączonych twarzach.

Gdy wraz z tłumem innych widzów opuszczali namiot pachnący końskim nawozem i wyziewami nagromadzonych tam zwierząt, sypał śnieg, a mrok stał się tak gęsty, że nie było widać drogi. Zostali więc nieco w tyle i szli za tymi, którzy byli dość przezorni, aby zabrać z sobą małe stajen-ne latarnie.

Rozbawiony tłum wśród wesołych okrzyków i śmiechów wolno posuwał się naprzód ku mostowi przerzuconemu nad fosą okalającą miasto. Było jeszcze dość czasu do zamknięcia bram miejskich, więc nikt się zbytnio nie śpieszył, a obfity śnieg,

niezwykły w listopadzie, zachęcał do żartów: lepiono zeń kule i obrzucano się nimi na chybił trafił;

Wtem wśród tej zabawy dał się słyszeć jęk dzwonu. Tłum zatrzymał się, umilkł. Dzwon bił na alarm, a wkrótce przyłączyły się do niego inne dzwony: z olbrzymiej wieży katedralnej, od Sw. Jakuba, od Sw. Andrzeja i od Sw. Jerzego. Nad miastem zaś, pomiędzy Brunnenthor a Konigsthor, zaczęła wstawać czerwona łuna pożarów...

Ludzie ruszyli naprzód, zaczęli biec. Podniósł się gwar, lecz teraz nie był to gwar wesoły. Trwoga ogarnęła wracających mieszczan; niepokój o tych, co zostali w domach; obawa o całość mienia; lęk przed nieznanym niebezpieczeństwem.

Z daleka, poprzez coraz gwałtowniejsze bicie dzwonów, słyhać było zgiełk, krzyki, strzały z muszkietów. Na murach wyniosłej, czarnej masy cytadeli, wzniesionej przez księcia Albę, błądziły światła pochodni, a po chwili rozległ się stamtąd pojedynczy huk działa.

Nikt nie mógł pojąć, co się dzieje: czyżby to miał być

niespodziewany atak okrętów i wojsk Wilhelma Orańskiego od strony portu? A może zamach spiskowców, powstanie przeciw Hiszpanom, jak w Brielle, jak w Rotterdamie i we Vlissingen?

Tłum biegł przed siebie, na przelaj ku bramom miejskim, tłoczył się przy fosie wypełnionej wodą, runął na most i nagle skłębił się, zawył, zaczął uciekać z powrotem w szalonym popłochu, a z wylotu ulicy wypadli w ślad za nim hiszpańscy żołnierze rąbiąc, siekąc, kłując i strzelając na oślep.

Wrzask przerażenia zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Ci, którzy byli z tyłu i nie rozumieli, co zaszło, napierali naprzód; ci, których mordowano na moście, spychali się nawzajem w wodę, tratowali jedni drugich, padali pod ciosami i od kul żołdaków. * Jan i Elza wśród tego tumultu zostali odrzuceni w bok, między podmiejskie zabudowania i opłotki ciągnące się wzdłuż fosy aż ku stokom wzgórza, na którym wznosiła się cytadela. Gdy na moście zaczęła się masakra, znaczna część przerażonych ludzi rzuciła się za nimi, szukając tam schronienia przed gwizdzącymi kulami. Niektórzy pobiegli w głąb krętej, nie brukowanej ulicy, w nadziei, że tą drogą przedostaną się bezpiecznie ku ostatniej bramie, strzeżonej przez barbakan wysunięty poza fosę i obsadzony zwykle przez pacholków miejskich. Lecz już po chwili i z tamtej strony padło kilka bliskich strzałów, a potem rozległy się Jęki rannych i wołania o ratunek. Ludzie biegli z powrotem, potykali się, padali i Już nie wstawali więcej. Nagle na tyłach Jakiegoś domostwa wszczął się pożar. Płonęły drewniane szopy czy też stajnie i strychy wypełnione sianem i słomą, a w blasku płomieni ukazały się postacie hiszpańskich żołnierzy, którzy starali się osaczyć tłum i

odciąć mu odwrót.

Jan pociągnął Elzę w ciasny boczny zaułek, którym spo-

dziewa! się wyjść na otwarte pole. Ale i tam byli Już żołnierze. Zapewne w pośpiechu splądrowali jakiś okazalszy dom, pod którego oknami walały się wyrzucone poduszki i pierzyny oraz połamane sprzęty, a teraz – widocznie zawiedzeni łub rozwścieczeni oporem mieszkańców – podłożyli tam ogień, bo z okien buchał dym i raz po raz migotały krwawe błyski pożaru.

W chwili gdy Jan i Elza mieli już minąć ów dom, w wyważonych drzwiach wejściowych ukazało się paru uzbrojonych drabów w wysokich kołpakach, obcisłych kaftanach i pasiastych pludrach. Jeden z nich dostrzegł Elzę i chwycił ją za rękę, lecz Jan Kuna skoczył na niego jak żbik i potężnym ciosem w szczękę zwałił go z nóg. Drugi wrzasnął coś w głąb sieni i rzucił się na pomoc swemu kompanowi, ale Jan miał już w ręku czekan, który zdołał wyrwać tamtemu. Uderzył na odlew obuchem, usłyszał trzask pękającej kości i głośny jęk, po czym – tupot nóg po schodach i okrzyki nadbiegających piechurów. Spojrzał ku wylotowi zaułka; stamtąd też biegli żołnierze.

–Z powrotem! – zawołał do Elzy. – Prędko!

Wypadli na główną ulicę, już prawie opustoszałą, lecz zaścieloną trupami i rannymi. Żołnierze byli widocznie zajęci rabunkiem mieszkań, z których wyrzucali sprzęty i gdzie mordowali stawiających im opór, bo tylko tu i ówdzie pod ścianami murów i sztachetami ogrodów przemykały chyłkiem jakieś pojedyncze cienie mieszkańców szukających ratunku w ucieczce. Na moście, na drodze wiodącej ku błoniom, gdzie stały wozy i namioty cyrku, też było pusto, jeśli nie liczyć zwłok pomordowanych. Za to po drugiej stronie fosy, w mieście, tumult nie ustawał, a pożary objęły całą dzielnicę.

Jan postanowił okrążyć ją po zewnętrznej stronie wałów i zobaczyć, co się dzieje u bram południowych. Wydawało mu się, że tam panuje spokój; przypuszczał, że rozruchy

objęły tylko najbliższe okolice cytadeli, jakkolwiek nadal nie rozumiał, na jakim tle wybuchły.

Elza była blada i wystraszona, ale ochłonęła już trochę i oświadczyła, że może iść o własnych siłach, więc zeszli z nasypu i w zupełnych ciemnościach posuwali się naprzód trzymając się za ręce. Śnieg padał i topniał na miękkiej, zoranej ziemi. Nie było widać drogi, więc szli na przełaj polami, grzęznąc w glinie, potykając się o bruzdy i miedze, brodząc w kałużach i przeskakując błotniste strumyki.

Po upływie godziny natrafili na rozległe bagno, które musieli omijać, i w końcu

zblądzili wśród zarośli i zagaj- i ników nad leniwą rzeczką wijącą się w zakrętach i zako-| lach, tworzących prawdziwy labirynt bez wyjścia.

Kiedy się stamtąd wydostali na odsłoniętą przestrzeń, J łuna pożaru nad miastem zgasła, a w każdym razie nie było jej widać, tak że nie wiedzieli, w której stronie leży Antwerpia, j

Elza była zmęczona i zziębnięta. Zerwał się lodowaty | wiatr i miótł śniegiem w oczy. Jan ujął ją wpół i podtrzy- 1 mywał, bo inaczej nie mogłaby iść dalej.

Wreszcie, zapewne już dobrze po północy, napotkali* szeroki trakt wysadzany drzewami i minąwszy niewielki la- i sek ujrzeli jakieś zabudowania u rozstajnych dróg. Jan zaczął kołatać do zamkniętej bramy, lecz gdy nikt się nie zja- l wiał, aby mu otworzyć, wspiął się na niewysoki mur z cegły l i wciągnął za sobą Elzę, a potem pomógł jej zejść na po- § dworze;

Panowała tam śmiertelna cisza, widocznie nawet psa nie trzymano w tym samotnym domostwie. Lecz gdy po długim dobijaniu się Jan chciał rozbić szybę, aby się dostać do izby, ktoś poruszył się w ciemnej sieni, rozległy się tam jakieś szmery, błysnęło mdłe światelko i wreszcie drzwi uchyliły się nieco, a w wąskiej szparze zamajaczyła zgarbiona postać starca o siwych, zmierzwiionych włosach.

Z początku przeraził się tak, że nie można było wydębic

z niego ani słowa. Usiłował zatrzaskać drzwi, ale Jan wstawił nogę za próg i na koniec zdołał go przekonać, że nie jest złoczyńcą, lecz zabłądził i szuka noclegu. Mimo to staruch jeszcze się opierał. Był na pół głuchy, a jego bełkot ledwie można było zrozumieć. Powtarzał w kółko, że gospodarzy nie ma w domu, a on nikogo tu nie może wpuścić. Dopiero widok srebrnych monet uspokoił jego obawy i skrupuły, jakkolwiek nie rozwiązał mu języka. Na pytanie, kiedy gospodarze wrócą i dokąd się udali, wzruszył ramionami, ale po-czuwszy w garści talara, zaprowadził Jana i Elzę do małej, czystej izby na poddaszu, zostawił im kopący kaganek, a sam postępując zszedł na dół i przestał się nimi zajmować. Izba, raczej niewielki alkierzyk o jednym oknie, widocznie używana była głównie jako podręczny składzik czy też przechowalnia, nie jako mieszkanie, choć pod ścianą stało wąskie łóżko, a w kącie ciemniało palenisko małego kominka. Leżało tam kilka worków z pierzem i wełną, wisiały na kołkach dwa baranie kożuchy, cały stos płótna białiał na ciężkiej, okutej mosiądzem skrzyni. Ale było zimno. Tak zimno, że Kuna postanowił rozpalić ogień.

–Przyniosę drew – powiedział. – Może uda mi się

także dostać coś do jedzenia.

Wrócił z naręczem szczap olchowych i rozniecił ogień,

–Będzie także chleb i gorące mleko – oświadczył we

soło i znów poszedł na dół.

Elza pomyślała, że nie mogłaby nic przełknąć. Zdjąwszy przemoczone obuwie siedziała na brzegu łóżka i szczykała zębami, choć od komina buchało ciepło. Uczucie zgrozy nie opuściło jej dotąd. Przed oczyma przewijały się straszne obrazy: krew, trupy z rozwalonymi czaszkami, dzikie, okrutne twarze pijanych żołdaków, czerwone błyski pożarów, przerażone, krzyczące kobiety, dzieci tratowane przez tłum...

Od chwili gdy się to zaczęło tam na przyczółku mostu nad fosą, nie przemówiła ani słowa, nie krzyknęła, nie od-

powiadała na pytania, które Jan zadawał jej w drodze. Bolesny skurcz chwycił ją za gardło i trzymał w kleszczach. | W głowie miała zupełną pustkę; pragnęła tylko, aby Jan nie oddalał się od niej ani na chwilę; musiała go trzymać za rękę, czuć, że jest tuż blisko, bo inaczej chyba oszalałaby] z trwogi.

Dopiero teraz z wolna wracała jej przytomność i świa- i domość tego, co zaszło. Zrozumiała też, że tamto się skon- 3 czyło; że na razie nic jej nie grozi. Lecz jeszcze nie mogła J się z tym oswoić.

Nigdy nie zdołam zasnąć – pomyślała.

Chciała wsiąść, lecz nagle zakręciło się jej w głowie. Za«9 częła spadać w jakąś przepaść bez dna. Przywalił ją ciężki, | głęboki sen.

Obudził ją promień słońca, który zajrzał przez okn(W i wśliznął się pod jej opuszczone rzęsy. Nie wiedziała, gdzie I się znajduje. Dopiero po chwili wróciło wspomnienie okrop-1 ności, które przeżyła przed kilku godzinami. Była teraz sama, | w obcym domu, na pustkowiu! Ogarnął ją niepokój.

Może to jeszcze sen? – pomyślała na pół przytomnie™

Rozejrzała się po izbie i wtem tuż obok łóżka ujrzała! jakąś postać ludzką rozciągniętą na podłodze i przykrytą j baraním kożuchem. Przeraziła się: przyszło jej do głowy,| że to czyjeś zwłoki. Lecz zaraz spostrzegła, że kożuch unosi się lekko i opada.

Jan] – błysnęło Jej w myśli.

Pochyliła się nad nim i teraz zobaczyła jego dużą, silną dłoń. Dłoń, której uścisk uratował ją przed obłąkaniem, jak jej się zdawało.

Pomyślała, że chyba się rozplacze, ale powstrzymała napływające łzy. Uklękła przy nim i ostrożnie odsłoniła mu głowę. Nie widziała twarzy zakrytej ramieniem, ale prze-

cież знаła tę głowę i mocną szyję, i lekko wijące się ciemne włosy, choć nie pamiętała, żeby je kiedykolwiek zauważyła. Znowu zachciało jej się płakać, z tkliwości dla tego chłopca, który ją ocalił. Wolno, ostrożnie, żeby go nie zbudzić, ułożyła się obok niego i przytuliła policzek do jego włosów.

Poruszył się, odwrócił głowę i spojrzał na nią z wyrazem zdziwienia w oczach. Potem jasny uśmiech, którym ją sobie od początku zjednywał, zjawił się na jego zmęczonej twarzy. Objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

Wrócili do gospody; „Pod Tęczą” dopiero po południu. W mieście po wczorajszych zamieszkach wywołanych przez zbuntowanych żołnierzy, którym nie wypłacono żołdu, panował nastrój niepokoju i wyczekiwania. Magistrat obradował w ratuszu, wysłano gońców do Brukseli i wniesiono skargę do komendanta garnizonu, który wprawdzie obiecał, że winni zostaną ukarani, lecz zaraz potem cichaczem wyjechał w niewiadomym kierunku.

Po ulicach krążyły patrole, a splądrowaną i częściowo spaloną dzielnicę przylegającą do cytadeli otoczył kordon wojska przybyłego z Mecheln. Bramy domów i sklepy były pozamykane, okna zasłonięte żaluzjami.

Gospoda „In den Reghen-boogh” opustoszała; w oberży zaledwie kilku stałych gości, młodych rzemieślników, popijało piwo; nie zjawił się natomiast żaden z dumnych oficerów hiszpańskich.

Baes, niepozorny, drobny człowieczek o melancholijnym wyrazie żółtawej tważy, porozumiewał się szeptem ze swą tęgą, rumianą żoną, która jak zwykle królowała za szynk-wasem, a następnie wśród niskich ukłonów podszedł do Jana Kuny, aby go powiadomić, że mistrz Cornelis powrócił tego rana. Wyraził przy tym mniemanie, że Jan zapewne wkrótce opuści Antwerpię, i dodał, że nazajutrz

o świcie odjeżdża stąd dyliżans pocztowy, który mógłby go zabrać do Bredy.

Jan odrzekł, że jeszcze nie wie, kiedy będzie mógł wyjechać. Myśl o rozstaniu z Elzą zaskoczyła go; nie zastanawiał się nad tym dotychczas; nie przyszło mu do głowy, że to, co ich teraz łączyło, zostanie zerwane tak prędko. A przecież wiedział, że nie będzie mógł zabrać jej z sobą: wracał na okręt do ojca...

Pójdę do Cornelisa – pomyślał. – Może trzeba będzie poczekać jeszcze parę dni, zanim wykończy ten kwadrant.

Powiedział o tym baesowi unikając jego natarczywego i zarazem pokornego wzroku. Smutna twarz małego czło-1 wieka wydłużyła się jeszcze bardziej. Spojrzał ukradkiem

na żonę i oznajmił, że zamykają dziś gospodę o zmierzchu. Prosił, aby Jan zechciał powrócić najpóźniej o czwartej.

Dom Cornelisa znajdował się za rynkiem, w połowie wąskiej staromiejskiej ulicy. Gdy Kuna po dłuższych pertrak-tacjach został tam wpuszczony przez nieufnego czeladnika* okazało się, że zamówiony instrument jest już od dawna i gotowy. Niemniej jednak Cornelis raz jeszcze obejrzał i sprawdził go dokładnie, a potem pedantycznie wyjaśnił, jak należy się nim posługiwać. Wreszcie, ułożywszy kwa-1 drant w drewnianym pudle wyścielonym wojłokiem, kazałJ podać dzban grzanego piwa i zaczął wypytywać Jana o no-1 winy z prowincji północnych oraz o. Mikołaja Kunę i jego j ostatnie przygody.

Jan nie mógł się wymówić od poczęstunku, lecz nie przyjął zaproszenia na wieczerzę i nocleg, tłumacząc się wczesnym i wyjazdem.

Myśl o tym wyjeździe trapiła go teraz niewypowiedziani nie, choć usiłował się pocieszyć, że wkrótce będzie mógł znów przyjechać do Antwerpii; że będzie tu przyjeżdżali często, przynajmniej zimą, dopóki „Zephyr” nie wyruszy na pierwszą wiosenną wyprawę.

Był tak roztargniony, że nie zauważył nagłego zaniepokojenia gospodarza. Dopiero gdy Cornelis wstał i podszedł do okna, usłyszał daleki zgiełk i gwar, podobny do brzęczenia pszczelego roju.

–Co się stało? – zapytał.

Twarz Cornelisa była blada jak papier. Nim zdolał odpowiedzieć, w uliczkę gruchnęło kilka strzałów, rozległ się krzyk, tupot biegnących ludzi, wrzawa* brzęk tłuczonych szyb, gwałtowne kołatanie do zamkniętych bram.

To samo, co wczoraj – pomyślał Kuna.

Poprzez ciężkie zasłony w oknach przebijało krwawe światło.

–Pali się w rynku – wykrztusił Cornelis. – Hiszpanie...

Jan już go nie słuchał. Jakaś lodowata dłoń* ścisnęła mu serce. Zerwał się z miejsca i gnany złym przecuciem wybiegł na schody, a stamtąd na dół, do wielkiej, mrocznej sieni;

Upłynęło kilka minut, zanim się wydostał na ulicę, lecz o dotarciu do gospody „Pod Tęczą” najkrótszą drogą przez rynek nie było mowy. Zgraja hiszpańskich żołnierzy zabawiała się tam strzelaniem do okien i mordowaniem każdego, kto im wpadł w ręce. Oddziały sprowadzone z Meeheln przyłączyły się do rozruchów, grabiły i paliły miasto na równi z miejscowymi, a ich oficerowie bynajmniej nie pozostawali w tyle.

Jan nie doszedł nawet do rynku, gdy już musiał zawrócić: dostrzegli go i rzucili się ku niemu z wrzaskiem, jak sfora psów na lisa.

Zrozumiał w porę, że walka z taką przewagą musi zakończyć się klęską, więc skoczył w pierwszą przecznicę i biegł co sił, ścigany świstem kul z muszkietów, aż dopadł muru, który przesadził jednym susem i znalazł się w labiryncie szop, oficyn, przybudówek, stert desek, beczek i cegieł

jakiegoś wielkiego składu. Kluczył pomiędzy nimi nie mogąc znaleźć wyjścia, dopóki przypadkiem nie natknął się na kilku wystraszonych ludzi, którzy wskazali mu kierunek.

Wylazł przez dziurę w wysokim parkanie i rozejrzał się. Stał nad głębokim, cuchnącym ściekiem, w którym szumiała ciemna, spieniona woda. Ruszył wzdłuż niego po wąskiej, urwistej skarpie, przeszedł przez kładkę, znów znalazł się w ciasnej ulicy i znowu u jej wylotu ujrzał migotliwy błask pożaru.

Błądził tak chyba z godzinę, wymykając się bandom żołdactwa, przedzierając się przez płonące zaułki, przez dymiące zgliszcza i przebiegając wymarłe place. Kłęby dymu ścieliły się nisko, swąd spalenizny uderzał w nozdrza, wrzawa rosła i opadała, jęczały dzwony, raz po raz to tu, to tam wybuchała gwałtowna strzelanina. Dwukrotnie musiał wywalczyć sobie przejście, gdy został znienacka osaczony przez paru żołnierzy. Na szczęście byli pijani i nie mieli już amunicji, więc udało mu się ich pokonać za pomocą pałki, którą zdobył na jakimś opryszku. Wreszcie dotarł na drugą stronę rynku, do dzielnicy, którą zdołał być już nieco poznać. Lecz teraz jej wygląd wstrząsnął nim do głębi: ośleple okna bez szyb, kikuty kominów sterczące wśród okopconych ścian bez dachów, trupy na ulicach...

Fala rzezi, rabunku i spustoszenia przeszła tędy, pozostawiając za sobą śmierć i ruiny. Co się stało z Elzą?

Przyśpieszył kroku i zobaczył na koniec duży, przysadzisty dom z otwartą na oścież bramą wjazdową, nad którą złocił się wygiętym łukiem napis „In den Reghen-boogh”.

W zapadającym zmroku dostrzegł, że szyby są całe i że nie widać śladów pożaru. Zawahał się, czy wejść najpierw do oberży, czy szukać Elzy w jej facjatce, gdzie ją zostawił idąc do Cornelisa. I tu, i tam nie było ani jednego światła. Ostatecznie pobiegł najpierw do oficyny na górę, z bijącym sercem stanął przed zamkniętymi drzwiami, zapukał;

Nikt mu nie odpowiedział, więc nacisnął klamkę i wszedł. Mały pokój, zwykle czysty i porządkny, został widocznie splądrowany w pośpiechu, a ponieważ nie zawierał żadnych cennych przedmiotów, rabusie opuścili go pozostawiając tylko rozrzucone sprzęty i ślady błota na podłodze;

Jan, przekonawszy się o tym, wrócił na podwórze i wszedł tylnymi drzwiami do oberży. Było tu prawie ciemno. W sieni pomiędzy kuchnią a kredensem w kałuży zakrzepłej krwi leżał zwinięty w kłębek mały oberżysta. Był już zimny i sztywny. Kuna próbował odwrócić go na wznak, lecz zeszywniałe zwłoki zachybotwały się na wygiętym grzbiecie i z głuchym odgłosem opadły z powrotem.

W głównej izbie jadalnej za wywróconym szynkwasem, wśród rozbitego szkła i skorup po glinianych dzbanach, lecz na swoim zwykłym miejscu, siedziała oberżystka.; Gdyby nie jej głowa opadła nisko na piersi, można by ulec złudzeniu* że czeka na zwykłych gości. Gdyby nie głowa i gdyby nie to, że poniżej tej głowy sterczało ułamane drzewce piki, którą nieszczęsna kobieta została przygwożdżona do ściany...

Kuna nie był w owej chwili zdolny do oceny tych strasznych faktów. Nie myślał, nie oburzał się, nie doznawał żadnych uczuć poza straszliwą grozą – grozą tego, co jeszcze go czekało: Elza...

Odnalazł ją w bocznym alkierzu.

Na pół obnażone zwłoki dwu dziewcząt kuchennych, podrapane, posiniaczone, zhańbione. I ona... Hiszpanie zabawiali się tu widocznie na swój sposób, a potem poderżnęli im gardła.

Stał w miejscu, jakby wrósł w ziemię. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Bolesny skurcz zwarł mu szczęki, ściągnął wszystkie mięśnie, chwycił serce i ścisnął je tak, że krew w żyłach niemal przestała krążyć. Ból wwierał mu się w mózg, rozsadzał czaszkę, przenikał go do szpiku kości, a otaczająca go ciemność zdawała się wirować dokoła coraz

irędzej, coraz prędzej, aż do zawrotu głowy. Wtera poprzez zum w uszach doszedł go jakiś szmer,,, coś poruszało się v mroku, coś drapało, biegало u jego stóp; Jakiś niewielki;ształ – cień kształtu – przemknął obok posiniałej twarzy Sły, zamajaczył na tle jej włosów.

Kuna pochylił się nad nią. Dwa szczury spłoszone tym; ego ruchem śmignęły na prawo i na lewo. Wstrząsnął nim lreszcz obrzydzenia. Zachwiał się i omal nie upadł.

To mu wróciło przytomność. Ukląkł obok ciała dziew-J szyny, ostrożnie podsunął ramię pod Jej głowę, unióśł ją i wzięwszy na ręce sztywne zwłoki, po omacku wyszedł z nimi na podwórzec.

Pochował ją pod krzakiem bzu w małym ogródku, pod oknami oficyny, w której mieszkała. Przy świetle łuny pożarów płonących Jeszcze na rynku usypał mogiłę. Potem wyruszył pieszo w kierunku Bredy,

Od tego czasu, od czterech lat, nie był ani razu w An- j twerpil. W rok po śmierci Elzy stracił ojca i sam zaczął do- | wodzić „Zephyrem”. Przeboleł i tę stratę; wśród przygód, bitew i niebezpieczeństw z młodzieńca stał się mężczyzną.

Czas mijał. Wspomnienia zacierały się, bladły i odży- j wały już tylko czasem, w jakichś szczególnych okoliczno- j ściach – jak tego dnia, gdy sefióra Francesca de Vizella uśmiechnęła się do niego uśmiechem Elzy Lengen.

Kufry pani de Vizella odnalazły się w kasztelu „Castro Verde” i zostały przewiezione na „Zephyra” pod osobistym nadzorem kawalera Ryszarda de Belmont.

Kawaler de Belmont przywiózł ponadto z portugalskiego statku dwie talie kart do stawiania kabały. Były to piękne, ręcznie malowane karty francuskie z wizerunkami królów: Dawida, Aleksandra, Cezara i Karola Wielkiego oraz dam: Minerwy, Junony, Racheli i Judyty.

Belmont zamierzał zrobić z nich lepszy użytek, a mianowicie zainteresować Martena grą w monte, co rzeczywiście mu się udało.

„Ibex”, „Castro Verde” i „Zephyr” płynęły wolno, lawirując pod wiatr, raz ku wschodowi, raz ku północo-zachodowi, i nie spotykając na swym zygzakowatym szlaku żadnego statku. Słońce wstawało hen, daleko, w stronie afrykańskiego brzegu, toczyło się po bezchmurnym niebie i zapadało poniżej horyzontu na zachodzie, aby ustąpić miejsca księżycowi i gwiazdom. Noce i dni przeciągały nad oceanem, podobne do siebie jak bliźniacze siostry i bracia, a Marten i Belmont oddawali się hazardowi;

Szczyście w grze nie sprzyjało kapitanowi „Zephyra”. Nim minęli Wyspy Zielonego Przylądka, przegrał cały zapas złota i większą część swego udziału ze wspaniałej zdobyczy, jaką po szczegółowych obliczeniach okazał się ładunek „Castro Verde”. Odegrał się częściowo w pobliżu Wysp Kanaryjskich, lecz gdy rozzuchwalony chwilowym powodzeniem podwoił stawkę, stracił niemal wszystko. Skutkiem tego na szerokości Przylądka Sw. Wincentego kawaler de Belmont

stał się człowiekiem zamożnym, Martenowi zaś pozostał tylko „Zephyr” i piękny pistolet oraz należna część z ewentualnej sprzedaży przyzu.

Belmont wiedział, że Marten nazbyt kocha swój okręt, aby o niego grać; nie zaproponowałby gry o pistolet, który po pierwsze przedstawiał stosunkowo niewielką wartość wobec ogromnej przegranej, po wtóre stanowił niemalże upominek od niego samego, po trzecie zaś, jak nrhiemał, od początku przynosił pecha. Pozostawał udział ze sprzedaży „Castro Verde”, lecz tę niewiadomą jeszcze sumę Marten przeznaczył na uzbrojenie „Zephyra”.

Kawaler de Belmont był zmartwiony. Niemal zupełnie szczerze. W każdym razie pragnął, aby Jan choć trochę się odegrał. Nie za bardzo, naturalnie; tylko na tyle, żeby nie wracał z próżnymi rękami. Lecz Marten nie chciał grać na kredyt.

Wtedy Belmont przypomniał sobie o jeńcach, o pani de Vizella i Jej ojcu. Według porozumienia z kapitanem White'em okup za tych dwoje miał przypaść Martenowi,

natomiast White miał otrzymać okup za Diego de Ibarra i Formoso da Lancha.

Ach, prawda, była tam jeszcze ta ładniutka pokojówka, muy linde morenita. Ona również należała do Martena. Duszą i ciałem – uśmiechnął się. – To także przynosi pecha -| pomyślał.

Postanowił sobie, że jeżeli Marten zgodzi się zagrać o su merced Juana de Tolosa i jego córkę, to on, Belmont, ze swej strony postawi dwa tysiące gwinei. I że je przegra! Wyłącz nie z sympatii dla kapitana „Zephyra”.

Lecz Marten nagle stracił ochotę do gry. Oświadczył krótko, że o Franceskę grać nie będzie, nawet gdyby Belmont postawił całą dotychczasową wygraną.

–Nie spodziewasz się chyba aż tak wielkiego okupu za tę damę? – zapytał kawaler zdziwiony jego odmową.

'- Nie spodziewam się w ogóle żadnego okupu – odrzekł Jan. – Nie mam zamiaru go żądać.

~ Więc co z nią zrobisz? Z nimi trojgiem – poprawi! się. – Zdaje się, że przed upływem paru miesięcy będzie ich troje: senior Juan, jego córka i wnuk lub wnuczka.

Marten uśmiechnął się z przymusem.

–Zobaczysz – powiedział – zobaczysz wkrótce. Z pewnością jeszcze zanim to nastąpi. Może nawet jutro.

Przez cały dzień następny płynęli ostro do wiatru na wschód, ani razu nie zmieniając ciągu. Marten prawie nie pokazywał się na pokładzie, zdawszy dowództwo na Belmonta, któremu wydał odpowiednie polecenia. Dopiero przed wieczorem, gdy jak zwykle „Ibex” i „Zephyr” zbliżyły się do „Castro Verde”, wezwał do siebie kapitana White'a i zamknął się z nim na jakieś pół godziny w swojej kajucie.

Belmontowi wcale się to nie podobało; zaniepokoił się nawet trochę, jakkolwiek nie podejrzewał Martena o żadne złe zamiary. Mniemał, że poznał go już na wylot i że Jan nie byłby zdolny do wymuszenia na nim zwrotu pieniędzy. Do tego celu zresztą nie potrzebowałby pomocy White'a, mając za sobą całą załogę. Nie zamierzał też chyba pozbyć się go w jakiś mniej lub więcej drastyczny sposób? Nie. O ile kawaler de Belmont znał się na ludziach, Jan Marten nie należał do takich. Nie chodziło tu ani o przegraną, ani o niego. Lecz w takim razie o co?

Gdy White po tej naradzie kuśtykał przez pokład, aby zejść do oczekującej szalupy, Belmont spotkał jego chmurne spojrzenie i zauważył, że stary korsarz nieznacznie splunął w bok i przeżegnał się ukradkiem. Czy to miało oznaczać, że rozmowa z Martenem dotyczyła jego osoby, czy też ten odruch WJute'a nie miał z nią nic

wspólnego?

Wzruszył ramionami. Co za przywidzenia!

W tej chwili usłyszał, że Marten woła go po imieniu.' Ujrzał jego atletyczną postać w drzwiach kasztelu. Machi* nalnie namaołał dłonią rękojeść noża, który miał za pasemjj i zbliżywszy się spytał z udaną swobodą:

–Zmieniamy ciąg kapitanie?

Marten potrząsnął głową.

–Jeszcze nie. Zaczekamy na jego ekscelencję. Zarazi go tu

przywiozą. '

–O! Zdecydowałeś się zatem...

–Zdecydowałem się – przerwał mu Marten. – Chcę,

żebyś kazał postawić wszystkie żagle, jak tylko pan de To-losa wejdzie na pokład. Pójdziemy dalej tym samym kursem. Tak daleko, jak tylko będzie można – dodał z zagada kowym uśmiechem.

–Choćby pod sam brzeg? – roześmiał się Belmont.

–Właśnie. Zostawiam ci to. Muszę uprzedzić tę kobietę. Odwrócił się i znikł za drzwiami.

j,"Zephyr" szedł lewym ciągiem prosto ku wschodowi, pochylony na burtę pod naporem wiatru, który wypełniał wysoką piramidę jego białych żagli. Szum i syk piany wzmagął się i cichł zgodnie z rytmem równej atlantyckiej fali rozcinanej dziobem ozdobionym tuż pod bukszprytem figurą skrzydlatego młodzieńca uwieńczonego kwiatami. Blask księżyca leżał na wodzie jak wąska, długa tarcza ze srebrnej łuski, zdawał się osiadać srebrzystym pyłem na pokładzie, który raz po raz zmiatały czarne cienie masztów.

„Ibex" i „Castro Verde" od dawna już znikły w przeciwnej stronie, płynąc na północny zachód i oddalając się coraz bardziej. Natomiast na wprost, daleko przed dziobem,„Ze-phyra", wyłaniała się ciemna, coraz wyraźniejsza smuga lądu..

Marten i Belmont stali za plecami Tomasza Pociechy, który sam sterował, nie odrywając ani na chwilę wzroku od linii brzegu. Główny bosman „Zephyra" zdawał się wyrastać wprost z kwadratowego podwyższenia za kołem sterowym. Jego mocne nogi, obnażone do kolan, pokryte były gęstym kędzierzawym włosem, a w głębokim

wycięciu koszuli z grubego płótna widać było taki sam jasny zarost, przypominający wewnątrz rozprutego materaca.

Niżej, na głównym pokładzie, siedzieli w kucki pod ścianami nadburcia ludzie z załogi, wybrani do spełnienia zadania, jakie im wyznaczył kapitan. Palili albo żuli tytoń, wykrzykując co jakiś czas po kilka zdań okraszonych przekleństwami, co zdawało się ułatwiać im formułowanie myśli. W cieniu błyskały tylko ich oczy i zęby, gdy śmiali się z jakiegoś udałego dowcipu.

Żaglomistrz Herman Stauffl stał między nimi oparty plecami o poręcz i spoglądał na nich z góry, przysłuchując się rozmowie. Niewinne, dziecięce oczy, wygolona okrągła głowa z grzywką nad czołem i rumiana twarz nadawały mu wygląd dobroduszny, czyniąc go podobnym do wiejskiego proboszcza. Lecz sześć jednakowych ciężkich noży o kościanych rękojeściach sterczących u pasa nad lewym biodrem zdradzało, że służba boża nie była głównym jego zajęciem i powołaniem. Ludzie z „Zephyra” bardzo go lubili za spokój, jakim odznaczał się nawet wówczas, gdy najdzielniejsi popadali w zwątpienie lub zniechęcenie. Umiał ich podtrzymać na duchu i zachęcić, jakkolwiek zdawał się mieć do rozporządzenia niewiele słów i, na pozór, Jeszcze mniej myśli. Wzbudzał przy tym ich podziw swoją zręcznością w rzucaniu nożem, którą to sztuką nie popisywał się Jednak nigdy bez potrzeby.

Teraz miał dowodzić szalupą, którą Marten zamierzał odesłać na ląd swych jeńców, portugalskich hombres finos.

Rozmowa sześciu marynarzy wyznaczonych w tym celu

dotyczyła właśnie owych „szlachetnie urodzonych”⁴. Dyskusja trwała już od godziny, prowadzona chaotycznie i naiwnie. Każdy starał się przekonać pozostałych nie tyle argumentami, ile podniesionym głosem. Spierali się mianowicie o to, czym właściwie różnią się moiżni tego świata od zwykłych śmiertelników. Przeważało zdanie, że jedynie posiadaniem majątkiem, a co za tym idzie, brakiem wszelkich trosk i konieczności zarabiania na życie. Lecz nie wszyscy się z tym zgadzali, a niejaki Tessari, pół Włoch, pół Anglik, przezywany Cyrulikiem z powodu swych umiejętności fryzjerskich i felczerskich, oświadczył:

–Spróbujcie dać na przykład takiemu Burnesowi nawet sto tysięcy funtów, i tak nie będzie nigdy dżentelmenem. Nawet się nie umyje!

Percy Burnes, który uchodził za największego brudas na „Zephyrze” i z tego powodu nosił przywisko Sloven, bynajmniej nie poczuł się dotknięty, lecz nie pozostał dłużny w odpowiedzi.

–Cyrulik zna się na tym, ho, ho! – wykrzyknął. – Co

chcecie? Obracał się przecież wyłącznie między panami z panów:

wszystkim rzeźnikom i piekarzom w całej dzielnicy golił brody, a

szewcom nawet krew puszczał!

Ryknęli śmiechem, tylko Tessari nie uśmiechał się wcale. W jego lekko zmrużonych oczach błysnęła iskierka gniewu i zaraz zgasła ustępując miejsca chłodnej ironii, która była zwykłym ich wyrazem. Cyrulik spoglądał na swoje otoczenie w taki sposób, jakby urodził się z niezmiernym zasobem doświadczenia i z pewną dozą wyrozumiałości dla wszystkich pozostałych istot ludzkich.

–Widziałem w życiu więcej hombres finos niż ty

rzeźników i piekarzy – powiedział, gdy się uspokoił/. – Z pew

nością ulepieni są z tej samej gliny, z której dobry Bóg i nas ulepił.

~ No, to wychodzi na moje! – krzyknął Percy.

–Niezupełnie – odrzekł Cyrulik – bo do tej gliny, z której ty jesteś ulepiony, zamiast dodać choć trochę rozumu, nasypano kupę śmieci i brudu. Wychowałeś się w rynsztoku, Sloven, i przesiąkłeś pomyjami. A hombres finos...

–Znałem takich jaśnie panów, co też grzebali w rynsztokach – powiedział ktoś inny.,

–Ale przeważnie my za nich musimy to robić – zauważył młody chłopak, który niedawno z lruxmana awansował na marynarza.

–Wiele toś ty się jeszcze nie narobił! – mruknął żaglomistrz. – I przecie nie za darmo!

–Pewnie! – przyświadczył Sloven. – Wrócisz, bracie, z majątkiem w kabzie! Wszystkie damulki z całego Londynu się do ciebie zlecą! Jak sobie nie dasz rady, weź mnie do pomocy; nauczę cię, jak się z nimi obchodzić.

–Pokaż mu to dzisiaj, będziesz miał dwie do wyboru – powiedział ironicznie Cyrulik.

–O-wa! Gdybym tylko zechciał – odrzekł Percy. – Pobilyby się o mnie! Ale ja wolę blondynki.

Znów się roześmieli, a gdy Sloven zaczął mizdrzyć się do młodego marynarza udając zaloty do owych blondynek, śmiech narastał jak fala i wreszcie wyładował się salwą głośnego rechotu, który przypominał rzenie, koni i ryk osłów. Ludzie walili się

wzajem po plecach, pokładali się w przód lub zadzierali zaczerwienione twarze w górę, ocierając wierzchem dłoni lzy ściekające po zarośniętych policzkach. Herman Stauffl trząsał się nie mogąc złapać tchu. Nawet Pocięcha oderwał na chwilę wzrok od horyzontu i spojrzał ku nim zaciekawiony, a kawaler de Belmont ruszył w ich stronę. Zbiegł po schodni i uniósł dłoń, jakby ich chciał uciszyć tym gestem.

Percy rad z takiego sukcesu, rozglądał się dokoła triumfalnie, obmyślając nowy dowcip, lecz nie zdążył go już naprodukować, Belmont bowiem istotnie kazał im być cicho.

–Jesteśmy blisko brzegu – dodał. ~ Jak się będziecie tak wydzierać, sprowadzicie tu całą flotę portugalską...|

Polecił im zgasić fajki i przygotować się do desantuj Potem odwołał na bok Stauffla i półgłosem zaczął mu wyjaśniać szczegóły przedsięwzięcia.

–Darowuję wam życie i wolność – mówił Jan Marten; patrząc prosto w oczy jego ekscelencji pełnomocnika królewskiego, Juana de Tolosa. – Wylądujecie w pobliżu Lizbony, na przylądku da Roca. Darowuję panu także parę pistoletów na wszelki wypadek. Razem z wami zwalniam dwóch marynarzy z „Castro Verde”. Obiecałem, że ich pan wynagrodzi za pomoc w drodze i że ich pan zastrzeli, gdyby wa3 usiłowali obrabować lub porzucić na brzegu. Czy mnie pan rozumie, ekscelencjo?

–Zdaje mi się, że tak – odrzekł Tolosa. – Chciałem wam tylko powiedzieć...

Zawiesił głos na chwilę. Zmarszczył brwi, pionowa bruzda przecięła mu gładkie, białe czoło, na którym zarysowały się nabrzmiące żyłki. Opuścił wzrok, jakby szukając słów, których mu zabrakło.

Cóż mógł powiedzieć temu niezwykle awanturnikowi, który darowywał mu więcej niż on, pan z panów, mógłby darować jemu? Wiedział, że Marten nie czyni tego ani z obawy przed zemstą, ani w oczekiwaniu nagrody, ani też po to, aby zaasekurować się na przyszłość, zdobywając jego względy i protekcję na wypadek jakiegoś niepowodzenia. Nie żądał nic, nawet wdzięczności. Nie sposób było zapłacić mu za tę łaskę, a zarazem nie można jej było odrzucić. Cóż za upokorzenie!

Spojrzał na Martena, który zdawał się oczekiwać cierpli" wie i z niejakim zainteresowaniem na zakończenia rozpoczę`

tego zdania. Ich oczy spolkały się jak szpady przeciwników w pojedynku. Lecz dumny starzec wiedział, że ten pojedynek przegra. Był wzburzony. Przez twarz przeleciał mu blady rumieniec.

–Dziękuję – powiedział chrapliwym głosem. – Dziękuję w imieniu mojej córki. Gdybym tu był sam, wybrałbym raczej śmierć aniżeli...

–Zapominacie wielmożny panie, że i w takim wypadku decyzja należałaby do mnie – przerwał Marten. – Co się zaś tyczy senory de Vizella, to myślę, że wyręczacie ją wbrew jej chęci i woli. Raczej utopiłaby mnie w łyżce wody na pożegnanie, choć nie wyrządziłem jej żadnej krzywdy.

Uczynił nieznaczny ruch dłonią, jakby usuwając na bok tę sprawę.

–Proszę was o jedno – powiedział z naciskiem. – O

zachowanie zupełnej ciszy w drodze na brzeg. Wysyłam was z

moimi ludźmi i chciałbym, żeby wrócili cało i zdro

wo. To wszystko.

Skłonił się lekko i wyszedł. Gdy mijał próg wąskiego przedsionka, wydało mu się, że usłyszał głos Franceski wymawiający jego imię, lecz nie zatrzymał się i nawet nie odwrócił głowy, aby spojrzeć za siebie.

Wszedł do swojej kajuty, przemierzył ją wzdłuż i stanął przy oknie, z którego mógł objąć wzrokiem cały pokład i przestwór morza przed dziobem okrętu aż po horyzont.

Ten przestwór ograniczał się teraz do dwóch mil zaledwie. Zamykały go czarne, spiętrzone skały da Roca z nagim, połyskującym w świetle księżyca szczytem Oeiras. Brzeg wyglądał nieprzystępnie i dziko, lecz Belmont, który znał dobrze tę okolicę, utrzymywał, że jest tam dogodne miejsce lądowania dla łodzi, a w pobliżu – dwie osady rybackie. Sporządził nawet szkic drogi wiodącej do jedne^a z tych osad i wręczył go portugalskiemu bosmanowi z „Ca-

stro Verde”, który miał objąć rolę przewodnika. Stamtąd do Lizbony można już było dostać się wygodnie i łatwo w ciągu kilku godzin, jadąc na osiach lub nawet wozem zaprzężonym w muły.

Belmont odradzał zresztą Martenowi podejście do lądu tak blisko Lizbony. Portugalskie i hiszpańskie okręty w dzień patrolowały wody przybrzeżne, strzegąc przed desantami korsarskimi dróg prowadzących do stolicy i uganiając się za przemytnikami, w nocy zaś czatowały ukryte w zatokach. Lecz Marten uparł się, że wysadzi swych jeńców właśnie tutaj.

Chciał podejść do brzegu na taką odległość, aby mieć szalupę przez cały czas w zasięgu dział „Zephyra” i aby w razie potrzeby skierować skuteczny ogień na każdego napastnika, jaki poważiłby się ją zaatakować. Lecz zdawał sobie sprawę, że jeżeli podejdzie za blisko, pod osłoną skał straci wiatr północno-wschodni i dostanie się w pułapkę. Musiał zatem dobrze obliczyć wykonanie zwrotu w najważniejszym miejscu i dlatego powinien był już w tej chwili znaj-; dować się na pokładzie, nie w

swojej kajucie.

Mimo to ociągał się. Rozmawiając z panem de Tolosa miał nadzieję zobaczyć także jego córkę i być może otrzymać jeszcze jeden jej uśmiech, taki jak wówczas, gdy uśmiechała się do niego po raz pierwszy. Taki, jakim niegdyś uśmiechała się Elza Lengen.

Spotkał go zawód: Francesca przez cały czas tej rozmo-1 wy pozostawała w sąsiedniej kajucie, oddzielonej ciężką | aksamitną kotarą. Nie raczyła się ukazać. iNie chciała go widzieć. Woląa uniknąć tego spotkania. Zapewne uległ złudzeniu, gdy mu się wydało, że wymówiła jego imię.

Wtem usłyszał je tuż za plecami. Drgnął i odwrócił się. I Stała o krok od niego! I uśmiechała się! Uśmiechała się właśnie tak, jak to sobie wyobrażał!

Był tak zaskoczony i przejęty, że nie mógł wydobyć

głosu i z początku nie rozumiał, co do niego mówiła. Dopiero po chwili sens jej słów zaczął docierać do jego świadomości. Sens... A także ton, jakim te słowa wypowiadała... Pojął, że chwaliła jego szlachetność i bezinteresowność, lecz czyniła to w taki sposób, w jaki chwali się na przykład stangreta za należyte utrzymanie koni i powozu albo kucharza za smaczny obiad.

Była pewna siebie, wyniosła, choć przy tym łaskawa, i najwidoczniej chciała okazać mu, że bierze pod uwagę wyłącznie jego dobre chęci, puszczając w niepamięć fakt zbójckiej napaści na „Castro Verde”. Posunęła się nawet tak daleko, że przyrzekła wyjednać u swego męża, gubernatora Jawy, przyjęcie Martena do służby, przy czym „Zephyr” zostałby przeznaczony do wyłącznego użytku obojga małżonków de Vizella.

Marten patrzył na nią osłupiały. Zawód, gniew, urażona duma burzyły się w nim jak kipiący wrzątek. Lecz owa ostatnia obietnica wydała mu się taka zabawna, że nagle porwał go paroksyzm śmiechu. Śmiał się głośno, coraz głośniejsze, uderzając obiema dłońmi po biodrach, tupął nogami, a w końcu, zgięty wpół, chwycił się za boki, dysząc ciężko, jakby dostał skrętu kiszek z nadmiaru uciechy.

Senora de Yizella patrzyła na niego przestraszona, nie pojmując, co mu się stało. Przeleciało jej przez głowę, że oszalał, więc zląkła się jeszcze bardziej i krok za krokiem zaczęła się cofać ku drzwiom. Lecz on uspokoił się wreszcie i powstrzymując nawrót śmiechu, zdołał wybełkotać przerywanym, załamującym się głosem:

–Niech pani zechce usiąść na chwilę i... wysłuchać mnie z

kolei.

Podsunał jej krzesło, a sam oparł się obiema rękami o stół i zaczął mówić oddychając już normalnie.

–Pomyliła się pani. Ta pomyłka była tak zabawna, że... No, przepraszam: nie mogłem się opanować. Pomyliła się pani, biorąc mnie, Jana Martena, wolnego korsarza, za kogoś zupełnie innego. Ja się też pomyliłem zresztą. Wydawało mi się, że pani jest podobna do jednej dziewczyny. Ale to było tylko złudzenie. Będę niegrzeczny, ale szczery. Myślałem, że pani ma dość rozeznania w tej pięknej główce i tu, w sercu, aby zrozumieć moje postępowanie. Lecz i tu, i tam jest widocznie pusto, Więc, jak pani widzi, nie nadaję się na sługę.

Umilkł i spojrział w okno. Chciał jej jeszcze powiedzieć coś, co by ją upokorzyło, zraniło do głębi. Pomyślał, że powinna podziękować swemu mężowi za to, że ją uczynił ciężarną, gdyż inaczej... Inaczej on, Jan Marten, uczyniłby z nią to samo. Spałaby z nim przez te wszystkie noce spędzone na „Zephyrze” i nie pytałby nawet o jej zgodę. Tylko do tego się nadawała, do niczego więcej!

Lecz to, co ujrzał odwróciwszy na chwilę głowę, powstrzymało go od wszystkich zbędnych słów. Czarne skały da Roca wyrastały z morza zasłaniając horyzont, a „Zephyr” leciał ku nim jak na skrzydłach, ślizgając się poprzez łagodne fale.**

–Niech pani teraz idzie po ojca – powiedział prędo.

ko. – Wyjdźcie na pokład. Za chwilę spuszczaamy łódź!

Nie troszcząc się o nią więcej, wybiegł z kajuty i stanął obok Belmonta, który wpatrywał się w ogromną sylwetkę lądu jak urzeczony. Bazaltowa ściana rzuciła cień na wodę, a dziób okrętu pogrążył się w tej czerni, która zdawała się wsysać go jak próżnia.

–Jeszcze na wiatr? – spytał Belmont nieomal szeptem.

–Jeszcze – odrzekł Marten. Pocięcha obejrzał się na nich zaniepokojony.

–Na wiatr! – powtórzył głośno Marten.

–Na wiatr – wymamrotał Pocięcha.

Marten zawołał cieślę i Stauffla, a gdy ukazali się w dole na szkafucie, zapytał, czy wszystko gotowe.

–Tak – odrzekł Worst, wytrzeszczając jedyne oko. –

Wszyscy są na pokładzie. Szalupa wisi na blokach.

Musicie ją opuścić, gdy okręt zwolni podczas zwrotu, zanim jeszcze ustawimy reje w dryf – powiedział Marten, patrząc z góry na jego twarz pokrytą bliznami i śladami po ospie.

Worst skinął głową, przestąpił z nogi na nogę i trącił łokciem Stauffla.

_- No? Co tam? – spytał Marten.

–Ta dziewczyna – mruknął żaglomistrz, – Nie chce wejść do łodzi. Mówi, że tu zostanie.

Marten strzepnął palcami.

–Do licha – zaklął.

Spojrzał znów ku brzegowi, zawahał się. Wierzchołek Oeiras

zdawał się wisieć nad masztami „Zephyra”; był coraz bliższy, niemal już tak bliski, że z marsa przedniego masztu można by go dotknąć ręką wyciągniętą w ciemność. A jednak okręt wciąż płynął naprzód pędzony słabnącym wiatrem, który wypełniał żagle łagodnym tchnieniem.

Jeszcze zdążę – pomyślał Marten. – Przygotuj zwrot – powiedział do Belmonta.

Sam zbiegł po stopniach na główny pokład i podszedł do szalupy zawieszanej tuż nad nim na szlupbelkach obróconych do wewnątrz tak, aby w każdej chwili można było przekręcić je za burtę i opuścić łódź na morze. Dwaj portugalscy marynarze oraz senor de Tolosa i Francesca siedzieli już na środkowych ławkach. Za nimi umieszczono bagaże

i kufry pani de Yizella. Jej pokojówka Joanna stała opodal z twarzą ukrytą w dłoniach, lecz wcale jej to nie przeszkadzało widzieć, co się dzieje dokoła, bo skoro tylko Marten się zbliżył, uczepiła się jego ramienia.

–Querido! – usłyszał jej szept. – Pozwól mi zostać. Boję

się...

– Nie masz się czego bać – odrzekł. – Nie obiecywałem ci nic i o nic cię nie prosiłem. Sama przyszłaś do mnie. Ale teraz musisz odejść z nimi. Mówiłaś mi, że twój novio 'czeka na ciebie...

– Nie chcę go znać – przerwała mu. – Dlaczego mnie wypędzasz? Przestałam ci się podobać? Zbrzydłam? Zestarzałam się przez te kilka dni?

– Ani trochę! – zaprzeczył z uśmiechem. – Ale i na mnie ktoś czeka tam, dokąd płynę – skłamał. – Musimy się rozstać. Bądź zdrowa i zachowaj to na pamiątkę – wcisnął jej do ręki pierścień, który zdjął z małego palca.

Potem ujął ją w pól i uniósł w górę jak piórko, ona zaś objęła go za szyję i przytuliła mokry od łez policzek do jego twarzy.

– Bądź zdrow, querido – szepnęła wśród łkań, gdy po

sadził ją w łodzi. – Nigdy cię nie zapomnę.

Pani de Vizella z niesmakiem odwróciła głowę. Marten wydał się jej w tej chwili po prostu odrażający. Jak mogła porównywać tego picaro. do swego męża? Jak mogła choć przez mgnienie oka ulec jego zuchwałej urodzie? Podziwiać go! Myśleć o nim w ten sposób, jak nieraz myślała, podczas gdy on i ta głupia Joanna...

Płomień wstydu i upokorzenia palił jej twarz. Nie wiedziała, gdzie podziać oczy, aby nie spotkać jego spojrzenia. Ale on wcale na nią nie patrzył: całą jego uwagę zajmowała teraz czarna ściana da Pioca. '

Gdy „Zephyr” zaczął wolno wykręcać w lewo tracąc pęd na gładkiej, nieruchomej roztoczy wody, Marten kazał prze-brasować reje wielkiego żagla. W ciszy, która objęła teraz okręt, rozlegał się tylko lekki trzepot płótna i zamierający syk piany pod dziobem. Spiętrzone wysoko skały i szczyt Oeiras, sterczący powyżej masztów jak upiór okryty kirem, płynęły po niebie, gasząc gwiazdy. Brzeg sunął coraz wolniej, oddalał się od bukszprytu, zataczając łuk dokoła prawej burty. Wreszcie, gdy już prawie nie można było dostrzec żadnego ruchu naprzód i okręt zdawał się kołysać w miejscu, Marten powiedział:

– Szalupa na morze.

Nie podniósł głosu, a jednak echo powtórzyło jego słowa; odbiły się od skał i przeleciały nad pokładem, a po chwili zawtórował im lekki chrobot naoliwionych bloków, jakby i tam, w ciemnej czeluści niewidocznej zatoki, opuszczono łódź.

Plusnęła fala, zaszeleściły wiosła, cień szalupy zamajaczył na czarnej wodzie i

zaczął się oddalać, znacząc swój ślad słabymi połyskami fosforescencji.

Marten patrzył za łodzią wyteżając wzrok, lecz wkrótce stracił ją z oczu. Kazał przerzucić ster na przeciwną burtę i przebrasować reje tak, aby „Zephyr” legł w dryfie. Potem na pokładzie znów zaległa cisza.

Minął kwadrans, pół godziny, godzina. Niebo na wschodzie pojaśniało. Gwiazdy Oeires przybladły. Kilka mew przeleciało nad nieruchomym okrętem: dwie czy trzy usiadły na wodzie. Wiatr zdawał się zamierać zupełnie, a wielkie płót-niska żagli zwisały raz po raz lub trzepotały lekko, jakby przejęte chłodnym dreszczem wśród wstającego świtu.

Marten zaczął się niecierpliwić. Stauffl powinien już wracać, jeśli lądowanie odbyło się pomyślnie. Dlaczego marudził? Od strouy lądu nie dochodził żaden dźwięk. Brzask na

niebie coraz wyraźniej przecierał się przez szarość, a noc, dotąd pełna sennej wspaniałości i spokoju, cofała się przed nim,, uciekała pod brzeg, między skały da Roca, szukając schronienia w ich cieniu.

Wtem huknęły jeden po drugim dwa strzały pistoletowe. Huk przerwał ciszę wielokrotnym echem, potoczył się po brzegu, *zatargał* powietrzem. Zaraz potem rozległ się przeciągły, głośny okrzyk i znów echo poniosło go tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak rozkołysaną falę.

Lu'dzie na pokładzie poruszali się niespokojnie, zaczęli szeptać, wypatrując jakiegoś znaku czy też sygnału na lądzie. I znak się pojawił: na tle ciemnej ściany błysnął ogień, zakłębił się dym!

Prawie jednocześnie dostrzeżono wracającą szalupę. Sześć wiosł z pośpiechem zagarniało wodę; w rufie stał sternik pochylając się naprzód i prostując na przemian, zgodnie z gorączkowym ich rytmem.

–Zdrada – powiedział Belmont. – Rozpalili ognisko, żeby zwrócić *uwagę* okrętów patrolowych. Ale skąd mają broń?

–Ode mnie – odrzekł Marten. – Dałem Tolosie parę pistoletów na wszelki wypadek. Nie dowierzałem tym marynarzom z „Castro Verde”. Jemu zawierzyłem...

–Okręt z prawej burty! – wrzasnął ktoś z dzioba.

Marten i Belmont spojrzeli w prawo. Spoza północnego

zbocza da Roca wolno wynurzały się uskrzydłone żaglami maszty dużej fregaty, która manewrowała z trudem na resztkach zamierającej nocnej bryzy *«

Lecz to nie było wszystko: od południa, z zatoki Tag, wypłynęły dwa inne okręty ukryte dotąd za wysuniętym cyplem przylądka. Te miały żagle pełne wiatru i najwidocz-

niej nie chciały go stracić zbliżając się ku brzegowi: szły wprost na zachód, gdzie otwarte morze marszczyło się wyraźnie pod tęgim tchnieniem.

Marten w lot pojął niebezpieczeństwo, jakie zagrażało „Zephyrowi”. Fregata manewrująca na prawo odcinała mu odwrót wzdłuż lądu na północ; na południu otwierała się zatoka stanowiąca wejście do Lizbony, skąd w każdej chwili mogła się ukazać bodajże cała flota portugalska, a owe dwa okręty, które stamtąd wyszły, zabiegały mu drogę na zachód, i to na pełnym morzu, gdzie mogły rozwinąć całą sprawność. Natomiast „Zephyr” pod osłoną spiętrzonej masy da Roca mógł wprawdzie jeszcze żeglować dzięki wyjątkowej doskonałości swych kształtów i ożaglowania, lecz stracił już najkorzystniejsze warunki, na jakie Marten liczył biorąc pod uwagę nocną bryzę wiejącą od linii brzegu. Na domiar złego szalupa była jeszcze daleko i zbliżała się stosunkowo bardzo wolno pomimo widocznych wysiłków wioślarzy. Zachodziła obawa, że zanim dotrze do burty „Ze-phyra”, skona ostatni podmuch wiatru i nastanie dłuższa cisza, a wtedy...

Belmont rozumiał to równie jasno, a niespokojny wzrok Tomasza Pociechy i szepty marynarzy skupionych na pokładzie wskazywały, że i oni trafnie *oceniają* sytuację.

Marten czuł na sobie ich spojrzenia i wiedział, że w napięciu czekają na jego decyzję; że bez wahania wykonają każdy rozkaz. Gdyby teraz przebrasował wszystkie reje, być może zdołałby jeszcze prześliznąć się pomiędzy okrętami portugalskimi w takiej odległości, na jaką nie sięgał ogień ich dział. Lecz wówczas musiałby pozostawić załogę szalupy jej własnemu losowi. Równało się to skazaniu na śmierć Hermana Stauffla i sześciu ludzi.

Obejrzał się na nich. Wiosłowali jak szaleni, u dzioba łodzi połyskiwał grzebień bryzgów wody. Widocznie od początku spostrzegli, co się działo, i walczyli teraz o swe ocalenie.

Będą tu za kwadrans – pomyślał.

Odwrócił głowę i spotkał utkwiony w siebie wzrok kawalera de Belmont.

–I cóż? – spytał porucznik. Zabrzmiał w tym krótkim pytaniu zarówno odcień szyderstwa, jak triumfu, ale nade wszystko dźwięczała w nim nuta ciekawości. Kawaler de Belmont sam był ryzykantem! i człowiekiem wielkiej odwagi. Lecz pomysł odesłania jeńców na brzeg uważał za ryzyko, które nie miało sensu. Prze-i widywał, że się to *może* źle skończyć, i oto okazało się, że i miał słusność. Był ciekaw, co w tych okolicznościach pocnie ten najbardziej romantyczny korsarz, jakiego zdarzyło j

mu się spotkać. Czy poświęci swego rumianego żaglomistrza i jego sześciu towarzyszy, aby ratować resztę, czy też podejmie beznadziejną walkę uwięziony w nadchodzącej ciszy. – Każ poluzować giejtawy * grotżagla, jak tylko szalupa podejdzie pod burtę – odrzekł Marten. – Przyślij tu Worsta do steru, a Pociecha niech obsadzi i przygotuje działa z lewej strony. Reszta ludzi będzie mi potrzebna do manewrowania.

Belmont nie oczekiwał tak zdecydowanej odpowiedzi. Spokój Martena i jego niczym nie wzruszona pewność siebie powstrzymały go od dalszych pytań, jakkolwiek w duchu je sobie zadawał.

Dlaczego na przykład Marten chciał mieć działa gotowe do strzału właśnie z lewej strony? Co zamierzał? Jaki manewr miał na myśli, skoro według oceny Belmonta „Zephyr” mógłby w najlepszym razie peźeglować, przy wietrze w bak-sztąg, wprost na północny zachód, gdzie zresztą ostatnia szansa ucieczki niemal zamykała się przed nim.

Marten już na niego nie patrzył. Mierzył wzrokiem przestrzeń wody oddzielającą łódź od okrętu. Potem spojrzął w stronę dwu fregat, które teraz zataczały obszerny tuk ku północy, trzymając się opodal obszaru osłoniętego od wiatru. Wreszcie obejrzał się na okręt patrolowy manewrujący aa prawo i nieznacznie skinął głową, jakby utwierdził się w swych obliczeniach.

Nie zdążymy – pomyślał Belmont. – Bryza ucicha. Żaden okręt nie będzie żeglował pod takim tchnieniem...

Mimo to zgodnie z otrzymanym poleceniem wezwał dyżurną wachtę, a następnie poszedł na bak * dopilnować manewru. Spotkał tam Worsta i kazał mu iść do steru. Holender łypnął ku niemu swym jedynym okiem, przestąpił z nogi na nogę i zapytał:

–Nie czekamy na szalupę, panie?

–Czekamy – odburknął Belmont. Zarośnięta rudą szczeciną twarz cieśli wykrzywiła się w

uśmiechu. Westchnął z widoczną ulgą.

–Będzie nam trochę ciasno, panie – powiedział wska

zując ruchem głowy okręty portugalskie. – Ale szkoda byłoby

tamtych, nie?

–Szkoda – zgodził się porucznik. – Idźcie już.

Olbrzym ruszył żwawym krokiem ku rufie, a Belmont

znów spojrzął na szalupę. Zbliżała się. Zbliżała się szybko. Teraz widać było, jak parła naprzód, popędzana tęgimi razami wiosła. Grzbiety wiosłarzy zginały się w kabłąk, ramiona sięgały w przód, ciągnęły, zdawały się pękać z wysiłku. Na krótką chwilę ukazywały się czerwone, nabrzmiałe twarze odrzucane ku niebu i znów znikaly, jakby w głębokim czołobitnym pokłonie składanym przez tych sześciu wyniosłemu szczytowi Oeiras.

Jeszcze pięćdziesiąt skłonów, jeszcze trzydzieści, dwadzieścia... Herman Stauifl wyprostował się w rufie łodzi, otworzył szeroko usta i zamknął je znowu. Dopiero po chwili; Belmont usłyszał wydany przez nie okrzyk. Sześciu ludzi wypuściło z rąk wiosła. Szalupa wśliznęła się pod prawą burtę „Zephyra”, przybiła do trapu.

–Luzuj! – zawołał Belmont, a bosmani przy masztach)

powtórzyli ten rozkaz.

Reje skrzypnęły i drgnęły lekko. Jednocześnie w dole, przy burcie okrętu, rozległ się szcęk. zakładanych szaki *, odgłos ściąganych talii, a przez poręcz nadburcia przewinał się Percy Sloven, za nim Cyrulik i jeszcze dwóch innych. Upadli na pokład, jęcząc i dysząc chrapliwie, jakby w ataku spazmatycznego płaczu. Nie mogli złapać tchu; ich płuca pracowały konwulsyjnie, a twarze wykrzywiał skurcz bólu.

Nikt się tym nie przejmował: kilku marynarzy odciągnęło ich na bok, po czym zaczęli windować w górę łódź wraz z pozostałym w niej żaglomistrzem i dwoma wiosłarzami.

–Reje na fordewind! – krzyknął Marten.

–Cięgnij! – zawtórował mu donośny okrzyk Belmonta. Ludzie wprzęgli się do lin, pociągnęli. Wśród stłumionego

pogwaru i nawoływań bosmanów reje zaczęły się obmacać, aż stanęły niemal prostopadle, z niewielkim skosem do osi podłużnej okrętu.

Belmont kazał obciągnąć szoty i teraz lekki, zaledwie wyczuwalny powiew raz po raz wygładzał obwisłe płótna, nie napinając ich jednak całkowicie.

Niepodobieństwem jest, aby ruszył z miejsca – pomyślał Belmont o „Zephyrze”. – Nie będzie słuchał steru.

Istotnie, cisza, jaka nastąpiła po zakończeniu lin, wydawała się jeszcze głębsza i bardziej nieruchoma niż przedtem. Przewód nad okrętem zapadł w drzemkę, a wielkie zakole gładkiej wody wzdymało się leniwie martwą, jedwabistą falą przybywającą tu z otwartego morza. Dopiero o jakąś milę * dalej na północ, gdzie

stróżowała portugalska fregata, widać było drobne, połyskliwe zmarszczki na powierzchni, a na zachodzie wiał Nord-East pędząc przed sobą pienne białe grzywy na grzbietach zielonych skib Atlantyku.

Pierwsza z dwu pozostałych fregat znalazła się tymczasem w połowie drogi między wyjściem z zatoki Tag a linią wyznaczoną przez sterzący bukszpryt „Zephyra”, wymierzony prosto na zachód. Płynęła wciąż w beidewind, ku północy, ze skośnie ustawionymi rejami, lecz gdyby nawet „Ze-phyr” zdołał dotrzeć do granicy bezwietrznego obszaru usiłując wymknąć się jej w kierunku północno-zachodnim, z łatwością przecięłaby mu drogę, żeglując w znacznie po-myślniejszych warunkach. Druga fregata podążała za pierwszą, zostając jednak w tyle, a Belmont zauważył, że kilka żagli wzięto na giejtawy, aby zmniejszyć prędkość.

W każdym wypadku wezmą nas we dwa ognie – pomyślał. – A za godzinę będziemy mieli na karku nie trzy, lecz z dziesięć okrętów.

Te jego przewidywania spełniły się wprawdzie tylko częściowo, lecz za to o wiele wcześniej: na północy, o kilka mil dalej, wyłoniły się jeszcze dwa żaglowce, wykręciły w lewo i zaczęły się zbliżać. „Zephyr” zaś stał w miejscu...

Stał? Belmont spojrzął na wodę, ale nie widząc w pobliżu żadnego przedmiotu unoszącego się na powierzchni, nie mógł się upewnić, czy nie ulega złudzeniu. Wytężył słuch. Słaby szum i syk dobiegał jego uszu. Podszedł do

burty, wyjął z rękawa cienką chusteczkę z muślinu obszytą koronką i rzucił ją w morze. Lekki jedwab spłynął w dół, ku przodowi kadłuba, i osiadłszy na wodzie zaczął się zbliżać, a potem minawszy wzniesiony przedni pokład, coraz prędzej oddalał się ku rufie. Belmont przeprowadził go wzrokiem aż po grotreję * wystającą daleko za burtę. A

–Żegluj! – powiedział na głos. – Niesłychane!

Był tak zdumiony i pełen podziwu, że zapomniał o wszystkim innym. „Zephyr” zaiste zasługiwał na swój miano: wydawał się lekki jak piórko; można było uwierzyć że wystarczy głębsze westchnienie, aby wprawić go w rac Płynął! Płynął zaledwie muskany powiewem, którego kawaler de Belmont nie wyczuwał na policzkach! Ba, nabierał pędu! U jego dzioba syczała, pieniała się z lekka, pluskała coraz głośniej fala rozcinana ostrą sztabą o krawędzi okutej miedzią. Dwie zielonkawe bruzdy wodne rozchodziły się w prawo i w lewo biegnąc w dal i budząc migotliwe, łaskoczące błyski na leniwie falującym, ciemnym atłasie spokojnej toni.

Gdy kawaler de Belmont otrząsnął się wreszcie ze zdumienia i podziwu nad zaletami „Zephyra” i spojrzawszy przed siebie stwierdził, że okręt płynie prosto na zachód, ogarnęły go znów wątpliwości co do zdrowego rozsądku Martena. Pomimo

wszystko bowiem Marlen nie mógł przecież pokusić się o wyścig z fregatami, które z dwóch przeciwnych stron zabiegały mu drogę, żeglując w łożu wiatru. Było ich teraz trzy, nie licząc czwartej, którą najpierw dostrzegli poza masywem da Roca, a która posuwała się równolegle z „Zephyrem”. Piąta pozostawała w odwodzie, a inne jeszcze mogły ukazać się lada chwila, zaraz po pierw-

szych strzałach. Musiało się to skończyć tak, jak Belmont przewidywał: krzyżowym ogniem kilkudziesięciu dział portugalskich, z którego ani jeden maszt „Zephyra” nie mógł wyjść cało.

Lecz Marten zdawał się wcale o tym nie myśleć. Nie obsadził nawet wszystkich stanowisk ogniowych ograniczając się do dział z lewej burty, ponieważ chciał mieć jak najwięcej ludzi na pokładzie do wykonania szybkich manewrów.

Jakiż manewr mógłby go ocalić? – zadawał sobie pytanie kawaler de Belmont. – Po pierwszej salwie nie będzie mowy o żadnych manewrach...

„Zephyr” zbliżył się już do granicy wyraźnie widocznej na morzu, poza którą panował pełny wiatr. Jeszcze chwila i odległość pomiędzy nim a najbliższą fregatą zmaleje tak znacznie, że rozpocznie się bitwa. Tamte dwie, nadciągające od północy, w sam czas zdążą otworzyć ogień z przeciwnej strony. To było jasne jak słońce!

Wtem od rufy dał się słyszeć głos Martena:

–Baczność tam przy brasach! Wybieraj!

–Wybieraj! – powtórzył Belmont, a za nim trzej bosmani.

–Ster lewo na burt! – zawołał Marten. Okręt położył się głęboko, zwinął się niemal w miejscu, a

ludzie przy linach zaparli się z całych sił, aby utrzymać reje, które obróciły się same.

Zwrot nastąpił tak szybko, że dowódca fregaty idącej przeciwnym kursem po prostu stracił głowę i nie zareagował wcale, a „Zephyr”, mając już żagle pełne wiatru, gnał prosto na południe i po chwili minął się z nim prawą burtą w bezpiecznej odległości, kierując się ku wejściu do zatoki.

Dopiero wtedy portugalski kapitan zrozumiał, że splątano mu figla, i rzucił się z powrotem w pogoń za umykającym korsarzem. I znów popełnił błąd: zamiast wykonać zwrot w lewo przez rufę, zawiązując pętlę na zewnątrz

i pozostając przez cały czas w strefie pomyślnego stałego wiatru, zakręcił w prawo. Zanim zdążył przebrasować reje, okręt zwolnił i zaczął dryfować, a w rezultacie po ukończeniu manewru znalazł się bliżej lądu niż „Zephyr”, tia-cąc całą przewagę

prędkości, jaką miał nad nim dotąd.

Mimo tak pomyślnego obrotu sprawy Belmont nadal wątpił w możliwość ucieczki z tej matni, Marten nie mógł wyminąć w podobny sposób fregaty pozostającej w odwodzie, bliżej zatoki; musiał przejść lewą burtą przed jej dziobem i widocznie miał ten zamiar, skoro kazał przygo* tować działa po tej stronie. Lecz dwa okręty portugalskie, które płynęły nadal na południe równolegle do brzegu, zdołały zbliżyć się już na tyle, że i prawa nie obsadzona ka-nonierami burta „Zephyra” byłaby narażona na ich pociski. Sytuacja nie zmieniła się więc tak bardzo.

Te rozmyślenia i kalkulacje przerwał kawalerowi de Belmont nowy okrzyk Martena:

–Więcej płótna, Ryszardzie! Ile go tylko mamy!

Belmont po raz pierwszy poczuł się nieco zakłopotany. Zaledwie dwa czy trzy razy zdarzyło mu się widzieć okręty, które oprócz żagli czworokątnych posługiwały się trójkątnymi, i to nie tylko na bukszprycie dla ułatwienia zwrotów. Słyszał wprawdzie o tej nowości, jaką stanowiły topsle*,

A* j|

sztakle i kliwry, czy jak tam je nazywano, ale nie miał dotąd sposobności ani z bliska ich obejrzeć, ani poznać sposobów ich podnoszenia i opuszczania nawet na „Zephyrze”. Szczęściem Stauffl znalazł się w samą porę pod ręką i wybawił go z kłopotu. Wydłużone białe jęzory płótna wznosiły się kolejno w górę, chwyciły natychmiast wiatr, napinały się, ciągnęły; „Zephyr” już nie płynął, nie ślizgał się – leciał!

Jeżeli przy tej prędkości zakręci nagle na zachód – pomyślał Belmont – wywróci się na bok.

Lecz Marten nie zakręcił na zachód; gnał swój okręt bez miłosierdzia wprost ku zatoce Tag.

Portugalscy kapitanowie zrozumieli to wreszcie, wraz z kawalerem de Belmont. Fregata, ku której „Zephyr” teraz się zbliżał, na gwałt podnosiła żagle, szykując się do zwrotu na fordewind *, a wszystkie pozostałe odbiły w prawo, aby otoczyć zbiega od zachodu.

Wyścig trwał, szanse obu stron ważyły się, lecz „Zephyr”, wydostawszy się wreszcie spoza osłony da Roca, z każdą minutą zyskiwał na wietrze.

Niski południowo-zachodni cypel przylądka, za którym otwierało się wejście do zatoki, wynurzał się z morza oświetlony promieniami wschodzącego słońca. Parę małych stateczków i łodzi rybackich lawirowało wzdłuż niego ku północy, a jakaś

większa barka sunęła wolno w przeciwną stronę, przecinając zatokę w poprzek.

„Zephyr” zrównał się z fregatą, która tymczasem ukończyła manewr, i przez chwilę oba okręty płynęły równolegle w odległości przewyższającej donośność dział. Portugalski kapitan nie próbował nawet rozpocząć ognia; postanowił najpierw zbliżyć się nieco, przycisnąć ściganego nieprzyjaciela do brzegu. Skierował więc fregatę skośnie ku południowemu wschodowi, co zresztą miało tylko ten skutek, że zaczęła zostawać w tyle, podczas gdy „Zephyr” parł naprzód wyprzedzając ją coraz bardziej.

Wtedy padł pierwszy strzał z jej przedniego działa. Strzał, który wprawdzie nie doniósł, ale za to zaalarmował wszystkie inne okręty w promieniu wielu mil. Huk wstrząs-

nął powietrzem, potoczył się po morzu, wpadł na skały, odbił się od nich echem i grzmiał jeszcze, gdy kłęb dymu przeciągnął nad pokładem i rozwiął się za rufą fregaty. Zaraz potem przemówiły następne działa, pojedynczo, w równych odstępach czasu, jakby miotając groźby czy też wzywając pomocy.

I pomoc nadeszła.

Belmont ujrzał wierzchołki masztów i najwyższe żagle sunące na tle nieba po drugiej stronie wąskiego, spelzającego w morze półwyspu. Zatoka była widać dobrze strzeżona. Od początku nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Za chwilę wszystko się skończy – pomyślał. – Wpakujemy się prosto pod ich działa.

Objął wzrokiem olbrzymią piramidę żagli „Zephyra”, zaróżowioną teraz od słońca. Wyglądała wspaniale. Odczuł żal, że ta różowa zjawa zwali się wkrótce na pokład zmieciona pociskami armatnimi. Przyglądał się jej z upodobaniem i ze współczuciem, nie myśląc o własnym losie, tak ściśle związanym z okrętem. Wtem coś go zastanowiło; uderzył go brak jakiegoś drobnego szczegółu w niemal doskonale pięknej sylwetce pędzącego na zagładę żaglowca.

Nie ma bandery! – błysnęło mu w głowie. – Dlaczego Marten nie kazał jej podnieść w obliczu tej śmiertelnej, ostatniej zapewne rozprawy?

Już chciał zawołać, aby zwrócić jego uwagę, gdy przy-’ szło mu na myśl, że Jan umyślnie tego zaniechał, aby nie zdradzić przed czasem, kim jest właściwie. Dowódcy okrętów śpieszących z głębi zatoki nie mogli zorientować się natychmiast w sytuacji; z pewnością nie byli przygotowani na to, że okręt, którego maszty i żagle dostrzegli tak blisko, jest właśnie ściganym przez inne korsarzem. Ustalenie tego faktu, wycelowanie dział i odpalenie salwy mogło nastąpić po upływie kilkunastu lub kilkudziesięciu sekund. Natomiast Marten wiedział z całą pewnością, że k a ż d y okręt,

jaki znajdzie się w zasięgu jego artylerii, jest okrętem nieprzyjacielskim; nie musiał czekać, bo nie mógł się pomylić.

Belmont z podziwem potrząsnął głową. Ten dwudziestodwuletni młodzik przewidział to wszystko z góry! Okazał się nie tylko znakomitym żeglarzem, lecz równie doświadczonym taktykiem. Zdołał wyprowadzić w pole dwóch kapitanów fregat, a teraz bardziej sam zagrażał dwu innym niż oni jemu.

Jeżeli mu się udaś- pomyślał kawaler de Belmont -; będzie to najwspanialsza rejterada, jaką widziałem w życiu.

W tej chwili odczuł, że „Zephyr” nieznacznie zmienia kurs. Ciemna, poszczerbiona linia brzegu zaczęła odchyłać się w lewo, a sterczący skośnie bukszpryt zataczał szeroki łuk po horyzoncie. Prawie jednocześnie dwie ciężkie kara-wele portugalskie wypłynęły z zatoki na pełne morze. Każda z nich musiała liczyć co najmniej po sześćset łasztów. Miały po dwa pokłady artyleryjskie i niosły zapewne po sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt dział różnego kalibru.

–Ognia! – zawołał Marten. – Ognia!

Cała lewa burta bluznęła ogniem i dymem...„Zephyr”

odskoczył w prawo jak od potężnego pchnięcia, zakołysał się, a huk uderzył w ciszę, która runęła z łoskotem stokrotnego echa. Wiatr niósł zwoje dymu dokoła kadłuba i masztów, tak że okręt przez pewien czas po prostu znikł z oczu swym prześladowcom. Ich działa milczały; słychać było tylko oddalającą się wrzawę zmieszanych głosów i okrzyki trwogi.

–Bandera na maszt, Ryszardzie! – wołał Marten.– –

Żywo! Niech wiedzą, z kim mieli do czynienia!

Paru ludzi skoczyło do grotmasztu i Belmont zobaczył, jak długa, trójkątna czarna flaga ze złotą kuną pośrodku wspina się w górę i trzepoce na wietrze.

Spojrzał ku zatoce. Poprzez resztki dymu ciągle jeszcze spowijające pokład dostrzegł poszarpane żagle, połamane

reje, pozrywane sztagi * i wanty karaweli, którą prąd znosił bokiem prosto pod dziób drugiego okrętu.

Naraz kilkanaście błysków zalśniło wzdłuż jej kadłuba,] Huknęła salwa i całe stado pocisków zawyło nad rufą „Ze-phyra”;

–Haniebne pudło! – krzyknął urągliwie ktoś z mary* narzy.

Kilku roześmiało się hałaśliwie, a potem grad obelg posypał się na portugalskich ceigwartów i puszkarzy. Wymyślano im od świniopasów i niedołęgów, od kanalii i zasrańców, nie szczędząc bardziej drastycznych epitetów pod adresem ich samych i ich przodków

Tymczasem Marten znów wykręcił na południe, a zaraz potem na południowy zachód, w samą porę, aby uniknąć następnej salwy, która podniosła wysokie fontanny wody o sto jardów od burty „Zephyra”. Była to zresztą ostatnia salwa, jakiej mógł się obawiać. Beładna strzelanina, która po niej nastąpiła, wywołała tylko głośną wesołość wśród załogi. Pociski nie donosiły, cała flotylla portugalska rozrzucana wachlarzowato po morzu zostawała coraz dalej w tyle, a „Zephyr” leciał przez fale wśród wrzasków radości i triumfu.

Gdy na pokładzie ukazał się Tomasz Pocięcha, Marfen pierwszy chwycił go w objęcia i ucałował w oba policzki. Klepano go po plecach, potrząsano za ramiona, tarmoszonoj ze wszystkich stron i wrzeszczano wniebogłosy.

Belmont przyglądał się temu z uśmiechem, a w końcu sam także uściśnął sękatą dłoń głównego bosmana, której nie mógł wymówić słowa z wielkiego wzruszenia.

Jan promieniał zadowoleniem i dumą. Jego wielogodzinne milczące opanowanie i napięcie rozładowywało się teraz w niezwyklej wielomówności.

–Oto co nazywam prawdziwym życiem – powtarzał chełpiąc się przed Belmontem każdym szczegółem udanego przedsięwzięcia, – Pokazałem im, co potrafię, tym szczeronio Będą mnie pamiętać! Powiedz sam, czy to nie lepsza gra niż monte? Tyś wygrał ode mnie trochę złota, które i tak przeleciałoby mi przez palce, ja wygrałem sławę!

–Żałuję tylko jednego – powiedział później, gdy we dwóch jedli śniadanie – Żałuję, że ta portugalska lala i jej czcigodny ojciec nie mogli widzieć, jak rozprawiliśmy się z ich siedmioma okrętami, które zwabili, aby mnie zgładzić, z nadmiaru wdzięczności zapewne! Wiele bym dał za to, żeby mogli zobaczyć choćby tylko tę jedną jedyną salwę Pocięchy.

–Widzieli ją z pewnością – odrzekł Belmont. – Jestem przekonany, że oglądali całe to widowisko ze skał da Pioca; z tego miejsca, gdzie rozpalili ogień. Ręczę, że nie ruszyli się krokiem dalej.

–Racja! – wykrzyknął Marten. – Musieli widzieć! Oh, przyjacielu, myślę, że warto wypić jeszcze jeden kielich wina z tego powodu.

Kawaler de Belmont myślał zupełnie tak samo.

Spotkanie „Zeplyra” z „Ibexem” i „Castro Verde” miało nastąpić, według umowy między Martenem a White'em, w okolicach południowego krańca Azorów, w promieniu kilku mil od wschodnich brzegów wyspy Santa Maria. Lecz już nazajutrz rano marynarz pełniący służbę na marsie fok-masztu rozpoznał oba okręty żeglujące wół wiatru, a w godzinę później „Zephyr” je dopędził.

Zwinięto część żagli, aby choć w pewnej mierze dostosować się do prędkości pryzu, po czym zaczęło się znów monotonne lawirowanie – raz lewym, raz prawym ciągiem – ku Anglii. Kawaler de Belmont raz jeszcze spróbował nakłonić Martena do gry w monte, ale Jan stanowczo odmówił.

–Graliśmy o twój pistolet – powiedział. – Wygrałem go i nie mam ochoty ryzykować, że go stracę. Ty wygrałeś także wszystko, co ode mnie wygrać mogłeś. O cóż więc moglibyśmy grać jeszcze?

–Choćby o część mojej wygranej – odrzekł Bel- A mont. – Wygląda na to, że cię po prostu ograbiłem.

Marten lekceważąco machnął ręką.

–Nie przejmuj się tym. Został mi „Zephyr”. Póki nim

dowodzę, nie dbam o resztę. Sam widziałeś, że mam większe

szczęście w bitwach niż w kartach. Odegram się na Hiszpanach,

nie na tobie.

Belmont poczuł się nieco dotknięty tą odpowiedzią. – Nie sądzisz chyba, że wygrałem w karty „Arrandorę” i wszystko złoto, które wraz z nią poszło na dno? – zapytał.

Marlen spojrział na *niego* bystro.

–Nie miałem zamiaru cię urazić! – zawołał. – Chciałem

tylko powiedzieć, że wolałbym razem z tobą zdobywać

hiszpańskie skarby niż grać w monte.

Kawaler de Belmont zdawał się rozważać te jego słowa przez dłuższą chwilę.

–~ Największe skarby Hiszpanii leżą daleko stąd – powiedział zamyślony. – Tam,

skąd wrócił Francis Drake. Gdybyś się na to ważył...

–Nie ma takiej rzeczy, na którą bym się nie ważył! –

przerwał mu Marten. – Mów!

I Belmont zaczął mówić, a w miarę jak roztaczał przed Martenem obraz wielkiego przedsięwzięcia, sam się do niego zapalał.

Opowiadał o nieprzebranych bogactwach Nowej Kastylii i Nowej Hiszpanii, o kopalniach złota i srebra w Potosi, Zacatecas i Veta Mądre, o niezliczonych stadach bydła wypasającego się *na* równinach i halach *u* podnóży gór, o winnicach i sadach rodzących wspaniałe owoce, o żyznych ziemiach, na których dwa razy do roku zbierano pszenicę i żyto, trzcinę cukrową i bawełnę. Opisywał kwitnące wyspy i miasta, których przepych oglądał: Desirade, Domini-ca, Guadalupa, Porto Rico, Haiti, Kuba i Jamajka... Izabella, Santo Domingo i Santo Antonio; Veracruz i Tlaxcali: Tumbes, San Miguel i Lima. A nade wszystko Meksyk z jego pałacami i katedrą, która miała ołtarz i świeczniki z litego srebra oraz kutą kratę przed ołtarzem ze srebra i złota.

Mówił o dworach wicekrólów, których majątek i władza przewyższały dobra i władzę niejednego monarchy w Europie; o zgrai gaczupinów * – urzędników hiszpańskich, ca-balleros, corregidorów i alcadów sprawujących rządy nad

Kreolami i łupiącymi ich bez litości, podczas gdy Kreole z kolei łupili i wyzyskiwali swych podwładnych – Indian i murzyńskich niewolników pracujących na estanejach, ranchach i po hacjendach; o zakonach i wyższym duchowieństwie, w którego rękach pozostawały olbrzymie zasoby pieniędzy obracane nie tylko na przyozdobienie kościołów, lecz przede wszystkim na lichwiarskie pożyczki i spekulacje; o skarbach spoczywających w kapitułach, o wystawnym życiu biskupów i przeorów...

–Zaledwie drobna część tych bogactw dociera corocznie do skarbcza Filipa II – rzekł mimochodem. ~ Okruchy dochodów świeckich dygnitarzy, posiadaczy i zarządców kopalń, poborców podatkowych, dzierżawców celnych, kupców i plantatorów. Świeckich, powiadam, bo dobra kościelne nie opłacają żadnych danin.

–A przecież Złota Flota... – zaczął Marten, lecz Belmont przerwał mu w pół słowa.

–Złota Flota jest w gruncie rzeczy flotą raczej srebrną – powiedział. – Ale i srebro ma dostatecznie dużą wartość, aby stać się pożądanym łupem, zwłaszcza że istotnie bywa gęsto przetykane złotem i drogimi kamieniami. Dlatego tylko raz do roku, zwykle w lutym, wielki konwój statków strzeżonych przez okręty wyrusza do Hiszpanii, wioząc królowi jego udział. Każdy z tych statków wart jest więcej niż „Castro Verde”, a przecież to tylko okruchy.

–Galeony i karawele królewskie muszą ieft dobrze pilnować – mówił dalej po chwili.
– Złota Flota płynie bardzo wolno od portu do portu. Tak na przykład żegluga z Veracruz lub z Panamy do Hawany na Kubie trwa nieraz sześć tygodni i dłużej. A po drodze, u wybrzeży Campeche, pomiędzy małymi wysepkami i dalej – przy brzegach Florydy i wśród licznych, prawie bezludnych Wysp Bahamskich.– czyhają okręty korsarskie. „Arrandora” także uszczknęła tam nieco królewskiego srebra i złota – powie*

dział z drapieźnym uśmiechem. – Ale cóż to znaczy w porównaniu ze zdobyczami takiego Drake'a lub Hawkinsa. Cmi łupili całe miasta! Całe prowincje! Martenowi zabłyśły oczy.

–Potrafiłbym to samo – rzekł. – Gdybym tylko miał przewodnika.

–Nie wątpię – mruknął Belmont na pół do siebie. – Znam taką zatokę – powiedział wolno, patrząc gdzieś w przestrzeń ponad głową Martena – taką zatokę – powtórzył – o której nie wiedzą ani Hiszpanie, ani ich wrogowie. Zresztą gdyby się nawet dowiedzieli o jej istnieniu, nie potrafią tam się dostać...

. Urwał, jakby się zawahał, czy mówić dalej. Spojrzał Martenowi prosto w oczy i nagle ożywił się, powziąwszy widać decyzję.

–Posłuchaj – zaczął nachylając się ku niemu. – Oddałem

niegdyś znaczną usługę pewnemu wodzowi indiańskiemu. Nazywa

się Quiche. Quiche-Mędrzec. Chodziło ni mniej, ni więcej, tylko o

królestwo. Doczesne i jak najbardziej ziemskie, naturalnie; nie to,

które nam obiecują księża w zamian za życie w cnocie, ubóstwie i

umartwieniu, z towarzyszeniem modłów i spowiedzi. Więc

chodziło o królestwo, wcale zresztą spore; mniej więcej równe

obszarem Flandrii. Ten kraj leży na północ od prowincji

hiszpańskiej Tamaulipas, w północno-zachodnim łuku Zatoki

Meksykań

skiej i wzdłuż rzeki Amalia, od której bierze swą nazwę.

Quiche nie miał jeszcze wówczas zaszczytnego przydomka Mędrzec. Miał natomiast wojowniczego, ambitnego i żadnego władcy szwagra, który wzniecił

przeciw niemu bunt, rodzaj pronunciamiento czy też cuartelazo. Prawowity władca Amaha musiał uciekać ze swej stolicy – to jest z niewielkiej osady nad rzeką, złożonej z jakichś czterdziestu chat – i z garścią wiernych wojowników najpierw długo bronił si-^na wybrzeżu, później zaś zawarł nawet rozejm i pro-

wadził jakieś polityczne układy, raz po raz zrywane to przez jedną, to przez drugą stronę, zupełnie jak w Europie. Chodziło przecież o królestwo! No, a ja szukałem tam miejsca dogodnego do wylądowania, aby nabrać słodkiej wody, i omal nie wpakowałem „Arrandory” na paskudną mieliznę w tej zatoczce.

Quiche mnie ostrzegł w samą porę. Wysłał na spotkanie okrętu pirogę pełną wrzeszczących dzikusów. Na szczęście nie zacząłem do nich strzelać, a jeden z moich bosmanów zdołał się z nimi porozumieć. Wprowadzili „Arrandorę” do zatoki i wskazali nam źródło doskonałej wody. Potem przybył na pokład sam Q u i che w otoczeniu świty wystrojonej w pióra i uzbrojonej w dzidy, łuki i tarcze. Wyglądał imponująco! A przy tym był naprawdę inteligentny, jeśli tak można powiedzieć o gente sin razon, jak by go nazwali Hiszpanie.

Nie, nie brakowało mu rozumu, a przynajmniej sprytu. Potrafił mnie przekonać i nakłonić, abym mu pomógł. Prawdę mówiąc, węszyłem złoto w tej jego Amaha. Ale złota było tam bardzo mało; chyba niewiele więcej, niż mi później ofiarował.

Wojna domowa, w której wziąłem udział po jego stronie, dla mnie trwała zaledwie kilka godzin. Ze dwanaście łodzi holowało „Arrandorę” w górę rzeki, a tam, gdzie to” było możliwe, po kilkudziesięciu ludzi ciągnęło ją na linach idąc brzegiem. Po drodze odparliśmy dwa ataki Indian. Za każdym razem wystarczała jedna salwa z muszkietów; Ich huk robił większe wrażenie niż niewielka liczba zabitych i rannych. A gdy w końcu skierowałem ogień armatni na stolicę, szwagra mego sojusznika przyprowadzono na brzeg związanego sznurami. Wydali go jego główni wspólnicy, dwaj czarodzieje czy też kapłani niejakiego Tlaloka, który odgrywa tam rolę Zeusa. Obaj zresztą ponieśli śmierć wraz z tym szwagrem, już nie pamiętam, jak się nazywał.

Doradziłem wodzowi, żeby ogłosił powszechną amnestię, on zaś okazał się mniej krwiożerczy i mściwy niż niejedyn cywilizowany władca europejski, dając tym zresztą dowód rozumu politycznego.

Byłem tam jeszcze dwukrotnie; ostatni raz mniej więcej przed rokiem. Zastąpiłem stolicę odbudowaną, a cały kraj w stanie bardziej pomyślnym, niż mógłbym przypuszczać. Quiche-Mędrzec zasłużył na swój przydomek. Zawarł przymierze z wodzami kilku sąsiednich plemion i rządzi despotycznie, lecz sprawiedliwie w swoim niepodległym królestwie.

Jak ci mówiłem, Amaha jest niedostępna od strony morza z powodu zdradliwych mielizn; w głębi lądu otaczają ten kraj wysokie, dzikie góry lub bagna i nieprzebyta

puszcza. Zapewne dlatego nie zaglądamy tam ani korsarze, ani Hiszpanie, jakkolwiek wieść o Quiche-Mędrca krąży po Zatoce Meksykańskiej. Wiem, że chronią się u niego zbiegowie z kreolskich estancji, i to zarówno Indianie, jak Murzyni. Quiche nadaje im działki ziemi, którą uprawiają na własny użytek. Utworzyli już całą kolonię, którą nazywają tam Przystanią Zbiegów.

Otóż myślę, że Amaha nadawałaby się szczególnie na stałe schronienie dla wyprawy obliczonej nawet na dwa, trzy lata. Można by ufortyfikować ujście rzeki, czego sam diabeł nie dostrzeże z otwartego morza. Zatoka już z natury jest obronna. Kto nie zna właściwych przesmyków, nie zdoła ominąć raf tworzących rodzaj atolu otaczającego płytką lagunę, osłoniętą w dodatku zakolem lądu z wysokimi drzewami. Kto nie zna rozlewisk i łąch, nie odróżni właściwego koryta rzeki nawet podczas odpływu. Dwa lub trzy okręty mogą się tam bronić przeciw całej flotyli wojennej. Paruset ludzi wystarczy, aby odeprzeć każdy desant. W głębi, o kilka mil od morza, znajduje się stolica, Nahua. Podczas mojej ostatniej bytności Quiche rozpoczął tam budowę pomostu na palach wbili

Łych w dno u prawego brzegu Amaha. Zdaje się, że zamierzał] zbudować także jakieś składy czy coś w tym rodzaju, aby przechowywać w nich żywność. Można by je rozszerzyć, prze- j robić i odpowiednio zabezpieczyć, przeznaczając na przecho- j walnie zdobyczy. A potem, mając taką warownię na półno-1 cy...

Przymknął powieki i uniósłszy w górę brwi poruszał głową na lewo i na prawo, jakby sam zdumiewał się ogromem możliwości wynikających z takich założeń.

Marten wpatrywał się w niego płonącymi oczyma. Nozdrza mu drgały, jakby wietrzył już gorący, duszny zapach tropikalnych lasów nad tajemniczą rzeką, tętna waliły w skroniach, krew spieszniej płynęła w żyłach na samą myśl o tak niezwyklej przygodzie.

W pierwszej chwili gotów był zaniechać powrotu do Anglii, zwrócić okręt na południowy zachód i płynąć tam, ku owej lagunie ukrytej przed światem. Lecz natychmiast opanował ten poryw.

Rozumiał, że ani „Zephyr”, ani jego załoga nie są przygotowane do takiego przedsięwzięcia że sam musi je przemyśleć, rozpatrzyć szczegółowo, omówić z White'em i ze swoimi ludźmi. Że trzeba zebrać zapasy,

broń, amunicję, narzędzia. Przewidzieć z góry pierwsze potrzeby i wszystkie

trudności, a także zapewnić sobie udział i pomoc Belmonta.

Ta ostatnia sprawa nie nastrożyła wielu zachodów i starań.

Kawaler de Belmont nie ukrywał, że od dawna zamierzał na własną rękę uzbroić i wyekwipować drugi okręt, aby wyruszyć do

Amaha. Gromadził w tym celu pieniądze, a wyprawa wzdłuż

zachodnich wybrzeży Afryki przyniosła mu tyle, że był już bliski realizacji swych planów, gdy zatonięcie „Arrandory” u przylądka

Padruo zniweczyło je nagle

i bezpowrotnie. «

Teraz więc, wyjawivszy Martenowi swą tajemnicę, nie wahał się przed udzieleniem mu wszelkich dodatkowych

i wskazówek, a także przed zawarciem z nim odpowiedniej umowy.

Uzgodniwszy jej zasadnicze warunki jeszcze tego samego dnia, nadal rozmawiali już tylko o krokach, jakie należało podjąć w Anglii, oraz o wszystkich innych szczegółach dotyczących przygotowań do wyprawy, której początek Belmont przewidywał na wiosnę.

Na omawianiu dalszych projektów i planów ostatnie dni podróży upływały im szybko. W końcu września „Zephyr”, „Ibex” i „Castro Verde” minęły wyspę Ouessant u zachodnich wybrzeży Bretanii i weszły na wody La Manche, w trzy doby później znalazły się u ujścia Tamizy, a drugiego października zakotwiczyły w Deptford.

Przybycie dwóch niewielkich okrętów korsarskich i okazałego przyzwo nie wywołało większego zainteresowania w porcie. Deptford i cały Londyn pozostawały pod wrażeniem powrotu Franciszka Drake'a, jego flotylli naładowanej skarbami złupionymi na Hiszpanach u brzegów Peru i Chile, w zachodnim Meksyku, w Kalifornii i na Molukach, które dotąd nie widziały nieprzyjacielskiej bandery. Rozgłos tych czynów zaćmił wszystkie inne zdarzenia. Opowiadano sobie o stosach złota i srebra spoczywających w ładowniach pięciu okrętów, o skrzyniach drogich kamieni zalegających dno „Złotej Łani” i o wspaniałych klejnotach, jakie noAvo mianowany admirał ofiarował królowej.

Posel hiszpański wniósł na niego skargę i żądał wydania zuchwalca, lecz Elżbieta zbywała go wykrętnymi odpowiedziami i zaprzeczeniami. Było publiczną tajemnicą,

że uczestniczyła w kosztach wyprawy i otrzymała swój udział w zdobyczy. Wkrótce rozeszła się wiadomość, że kazała ozdobić koronę królewską najpiękniejszymi klejnotami otrzymanymi od Drake'a.

Tłumy gromadziły się na brzegu Tamizy, aby z daleka podziwiać „Złotą Łanię” w oczekiwaniu na sposobność zobaczenia śmiałka, który nią dowodził. Pachołkowie miejscy rozpędzali to zbiegowisko, gdy ciężkie wozy otoczone kordonem straży konnej zajeżdżały raz po raz na nabrzeże, aby zabierać i przewozić do skarbcza królewskiego i do podziemi banków cenny ładunek.

W ciągu pierwszych kilku dni ani Henryk Schultz, ani White, ani nawet Belmont nie mogli załatwić rozrachunków z urzędem skarbowym, ponieważ wszyscy urzędnicy zajęci byli wyłącznie obliczeniami dotyczącymi zdobyczy Franciszka Drake'a. Ładownie „Castro Verde” opieczętowano, a szyprom polecono wstrzymać się z zawieraniem wszelkich transakcji. *Dopiero* wpływy armatorów „Ibexa” i osobiste interwencje kawalera de Belmont u lorda Burghleya, a może bardziej jeszcze podarunki, jakie Schultz z ciężkim sercem wręczył pewnym osobistościom urzędowym, przyczyniły się do utorowania drogi w gąszczu biurokratycznych formalności.

Salomon White nie bez pomocy Schultza otrzymał okup za panów de Ibarra i da Lancha, po czym wszyscy czterej udali się do kościołów dwu różnych wyznań, aby podziękować Opatrzności za takie zakończenie przygody. Ładunek „Castro Verde” został sprzedany, jak również sam pr\$z, z którego Marten zatrzymał cztery falkonety dla „Zephyra”.

Uporawszy się z tymi sprawami, Jan wyjawiał wreszcie White'owi i Schultzowi swoje dalsze zamiary. Nie spotkał się bynajmniej z entuzjastycznym ich przyjęciem, Henryk uważał je za zbyt ryzykowne, zwłaszcza wobec poważnych wkładów, jakich wymagały przygotowania do tak wielkiego przedsięwzięcia. White uzależniał swój udział w wyprawie od zgody armatorów „Ibexa”, poważnych obywateli, którzy zwlekali z ostateczną decyzją, tocząc długie dyskusje i spory. Kawaler de Belmont także jak gdyby się wahał, czy też może ociągał, zajęty odnowieniem i utrwaleniem

swych stosunków w wyższych sferach towarzyskich Londynu. Znaczna część załogi „Zephyra” rozproszyła się, aby przehulać zdobycz w ciągu zimy, która nadeszła tymczasem, ograniczając żeglugę i skupiając w portach beczynne okręty;; Nikomu nie było spieszno do realizacji, fantastycznych planów -Martena.

Tylko on sam zabiegał około przygotowań i teraz wyrzucał sobie lekkomyślność, z jaką przegrał ogromny łup pochodzący z „Castro Verde”. Gdyby miał te pieniądze, nie oglądałby się na nikogo.

Wśród swych kłopotów i trudności zdecydował się szukać rady i pomocy u Drake'a,

Jęcz i tam spotkał go zawód. Admirał przyjął go wprawdzie natychmiast i rozmawiał z nim nader przyjaźnie, a nawet zachęcał go do podjęcia *planowanej* wyprawy, lecz Marten wyczuł, że te zachęty nie są zbyt szczerze. Nie otrzymał żadnych wskazówek i wkrótce pojął, że Drake nie stara się odwieść go od jego zamiarów głównie *dlatego, iż nic* wierzy w pomyślne ich spełnienie.

A jednak obawia się tego – pomyślał nie bez pewnego zadowolenia. – Nie chce mi nic ułatwić, ponieważ mogłoby mi się udać; *ponieważ* lęka się, że jego sława zostałaby przyćmiona.

Mimo to Marten nie żałował, iż odwiedził admirała. Drake widocznie pozostawiał mu wolną rękę, a przynajmniej nie zamierzał przeszkadzać. Miał inne plany, związane ze swym noAvym stanowiskiem w Anglii i z zaszczytami, jakich oczekiwał od królowej. Obiecał nawet, że przy sposobności wspomni u dworu o "zasługach Martena.

Jan nie oczekiwał wcale spełnienia tej obietnicy, toteż zaproszenie na uroczystość nobilitacji Franciszka Drake'a nic zrobiło na nim więkzszego wrażenia. Posłanowił pójść na nią jedynie z ciekawości, nie przywiązując do tego wielkiej wagi.

Belmont *nalomiasł*, dowiedziawszy się o wyróżnieniu, jakie spotkało dowódcę „Zephyra”, bardzo się przejął i oświadczył mu, że jest to okazja, którą należy wykorzystać właśnie w związku z ich planami. Ponieważ zaś do owej uroczystości pozostało zaledwie kilka dni, zajął się gorączkowo nie tylko akcją *dyplomatyczną* na rzecz Martena wśród swych utytułowanych przyjaciół, lecz również przygotowaniem *Jego* samego do spotkania z dworem, a może nawet do rozmowy z królową.

Jan przyjmował jego instrukcje, pouczenia i uwagi z niejakim rozbawieniem, lecz gdy wypłynęła kwestia stroju, stanowczo nie chciał włożyć ani koronkowej krezy i mankietów, ani sprawić *sobie* „miejskiego” ubrania na wzór tego, jakie nosił de Belmont.

Wystąpił bogato, lecz to, co miał na sobie, w niczym nie przypominało ubioru wykwinanego kawalera. Włożył *jasne* łosiowe spodnie do kolan, czerwone buty z cienkiej koziej skóry i śnieżnobiałą koszulę z flamandzkiego płótna. W biodrach opasał się szerokim czerwonym aksamitnym pasem, za którym tkwił pistolet, a na ramiona zarzucił krótką kurtkę z granatowego aksamitu z diamentowymi guzami, szamerowaną złotem i ozdobioną sobolowym kołnierzem. Do tego miał również aksamitny kołpak z sobolami i kitą piór przypiętych cennym zekierem z trzema rubinami. Belmont sam musiał przyznać, że Jan w tym barwnym stroju wygląda zapewne nieco zbyt oryginalnie jak na zwyczaje londyńskie, niemniej jednak prezentuje się okazale.

Ujrzał go z daleka, idąc w orszaku królowej *i* przyjaźnie skinął mu głową. Marten stał w jednym szeregu z najślawniejszymi żeglarzami, wśród których były takie

znakomitości, jak Ryszard, William i Jan Hawkinsowie, czy Marcin Frobi-sher, i bynajmniej nie wydawał się onieśmielony.

Sir Walter Raleigh, jeden z ulubieńców *królowej sarn*: również żeglarz z krwi i kości, zwrócił na niego uwagę,

a Belmont pośpieszył wyjaśnić mu, że ten niezwykle młodzieniec jest osobistym przyjacielem Franciszka Drake'a. Lecz Raleigh pominął tę informację niedbałym skinieniem *dłoni i pogardliwym uśmiechem*. Nie darzył sympatią ani Drake'a, ani jego przyjaciół, a Belmont nie liczył wcale na jego poparcie. Zresztą uważał, że nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila, aby zainteresować królową osobą Martena: Elżbieta miała dokonać pasowania na rycerza swego admirała i to zajmowało teraz jej myśli.

Szła wolno przez pokład, stąpając po rozścielonym kobiercu, u którego końca na podwyższeniu wznosił się szkarłatny adamaszkowy baldachim i stało przygotowane dla niej krzesło. Nie usiadła. Lubiła stać, nawet wówczas, gdy przyjmowała ambasadorów i odbywała narady ze swymi kanclerzami i doradcami. Odwróciła się, a orszak dworzan rozstąpił się przed nią *na obie strony, tak że dopiero teraz Marten mógł ją ujrzeć*.

•Była kobietą lat czterdziestu kilku, średniego wzrostu, ze śladami przekwitłej już urody. Postać jej, odziana z przepychem w szeroką jak bania suknię podtrzymywaną od spodu całym systemem elastycznych obręczy i fiszbinów, udrapowaną złocistymi falbanami i godetami, ozdobioną sztywną kryzą u szyi, czyniła wrażenie sztuczne, a zarazem wspaniałe. Rzekłbyś, bóstwo z pogańskiej świątyni zstąpiło między zwykłych śmiertelników; bóstwo-o pełne złowieszczonego majestatu i równie pełne życia. –

Marten widział ją po raz pierwszy, ale słyszał był o niej niejedno. W gospodach i w szynkach portowych przy akompaniamencie lutni śpiewano na jej cześć przesadne madrygały; podczas krwawych widowisk cyrkowych, na których olbrzymie brytany walczyły z wilkiem lub z niedźwiedziem, wytworni panowie o utrefionych długich włosach, z kolczykami w uszach, op«-ftviadali sobie głośno skandaliczne plotki o jej kochankach, wyrażali podziw dla jej odwagi i zręczno-

ści na polowaniach, rozprawiali o przemówieniach skierowaniach do ambasadorów i do parlamentu; w jej imieniu pod pręgierzem obcinano uszy tym, co dopuścili się wykroczeń przeciw majestatowi lub których podejrzewano o sympatie dla wrogów monarchini, a działało się to wśród potoku nauk moralnych sędziów i śmiechu gawiedzi. Modlono się za nią w kościołach i przeklinano jej skąpstwo.

Byli tacy, którzy twierdzili, że opętało ją całe stado diabłów, lecz ogromna większość uwielbiała tę nieodrodną córkę Henryka VIII, co wybuchała gniewem, pluć,

waliła pięścią w stół, ryczała na całe gardło ze śmiechu, targowała się jak przekupka, wyprowadzała w pole potężnych władców to zwodząc ich nadzieją małżeństwa, to grożąc wojną, a jed-1 nak utrzymując nieprzerwany, długotrwały pokój.

Jej niesłychana energia i żywotność budziły podziw pod danyh. Dokoła tej szorstkiej, zawiadackiej kobiety o męskim umyśle i wielkim talencie dyplomatycznym powstawała legenda podbijająca serca prostych ludzi. Wybaczano jej miłości i namiętności, sławiono jej wykształcenie, odwagę i spryt handlowy; składano jej hołdy, z których żadnego nie, uważała za przesadny, a szczęśliwy los i powodzenie towarzyszyły jej stale.

Marlen, patrząc na nią, nie doznał rozczarowania. Niel była piękna, to prawda. Nad jej bladą twarzą o oslrych*ry- l sach i wydatnym nosie piętrzyła się wysoka piramida włosów l ufarbowanych na rudo, między przywiedłymi uróżowanymi wargami ukazywały się długie, brzydkie, poczerniałe zęby, a ciemnoniebieskie oczy, osadzone głęboko i zarazem wylupiaсте, rzucały szybkie, dzikie spojrzenia. Lecz jakiś nieuchwytny nimb chwały zdawał się otaczać tę starzejącą się kobietę, fantastycznie ubraną, o postaci nieco przygarbionej, lecz wyniosłej i pełnej godności.

Gdy Francis Drake, odziany w pozłocisty półpancerz, z którego wystawała pienista kryza u szyi, postąpił ku niej,

a potem przyklęknął na jedno kolano, zaczęła mówić. Głos miała ostry, wysoki, nieco chrypliwy, ale wypowiedane przez nią zdania toczyły się z werwą, akcentowane czasem pełnymi wdzięku gestem długich rąk, okraszone tu i ówdzie doskonałą cytata łacińską lub grecką. Elżbieta dziękowała swemu admirałowi za dary, chwaliła jego waleczność i odwagę, wyrażała uznanie dla zasług. Wreszcie, ujawszy lekki miecz, który podał jej William Cccii lord Burghley, wygłosiła formułę no-bilitacyjną i dotknęła klingą ramienia Drake'a, a potem podała mu dłoń do ucałowania.

W ten sposób oficjalna część uroczystości została szybko załatwiona. *Pogańska* bogini zstąpiła z podwyższenia, zaczęła żartować rubasznie z tym i owym, wypila jedną i drugą czarkę wina, z apetytem ogryzła skrzydełko kurczęcia, z uśmiechem wysłuchała pochlebstw jakiegoś pięknie zbudowanego młodzieńca i podniecona jego urodą uszczypnęła go lekko w policzek. Wreszcie na prośbę Drake'a zgodziła się obejrzeć jego okręt.

Admirał – szczupły, niewiele wyższy od królowej, prawie niepozorny na pierwsze wejrzenie – wydawał się jej nudny i prostacki, lecz starała się być dla niego łaskawa i uprzejma w tym dniu, zwłaszcza że była jego gościem. „Złota Łania”, cała w gali, obudziła zresztą niejakię jej zainteresowanie. Lecz gdy w otoczeniu dworaków przeszła na dziób i wspięła się po stopniach na niski przedni kasztel, uwagę jej zwrócił inny okręt zakotwiczony nieco dalej. Był niniejszy od „Złotej Łani”-, ale jego doskonałe proporcje, piękna rzeźba pod bukszprytem wyobrażająca uskrzydłonego

młodzińca', wysokie maszty a także czarna flaga z wizerunkiem złotej kuny, wciągnięta na szczyt jednego z nich, zaciekały ją znacznie bardziej.

– „Zephyr” – przeczytała jego nazwę. – Czyj to okręt? – zapyła nie zwracając się specjalnie do nikogo z otoczenia.

Kawaler de Belmont czekał na to pytanie. Przewidywał je. To on za pośrednictwem Marcina Frobishera poddał Drake'owi myśl zaproszenia królowej do obejrzenia „Złotej Łani” i on również dzięki swym stosunkom uzyskał pozwolenie władz portowych na przeholowanie „Zephyra” przed dziób admirałskiego okrętu, a teraz w samą porę znalazł się pod ręką, aby dać odpowiedź.

Ale zanim otworzył usta, usłyszał za plecami głos Jana Martena, który nie myślał zdawać się na kogokolwiek, gdy chodziło o tę sprawę.

– „Zephyr” należy do mnie, wasza królewska mość –
powiedział głośno.

Elżbieta spojrzała na niego trochę zaskoczona, a Belmont poczuł, że skóra mu cierpnie: ten nieokrzesany korsarz mógł wszystko zepsuć, zlekceważył jego instrukcje i rady; nie liczył się z majestatem królowej; przemawiał niemal poufale, niemal jak do równej sobie.

Lecz w oczach monarchini nie było gniewu, tylko zacieśnienie, a może nawet błysk lubieżnego uśmiechu. Przystojny, rosły, trochę bezczelny śmiaćek podobał się jej nadzwyczajnie. Patrzyła na niego z upodobaniem, a lekki dreszczyk podniecenia łaskotał jej plecy.

Drakę wykrztusił kilka wyjaśnień dotyczących swej znajomości z Martenem, a kawaler de Belmont dodał coś nie- coś od siebie. Wystarczyło to, aby w pamięci Elżbiety stanęły cyfry udziału, jaki jej przypadł ze zdobycia „Castro Verde”.

– Już wiem – powiedziała.

Ujęła Martena pod ramię i zeszła wraz z nim na główny

pokład, a potem zatrzymała się naprzeciw niego w otwartych drzwiach kasztelu. Wówczas zauważył, że jej szaty, jakkolwiek obficie udrapowane, pozostawiały bardzo wiele – zbyt wiele! – miejsc obnażonych, i to niezwykle głęboko. Pod rozciętą z przodu wierzchnią suknią z czarnej

tafty naszywanej złotymi taśmami i frędziami miała drugą ze srebrzystego adamaszku, rozciętą również od góry aż do pasa, a pod nią tylko cieniutką białą koszulę, także rozciętą i nie osłaniającą piersi. Koronkowa kryza wszyta w obręb

koszuli otaczała jej szyję tylko z tyłu i po bokach, sięgając poza ramiona i stercząc wysoko za głową, lecz bynajmniej nie zakrywając dekoltu. Przeciwnie: każde tchnienie wiatru odchyłało sztywne, rurkowane koronki wraz z wyciętymi brzegami stanika i wówczas Martenowi wydawało się, że widzi o wiele za dużo. Odwracał oczy, choć widok nie był przykry, bo biała płeć Elżbiety i Jej ciało zachowały zgoła młodzieńczą świeżość i jędrność. Ona zaś zauważyła jego zmieszanie i z całą świadomością wystawiała na pokaz swe wdzięki, odczuwając przy tym rozkoszny niepokój.

Rozmawiała z nim swobodnie i uprzejmie, wypytywała go o szczegóły bitwy, w której zdobył tak cenny przyz, i wysłuchiwała ze szczerym zainteresowaniem projektu wyprawy do Zatoki Meksykańskiej, a wreszcie obiecała mu pomoc materialną w przygotowaniach do tego przedsięwzięcia.

Była czarująca i uwodzicielska, lecz nie zapomniała o własnych interesach pieniężnych: zauważyła jakby mimochodem, że bądź co bądź będzie to poważne ryzyko, które mogłaby podjąć jedynie pod warunkiem znacznego udziału w zyskach.

– Nie myśl, że jestem bogata, mój chłopcze – powiedziała dotykając jego ramienia i ściskając je lekko, jakby chciała wyczuć twarde, sprężyste mięśnie. – Okręt, którym dowodzę, to cała Anglia. Wymaga on więcej wkładów niż twój piękny „Zephyr”.

Potrząsnęła rudą peruką, z której spływały olśniewające perły, i dzwoniąc kosztownymi bransoletami podała mu do ucałowania wąskie, długie palce ozdobione licznymi pierścieniami.

Od tej chwili wszystkie sprawy związane z ekspedycją „Zephyra” i „Ibexa” ruszyły z miejsca i poloczyły się naprzód z niewiarygodną szybkością. Widok skarbów zdobytych przez I.)rake'a i wyraźna, łaska królowej skłoniły armatorów Salomona White'a do powzięcia ostatecznej decyzji; Belmont w ciągu jednego dnia otrzymał potrzebne kredyty i skrypty z kancelarii White Hallu*, a Schultz nie napotkał żadnych trudności w zaopatrzeniu okrętów w konieczne zapasy. Broń, amunicja, narzędzia, beczki z prochem, solone mięso i suszone jarzyny, mąka, suchary, kasze, żywy drób i trzoda chlewna, wreszcie baryłki wody i wina wypełniały ładownie. Marten wybierał i kupował zapasowe liny, żagle, farby i smary, doglądał robót przy ustawianiu nowych dział i kompletował załogi.

Wraz z wiosennym słońcem i ciepłem do portu zaczęli ściągać marynarze. Większość tych, co z pełnymi kieszeniami jesienią opuścili pokład „Zephyra”, wracała teraz obdarta i bez grosza. Każdy z nich gotów był podpisać umowę na dwa lata, nie troszcząc się o to, dokąd popłynie. Lecz Marten, mając pod dostatkiem chętnych, przyjmował tylko najlepszych, zdrowych i silnych.

W dwa tygodnie po zawarciu specjalnego kontraktu między osobistym podskarbisem

jej królewskiej mości, działającym w imieniu Elżbiety, a korsarzem Janem Kuną, zwanym Martenem, oba okręty, „Zephyr” i „Ibex”, podniosły kotwice i wraz z pierwszą falą odpływu pożeglowały ku ujściu Tamizy.

Trwało to już od kwadransa. „Zephyr” pod skróconymi żaglami sunął wolno wzdłuż ładu po przeraźliwie jaskrawej powierzchni zatoki kłującej w oczy odblaskiem słońca. Łąd – ciemne zakole porośnięte bujną tropikalną puszcza – wyłaniał się spoza oślepiającej poświaty niewyraźny, milczący i tajemniczy, nie zdradzając niczym wejścia na lagunę, które otwierało się gdzieś wśród zielonej ściany gąszczy niewidoczne i nieodgadnione.

W oddali ponad lasem majaczyły na tle czystego błękitu nieba widmowe zarysy gór. a w przeciwnej stronie poprzez lewą burtę i rufę okrętu widać było sylwetkę „Ibexa” sto-¹jącego na kotwicy i cały łańcuch czarnych jak węgiel, skalistych wysepek, które „Zephyr” minął przed niespełną godziną. Dwie największe spośród nich całkowicie pochłaniały w tej chwili uwagę kawalera de Belmont. Bliższa, pozbawiona wszelkiej roślinności, wypiętrzała się pośrodku przypominając grzbiet wielbłąda z dwoma sterczącymi garbami; dalsza, leżąca poza nią nieco w prawo, miała kształt ściętego stożka ozdobionego kitą mangrowców *. Belmont nie spuszczał z nich wzroku czekając, aż pokryją się na jednej linii z „Zephyrem”, tak aby kępa drzew ukazała się w siodle między garbami. Marten stał obok niego zwrócony w stronę dzioba czujny i napięty, gotów rzucić rozkazy do wykonania szybkiego manewru. Tomasz Pocięcha tkwił nieruchomo przy sterze, ludzie czekali u lim W ciszy obejmującej ład, zatokę i okręt pod rozżarzoną niebem słońcem słycać było tylko plusk sondy, jedwabisty szelest rzutki ociekającej wodą i przeciągłó okrzyki Slovena:

–Cztery sążnieeee!

–Cztery sążnieeee!

Dwugarba wyspa wolno, wolniutko zaczęła przesłaniać tę dalszą, z mangrowcami. Gdy pierwszy garb zakrył drzewa, jednostajny głos Percy'ego nagle zmienił się w ostry krzyk:

–Trzy i pół! Trzy i pół sążnia!

Mięśnie jego brązowych, spalonych słońcem i wiatrem

ramion, kark, szyja i tors, pokryte dawno nie zmywanym brudem i potem, zaczęły gorączkowo pracować. Sonda leciała w przód, opadała na dno i wynurzała się u burty, zostawiając po sobie na powierzchni skłębione, wirujące męty szlamu.

–Trzy sążnie!

–Szesnaście stóp *!

~- Szesnaście!

Belmont na mgnienie oka odwrócił głowę, spojrzął na

Martena. Jan był blady, po jego zaciętej, skamieniałej twarzy spływały z czoła grube krople potu.

–Jeszcze nie – szepnął Belmont.

–Piętnaście stóp! – wrzasnął Percy. – Piętnaście! Marten przymknął oczy. Czerwone i zielone kręgi wirowały

mu pod powiekami. „Zephyr” nie mógł mieć więcej niż dwie stopy wody pod kilem. Jeżeli osiądzie na mieliźnie.;;

–Czternaście stóp! – zapiał Percy.

Mulisty, ciemny jak sadza zmieszana z popiołem ślad

zostawał za okrętem i niesiony prądem odpływał w lewo.

Dotyka dna – myślał Marten. – Wielki Boże, dotyka dna!

Niemal czuł to dotknięcie, jakkolwiek „Zephyr” nadal sunął gładko, bez najmniejszego drgnienia po zmaczonej wo-

dzie. Może zaledwie muskał górną warstwę zawiesiny sto* jącej nad grząskim gruntem? Lecz jego kapitanowi wyda* wało się, że widzi potężną sztabę kilu przecinającą półpłynne błoto, wrzynającą się coraz głębiej, orzącą bruzdę w kapryśnym, pofałdowanym podłożu.

–Czternaście stóp, czternaście! – wrzeszczał Percy

Šloven.

–Czternaście, czternaście!

Martenowi sekundy pomiędzy jednym jego okrzykiem a

drugim wydłużały się w nieskończoność. Spojrzął przed siebie i wtem na ciemnym tle brzegu dostrzegł coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Pośród oślepiającego blasku drobnych,-rozigranych fal o pół mili przed dziobem „Zephyra” sterczały z wody trzy maszty i szczątki przedniego kasztelu jakiegoś wraka, który widocznie tkwił tu od dawna i zdążył już zapaść głęboko w muł.

–Ster prawo na burt! – rozległ się głos Belmonta;

Jan obrócił się gwałtownie. Belmont ciągle jeszcze patrzył w

stronę rufy na owe dwie wysepki, pokrywające się teraz całkowicie, a Marten zauważył, iż pomiędzy dwoma garbami bliższej z nich wyrósł trzeci, uwieńczony kępą drzew.

–Spójrz tam – powiedział chrapliwie, – r Widzisz?

Belmont rzucił szybkie spojrzenie za siebie.

–O! – wykrzyknął zaskoczony, – Ktoś tu był przed nami! Zapewne...;

Lecz Marten już go nie słuchał: „Zephyr” zakręcał i lada chwila mógł wyjść spod wiatru.

–Luzuj i ciągnij! – zawołał.

Dopiero gdy reje obróciły się i zostały ponownie zamocowane, znów spojrzał ku wrakowi, który tymczasem zostawał już na lewo od kursu. Wszyscy inni patrzyli również w tę stronę, a Percy zagapił się tak dalece, że zapomniał na chwilę o sondowaniu dna.

–Sonda! – ryknął Marten.

Żelazna kula szarpnięta w górę śmignęła u burty;

–Piętnaście stóp! – wybuchnął Sloven, jakby miał się rozplakać.

I potem – z radosnym uniesieniem:

–Szesnaście! Szesnaście!

–Minęliśmy już ławicę – powiedział Belmont. – A ten się na nią nadział, i to chyba podczas największego przyływu, bo inaczej nie przeszedłby tak jak my – dodał, wskazując wrak. – Siedzi w mule po sam pokład.

–Zdaje się, że niewiele brakowało, żebyśmy się też nadziali – westchnął Jan,

–Nie bardzo wiele – przyznał Belmont. – Omyliłem się o jakie sto jardów; trzeba było żeglować bliżej lądu, tam jest o parę stóp głębiej. Ale ten blask...:

Dwa jednoczesne okrzyki z marsa fokmasztu i z dzioba przerwały mu dalsze

usprawiedliwienia. Na wprost przed „Zephyrem” w jednolitej ścianie lasu otworzyło się wejście na lagunę. Brzeg jak gdyby rozstępował się na obie strony, ukazując gładką jak lustro powierzchnię drzemiącej wody. Tylko pośrodku toń marszczyła się wyraźnie od nurtu rzeki, która wybiegała z lasów unosząc z głębi lądu rozmytą czarną ziemię i osadzając ją nieregularnymi ławicami na dnie.

Belmont sam ujął ster i prowadził okręt w pobliżu brzegu, który przesuwiał się bardzo wolno wzdłuż prawej burty, milczący, tajemniczy i bezludny. Minąwszy wejście i zatoczywszy łagodny łuk, aby nie znaleźć się w zasięgu prądu, polecił opuścić pozostałe żagle i korzystając z resztek pędu, skierował dziób „Zephyra” w lewo, po czym dał znak Martenowi do rzucenia kotwicy.

Przeciągły łoskot wypadającego przez kluzę * łańcucha

wstrząsnął! ciszą i utonął w niej bez echa. Okręt zwalniał, ciągnął, wykręcał, obrócił się dokoła kotwicy i wreszcie stanął zwrócony rufą ku brzegowi.

–I cóż dalej? – zapytał Marlen.

–Zaczekamy – odrzekł Belmont. – Ręczę, że obserwują nas ze wszystkich stron. Nie wiedzą, kim jesteśmy. Nie mają pewności, czy ich nie ostrzelamy, jeśli się ukażą. Nie wiem, czy pamiętają angielską banderę.

–Nie widzę na brzegu żywego ducha – powiedział Marten. – Wygląda na to, że...;

–A jednak są tam – przerwał mu Belmont. – Wiedza o każdym naszym poruszeniu. Widzieli każdy manewr. To ich musiało przekonać, że znamy drogę, lecz jeszcze nie są przekonani, że przybywamy jako przyjaciele.

Jego pewność siebie była tylko w połowie szczera. Co mogło zająć w Amaha podczas jego długiej nieobecności? Czy w Nahua rządził nadal Quiche? Co znaczył ów wrak osiadły na mieliźnie? Czy jakiś korsarz zapuścił się tu w pojedynkę, czy też inne towarzyszące mu okręty zdołały wtargnąć na lagunę? Może byli tu Hiszpanie? Może opanowali lub zniszczyli ten kraj?

Nie wydawało mu się to prawdopodobne: przejście było zbyt trudne, Amaha zaś nie obfitowała w złoto. Lecz kto wie...;

–Jeżeli za pół godziny nikt z brzegu się nie ukaże, popłynę

tam łodzią – powiedział do Martena. – Powinni mnie poznać.

Gdybym przybył na „Arrandorze”...;

Urwał nagle. „Arrandora”! Powinni pamiętać tę nazwę!

–„Ar-ran-do-ra"! – zawołał głośno. – „Ar-ran-do-ra"!

I znów głos poleciał w przestrzeń, by utonąć w niej bez

echa, jak poprzednio bez echa zapadł w ciszę łoskot rzuconej kotwicy.

Marten nasłuchiwał przez chwilę i wreszcie z powątpiewaniem potrząsnął głową.

–Nie ma tam nikogo – powiedział.

Lecz nim skończył, jakiś dziwny odgłos nadleciał z głębi

lasu.

–Słuchaj – szepnął Belmont.

Cisza zdawała się teraz falować zmiennym rytmem, pękać

raz po raz stłumionym grzmiotem. Głębokie, niskie, raz miękkie, to znów twarde i dźwięczne dudnienie toczyło się z gęstwiny, opadało i wznosiło się, cichło i odzywało się znowu.

–Bęben – powiedział Marten.

Cztery głośniejsze uderzenia zabrzmiały w równych odstępach i wszystko umilkło. Cisza zawisła jak przedtem nad laguną.

Jan spojrzał na Belmonta i chciał o coś zapytać, lecz tamten powstrzymał go ruchem dłoni. Z daleka, rzekłbyś, z samego serca puszczy nadpływała odpowiedź. Była znacznie krótsza niż wezwanie czy też zapytanie; brzmiała jak decyzja lub jak rozkaz.

I oto gąszcze mangrowii na błotnistym brzegu nagle ożyły: zaszeleściły liście, poruszyły się gałęzie, wychyliły się z nich ramiona trzymające włócznie, głowy ozdobione piórami wpiętymi w czarne, sztywne warkocze, półnagie ciemnobrązowe ciała – tłum ciał skaczących, biegnących, pochylających się nad wodą! Ni stąd, ni zowąd, jak pod działaniem zaklęcia, zjawily się wśród oczeretów i trzciny długie łodzie, cała chmara łodzi pełnych wiosłarzy. Podniósł się gwar, z którego trysnęły ostre, gardłowe okrzyki, a spokojna, lśniaca jak lustro powierzchnia laguny zapieniła się od uderzeń krótkich wiosel.

Pirogi parły naprzód szerokim półkolem w stronę i„Ze-phyra", wiosła błyskały w słońcu, coraz głośniejsza wrzawa wzbijała się pod niebo. Wtem ucichła. Pióra wiosel zahamowały pęd łodzi, które zatrzymały się w pół drogi. Tylko jedna z nich płynęła dalej naprzód, ustawicznie zwalniając tempo,

Kawaler de Belmont postąpił parę kroków ku burcie.

– „Arrandora”! – zawołał raz jeszcze wznosząc ramię powitalnym gestem.

– „Arrandora”!!! – podniósł się radosny wrzask dokoła. – „Arrandora”!

Dziwna postać, okryta wyleniąta skórą ocelota, z upiorną maską na twarzy i ozdobą z rogów antylopy kabri na głowie oraz pękiem czarnych piór w dłoni, stała na dziobie pirogi.

– To jest ich główny czarodziej – powiedział Belmont do

Martena. – Bądź dla niego uprzejmy.

Marten kazał opuścić trap z prawej burty. Łódź przybiła i kapłan wszechwładnego bożka Tlaloka, a zarazem powiernik króla i wodza wstąpił na pokład w asyście tłumacza, młodego Murzyna o bystrych oczach i inteligentnym wyrazie ciemnej, prawie czarnej twarzy. Dwaj wojownicy ogromnego wzrostu wsparci na długich włóczniach stanęli opodal, jak dwa posągi odlane z miedzi, a pozostałe pirogi, uszykowane w kształt półksiężyca, zbliżyły się teraz otaczając okręt od strony lądu.

Marten oczekiwał przedstawiciela Quiche-Mędrea stojąc na stopniach trapu prowadzącego na rufę i mając po bokach kawalera de Belmont oraz Henryka Schultza.

Ten ostatni z nie ukrywanym wstrętem i z niejaką obawą spoglądał na indiańskiego kapłana, wietrząc swym długim, zaczerwienionym nosem swąd piekielnej siarki i żegnając się ukradkiem w obronie przed nieczystymi siłami, jakie zapewne otaczały tego sługę Antychrysta.

Belmont, poważny i uroczysty, gotował się do pośredniczenia w powitaniu i wymianie wstępnych grzeczności, a Marten, ubawiony i zaciekawiony zarazem, ujął się w boki i nie spuszczał wzroku z posła, którego miał przyjąć.

Czarodziej-dyplomata był niski i tęgi. Jego ramiona, brzuch i nogi pokrywała cienka warstwa tłustej, czerwonej

gliny. Zbliżał się bardzo wolno, tanecznym, posuwistym krokiem, przystając, kołysząc się w biodrach, zwracając to w lewo, to w prawo rogatą głowę i potrząsając wiechciem piór umocowanym do krótkiego sznura ze srebrnymi brzę kadłami. W połowie drogi, pośrodku głównego pokładu, zatrzymał się i gestem dłoni przyzwał jednego z wojowników stojących przy trapie. Miedziany olbrzym podszedł spieszenie, potrącił murzyńskiego tłumacza, który nie usunął mu się na czas z drogi, i stanął za plecami kapłana. Ten zaś pochylił się nisko, jakby w pokłonie, przed trzema białymi, nagłym ruchem zdjął maskę i prostując się podał ją w tył, za siebie. Ukazała się jego

twarz, niemal równie straszna jak owa maska; twarz ozdobiona trzema bliznami po każdej stronie zakrzywionego nosa o rozdętych nozdrzach, pomalowana w czarne i białe linie wygięte dokoła ust. Błyszczące niebieskawe białka oczu i ciemne ich źrenice tkwiły głęboko pod czołem zakrytym do połowy czarną, równo przyciętą grzywką; duże, pożółkłe zęby ukazywały się między wargami, gdy mówił.

Postąpił szybko naprzód i wznosił obie dłonie na wysokość głowy. Głos jego brzmiał chrapliwie, słowa rwały się, jakby wymawiał je z trudem czy też z wahaniem. Martenowi wydało się, że rozróżnia wśród tych obcych gardłowych dźwięków powtarzane kilkakroć nazwisko Belmonta i nazwę jego okrętu.

Przemówienie trwało zresztą krótko i było treściwe. Z nieco dłuższej relacji tłumacza, który przełożył je na hiszpański, wynikało (poza wstępem zawierającym pozdrowienia dla „białego brata” jego królewskiej mości oraz dla jego przyjaciół), że Quiche-Mędrzec nadal panuje nad swoim ludem w pokoju i zdrowiu, że cieszy się z przybycia znakomitych gości i zaprasza ich do Nahua, gdzie przygotowuje dla nich wspaniałe przyjęcie; że wreszcie wiadomo mu jest, iż drugi okręt jego „białych braci” oczekuje w pobliżu i że

należałoby go przyholować na lagunę przed zapad uięeieui zmroku.

Gdy Murzyn skończył, u wejścia na trap ukazało się jeszcze sześciu Indian, niosących na dwu wielkich tarczach: owoce, jarzyny, placki z pszennej mąki i bity drób. Złożyli te dary u stóp schodni i cofnęli się, a następnie przykucnęli rzędem wzdłuż burty.

Teraz przyszła kolej na Belmonta. Kawaler zstąpił o dwa stopnie niżej i wyjaśnił, że tym razem przybywa nie jako wódz, lecz jako towarzysz i przyjaciel potężnego władcy mórz, zwanego Złotą Kuną, co w języku, jakim posługują się najslawniejsi żeglarze świata, brzmi Marten.

–Oto on – rzekł wskazując Jana. – Pogromca Hiszpanów, zdobywca wielu okrętów, a przy tym człowiek łagodnego serca; przepłynął ocean, aby ofiarować swą przyjaźń mądrymu wodzowi Quiche, utrwalić jego panowanie w Amaha i być może rozszerzyć je na kraje sąsiednie.

Dalej Belmont oświadczył, że Marten z wdzięcznością, przyjmuje gościnę w Nahua i uda się tam wraz z obydwojema okrętami, aby ofiarować królowi skromne upominki. Nie stać go wprawdzie na złoto i klejnoty, których tak wiele jest w Meksyku, ale przywozi żelazo, którego tu brakuje: topory i piły, pługi i brony, a także muszkiety i działa. Aby zaś nie pozostawać dłużnym czcigodnemu kapłanowi boga Tlaloka, ofiarowuje mu ten oto pistolet wraz z woreczkiem prochu i kul oraz sztylet o stalowej klindze i rękojeści z masy perłowej.

Gdy Murzyn tłumaczył te jego słowa, przewracając oczyma i przelykając ślinę z wielkiego wrażenia, zarówno poseł, jak Indianie obecni na pokładzie „Zephyra” nie mogli ukryć ogarniającego ich podniecenia. Narzędzia i broń, zwłaszcza broń palna, były to dary cenniejsze niż złoto i srebro!

Kapłan groźnego Tlaloka nie posiadał się z radości oglądając stary pistolet z rozdętą lufą. Próbował palcem ostrze

sztyletu, głaskał lśniąca tęczowo rękojeść, a wreszcie zapragnął podzielić się dobrymi wiadomościami z resztą wojowników, którzy w skupieniu oczekiwali w pirogach na Avynik jego dyplomatycznej misji. Zbliżył się do burty i wielkim o-losem obwieścił im, co usłyszał.

Odpowiedział mu wrzask radości. Włócznie, pióropusze, wiosła, kamienne tomahawki, łuki leciały w górę i wracały do wyciągniętych ramion, chwytane w lot ze zdumiewającą zręcznością. Łodzie kołysały się, parły ku burcie „Zephyra”, uderzały o nią, ścierały się z sobą, kotłowały się w dole jak ławica rozigranych ryb. Imię bohatera tej manifestacji przeniknęło w tłum i teraz wznosiły się okrzyki na jego cześć.

–O-he! Marten, o-he! – wołali wiosłarze i wojownicy potrząsając dzidami i tarczami.

Marten zaś zstąpił na główny pokład, objął ramionami Belmonta i umazanego czerwoną gliną dyplomata i stał pomiędzy nimi zwrócony ku brzegom Ainaha, śmiejąc się na całe gardło.

Jeszcze przed zachodem słońca „lbcx” został przeholowany między ławicami przez sześć wielkich łodzi indiańskich i zakotwiczył na gładkich wodach laguny u ujścia rzeki, tuż obok „Zephyra”. Gdy zapadł krótki zmierzch, a potem noc objęła zatokę i ciemność spadła nagle na ląd i na morze, brzeg dokoła zabłysnął czerwonymi płomieniami ognisk. Szedł od nich gwar licznych głosów, a czarne sylwetki poruszały się na tle żaru. Czasem przy akompaniamencie bębnow i piszczałek wybuchał nagły tumult, wrzask, hałas, przed ogniem kłębił się wir postaci przypominający jakiś niesamowity diabelski sabat. Widać było tupiące nogi, rozkołysane ciała, ramiona wzniesione w górę i dłonie klaszczące naci głowami. Potem wszystko się uspokajało i tylko warkot bęb-

nów toczył się w górę rzeki, powtarzany przez inne bębny gdzieś w głębi puszczy.

Dopiero o północy ogniska zaczęły przygasać i wyniosła cisza, oczekująca dotąd na przeminiecie tych wybuchów zbio-rowego szału, cierpliwa i złowieszcza, rozpostarła się znów dokoła.

' O świcie pojawiła się mgła. Ciepły i lepki jej welon spowił lagunę, a gdy słońce weszło nad morzem poza niewidzialną podkwa atolu, biel nasycona blaskiem stała

się bardziej oślepiająca niż mrok nocy. Nie było widać ujścia rzeki, nie było widać brzegu i lasu, i najbliższego cypla lądu porośniętego mangrowcami, i nawet „Ibexa”, odległego zaledwie o kilkadziesiąt jardów, a szczyty masztów i górne reje „Ze-phyra” rozplywały się, ginęły z oczu, jak zanurzone w wodzie z mlekiem.

Cisza stała się teraz miękka i bliska jak gruba warstwa puszystej waty. Nie przenikał jej żaden dźwięk, a odgłosy życia na pokładzie wsiąkały w nią natychmiast, nie wybiegając poza burty. Mogło się zdawać, że okręt wisi w mlecznej, nasyconej blaskiem przestrzeni i że reszta świata znikła, rozwiała się bez szmeru, nie pozostawiając po sobie śladu.

Wtem mgła uniosła się jak fala i źrenica wody wyrzała spod mętnego bielma. Ukazało się ciemne pasmo brzegów, pogmatwana gęstwina puszczy stanęła dokoła laguny, a nad zatoką zawisła blada kula słońca; Wszystko to trwało zaledwie kilkanaście sekund, po czym biała powieka opadła z powrotem i świat znów przestał istnieć, jeśli można było zawierzyć oczom i uszom;

Dopiero po chwili z bezkształtnej, ośleplej dali nadbiegli stłumiony okrzyk, a potem rozległ się szybki, miarowy plusk i szum, jakby nadbiegających i załamujących się bałwanów. Kilka łodzi wynurzyło się z mgły tuż przy burcie „Zephyra”, a ich sternicy domagali się na migi podniesienia kotwicy i podania lin holowniczych;

Marten zawahał się, czy spełnić to żądanie, lecz Belmont zapewnił go, że można zaufać przewodnikom. Dwaj z nich z małpią zręcznością wspięli się na pokład. Jeden stanął przy sterze, drugi usiadł okrakiem na bukszprycie. Kilku ludzi z załogi pod komendą Worsta zwijało łańcuch obracając ciężki, dębowy kabestan *, aż kotwica wstała z mulistego dna i ociekając szlamem podjechała do kluzy. Okręt, pociągnięty tym manewrem, sunął wolno, prawie niedostrzegalnie naprzód, a potem wykręcił w prawo, w ślad za holem, do którego końca przywiązano cieńsze liny. Dwa rzędy łodzi rozchodzące się pod ostrym kątem, w kształcie litery V, wprzęgły się do pracy i holowały go ku ujściu rzeki. Mgła zdawała się rzednąć; można już było rozróżnić najbliższe pirogi i nawet postaci wioślarzy, za rufą zaś majaczyła sylwetka „Ibexa” ciągnięta przez inne łodzie, nanizane na konopne sznury jak paciorki różańca.

Marten spostrzegł, że nurt płynący poprzez lagunę, który zauważył był wczoraj, nie pochodził od głównego koryta Amaha. Była to tylko jedna z jej licznych odnóg, bynajmniej nie najważniejsza. Delta rzeki obejmowała kilka lub może nawet kilkanaście mil wybrzeża, tworząc wiele innych zatok, prawie całkowicie niedostępnych, jak twierdził Belmont. Lecz i w obrębie tej laguny istniało ujście trzech odgałęzień, z których tylko środkowe nadawało się do żeglugi dla większych statków, i to w czasie przyływu.

Przyływ właśnie się zaczął. Morze na wschodzie szumiło wielkim przybojem, a jego fale przewalały się przez niską podkowę atolu, biegną przez zatokę, uderzały

na lagunę i straciwszy większość energii napokonanie tych przeszkód, łagodnie układały się wzdłuż brzegów. Poziom wody

podnosił się ustawicznie, nurt rzeki kłębił się, zawracał w górę, a z dna dobywały się na powierzchnię chmury brunatnego szlamu.

Powiał lekki wiatr, mgła uchodziła strzępami, słońce wyjrzało raz i drugi, aż wreszcie nad światem rozlał się głęboki błękit nieba;

Pirogi holujące „Zephyra” wchodziły w szeroką gardziel spławnego ujścia. Kilkanaście szałasów skleconych z trzciny i sitowia stało na wyższym, lewym brzegu. Zamieszkiwali je chyba wyłącznie wojownicy Mędrca, rodzaj straży granicznej, bo gdy wylegli na małą polankę wśród drzew, aby powitać i zarazem pożegnać oba okręty białych ludzi, Marten nie zauważył wśród nich ani jednej kobiety.

Potem nadmorska strażnica znikła za zakrętem, a las, coraz wyższy i coraz ciemniejszy, skłaniał się nad wodą. Powiew wiatru ustał zupełnie, powietrze stało się gęste i ciepłe, przesycone zapachem próchnicy i setką woni, które zawisły nieruchomymi smugami: wanilia, miód, rzeźnia spływająca świeżą krwią, kadzidło, okropny trupi zaduch sączący się ze wspaniałych żółtych kwiatów, orzeźwiająca mięta, słodka akacja, fermentujący zacier piwny, czosnek, piżmo *, garbowana skóra, cytryny, nawóz stajenny, mirra, kamfora, pieprz, ambra...

Wielkie, opuszczone przez rzekę meandry napełniały się teraz wodą, tworząc rozległe zalewy i jeziora; na podłużnych " piaszczystych ławicach wygrzewały się w słońcu leniwe kajmany o ciemnych, prawie czarnych grzbietach i podbrzuszach w żółtawe plamy; wyspy i wysepki porośnięte gęstwą krzewów i drzew zagradzały drogę, a zdradliwe

mieli.^{zft} czyły się tuż pod powierzchnią nurtu, pozostawiając tylko wąskie przesmyki głębokiej toni to u prawego, to u lewego brzegu. Nagle za jakimś zakrętem u wylotu jakiejś cieśniny otwierała się szeroka, pusta przestrzeń wodnego szlaku i ginęła w cieniu olbrzymich drzew. Ich masywne, zdumiewająco wysokie, proste pnie strzelały w górę ku słońcu jak kolumny niebotycznej świątyni.

„Zephyr” ze swymi wyniosłymi masztami przepływał u ich stóp niczym drobny owad, jakiś nartnik czy wirak zagubiony wśród śmigłych trzcin. Przepływał bardzo powoli, im dalej w górę krętej rzeki, tym wolniej. Nieprzebyte gąszcze, splątane liany, rozłożyste konary, poskręcane korzenie, zwarte ściany zieleni otwierały się przed okrętem i zamykały się za nim, jakby puszca zbiegała do wody, by odciąć mu odwrót.

Chmary moskitów brzęczały w cieniu pod nieruchomymi liśćmi, niewidoczne ptaki odzywały się w górze, czasem zapluskala ryba, rozległ się szelest, wrzask i stado

małp przewijało się wśród gałęzi.

Zresztą panował spokój. Spokój, który jednak wydawał się tylko napiętym oczekiwaniem na coś, co czało, się w głębi lasu, drapieżne i dzikie, wahające się przed wykonaniem nieprzeniknionych zamiarów.

Henryk Schultz, który od początku niechętnie odnosił się do projektu Martena i Belmonta, czuł się źle zarówno pod względem fizycznym, jak psychicznym. Tropikalny klimat, lepki, wilgotny upał odbierał mu sen i męczył go niewypowiedzianie. Henryk pocił się nieustannie, a wraz ze strumieniami potu opuszczały go siły, apetyt i równowaga ducha.

Przyczyniał się do tego fakt, iż musiał teraz dzielić swe stanowisko porucznika z Belmontem, a nawet ustępować

mu w niejednym; Teoretycznie obaj mieli równorzędne j uprawnienia na pokładzie „Zephyra”, przy czym Belmont był jednak locmanem * i nawigatorem, a jego wpływ na Mar- \ tena stale wzrastał.-Poza tym – jak zawsze w czasie długiej podróży – Hen- 1 ryk cierpiał z powodu braku obrzędów religijnych, a prze- | de wszystkim spowiedzi i komunii, co napawało go obawą 1 o zbawienie, ponieważ mógł zapomnieć o popełnionych grze- | chach. Zwłaszcza tu, wśród pogan i bałwochwalców, w ze- i tknięciu z czarow.nikami, w obliczu ich diabelskich praktyk. \ czuł się narażony na straszliwe niebezpieczeństwo. Same tylko modlitwy i ukradkiem czynione znaki krzyża nie mogły j przeciwie zapobiec szatańskim podstępom. Na myśl, że złe j moce dobiorą się do jego osoby, że w jakiś sposób zdołają l osiedlić się w jego ubraniu, we włosach, za paznokciami, do- i znawał skrętu wnętrzości i dławienia w gardle. Słyszał był j nieraz o takich wypadkach opętania, lecz nie wiedział, jak im przeciwdziałać skutecznie i pewnie w braku święconej wody i egzorcyzmów. A Marten oparł się stanowczo udziałowi misjonarzy lub księży i zakonników w wyprawie...;

Schultz, osowiały i cierpiący, błąkał się po pokładzie, przystawał przy burcie i wracał pod płócienny daszek, który rozpięto nad sterem i rufą. Z niechęcią, niemal z nienawiścią l patrzył na gęstwinę przesuwaną się wolno po prawej stronie.

Brzeg był wysoki, niewiele niższy od pokładu, a okręt j płynął blisko, ze zdumpowanymi rejami, aby nie zaczepiały o gałęzie drzew. Mimo to w pewnej chwili jakiś na pół uschnięty konar sterczący nisko nad wodą wplątał się między wanty grotmasztu, pękł z traskiem i runął w gąszcz, a na pokład posypały się liście, porosty, gałązki i tuman l

próchna; Schultz wychylił się za burtę, aby szerokim nożem przeciąć lianę, która wlokła się za okrętem, ciągnąc za sobą cały pęk chrustu, i nagle zobaczył diabła... Diabła we własnej osobie!

Straszliwa, wykrzywiona śmiechem twarz ukazała mu się wśród zarośli, błysnęły szeroko otwarte, gorejące źrenice, a potem – jakby błona opadła mu z oczu – ujrzał w skłębionym gąszczu jeszcze inne twarze, ręce, piersi, nagie, brązowe, połyskujące ciała, całą chmarę nieruchomych postaci, które zdawały się wpatrywać weń pożądliwie, gotowe skoczyć i porwać go z sobą prosto do piekła.

Przerażenie odjęło mu mowę i sparaliżowało mięśnie. Nie mógł wydobyć głosu, nie mógł się cofnąć, a serce podeszło mu do gardła.

Wtem zachwiały się gałęzie, zaszeleściły liście i stado diabłów rzuciło się naprzód, w górę rzeki. Henryk widział, jak biegly zgięte we dwoje, śmigaly to tu, to tam, skakały jeden za drugim, ginęły w cieniu i znów ukazywały się w lukach zieleni. Wreszcie cała czereda przewaliła się w niezrozumiałym, dzikim popłochu i znikła, jakby zapadła się w ziemię.

Stał nadal oparty całym ciężarem o reling *, oddychając z trudem i ociekając potem, który spływał mu po bokach, od pach aż na biodra. Mdlilo go ze wstrętu i trwogi. Zbielałymi wargami szeptał słowa jakiejś modlitwy. Wzdrygnął S'C, g"y ktoś położył mu rękę na ramieniu; nie słyszał ani zbliżających się kroków, ani słów wypowiedzianych uprzednio przez kawalera de Belmont, który stał teraz za nim.

–Czy pan się źle czuje, monsieur Schultz? – zapytał ten ostatni.

Henryk wyprostował się i spojrzał na niego przez ramię.

–Gorąco – mruknął.

–Istotnie ~ zgodził się Belmont. – Przygląda się pan \ naszym pomocnikom? – zagadnął uprzejmie. – Są silni jak konie i ciekawi jak małpy – dodał.

–O kim pan mówi? – zdumiał się Schultz.

–O tych tam – Belmont ruchem głowy wskazał na • gęstwiny. – Będą nas holować. Puszcza zaraz się skończy, a przynajmniej oddali się od brzegów. Podamy liny na ląd i ci ludzie...;

–Ludzie?! – wykrzyknął Henryk.

–Gente sin razon, jeśli pan woli. Tak mniemają Hisz-i

panie. Ale ja osobiście sędzę, że są ludźmi, podobnie zresztą

jak sądził Paweł III już czterdzieści pięć lat temu *.

Henryk skrzywił się z niesmakiem; wspomnienie o papieżu zabrzmiało w ustach

tęgo heretyka jak bluźnierstwo. Lecz papież był nieomylny, a stworzenia, które przemknęły wśród zarośli, widocznie były Indianami, nie zaś mieszkańcami piekieł. Bądź co bądź stanowiło to okoliczność pomyślną.

–Jeśli tylko są dostatecznie silni, to mniejsza o resztę –

mruknał. – Gdzie umocujemy liny?

–Chyba do kluzy kotwicznej, a także do fok- i grot-masztu.

Zajęli się tym obaj, a po chwili Schultz ujrzał, że istotnie

puszcza cofa się od brzegów po obu stronach rzeki.

Około dwustu Indian wyszło z lasu i oczekiwało opodal na podanie lin holowniczych. Koryto zwężało się, toń stawała się głębsza, ciemniejsza, prawie czarna, a leniwy nurt ożywił się i rwał prędeż. Wioślarze pracowali z wysiłkiem, lecz pirogi ledwie posuwały się naprzód pod prąd.

Kilka innych łodzi wymknęło się spoza rufy „Zephyra”,

a gdy znalazły się przy jego burcie, siedzący w nich wojownicy pochwycili hole i przewieźli je na ląd. Pólnagie „diabły” podzielone na trzy grupy wprzęgły się do lin, zaczęły ciągnąć. Inni odpychali przód okrętu długimi tykami, aby nie zbliżał się z nadto do brzegu.

Po upływie godziny trzeba było pohlować go wyłącznie przy pomocy wioślarzy, gdyż pieszynijna brzegu przecinały dalszą drogę bagniste zalewy czy też dopływy Amaha.

Powtórzyło się to później jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem Indianie przeprawiali się później na łodziach, przewożąc także liny, i znów ruszali dalej.

Puszczą cofała się coraz bardziej, słoneczne polany otwierały się coraz szerzej, tu i ówdzie pojawiały się chaty ze spiczastymi dachami z sitowia otoczone uprawnymi polami i sadami młodych drzew owocowych. Dzieci, przeważnie murzyńskie, wylęgały nad samą wodę, a kobiety i mężczyźni porzucali pracę w polu, aby przyjrzeć się okrętom białych. Wreszcie – już pod wieczór – ukazała się duża osada złożona z drewnianych domów na wysokich słupach, rozciągnięta wzdłuż lewego brzegu rzeki.

–Nahua – powiedział Belmont.

Schultz doznał rozczarowania. Wyobrażał sobie, że ujrzy ulice i place, jeśli nie takie jak Tenochtitlan, to w każdym razie przypominające miasto. Tymczasem tu nie było właściwie ulic, tylko długi, ciągnący się na milę lub może w⁷ięcej rząd czworokątnych

drewnianych szop bez okien, zwróconych wejściami ku lądowi. „Ulicę” stanowiła szeroka na sześć jardów droga umocniona wielkimi głazami od strony rzeki i biegnąca pomiędzy słupami, na których wznosiły się owe szopy.

Jedynym budynkiem z kamienia okazała się warownia stanowiąca rezydencję króla i wodza. Zbudowano ją na małym pagórku, o paręset jardów od rzeki, na wprost przystani, która dzieliła osadę na dwie równe części. Pomost

•Z ogromnych pni, wsparty na potężnych palach wbitych w dno równolegle do brzegu, występował aż ku głębi głównego nurtu. Za nim, po bokach obszernego placu, stały dwa spichrze o szkieletach z nie ociosanych belek i glinianych* ścianach, a dalej jeszcze kilka okazalszych budynków, również z gliny wzmocnionej kamiennymi pilastrami*.

Jeszcze dalej teren wznosił się, tworząc dość strome wzgórze o stokach wyciętych w tarasy, otoczone w połowie wysokości mocnym podwójnym ostrokołem. Na spłaszczonym szczycie za kamiennym murem z blankami wyrastała ciężka budowla, przypominająca kształtem piramidę o ściętym wierzchołku, z dwiema galeriami obiegającymi ją dokoła i czymś w rodzaju kwadratowego pawilonu ze stromym dachem ozdobionym licznymi ornamentami. Tam mieszkał Mędrzec,

Tłum na pomoście i na placu stał w milczeniu. Składał się wyłącznie z Indian. W pierwszych szeregach, za szpalerem wojowników uzbrojonych bądź w dzidy i tarcze, bądź w łuki i krótkie kamienne toporki o drewnianych rękojeściach, widać było tylko mężczyzn. Kobiety z dziećmi stały za ich plecami lub obsiadły żerdzie płotów i ogrodzeń. Było ich znacznie mniej: mężczyźni stanowili większość ludności Nahua, a może i całego państwa.

Czterej biali – Marten, Belmont, Schultz i White – na pokładzie „Zephyra” oczekiwali przybycia Quiche, który miał ich powitać i zaprowadzić do swego zamku. White irytował się, że musi czekać na tego „dzikusa”, a Schultz podzielał jego nastrój. W dodatku obawiał się jakiegoś podstępu lub po prostu zdrady. Jego zdaniem nie można było

ufać stworzeniom, których wygląd tak bardzo przypomina! poddanych Belzebuba.

Wtem ciżba na pomoście poruszyła się i Henryk ujrzał dwie samotne postaci kobiece zbliżające się od strony „ulicy” biegnącej w dół rzeki. Starsza, nieco zgarbiona, odziana w ciemne szaty, z włosami zwiniętymi w ciasny, sztywny węzeł na czubku głowy, podpierała się laską; młodsza – najwyżej szesnastoletnia – smukła i prosta jak trzcina, owinięta w pasiastą materię połyskującą jedwabiem, stąpała dumnie, pobrzękując bransoletami z miedzi i srebra. Miała cerę jaśniejszą niż inne kobiety, policzki ubarwione sztucznym rumieńcem, a lśniące kruczoczarne włosy uplecione w gruby warkocz. Ozdabiały ją liczne naszyjniki ze szklanych paciorków,

jakieś drobne kolorowe przedmioty – zapewne amulety – drgały przy każdym kroku. Była dzika, płomienioka i po barbarzyńsku wspaniała.

Szła wolno, nie patrząc na tłum, z głową wzniesioną i wzrokiem utkwionym w Martena, który stał najbliżej burty, ubrany tak samo jak wówczas, gdy rozmawiał z królową Elżbietą w Deptford. Wyróżniła go z daleka pośród towarzyszy i odgadła, że jest wodzem. Zatrzymała się opodal trapu przerzuconego z pokładu na pomost i patrzyła nań w milczeniu, uważnie, jakby chciała wbić sobie w pamięć jego rysy. Wyraz lekkiego zdziwienia odbił się na jej ładnej twarzy, gdy Jan uśmiechnął się do niej i skłonił głowę zdejmując sobolowy kołpak z piórami. Odpowiedziała mu również uśmiechem i gestem dłoni.

Stara kobieta zmarszczyła brwi, zbliżyła się o krok i zaczęła mówić prędko, gniewnie, wskazując raz po raz okręt.

–Nie masz wstydu, Inika! Nie masz wstydu! Uparłaś się

zobaczyć białych cudzoziemców i śmiejesz się do nich jak

pierwsza lepsza Murzynka. Zapominasz, że jesteś córką wodza, i

że jesteś z mojej krwi, z krwi Córa, jak twoja

matka N, –

Inika niecierpliwie poruszyła lewą ręką, jakby przecinając ten potok słów. Rozległ się brzęk maneli, ale stara niej przestała zrędzić.

–Cudzoziemcy! – powiedziała głośniejszym głosem, z pogardą i nienawiścią. – Niech zły urok padnie na cudzoziemców! Mamy ich dość, czarnych i śniadych, i podobnych do nas. A wiadomo, że najgorsi są biali. Nigdy nic dobrego nie wynika z przybycia cudzoziemców. Jestem stara i wiem o tym. A ty się do nich śmiejesz, bezwstydna! Bezwstydna!

Marten patrzył na tę scenę ubawiony. Domyślał się jej znaczenia! był ciekaw, jak się skończy. Lecz nie doczekał się zakończenia: szmer rozległ się w tłumie, a od strony ostrokołu ukazał się mały orszak, na którego czele szedł prędko barczysty, rosły Indianin z odkrytą głową, ozdobioną tylko wąską złotą opaską, która przytrzymywała mu włosy zaplecione w kilka warkoczyków. Miał na sobie rodzaj zamszowej kurtki z krótkimi rękawami, otwartej z przodu, naszywanej po brzegach skrawkami, kolorowej, błyszczącej skóry i ozdobionej metalowymi kółkami, na nogach zaś długie spodnie z frędzlami wzdłuż szwu od bioder aż do stóp obutych w misternie plecione mokasyny. Z wyjątkiem tkwiącego za pasem toporka o stalowym ostrzu nie miał broni. Również towarzyszący mu czarownik i dwaj inni dostojnicy byli nie uzbrojeni. Za to szczupła świta wojskowa, złożona z sześciu wysokich, dobranych wzrostem

wojowników, wyglądała imponująco w strojach z piór na głowach, ze skórami kuguarów przewieszonymi przez lewy bark, okrywającymi plecy i spiętymi na piersiach klamrami z mosiądzu. W rękach mieli podłużne tarcze ze skóry wytłaczanej we wzory i włócznie z pękami barwionego na czerwono i czarno włosia u grotów; za pasem połyskiwały kamienne toporki o rzeźbionych rękojeściach. Ich twarze, podobne jak u bliźniąt, były jednakowo pomalowane czarnymi i białymi liniami i [pозnaczone] jednakowymi bliznami,

Gdy Mędrzec i trzech jego towarzysze weszli na trap, gwardziści ustawili się szeregiem wzdłuż pomostu opierając tarcze i włócznie o ziemię.

Quiche bez wahania' zatrzymał się przed Martenem.

–Witaj, przyjacielu – powiedział patrząc mu prosto w oczy.

Pierwsze trzy dni pobytu Martena i załogi obu okrętów w Nahua upłynęły na uroczystościach, ucztach i wzajemnych obserwacjach. Ani jedna, ani druga strona nie dotykała w rozmowach najważniejszej sprawy.-Marten kazał wyładować i złożyć u wrót ostrokołu dwanaście muszkietów, baryłkę prochu i worek kuł, czterdzieści pił do drzewa, tyleż wielkich toporów, łopat, wideł i motyk, dziesięć skrzyń gwoździ, komplet narzędzi stolarskich i dwie skrzynki różnych drobnych przedmiotów-, jak igły, nici, noże i nożyczki, szklane paciorki, świece i tanie lichtarze. Prócz tego ofiarował osobiście Mędrcewi parę pistoletów o rękojeściach wykładanych masą perłową i srebrem oraz toledańską szpadę ze złożoną gardą. Nieco skromniejsze dary otrzymali dwaj indiańscy dostojnicy, którzy oka-

zali się wysłannikami i zarazem bliskimi krewnymi wodzów; zaprzyjaźnionych plemion, dla Iniki zaś Marten przeznaczył sztukę błękitnego jedwabiu, kilka naszyjników i srebrny dzwonek, który ją szczególnie ucieszył. Wreszcie teściowej! wodza dostała się sztuka czerwonego adamaszku i koronkowa kreza.

Hojność Martena zrobiła wielkie wrażenie. Tylu naraz i tak cennych przedmiotów, zwłaszcza narzędzi i broni, nikt tu dotychczas nie widział. Nawet Mędrzec nie mógł ukryć \ radości z ich posiadania, jakkolwiek starał się nie okazywać tego inaczej niż uprzejmymi podziękowaniami.

Marten i Belmont otrzymali na mieszkanie dwa sąsiadujące z sobą małe pawilony zbudowane w cieniu drzew otaczających rezydencję Mędrca. Quiche urządził chaty wygodnie i nawet wspaniale, jak na swoje możliwości. Jan spał na niskim, bardzo szerokim łożu obitym plecionką ze 'skórzanych rzemieni i wyściełonym wełnianymi derkami. Na kamiennej podłodze z wygładzonych płyt leżały rude, puszyste futra pum, na ścianach wisiały rogate czaszki jeleni i antylop kabri.

Widok, jaki się stąd roztaczał, świadczył o pokoju i do- I brobycie;

W dole, na wprost, poza placem z glinianymi domami j i składami po obu stronach, leżała przystań. Przy drewnia- j nym nabrzeżu „Zephyr” i „Ibex” stały nieruchome na tle 1 ciemnej rzeki, która co rano i co wieczór zapalała się odblaskiem słońca. Jej przeciwny prawy brzeg wydawał się nie zamieszkały; ciągnęły się tam co prawda jakieś plan- I tacje, a liczne łodzie płynęły w poprzek prądu tam i z po-, wrotem, lecz nie było domów. Na lewym brzegu, w górę i w dół Amaha, tuż nad wodą wznosiły się brunatne drewniane budynki mieszkalne, każdy na czterech wysokich słupach, z drabiną przystawioną do otworu wejściowego eawie-szonego rogoża lub matą.; Otaczały je drzewa owocowe i nie-

wielkie ogrody warzywne, a środkiem, między słupami, biegła zacieniona ulica.

Dokoła osady, wśród falujących pól, sadów i pastwisk, tu i ówdzie widać było inne pojedyncze domostwa o wyniosłych spiczastych dachach pod kępami drzew. Nad domami, nad ogrodzonymi plantacjami, nad gajami owocowymi, nad ludźmi zajętymi pracą rozpościerało się głębokie, ciemnoszafirowe niebo, wsparte na nieprzebytych lasach zamykających ze wszech stron horyzont. Tylko hen, bardzo daleko na południowym zachodzie, widniały zamglone, błękitnawe zarysy gór.

Mogło się zdawać, że nie ma żadnego dostępu, żadnej drogi do tej szczęśliwej krainy ciszy i spokoju. A przecież o kilkanaście mil na wschód leżało płytkie morze – widownia nieustannych walk, zwycięstw i porażek; morze niosące bogate dary, obietnice, groźby i klęskij

W ciągu owych trzech dni, przed krótkim zmierzchem, gdy chłodniejszy powiew od rzeki łagodził upał, Mędrzec w towarzystwie dwóch gwardzistów schodził do pawilonu Martena. Milczący wojownicy, z twarzami jak odlanymi z brązu, stawali przed wejściem opierając włócznie o ziemię i trwali tak nieruchomo, a wódz wchodził po kilku stopniach do środka. Pozdrowiał swego białego przyjaciela i gościa, pytał, czy dobrze spał, i z powagą zaczynał mówić o rzeczach błahych lub nie mających większego znaczenia. Potem w skośnych promieniach gasnącego słońca przechadzali się dokoła tarasu, wśród kwitnących krzewów, a Marten starał się podtrzymać tę rozmowę, w której padało wiele słów tylko po to, aby ukryć nie wypowiedzane myśli.

Rozmawiali po hiszpańsku; Quiche nauczył się tego języka od zbiegów z Tamaulipas i Veracruz. Spoglądali na siebie i Jan czuł lub może odgadywał, iż Mędrzec stara się

go przeniknąć, wybadać, doszukać się w jego rysach czegoś, co pozwoliłoby mu odkryć, jak dalece można zaufać białemu żeglarzowi.

Wreszcie rozstawali się na krótko, aby znów spotkać sra w liczniejszym gronie podczas kolejnej wieczerzy.

White i Schultz tylko za pierwszym razem byli obecni na takim przyjęciu. Woleli mieszkać i jadać na okrętach wraz z załogą.

Marten uznał to za słuszne. Sam zasiadał obok Belmonta, a rozmowy z posłami i z głównym kapłanem Uatholok toczyły się za pośrednictwem murzyńskiego tłumacza, który stał za białymi. Pod koniec posiłku, gdy podawano tykwy z matę*, zjawiały się kobiety: Inika i Matlok. Jan zamieniał kilka uprzejmych zdań z każdą z nich. Inika mówiła po hiszpańsku lepiej niż ojciec; jej babka nie rozumiała ani słowa. Siedziały na-| przeciw gości, piły matę i odchodziły, zanim jeszcze Mędrzec wstawał, aby się pożegnać i życzyć wszystkim dobrej nocy. Przez dwa dni Marten widywał je tylko w czasie wie-j czerzy i tylko razem. Lecz trzeciego dnia rano, schodząc ku | rzece,

spotkał Inikę samą na najniższym tarasie, w pobliżu bramy w ostrokołe. Wydało mu się, że to spotkanie nie było przypadkowe: dziewczyna czekała na niego.

Pozdrowił ją i zapytał, czy wybiera się również do przystani. Zaprzeczyła.

–Pójdź ze mną – rzekła śmiało i swobodnie. – Chcę ci coś powiedzieć.

Poprowadziła go wzdłuż wysokiego żywopłotu, który za- j staniał ich od strony zamku, i zaczęła mówić. Oświadczyła, że uważa go za przyjaciela i że mu ufa. Bardziej niż Bel-montowi. Wbrew opinii swej babki, która ją wychowała.

–Strzeż się jej – powiedziała. – Nie sprzyja twoim zamiarom. Obawia się, że sprowadzisz do nas innych białych, może Hiszpanów.

–A ty? – spytał Marten.;

–Już ci powiedziałam.

–Wiesz, co zamierzam?

–Przywiozłeś narzędzia, które nam są potrzebne, i broń dla naszej obrony. Myślę, że jesteś mądry i uczciwy. Jeśli potrzebne ci będzie bezpieczne schronienie, Nahua ci go udzieli. Będziesz walczył daleko, aby nie zwabić tu swych wrogów. Tu jest Przystań Zbiegów. Tu powinien panować pokój.

Podkreślała to ostatnie zdanie kilkakrotnie, z naciskiem. Marten słuchał, nie przerywając jej. Mówiła o wewnętrznych sprawach swego kraju niczym mąż stanu, choć nie ogarniała wszystkich niebezpieczeństw grożących z zewnątrz.

Ludność Amalia stale wzrastała. Wzrastała szybciej i gwałtowniej niż tam, gdzie działał tylko przyrost naturalny, ponieważ ciągle przybywali tu nowi zbiegowie, Indianie i Murzyni, a nawet mieszańcy. Wprawdzie nie brakło dla nich ziemi, ale pokrywała ją puszcza. Aby zaś wydrzeć puszczy tę ziemię, uprawić ją i zbudować nowe osiedla, trzeba było narzędzi – żelaza. Trzeba było także nasion, szczepów owocowych, nowycli roślin, bydła i owiec. Przede wszystkim zaś trzeba było kobiet na żony dla osiedleńców.-Ten problem stał się palący. Zbiegami prawie wyłącznie byli mężczyźni. Dziewczęta z sąsiednich plemion Acolhua i Haihole wychodziły za mąż za Indian, ale rzadko kiedy za Murzynów. Zresztą i tam już wyczerpał się nadmiar kobiet. Ten stan rzeczy mógł wywołać zamieszki i niepokoje. Trzeba było zapobiec mu w jakiś sposób.

Matlok, teściowa Mędrca, nienawidziła cudzoziemców. Wśród dworzan i doradców zięcia, wśród kapłanów, między starszyzną miała swoich stronników. Pochodziła z rodu

Córa; jej przodkowie byli wodzami wędrownych myśliwców i wojowników, a gdy zaczęli prowadzić życie osiadłe, głów* nym ich rzemiosłem nadal pozostawała wojna. Matlok była ambitna, żądna władzy – jeśli nie dla siebie, to dla zięcia i wnuczki. Władzy absolutnej oczywiście – nie federacji z innymi plemionami, lecz poddania ich pod panowanie Quiche;

Gniewało ją, że cudzoziemcy otrzymują ziemię w Arna-ha; owszem, powinni ją uprawiać, lecz jako niewolnicy. Po*j za tym powinni oddawać cześć Tlalokowi, a także powinno się ich przeznaczać na krwawe ofiary dla tego boga, którego kult upadał coraz bardziej, właśnie wskutek napływu cudzo: I ziemców;

Kusiła przebiegłego czarownika Uatholoka, napomykając mu o możliwości małżeństwa z Iniką. Ponieważ Mędrzec nie miał syna, Uatholok po jego śmierci mógłby zostać wo-1 dżem i władcą Amaha. A może nawet wcześniej?...;

Lecz kapłan zaniedbanego boga wahał się. Mędrzec był (;potężny i niebezpiecznie było spiskować przeciw niemu. Uatholok oscylował tedy pomiędzy nim a jego teściową, sta* | rając się zachować pozycję neutralną. Oba stronnictwa zasięgały jego rady, a sprzymierzeni wodzowie Acolhua i Hai- J hole zjednywali go sobie podarunkami.

,- A twój ojciec? – spytał Marten, gdy Inika umilkła. – Będiesz

z nim mówił – odrzekła. – Jesteście obaj wielkimi wodzami, a

twój biały przyjaciel walczył wraz z nami i wystrzelił dla nas wiele

pocisków. Wiem, że jesteś jeszcze f potężniejszy od niego. Jeśli

zechcesz, możesz uczynić dla mego kraju wiele. Jeśli nie, mógłbyś

nas zmieść z powierzchni ziemi. Lecz przyjęliśmy cię jak gościa i

przyjaciela, choć mo-, gliśmy was zgładzić i spalić wasze okręty,

zanim przebyły I lagunę. Mój ojciec *me pozwoYń* na lo. Spojrzała

mu prosto w oczy. CŁ Teraz wiesz wszystko – powiedziała,

Tegoż dnia wieczorem, gdy jak zwykle kobiety oddaliły się, Mędrzec skinieniem ręki odprawił również wszystkich pozostałych uczestników wieczery i zapytał swych białych gości, czy zechcą przesiąść się wraz z nim bliżej ogniska, które dogasało pod rozłożystym drzewem.

Była pełnia i srebrny blask księżyca przeciekał przez gałęzie, rzucając ich czarne

ienie na trawę pokrytą rosą. Lecz przy stosie czerwonych, na pół zwęglonych
główni było sucho, a niski wał z darniny stanowił wygodne siedzenia.

Quiche milczał przez dłuższą chwilę, poruszając żar świeżym, odartym z kory kijem.
Drobne gałązki Zatliły się, zadymiły, buchnęły płomieniem i zgasły.

–Nadszedł czas, abyśmy nawzajem otworzyli serca

przed sobą – powiedział Mędrzec. – Czego chcecie?

Marten porozumiał się wzrokiem z Belmontem, który lekko skinął głową i rzekł:

–Pomóc tobie Quiche i zarazem otrzymać pomoc od ciebie. Amaha stało się
Przystanią Zbiegów, którzy tu znaleźli bezpieczne schronienie. Lecz świat dokoła jest
wielki i panują w nim Hiszpanie. Wiesz o nich dosyć, aby pojąć, że prędzej czy
później spróbują zawładnąć także i twoim krajem, a wówczas...; – uczynił ruch
dłonią, jakby zmiatając nią ziemię przed sobą. – Wówczas nie zdołałbyś oprzeć się
im, nie mając broni, dział i okrętów*

–Wody laguny są płytkie – odparł Mędrzec. – Czy widziałeś hiszpańskie maszty,
które tam sterczą?

Belmont pokiwał *głową*. *Miał* ochotę zapytać, co się stało z załogą statku, ale uznał
takie pytanie za zbyt natarczywe i niedyskretne. Przypuszczał, że została
wymordowana co do nogi.

–Widziałem – powiedział. – Ale ten okręt płynął sa

motnie, a jego kapitan postąpił nierozważnie. Skoro jednak

ośmielił się wejść do zatoki, będzie takich więcej, a los

pierwszego ostrzeże ich, lecz nie zniechęci. Hiszpanie mają

siłę. Tylko siłą można ich wstrzymać. Gdyby twój szwagier przed laty rozporządzał
kilku działami, „Arrandoru” nie stanęłaby wtedy w Nahua.

–To prawda – szepnął Mędrzec.

Belmont mówił dalej, odkrywając projekt ufortyfikowania

wybrzeża i ujścia rzeki oraz umocnienia dostępnych przejść od strony lądu.
Obiecywał broń, armaty, zapasy kul i prochu, pomoc w organizacji armii w zamian za
schronienie dla okrętów i za przechowanie zdobyczy oraz za pozwolenie na
Alerbunek załóg spośród mieszkańców Amaha.

Mędrzec wysłuchał go w milczeniu, a potem sam zaczął mówić, zwracając się głównie do Martena.

Mówił o swojej młodości, która upłynęła wśród walk i mordów; o wyprawach przeciw wojowniczym, zbójckim koczownikom, którzy ustawicznie pustoszyli kraj: o krwa-i, wych wewnętrznych rozprawach z buntowniczymi rodami kapłanów i pomniejszych wodzów, o zamieszkach i rewolucjach, podczas których stracił oboje rodziców, nie osiągnąwszy jeszcze wieku męskiego; o późniejszych rozpaczliwych bitwach z jakimiś przybyszami z gór; o nieszczęsnym przymierzu z plemieniem Córa, z którego wziął sobie żonę, i o jej śmierci z rąk żadnego władcy szwagra; o szeregu klęsk, co i przyszły jak fala, spychając go wraz z garścią wiernych ludzi w głąb lasów, a potem na wybrzeże, skąd już nie było dalszego odwrotu.

–Amaha stała się wtedy pogorzelskiem, a Nahua po-J rosła puszcza – westchnął.

–Gdy „Arrandora” ukazała się w zatoce – powiedział] po chwili spoglądając na Martena – ogarnęła nas rozpacz, I Byliśmy okrążeni, a nasze pirogi nie mogły wypłynąć na morze, aby przewieźć kobiety i dzieci wzdłuż brzegów. Za- | uderzaliśmy bowiem porzucić swój kraj i zdać się na los, szukając azylu na południu, z dala od tej rzeki, która tylejB kroć spływała krwią. Zapewne pomarliśmy z głodu, gdy-

by ten zamiar został wykonany. Ale on nam przeszkodził – wskazał Belmonta. – 1 ocalił nas – dodał.

Umilkł znowu, patrząc w żar ogniska, jakby dojrzał tam wśród popiołów obraz tego, co niegdyś przeżywał. Polem mówił dalej, jak na widok żagli „Arrandory” postanowił pozabijać kobiety i dzieci, by nie dostały się w ręce białych, i rzucić się na okręt, aby zginąć w walce. Na szczęście jednak ujrzał, że przybysze spuszczają łódź z pokładu. Zmienił więc zamiar i powziął szaloną myśl, że mogliby mu pomóc, jeśli ich ostrzeże przed swymi wrogami. Wysłał pirogę z kilku wioślarzami na spotkanie szalupy, a następnie sam dostał się na pokład „Arrandory” i zdołał przekonać Belmonta o niebezpieczeństwie grożącym ze strony wojowników i kapłanów Córa.

Belmont, któremu głównie chodziło o słodką wodę do picia, w’idział się zmuszony do zdobywania jej przy akompaniamencie ognia swych dział. Potem – jak to sam wyznał -Marteniowi, o czym Mędrzec nie wiedział, a w każdym razie nie wspominał – zaczął „węszyć złoto” i zgodził się na wyprawę w górę rzeki, aż do Nalnia. Wreszcie, przywróciwszy władzę Quiche, zostawił mu nieco broni, kilka siekier i starych narzędzi, po czym odpłynął obiecując odwiedzić wodza przy okazji.

–A my – mówił Mędrzec – my zostaliśmy wśród zgliszcz, aby rozpocząć wszystko na nowo. Nie było ani jednego domu tam nad rzeką, ogrody zarosły chaszczami i wysoką trawą, puszcza szła naprzód ze wszystkich stron, zajmując uprawną ziemię i przypierając nas do skrawka brzegu. Walczyliśmy teraz z nią, jak przedtem

walczyliśmy z ludźmi. I wiedz, że była to również walka na śmierć i życie.

Marlen powoli skinął głową. Wyobrażał sobie tego człowieka na czele niedobitków, którzy prymitywnymi narzędziami karczowali olbrzymie drzewa, podpalali poszycie. wyrąbywali cierniste gąszcze, zasiewali maleńkie zagony, na

które natychmiast znów rzuciła się dżungla. Potem stanął mu w oczach widok rozległych pól, sadów i plantacji oglądanych ze wzgórza; widok kwitnącego dobrobytem kraju, który leżał teraz pogrążony we śnie, wśród niezmiernego spokoju nocy pod chłodnym blaskiem księżyca i gwiazd.

Podniósł wzrok i spojrzał na Mędrca z podziwem. On był twórcą tego dzieła. Za jego sprawą stanął sojusz ze zbiegami, którzy przybywali coraz liczniej, przynosząc do Arna-; ha nabyte od Hiszpanów umiejętności i niekiedy jakieś narzędzia rolnicze lub trochę siewnego ziarna, a puszcza musiała ustąpić przed ich wspólnymi siłami i zaciętym uporem. Kraj wyniszczony wojną odradzał się i zakwitał pod jego rządami. On wyznaczał miejsca pod budowę domów indiańskich w Nahua i pod osiedla przybyszów w głębi kraju; zbudował przystań i spichrze na brzegu; ustanowił straż nad I laguną; poskromił fanatyzm kapłanów; okazał tolerancję religijną rzadko spotykaną nawet w Europie! Zaiste był mędr-cem. A jednak...

•- Dałem tym ludziom dobrobyt i pokój – mówił z goryczą. – Nikt już nie umiera z głodu w Amaha, nikt nie ginie wśród mąk na ołtarzu Tlaloka, a owoców ich pracy nie niszczy żaden nieprzyjacielski najazd. Od wielu pokoleń tak nie mieszkali, nie jedli i nie spali snem tak spokojnym. A mimo to burzą się i przeklinają, spiskują przeciw mnie. Może źle uczyniłem słuchając twoich rad – zwrócił się do Belmonta. – Może więcej ludzi powinno było umrzeć, gdy „Arran-dora” po raz pierwszy zakotwiczyła tam, u brzegu...

Pochylił się ku Belmontowi i mówił szeptem, z przerwami, jakby z trudem dobywał i rzucał przed siebie najskrytsze myśli.

–Nie mogą zapomnieć! Jedni i drudzy. Nie mogą zapomnieć o przeszłości, o latach walk, o zemście, o krwi przelanej. Głupcy! Nie potrafią pojąć, czym jest pokój. Pragnęliby ujarzmić ludy mieszkające na południe od Amaha,

aby zdobyć ich kobiety, i ludy górskie na zachodzie, gdzie jest srebro. Pragnęliby wypraw wojennych, krwi, ofiar, bitew. Głupcy – powtórzył. – Głupcy!

Wyznał, że niektórzy z nich musieli zapłacić śmiercią za tę głupotę. Ale nie mógł zabić wszystkich: było ich zbyt wielu. Dlatego skłonny jest przyjąć pomoc Martena. Mając uzbrojoną, wierną sobie armię i tak potężnego sojusznika, potrafi opanować sytuację wewnętrzną, utrzymać i utrwalić władzę. Nikt nie odważy się wicherzyć przeciw niemu, a wodzowie Acolhua i Haihole będą jeszcze bardziej cenili pokojowe i

przyjazne stosunki z jego państwem. Z drugiej strony rekrutacja ochotnicza do załóg okrętowych usunie z kraju najbardziej wojowniczy element – niespokojne duchy, gotowe na wszystko. Nie ma wątpliwości, że będzie ich pod dostatkiem. Wystarczy ogłosić pobór w Nahua i rozesać kilku gońców w górę rzeki i w głąb kraju, do innych osad, a zbiegną się jak ćmy do światła.

Mówił o nich z pogardliwym lekceważeniem nie pozbawionym jednak pewnego sentymentu. Może nawet zazdrościł im przyszłego udziału w przygodach wojennych? Sam nie mógł pozwolić sobie na coś podobnego, ponieważ był Mędr-cem; dźwigał ciężar rządów i odpowiedzialności za pokój w Amaha. Zgubna mądrość pętała jego porywy; oni zaś będą walczyli i zdobywali sławę lub śmierć.

–Głupcy! – powtórzył raz jeszcze uderzając kijem w wygasłe ognisko.

Rój iskier trysnął w górę pod tym ciosem i opadł z powrotem w nieruchomym powietrzu. Quiche dorzucił garść suchego chrustu, po czym wstał, a wraz z nim podnieśli się Marten i Belmont. Gdy buchnął płomień, Mędrzec wyciągnął ku nim obie dłonie, oni zaś podali mu swoje ponad ogniem i trwali tak przez chwilę w milczeniu złączeni uściskiem rąk. W ten sposób sojusz został zawarty i przypieczętowany.

Gdy „Zephyr” i „Ibex” odbity od przystani w Samia, Marten kazał opuścić na wodę wszystkie szalupy i obsadzić je zbrojnymi ludźmi. Łodzie płynęły przodem w dół rzeki, najeżone muszkietami, na pokładach okrętów puszkarze stali w bojowym ordynku przy odsłoniętych działach, arkebuźnicy – wzdłuż burt z bronią u nogi, wyborowi strzelcy – na marsach. Angielskie Hagi łopotwały u szczytów masztów, a czarna bandera ze złotą kuną powiewała nad „Ze-J p l iv rem”.

Ta demonstracja potęgi białych żeglarzy miała uprzytomnić ich sojusznikom fakt zawarcia korzystnego przyrzeczenia, a zarazem powstrzymać ich na przyszłość od ewentualnych wybryków przeciw prawowitej władzy w kraju.

Tłumy Indian, grupki Murzynów, starcy, kobiety i dzieci wyległy, aby przyjrzeć się temu widowisku. Ludzie stali w milczeniu, przejęci podziwem. Powiew wiatru zwijał i rozwijał Hagi, poruszał liśćmi i gałęziami drzew, a długi korowód łodzi płynął z prądem wyprzedzając żaglowce holowane przez pirogi.

Marten patrzył ku pomostowi, na którym w otoczeniu eskorty został Quiehe. Stał nieruchomy, wsparty na ramieniu córki, za nim zaś widać było olbrzymią postać Broera j Worsta, Schultza i grupę białych marynarzy, wybranych z załogi „Zephyra”. Pozostawiono ich w Nahua jako budowniczych umocnień i fortyfikacji, a także jako instruktorów wojskowych.

Marten długo rozważał i wahał się, komu powierzyć tę sprawę. Najlepiej nadawał się do tego Ryszard de Belmont.

ale on był *urazem* jedynym człowiekiem znającym wody i brzegi Zatoki Meksykańskiej, miał niejakie stosunki wśród tutejszych korsarzy i wiedział o ich kryjówkach! Jego udział, przynajmniej w pierwszych wyprawach, zdawał się zatem konieczny.

Sternikiem na „Ibexie” był niejaki William Hoogstone, człowiek niewątpliwie odważny i dolny marynarz, lecz poza tym dość ograniczony. Na stanowisku, które wymagało pewnej dyplomacji oraz taktu, mógł przyczynić więcej szkody niż pożytku. Pozostawał więc tylko Henryk, który jednak nie miał na to najmniejszej ochoty, choć uwierzył wreszcie, że nie ma do czynienia z diabelskim pomiotem i że Indianie należą do jakiegoś podlejszego wprawdzie, lecz przecież ludzkiego rodzaju istot.

Głównym źródłem tej niechęci w sercu i umyśle Schultza była obawa, że „Zephyr” i „Ibex” mogą nigdy nie powrócić do Amalia; że Martena może spotkać klęska. Wówczas byłby skazany na całe lata pobytu wśród „dzikich”, zdany na łaskę i niełaskę ich wodza, niemal bez nadziei ucieczki i powrotu do Europy.

Lecz Marten ani myślał liczyć się z jego chęcią i wolą. Pozwolił mu jedynie na swobodny wybór ludzi z załogi i przydał do pomocy cieślę, który znalazł się na robotach fortyfikacyjnych. Obiecał, że wróci najdalej za dwa miesiące i że zabierze go na następną wyprawę.

Tak więc Henryk, pochmurny, rozgoryczony i milczący, stał na drewnianym nabrzeżu przystani i wraz z innymi spoglądał za oddalającym się „Zephyrem”, który zamykał kolumnę łodzi poprzedzany przez holujące go pirogi i przez „lbexa”. Gdy szalupy jedna po drugiej zaczęły znikać za pierwszym zakrętem rzeki, nad rufą „Zephyra” ukazał się błysk i kłęb dymu; furczący pocisk przeleciał wysoko nad środkiem koryta i uderzył w wodę poza osadą, wznosząc

wał wśród gęszej mgły i ledwie zdołało ją dźwignąć w górę ze spoconej rosą ziemi, już ukazywały się obłoki, białe jak ubita śmietana. Opuszczały się nisko, ciemniały, zawały całe niebo i magle rozlegał się szelest, szum, trzepot, łoskot ogromnych kropel, a potem srebrnoszara zasłona opadała naj świat. Odwijała się gdzieś w górze, jak z wirującego walca chmur, pędziła w dół z niewiarygodną szybkością, rozpryskiwana się na ziemi i tysiącem strug, strumyków, rwących rzeczulek i potoków spływała ku rzece.

Schultz wkrótce pojął, że w tych warunkach drogi lądowe stały się nie do przebycia, a żegluga pod prąd na dłuższą metę bardzo utrudniona. Bezwodne lub bagniste w porze suchej meandry Amaha wypełniły się po brzegi, na nizinach utworzyły się jeziora i trzęsawiska. Mimo to przybór w górnym korycie rzeki nie groził wylewem, zapewne dzięki temu, że wody rozdzielały się na liczne dawniejsze odnogi i koryta. Quiche na zapytanie Henryka odrzekł, że można bez wielkiego ryzyka przedsięwziąć podróż w dół, ku ujściu Amaha, i Schultz wyprawił się tam, aby poczynić pomiary głębokości laguny i sporządzić jej mapę ułatwiającą wejście i wyjście okrętom.

Był to jego własny pomysł, gdyż Marten nie zatroszczył się o taki szkic, ufając swojej pamięci, w której raz poznane brzegi, szlaki żeglowne i przesmyki wśród mielizn utrwały się na zawrśsze.

Dokonawszy i tego, Henryk wrócił do Nahua, aby czekać na przybycie Martena. Drugi miesiąc jego nieobecności dobiegał końca i niepokój znów ogarniał komendanta garni- j zonu pozostawionego w Przystani Zbiegów.

Deszcze padały nadal, ziemia parowała w porannym słońcu, upał nie zmniejszał się wcale. Henryk czuł, że dłu- j go nie wytrzyma w tym klimacie. Słyszał nieraz o żółtej fe-1 brze, która zabijała białych. Dziwił się czasem, że nikt z jego ludzi dotychczas nie zachorował.

Aby odpędzić ponure obrazy i myśli, które go nawiedzały* przyglądał się ćwiczeniom indiańskich oddziałów, bywał na strzelnicy, doglądał gromadzenia

materiałów do rozbudowy spichrzów, obróbki kamienia na pilastry i belek na krokwie. Potem, gdy nowa fala ulewy zmuszała go do schronienia się pod dach, z kupiecką sumiennością zapisywał wykonane roboty i ich koszt, a wreszcie zabierał się do opracowywania i wygładzania szczegółowego traktatu pomiędzy władcą Amaha oraz wodzami Acolhua i Haihole z jednej, a Janem Martenem z drugiej strony.

Ten traktat, lub raczej ujęcie go w formę umowy na piśmie, był również jego pomysłem, wpływającym po części z zamiłowania do porządku, częściowo zaś z wrodzonej dążności do uwikłania kontrahenta w podstępne kruczki prawne, tak aby go od siebie jak najbardziej uzależnić.

Fakt, że zarówno Quiche, jak jego indiańscy sprzymierzeńcy nie potrafili nawet podpisać owego dokumentu oraz że nikt nie zdołał go dokładnie przetłumaczyć na zrozumiały dla nich język, bynajmniej go nie zrażał. Klauzule, zapewniające wszelkie przywileje białym, miały usprawiedliwić najdalej posunięty wyzysk i ewentualne represje w stosunku do Indian. Miały je usprawiedliwić w czułym sumieniu Henryka Schultza. Pisał pięknym, kaligraficznym pismem, używając piór, które dla niego zbierali chłopcy murzyńscy, a ponieważ sporządzał umowę w dwu egzemplarzach i ciągle ją przerabiał, zajmowało mu to wiele czasu. Mimo to miał go jeszcze dosyć, aby uczyć Inikę.

Pewnego dnia, w tydzień po odjeździe Martena, córka Mędrca ukazała się w progu pawilonu, który teraz zajmował Henryk. Zastała go przy pisaniu i zapytała o znaczenie jej dziwnej czynności. Niełatwo było wytłumaczyć jej, o co chodzi, ale gdy wreszcie pojęła cel i pożytek płynący z takiej sztuki, ogarnął ją podziw dla pomysłowości białych, a następnie zapragnęła sama wtajemniczenia.

Schultz nie miał nic przeciwko temu: znalazł jeszcze jedną rozrywkę, która skracała oczekiwanie na powrót „Ze-phyra” i „lbexa”. Po kilku dniach spostrzegł, że Inika jest zdolna i robi szybkie postępy. W dwa tygodnie nauczył ją czytać, w trzy pisać i rachować do stu. Przyswoiła sobie mnóstwo nowych pojęć, a także kilkadziesiąt słów angielskich. Sprawiało mu to coraz większą przyjemność, a jej codzienne odwiedziny zaczęły budzić w nim dziwny, lecz bynajmniej nie przykry niepokój.

Inika była ładna i pociągająca. Henryk na próżno powtarzał sobie,

że to jeszcze dziecko, nie kobieta. Gdy ujmował jej szczupłą, ciemną rękę pomagając kreślić litery i cyfry, przenikał go dreszcz. Nie mógł się powstrzymać od ukradkowych spojrzeń jej gładkie, krągłe ramiona i kark, gdy pochylała głowę nad arkuszem papieru, a od zapachu jej włosów \ młodego gorącego ciała kręciło mu się w głowie. Ona jednak zdawała się nie dostrzegać wrażenia, jakie na nim wywiera. Była ufna i ciekawa, lecz nie zalotna. Zmysły jej drzemały, a w każdym razie osoba Henryka nie budziła w niej żadnych zmysłowych skłonności.

Ten chłód, wysokie stanowisko, jakie zajmowała, a przede wszystkim fakt, że była poganką, powstrzymywały Schul-tza od prób zbliżenia się do niej. Henryk mniemał, że młodzi marynarze, łącząc się potajemnie z indiańskimi i murzyńskimi kobietami, popełniają grzech sodomski, nie mówiąc już o tym, że narażeni są na ich czary lub opętanie przez szamanów, i że te stosunki wywołują nieuniknione awantury z oszukiwanymi mężami lub rodzicami. Sam, karząc lub karcąc winnych, musiał dawać przykład wstrzeźliwości i cnoty.

Wszystko to razem nie podobało mu się zresztą od samego początku; od założeń, jakie przyjął Marten pod zgubnym wpływem kawalera de Belmont.

Sojusz z Mędrcelem bądź co bądź krępował swobodę postępowania białych w Amaha, a przy tym był kosztowny.

Czyż nie byłoby prościej i taniej podbić ten kraj, zamieniając jego mieszkańców w niewolników, tak jak to czynili Hiszpanie? Marten miał na to dość sił, a gdyby jeszcze zechciał ochrzcić tych ludzi, zyskałby błogosławieństwo boże, ratując ich dusze od wieczystego potępienia. Nie byłoby kłopotów z kobietami dla marynarzy, awantur z zazdrosnymi mężami i ojcami, ceregieli z ochotnikami do wojska.; Można by tu rządzić despotycznie, umieściwszy kilkunastu dobrze uzbrojonych ludzi w zamku Quiche za ostrokołem i ustawiwszy krzyż pomiędzy dwiema oknami zamiast wstrętnego bałwana Tlaloka.

Gdybym był na jego miejscu – myślał Henryk o Martenie – rządziłbym tu siłą. Zmusiłbym tych dzikich do uległości i pokory. Uczyniłbym dla nich więcej niż on[^] zbawiłbym bowiem ich dusze. Kazałbym powiesić Uatholoka i zniszczyć posąg jego bożka, a odchodząc stąd na zawsze, powierzyłbym ten kraj opiece Hiszpanów, którzy

przecież są katolikami. Gdyby to ode mnie zależało, rządziłbym tu siłą.

Wzbraniał się dodać bodaj w myśli, że wówczas uczyłby Inikę zgoła czegoś innego niż czytania i pisania. Wzbraniał się, ponieważ były to myśli rozwiązłe i grzeszne, Ale wiedział, że tak by się stało.:

Wiść o powrocie Martena wyprzedziła znacznie jego przybycie do Nahua, a nawet zakotwiczenie okrętów u ujścia rzeki. Ogłosiło ją dalekie dudnienie bębnów, które zaczęły warczeć o świcie nad laguną, budząc odzew innych, ukrytych w lasach wzdłuż brzegów Amaha. Nim weszło słońce, odpowiedział im wielki bęben Uatholoka umieszczony przed jego domem na tyłach zamkowego wzgórza i ten hałas obudził Schultza.

Henryk zerwał się ze snu przestraszony i wypadł przed pawilon. Nie miał pojęcia, co oznacza ten alarm: bunt, niespodziewany atak, powódź, pożar?...

Usłyszał w dole gwar licznych głosów i ujrzał Indian

gromadzących się na placu. Ścieżką od strony zamku przebiegło dwóch posłańców Mędrca. Poznał ich po czarno-czer-wonych przybraniach z włosia, ale nie zatrzymali się, gdy na nich zawołał. Ruszył w górę, ku działom, gdzie mieszkało kilku ludzi z „Zephyra”, lecz po drodze spotkał Inikę.

Szła spiesznie w dół podniecona, zaledwie ubrana, z rozpuszczonymi włosami, bez ozdób, jakie zwykle nosiła. Spostrzegłszy Henryka, błysnęła białymi zębami w uśmiechu.

–Wrócił! – zawołała z daleka. – Wrócił i jest zdrow!

Schultz pojął, że mówi o Martenie. Pomyślał, że jej rozpromieniona twarz i gorejące oczy zdradzają coś więcej niż radość z powodzenia potężnego sojusznika i z korzyści, jakie to powodzenie przyniesie krajowi. Gorycz zalała mu serce.

Inika zatrzymała się przed nim. ',– Pojedziesz na jego spotkanie? – zapytała;

–Nie. Skąd wiesz, że wrócił?

Spojrzała na niego zdziwiona.

–Tak mówią bębny. Jest w zatoce. Wyślemy pirogi, aby przewieźć tu zdobycz z jego okrętów.

–A ty popłyniesz z nimi?

–O tak! – wykrzyknęła. – Nie chcę czekać długo.

–Nie mogę płynąć z tobą – powiedział siląc się na j obojętny, rzeczowy ton. – Muszę tu wszystko przygotować.

–A więc zostań. Wrócimy wieczorem. Witaj, Janie – wyrzekła z niejakim wysiłkiem w dziwnym, niezrozumiałym języku, o ileż trudniejszym od hiszpańskiego, – Czy dobrze mówię te słowa?

Wielkie ognie płonęły dokoła przystani, ze -wszystkich stron placu i wzdłuż drogi wiodącej do bramy w ostrokole. Ziemia obsychała po ulewnym deszczu, który zaczął padać w południe i trwał przez kilka godzin. Wypogodziło się i gwiazdy błyszcząły jasno w nieskończonej głębi nieba. Swi-

ta Quiche stała w oddaleniu kilku kroków za plecami władcy, który siedział ze skrzyżowanymi nogami obok Schultza na rozłożonych matach. Z drugiej strony pomostu, z bronią u nogi, oczekiwał przybycia białych dwuszereg indiańskich muszkieterów, a oddział puszkarzy z toporami i łopatami do sypania szańców zamykał czworobok szyków.

Gdy szalupa Martena holowana przez trzy pirogi ukazała się w czerwonym, migocącym blasku płomieni, powitały ją *giośne* okrzyki i *oklaski*, które jednak wkrótce ucichły pod wpływem zdumienia ogarniającego tłum. Marten stał w łodzi na rufie, mając obok siebie Inikę. Jnikę zmienioną prawie nie do poznania, odzianą w malajski sarong z ciężkiej materii przetykanej złotymi nićmi; Inikę, której włosy piętrzyły się wysoko, zaczesane na sposób hiszpański z rzeźbionym grzebieniem z szylkretu ozdobionym złotem i perłami, z mnóstwem naszyjników spływających na piersi, z diamentowymi kolcami w uszach.

Marlen śmiał się i mówił coś do niej, a gdy szalupa zrównała się z nabrzeżem, wyskoczył na pomost i pomógł jej wysiąść. Dopiero potem rozejrzał się dokoła i ruszył na spotkanie Mędrca, który wstał i postąpił ku niemu parę kroków.

–Witaj; Quiche – powiedział swobodnie, – Jak ci się podoba twoja córka?

Mędrzec patrzył mu prosto w oczy i milczał.

–Witaj – powiedział wreszcie. – Przyjacielu – do dał po krótkiej pauzie.

Wszyscy usłyszeli te słowa wśród zupełnej ciszy, jaka zaległa od chwili, gdy biały postawił nogę na brzegu, a choć wypowiedziane były po hiszpańsku, rozumiano ich sens. Gwar podniósł się znowu, pokazywano sobie Inikę, która stała teraz sama na pomoście wypatrując następnej szalupy, podziwiano jej niezwykle strój.

–Przywiozłem jej Murzynkę, która umie trefić wło-

sy -" powiedział Marten bardzo z siebie zadowolony; M Patrz, jak ją uczesała i ubrała!

v- Bardzo pięknie – odrzekł Quiche. •- I bardzo dziwnie. Nasi sąsiedzi z Haihole z pewnością nigdy nie widzieli dziewczyny o tak upiętych włosach.

–Haihole? – powtórzył Marten. *- Cóż ich obchodzi

uczesanie twojej córki?

i- Ich młody wódz, Totnak, jest synem wielkiego wojownika – powiedział Quiche. ~ Niegdyś walczyliśmy razem*

–Rozumiem – uśmiechnął się Marten. – Ten Totnak

pragnąłby zostać twoim zięciem?

Quiche nieznacznie skinął głową;

fc- Jeszcze nie otrzymał odpowiedzi – rzekł po chwili~ A

czy ta odpowiedź zależy od Iniki? '- Być może,*

•- Dam jej piękny podarunek weselny – oświadczył Marten; –

Mam nadzieję, że ten twój Totnak nie będzie próbował nadziać

mnie na swoją włócznię z tego powodu; •- O, nie sądzę –

odrzekł Mędrzec spuszczając oczy; Jan zdawał się nie dostrzegać

tej jego powściągliwości;;-. Mam także coś dla ciebie –

oświadczył; – Dwa moździerze i cztery oktawy; Reszta niestety

poszła na dno; nie zdążyliśmy ich zdemontować, Za to udało nam

się zdo: być sporo prochu i kul; Quiche skinął głową i wyrzekł kilka słów podziękowa- j nia; Wydawał się zadowolony i uspokojony; Słuchał z wyraźnym zaciekawieniem opowiadania Martena o bitwach stoczonych kolejno z dwoma okrętami hiszpańskimi i o poddaniu się statku handlowego z cennym ładunkiem; Wyraził radość z powodu tak pomyślnego przebiegu wyprawy;

–No, mogłoby być jeszcze lepiej – westchnął Marten.; – Ale na początek dobre i to;

W tej chwili dostrzegł chmurnego, skwaszonego Schult:

za, który najwidoczniej czuł się boleśnie dotknięty, że dotychczas pozostał nie zauważony.

–Nie myśl, że o tobie zapomniałem! – wykrzyknął Marten potrząsając jego dłonią. – Widziałem, czego dokonaliście z Worstem na wybrzeżu. Czekaj cię za to niespodzianka. Płynie w następnej szalupie. O, już ląduje – dodał, pociągając go na skraj nabrzeża.

Henryk spojrzawszy nieufnie w stronę łodzi, którą dwaj Indianie uwiązywali do drewnianych pachołków *. Ujrzał w niej pomiędzy wiosłarzami jakiegoś człowieka w czerni i nagle chwycił Martena za ramię.

–Kto to jest? – spytał zdławionym głosem; Jan roześmiał się.– Niejaki Pedro Alvaro. Utrzymuje, że Jest rezydentem z Ciudad Rueda. Nie znam się na tytułach Jezuickich klechów, więc nie wiem, co to takiego. W każdym razie trafiłem, nieprawdaż? Daruję ci go na własność;

Wyładunek i transport zdobyczy trwał prawie tydzień; Szalupy i pirogi wypełnione skrzyniami, workami i wszelakim sprzętem wolno, pracowicie płynęły pod prąd, zostawiały swą zawartość na drewnianym nabrzeżu w Nahua i szybko spływały z powrotem w dół ku lagunie, a Schultz segregował i spisywał towary, dozorując ich rozmieszczenie w magazynach;

Nazajutrz po przybyciu Martena poselstwo wodza Haihole odpłynęło w górę Amaha, wioząc kilka muszkietów! pakę z innymi darami, które Quiche posyłał Totnakowi; Jan był zbyt zaprzątnięty swoimi sprawami, aby zapytać o odpo-

wiedź Mędrca W kwestii matrymonialnej jego córki, Icika zaś nie ukazała się wcale, czego nawet nie zauważył.

Spotkał ją dopiero po kilku dniach i wtedy przypomniał sobie rozmowę z Quiche. Inika nadal czesała się tak jak wte-j dy, gdy dał jej ów cenny grzebień, ale nie miała na sobie saronga, tylko jakąś czerwoną kwiecistą suknię, która nie zakrywała jej ramion i sięgała po kolana.

–Słyszałem, że będziesz miała męża – powiedział do niej.

–Quien sabe?... – odrzekła patrząc mu w oczy. – .Może kiedyś będę miała.

–Jak on się nazywa? – zapytał nie mogąc sobie przypomnieć.

–Skądże mogę wiedzieć? – uśmiechnęła się.

–Aha: Totnak! Przecież twój ojciec... ~~ Nie będę żoną Totnaka! – przerwała mu gwałtownie.

–O! – zdziwił się Jan. – ~ Dlaczego?

–Chcę być panią Amaha.

–W takim razie Uatholok...;

–Nie mów tak! – tupnęła nogą rozgniewana;

–Nie złość się – powiedział rozśmieszony. – Będąc na twoim miejscu też nie zachwyciłbym się Uatholokiem. Ale skoro chcesz być panią Amaha...

–Chcę. Henryk mi mówił... ~ zawahała się.

–Henryk?! Przecież nie zamierzasz zostać żoną Henryka?!

Wydało mu się to tak zabawne, że wybuchnął śmiechem, | ale

widząc, że Inika odwraca się i odchodzi, powstrzymał się i ujawszy ją za rękę powtórzył:

–No nie złość się, chica. Cóż ci naopowiadał Henryk? j

–Powiedział mi, że w kraju, z którego przybyliście,! rządzi wielka królowa. I że nie ma męża.

–Ba! – wykrzyknął Marlen. – Elżbieta...

–^Yięc to prawda?

–Prawda ~ odrzekł.

Nie wiedział, w jaki sposób wytłumaczyć jej różnicę w

sytuacji Elżbiety i jej samej.

–Anglia leży na wyspie – zaczął. – Jest niedostępna dla wrogów...

–To prawie tak, jak Amaha – wtrąciła.

–No... tak – zgodził się. – Królowa ma za sobą cały naród – mówił dalej. – Naród, który jej zawdzięcza Miele. Ma także mądrych doradców i przyjaciół. No i...

–Ja mam ciebie! I Henryka. A teraz Henryk ma bardzo mądrego przyjaciela, którego

mu podarowałeś.

Jan spojrział na nią niespokojnie.

–Tego jezuitę? Czy on także udziela ci swoich rad? Zaprzeczyła ruchem głowy.

–Więc skąd wiesz, że jest mądry?

–Henryk tak mówi.

–Henryk jest osłem! – zirytował się. Lecz Inika nigdy w życiu nie widziała osła i nie mogła

wyciągnąć żadnych wniosków z tej opinii. Powróciła do poprzedniego tematu.

–Gdybyś cbciał mi pomóc, zrobiłabym dla Amalia dużo dobrego – oświadczyła.

–Na przykład co?

–Oh, tego nie można powiedzieć w kilku słowach. Ale gdybyś zechciał...

–Zastanowię się nad tym – mruknął. – Ta mała jest doprawdy nadzwyczajna – pomyślał. – Gdyby była chłopcem, Mędrzec miałby godnego siebie następcę.

Tego roku „Zephyr” 1 „Ibex” jeszcze trzykrotnie wypra-j wiały się na morze w poszukiwaniu łupów, a szczęście nieodmiennie sprzyjało Martenowi. Czarna bandera pojawiała się raz po raz na płytkich wodach Campeche, w Cieśninie Ju-katańskiej i na Morzu Karaibskim, a okręty i statki hiszpań-j skie, których załogi dostrzegły złote godło korsarza, rzadko kiedy wracały do macierzystych portów. Gubernatorzy prowincji Veracruz, Tabasco, Campeche, Kuby i Jamajki ślali alarmujące raporty do wicekróla, flota wojenna uganiała się za Martenem, nagroda w wysokości pięćdziesięciu tysięcy pe-sos czekała na śmiałka, który go zabije, lub na zdrajcę, który wyda jego kryjówkę, a „Zephyr” pozostawał nadal nieuchwytny, zjawiając się tam, gdzie był w danej chwili najmniej spodziewany;

Strach padł na hiszpańskich żeglarzy. Statki skupiały się w konwoje, corregidorzy dodawali po kilka okrętów do ich obrony, a mimo to straty wciąż rosły. Zdarzyło się nawet, że Marten, zawarłszy umowę z kilkoma francuskimi korsarzami, zaatakował między Kubą a Florydą cały konwój, za- j topił pięć karawel liczących w sumie sto osiemdziesiąt dział i zagarnął dwanaście statków zdążających do Europy z cennym ładunkiem.

W czasie jednej z tych wypraw sam, bez pomocy Wha te'a, zdobył abordażem ładny czteromasztowy żaglowiec „To- j ro” zbudowany zapewne w jakiejś holenderskiej stoczni, jak na to wskazywał bardzo długi, stromo wzniesiony bukszpryt, i brak kasztelu na dziobie i wysoka, dwupiętrowa rufa zajmująca prawie połowę długości pokładu, Okręt był duży, liczył

% pewnością ponad czterysta ton, a prędkością dorównywał Ibexowi”. Marten nie zatopił go: postanowił raczej wyrzec się innych łupów, by zachować tę zdobycz.

Wypełniwszy ładownie „Ibex” i „Zephyr” wracały do Amaha i wtedy czarna bandera ze złotą kuną zniknęła na parę tygodni, ukryta poza warownią w niedostępnym ujściu rzeki. Marten płynął do Nahua witany owacyjnie przez tłumy Indian, rozdawał upominki, przyglądał się tańcom i słuchał śpiewów na swoją cześć, odbywał narady z Mędrcelem w jego zamku i długie rozmowy z Iniką na tarasach za ostroko-łem lub w czólnie na rzece.

Czasem spływali w dół, aż ku lagunie, by łowić tuńczyki i delfiny albo polować na marliny *; Jan podziwiał zręczność i odwagę Iniki zarówno we władaniu harpunem, jak wiosłem i żaglem. Raz, gdy holowali do brzegu dużego włócz-nika, opadły ich reki i omal nie wywróciły łodzi. Marten chciał przeciąć linkę i pozostawić im zdobycz, ale Inika wbiła harpun pomiędzy oczy jednego z potworów, trafiając w sam mózg, a błękitne mahos i brunatne galanos rzuciły się na potężne cielsko żarłacza i rozszarpały jena sztuki, pozostawiając jedynie głowę z tkwiącym w niej grotem. Jan

zdołał odzyskać harpun i zabił drugiego galano, a Inika wciągnęła żagiel i pod zamierającą wieczorną bryzą doprowadziła łódź wraz ze złowioną rybą do brzegu;

Quiche wiedział o tych wycieczkach i przygodach; zdawał się wiedzieć także o uczuciach swej córki, i to znacznie więcej niż Marten. Lecz nie zdradzał swych myśli. Rozmawiając ze swym sojusznikiem o sprawach państwowych, unikał jakichkolwiek aluzji na ten temat. Czekał.

Marten zaś coraz bardziej interesował się rozwojem Amaha i coraz bardziej przedłużał swój pobyt w Nahua po-

między jedną a drugą wyprawą. Co więcej, obmyślając każdą następną, brał pod uwagę już nie tylko swoje własne korzyści, lecz również potrzeby tego kraju, o których rozmawiał z Iniką. Stał się jej doradcą i przyjacielem. To, co z początku bawiło go w jej zamysłach, teraz równie silnie *VoAm* ciągało jego wyobraźnię. Nauczył się języka amaha i mógł od biedy porozumieć się także w narzeczu acolhua. Postanowił również poznać język liaihole, gdyż zamierzał zwiedzić kraj w górnym biegu rzeki i dostać się aż do podnóża gór prawym jej dopływem, aby zawrzeć przymierze z tamtejszymi wodzami.

Omawiał te zamiary z Mędrce i jego córką, a w końcu zwierzył się z nich także Belmontowi. Ale nie znalazł spodziewanego poparcia i zrozumienia.

Ryszard popatrzył na niego przeciągle i wyraził powątpiewanie co do celowości takiego przedsięwzięcia. Jego zdaniem należało sprawy wewnętrzne Amalia pozostawić naturalnemu ich biegowi oraz przemyślności Quiche.

–Jakież znaczenie miałyby dla ciebie znajomość

trzech, czterech narzeczy? – mówił przechadzając się z Janem po pokładzie „Zephyra”, który od dawna był gotów do nowej podróży.

–Nawet gdybyś ich poznał dwa razy tyle, to cóż z tego? Czy

myślisz, że zdołasz zorganizować i uzbroić Indian tak, aby oparli się

Hiszpanom? Tu, w Nowym Świecie, gdzie wycięli już w pień całe

plemiona, ujarzmili całe narody, podbili państwa większe niż Polska

lub Francja? Nawet Alvaro, ten jezuicki mnich, którego

Schultz wozi z sobą jak największy skarb, a który i nam przydaje

się jako tłumacz, nie zawsze potrafi dogadać się z wysłannikami bar-
j dziej odległych wiosek. A przecież władza biegle sześcioma czy
ośmioma narzeczami! Zresztą... – urwał i machnął ręką. – Po
co ci to? – spytał zatrzymując się nagle.

–To innie bawi- odrzekł Marten nieszczerze.

Pomyślał jednak, że Belmont ma słuszność, przynaj-

mniej jeśli chodzi o znajomość języków. Pomyślał także, iż w federacji, jaka mu się
marzyła, powinien panować jeden wspólny język.

Jaki? – zastanawiał się później nieraz. Wszyscy zbiegowie, zarówno Indianie, jak
Murzyni i mieszkańcy, których napływ ciągle wzrastał, znali język swych panów i
katów – hiszpański. Tak, tylko hiszpański mógł być wspólnym językiem
zjednoczonych krajów.

Podobnie przedstawiały się sprawy religijne. Wśród zbiegów było wielu chrześcijan,
oczywiście katolików, „nawróconych” przez misjonarzy. Ten kult, z modłami do
Panny Marii, do św. Jakuba z Composteli i do całej plejady innych świętych, ze
swymi relikwiami, medalikami, krzyżkami, które przypominały amulety, z liturgiczną
pompą, z procesjami i odpustami – łatwo zespałał się z wierzeniami pogan. Zarówno
w całej Nowej Hiszpanii i Nowej Kastylji, jak w licznych wsiach i osadach Amaha
„katolicy” Indianie i Murzyni zamiast swych dawnych bogów czcili teraz Matkę
Boską i świętych. Sporządzili sobie ich drewniane figury, jaskrawo pomalowane,
ozdobione piórami i kwiatami, posiadające cudowną moc leczenia chorób,
sprowadzania płodności oraz zapobiegania złej pogodzie podczas zbiorów. Tańczyli
przed nimi, grali Najświętszej Pannie na gitarach, palili ogniska, składali wota.
Zdarzały się, naturalnie, cuda: pobożne kobiety rodziły bliźnięta, a nawet trojaczki,
chorzy wracali do zdrowia, szczepy na dziczkach poświęcone jakiemuś patronowi
rodziły wspaniałe owoce, pioruny rozłupywały potężne drzewa omijając chaty.

Więści o tych nadzwyczajnych zdarzeniach, wyolbrzymione i upiększone przez
stugębną famę, obiegały kraj i łatwo znajdowały wiarę. Znaczna liczba Nahuaczyków
porzuciła ołtarze Tlaloka dla nowych bóstw i wesołych obrzędów. Ta pogodna religia,
oparta na dziesięciorgu przykaż-

niach, zdawała się Martenowi najodpowiedniejsza dla państwa Amaha. Łagodziła
obyczaje, wyłączała krwawe ofiary stwarzała podstawy pokojowego współżycia
między różno-plemienną ludnością.

Lecz któż miał ją upowszechnić? Marten wiedział dość o sądach i praktykach

inkwizycji, a także o sposobach „nają wracania” pogan przez Hiszpanów, aby obawiać się poddania spraw wyznaniowych zakonnikom i misjonarzom. Nie można było im ufać; nie można było dopuszczać ich do władzy.

Inika podzielała ten pogląd: kapłanami nowego kultuJ powinni być miejscowi Indianie, poddani Quiche, nad którymi należało roztoczyć ścisły nadzór.

Poza tym troszczyła się o oświatę; pragnęła, by młodzież w Amaha nauczyła się rzemiosł, ogrodnictwa i tkactwa, a także sztuki budowania wielkich łodzi – może nawet okrętów – na sposób cudzoziemski. Pragnęła rozszerzyć zasób własnej wiedzy o świecie i udzielić jej swemu ludowi.

Marten obiecał jej w tym dopomóc. Podziwiał w duchu niezwykłą dojrzałość jej umysłu oraz śmiałość zamierzeń i sam się do nich zapalał.

Będzie wielką królową – myślał. – Jest mądra jak jej ojciec, a przerosła go ambicją. Gdzież znajdzie męża, który byłby jej godny?

Pedro Alvaro mijał się nieco z prawdą utrzymując, że jest rezydentem. W rzeczywistości był tylko jego sekretarzem i posiadał stopień scholastyka, zdobyty po piętnastu latach studiów i służby w zakonie. Był jednak zdolny i rzeczywiście nieraz zastępował swego przełożonego w stolicy okręgu Rueda, a corregidor Diego de Ramirez bardziej go sobie cenił niż starego, dzieciinniałego rezydenta.

Alvaro miał nadzieję w najbliższym czasie złożyć osta-

teczną przysięgę – *professi a quatro votorum*, po czym otworzyłaby się przed nim droga do najwyższych godności. I oto właśnie, gdy wyprawił się z Ciudad Rueda do Vera -cruz, aby dopilnować tam swego awansu, spotkała go straszliwa przygoda: statek, na którym płynął, został napadnięty przez piratów, on zaś stał się jeńcem słynnego Martena. Wprawdzie nie uczyniono mu żadnej krzywdy i nawet go nie obrabowano, lecz jego los i kariera zostały zwichnięte.

Korsarze traktowali go z pogardliwą dobroduszością. Dano mu jeść i pozwolono spać w kubryku *, a Marten zgodził się nawet na odprawienie przez niego mszy w niedzielę.

W nabożeństwie wzięło udział wielu marynarzy, którzy przedtem przystąpili do spowiedzi. Alvaro ich rozgrzeszył i udzielił im komunii. Lecz to było wszystko, co mógł zdziałać. Nie chcieli słuchać jego kazań i nauk moralnych. Klepali go po plecach i zapewniali, że jeśli nie będzie się wtrącał do ich spraw doczesnych, włos nie spadnie mu z głowy.

Spotkanie z Henrykiem Schultzem natchnęło Alvara nadzieją. Henryk okazał się bardziej religijny niż ludzie z „Ze-phyra”. Był widocznie przejęty i wzruszony. W

czasie spowiedzi wyraził skruchę i żal za ciężkie grzechy, jakie popełniał dotąd, pokornie wysłuchał nagany i przyjął wyznaczoną pokutę. W końcu jednak oświadczył, że nie może przyrzec poprawy, ponieważ – podobnie jak Alvaro – znajduje się w mocy Martena i do czasu musi mu służyć, spełniając jego rozkazy.

–Do czasu... – powtórzył spuszcżając wzrok, a mnich uznał to za pomyślną wypowiedz i nie próbował na razie uzyskać nic więcej;

Dopiero po powrocie z następnej wyprawy, którą odbył na pokładzie „Zephyra” wraz z Schultzem, uświadomił sobie, że ten czas jeszcze nie nadszedł i że niewola u korsarzy

może potrwać znacznie dłużej, niż przypuszczał. Przejrzał na wylot Henryka, co nie było trudne, zwłaszcza że był jego. spowiednikiem, i pochwałał w skrytości ducha cierpliwość, ostrożność i wytrwałość tego człowieka. Pod pewnymi względami byli do siebie podobni, choć cele ich były różne. Nie mogli zostać szczerymi przyjaciółmi, ponieważ obaj pogardzali szczerością i nie ufali przyjaźni, ale mogli wspierać się wzajemnie, póki to leżało w ich wspólnym interesie.

Alvaro był o piętnaście lat starszy od Henryka, a wiedza i doświadczenie zapewniały mu duży wpływ na jego postępowanie. Wiedział już, że prędzej czy później zdoła nim pokierować i odzyskać wolność, mszcząc się zarazem na niedowiarku i zbrodniarzu, jakim był Marten, oraz na hugono-tach i heretykach, którzy go otaczali. Należało tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać sposobnej chwili.

Kapitan „Ibexa” nie posiadał cnoty cierpliwości w takim stopniu jak Schultz i jego hiszpański spowiednik. Wprawdzie dotychczasowe zdobycze obu okrętów były duże i z pewnością cała ekspedycja meksykańska stokrotnie opłacała podjęte ryzyko, a w niedalekiej przyszłości mogła każdemu z uczestników przenieść nie byle jaki majątek i sławę, lecz postępowanie Martena budziło coraz więcej zastrzeżeń Salomona White'a.

Przede wszystkim Marlen nie chciał zgodzić się na sprze-j daż kilkudziesięciu niewolników murzyńskich, którzy między innymi stanowili łup zagarnięty na jednym z hiszpańskich statków; Uległ dopiero perswazjom Belmonta, który niemało musiał się natrudzić, aby go przekonać, że w Amalia niewiele byłoby z nich pożytku, ponieważ transportowano j ich wprost z Afryki; nie znali ani jakiegokolwiek rzemiosła! ani uprawy roli; byli dzicy i zachowywali się jak zaszczute,: nieszczęśliwe zwierzęta.

Lecz to właśnie wzruszało Martena: litował się nad nimi i uległ dopiero wówczas, gdy White zagroził wycofaniem '

się ze spółki. Zatrzymał jednak wszystkie kobiety, zrzekając się swego udziału w zyskach ze sprzedaży mężczyzn. Zawiózł je do Amalia, gdzie natychmiast znalazły

mężów.

Ten spór, załagodzony przez Belmonta i zakończony kompromisem, dał początek innym rozdrzwiętom pomiędzy obu kapitanami. Zdaniem Salomona White'a Marten w ostatnich czasach zaczął więcej dbać o zaopatrzenie Quiche i jego państwa niż o wspólny interes załóg. Dopóki to dotyczyło uzbrojenia fortu nad laguną i wzgórze panującego nad Na-lma, White nie protestował, zdobywcze bowiem armaty i muszkiety miały strzec nie tylko bezpieczeństwa Amaha, lecz także okrętów i magazynów. Ale Marten żądał, by ze zdobytych statków zabierano wszelkie narzędzia, topory, piły, nawet gwoździe! – dla poddanych Mędrca. Stwarzało to trudności w załadowaniu znacznie cenniejszych towarów, przysparzało pracy i kłopotów, a nie przynosiło żadnych zysków.

Wreszcie – co najbardziej gniewało White'a i napełniało goryczą jego purytańskie serce – Marten po dawnemu oszczędzał jeńców hiszpańskich, puszczając ich wolno na szalupach i tratwach przed zatopieniem zdobytego okrętu. W h i t e ze swej strony starał się zabijać ich jak najwięcej, lecz przecież, wystarczyło tych, co się uratowali, aby ściągnąć na głowę korsarzy pogoń i zemstę floty wojennej wicekróla. White mniemał, że należy co do nogi wycinać lub topić pokonanych „papistów”, aby żaden świadek klęski nie mógł donieść władzom hiszpańskim, gdzie w danej chwili znajdują się...lbex" i...Zephyr". A Jan igrał z losem, brawurował, wiedząc, że pięćdziesiąt tysięcy pesos oczekuje na byle gringa. któremu się to uda. Igrał z losem nie tylko własnym, lecz także z losem jego, Salomona, i z losem wszystkich prawowitych protestantów, nie mówiąc już o katolikach i niedowiarkach z...Zephyra".

Teraz zaś cierpliwość Salomona W h i t e a została wysła-

wioną na nową próbę: Marten zwlekał z wyruszeniem na wyprawę pod pozorem dozbudowania „Toro”, który miał wziąć w niej udział.

Kwestia podziału załóg i uzupełnienia ich miejscowymi ochotnikami wywołała dodatkowe trudności. White wzbierał się oddać część swoich ludzi pod komendę Belmonta i przyjąć na ich miejsce Indian lub Murzynów; Schultz czuł się pokrzywdzony, że dowództwo „Toro” przypadło Belmon-j towi, nie jemu. Gdy zaś uzgodniono wreszcie te sprawy, Mar-j ten nagle oświadczył, że udaje się na parę tygodni w górę rzeki, aby nawiązać bliższe stosunki z wodzem Acolhua.

Dopiero gdy stamtąd powrócił, zaczęły się ostatecznej przygotowania do wyjścia okrętów na morze. Ładowano wodę w baryłkach i żywność, czyszczono broń, a trzej kapitanowie oraz Schultz odbywali szczegółowe narady taktyczne i nawigacyjne.

Upały zmniejszyły się znacznie, ponieważ była druga połowa stycznia, najchłodniejszego miesiąca w tych stronach, deszcze padały rzadko, a niebo czyste i ciemnobłękitne wróżyło trwałą pogodę.

Wreszcie dwudziestego ósmego o świcie „Zephyr” podniósł kotwicę i holowany przez własne szalupy, krętym szlakiem przeciął lagunę, a za nim ruszyły „lbex” i „Toro”, by i wydostawszy się na wody zewnętrznej zatoki postawić wszy-] stkie żagle i skierować się na południowy wschód, w stronę ławicy Campeche.

Don Vincente Herrera y Gamma, corregidor prowincji Yeracruz, skinieniem głowy pożegnał i odprawił wreszcie kapitana eskorty, z którym miał dłuższą rozmowę. Był poirytowany i zmęczony, a rozmowa lub raczej monolog, który wygłosił na użytek zbyt pewnego siebie oficera, nie pozostawił mu miłego poczucia wyższości, jakiego zwykle doznawał w stosunkach z Kreolami. Ponieważ zaś takie uczucie dogadzało próżności gubernatora, płynącej z władzy, i zaspokajało wrodzoną mu żądzę panowania, był teraz zawiedziony i niemal uważał się za oszukanego.

Ależ tak: oszukano go! Oszukano go podwójnie, ów kapitan, jakiś Rayon czy Rubio, zapewne zwykły mozo lub vaquero ze sierry, przywiózł ostatni transport srebra z kopalni Orizaba podległych alcadowi mayor tamtejszego okręgu. Zwykle przy takiej okazji alcad przysyłał swemu możnemu protektorowi Herrerze dwie lub trzy sztaby kruszcu „zaoszczędzone” w rachunkowości kopalni. Tym razem taka prywatna przesyłka nie nadeszła...’.

Herrera podejrzewał kapitana eskorty i jego ludzi o kradzież, alcada o karygodne skąpstwo, urzędników Orizaby o sprzeniewierzenie, a wszystkich razem o spisek przeciw swej osobie i władzy.

Był z natury podejrzliwy, a jeśli czasem ta podejrzliwość usypiała pod wpływem pochlebstw i powodzenia, to przecież zawsze miała jedno oko otwarte.

Kto wie, co się za tym kryje? Może bunt?

Zadrżał na tę myśl, choć wydała mu się niedorzeczna.

Gdyby tak być miało, nie oddaliby srebra do składów miejskich – pomyślał spokojniej.

Nie był odważny. Zapewne dlatego nie ośmielił się aresztować i zatrzymać tego Rubia, czy też Rayona; poprzestał na insynuacjach i groźbach, które tamten zbyt pogardliwym wzruszeniem ramion.

Widocznie niewiele sobie z nich robił; należał do wojsk wicekróla i musiał wiedzieć, że ten fakt chroni go, przynajmniej na razie, przed samowolą gubernatora. Być może wiedział również, że niemal cały garnizon gubernialny pi/od dwoma dniami wyruszył na ekspedycję karną przeciw krnąbrnemu wodzowi pewnego plemienia, który spalił okoliczne hacjendy hiszpańskie w odwet za ustawiczne prześladowania i zajęcie indiańskich ejidos pod uprawę bawełny. Kapitan miał z sobą około setki żołnierzy, Indios i Metysów, więc czuł się bezpieczny w Veracruz, gdzie dou Yineente chwilbwp nie rozporządzał wiele większymi siłami.

–Pojpamięta mnie jednak – szepnął gubernator.

Aby mu dokuczyć, nie pozwolił eskortie nocować w mieście. Nie życzył sobie mieć tu pod bokiem tych bravi razem z ich commandanto. Niech wracają, skąd przyszli. W ostateczności mogą sobie obozować po drodze, w Tuxtla albo w jakiejś wiosce rybackiej na wybrzeżu.

Pociągnął za sznur, którego koniec zwisał obok fotela przy oknie. W którymś z odległych pokoi zadźwięczał srebrzysty głos dzwonka. Zaraz potem w drzwiach ukazał się sekretarz, zgięty we dwoje w ukłonie.

Podśluchiwał – pomyślał Ilerrera.

Spojrzał nań podejrzliwie i odwrócił wzrok. Ten człowiek mierzył go swoją fałszywą pokorą i służalczą. Nawet jego, który przecież takiej służalczą wymagał! Lecz nie mógł się bez niego obejść: Luiz znał na wylot wszystkie sprawy prowincji, wiedział o wszystkich plotkach, orientował się w nastrojach bogatych Kreolów, właścicieli estancji. donosił mu o najpoufniejszych rozmowach, jakie prowadzili między sobą caballeros w winiarniach i oficerowie w pu-

łucjach *. Don Yineente tyleż go nie cierpiał, ile potrzebował jego usług.

–Dowiedz się, jakie nazwisko nosi kapitan, który tu

był – rozkazał. – Imię, nazwisko, oddział i tak dalej.

Luiz skłonił się kryjąc uśmiech zadowolenia. Oczekiwał jego rozkazu. Wiedział już, że prostacki oficer, który potraktował go bez krzywej szacunku, naraził się także suwerenowi gubernatorowi. Najchętniej natychmiast spełniłby otrzymane polecenie. Nagliła go rozkoszna gorliwość. Byłoby to wyzwoleniem nurtującej go pasji, wzlotem duszy w krainę szczęśliwości, gdyby mógł zaraz upokorzyć tego ordynarnego kapitana. Lecz musiał jeszcze poczekać, więc opanowawszy radość, spokojnie podszedł do stołu, aby poprawić knoty świec płonących w dwu srebrnych pięcioramiennych lichtarzach.

–Co nowego? – spytał gubernator.

–Przed wieczorem weszły do portu dwa okręty – zaczął Luiz.

–Nasze okręty?

–Nie te, których oczekujemy, ale w każdym razie płynące pod naszą flagą. O flocie, która ma przybyć po srebro, nie mam jeszcze niestety żadnych wiadomości.

–Więc po co mi to mówisz? – zirytował się don yincente. – Cóż mnie obchodzą

wszystkie inne okręty zawijające do portu? Już wielki czas, aby przybyły tamte – dodał marszcząc brwi.

Pomyślał, że zanadto się pośpieszył z wysłaniem' wojsk na ową karną ekspedycję. Można było poczekać do przybycia Złotej Floty z-południa i opróżnienia składów pełnych srebra i koszenil!. Lecz Złota Flota spóźniała się, a właściciele i mayorale eslancji wołali o ratunek i pomstę na Indianach.

–Te okręty – powiedział Luiz – sygnalizowały, że sffl

ścigane przez korsarzy, wasza wielmożność. Dlatego w por*]

cie zapalono latarnie, aby ułatwić im wejście.

Gubernator drgnął.

–Korsarze? Tutaj?

–Nie ośmielili się zbliżyć – uspokoił go tamten. – j Ci dwaj kapitanowie zapewne trochę przesadzają. Strach ma wielkie oczy.

–Nie słyszałeś nic nowego o Martenie?

–Nie. Nie pokazuje się nigdzie od paru miesięcy. Chyba się stąd wyniósł. A może jego okręt rozbił się i Marten) gotuje się już w piekielnej smole.

–Oby tak było! – westchnął Herrera.

Odprawił sekretarza i zamknąwszy drzwi na zasuwkę wyjął

ze skrytki w ścianie ciężką srebrną szkatułkę, zawierającą prywatne papiery, listy i rachunki. Wyszukał arkusz dotyczący nieoficjalnych dochodów z kopalń Orizaba i zagłębił się w obliczeniach.

Kapitan Manuel Rubio przeklinał psią służbę w szeregach wicekróla, nadużywając w tym celu imion wielu świętych z Madonną na czele i ubliżając ich czci w sposób zgoła niesłychany. Jak każdy Kreol, nie cierpiał gaczupinów, a ci dwaj – don Vincente i jego sekretarz – szczególnie dali mu się we znaki. Wprawdzie Luiz usłyszał, co Rubio o nim myśli, ale nie można było powiedzieć tego samego gubernatorowi lub dać mu porządnego kopniaka, na co w zupełności zasłużył.

Rubio był wściekły na niego. Miał zdrożonych ludzi, l a konie i muły ledwie się wlokły noga za nogą, gdy wyjeżdżał j na czele eskorty z niegościnnego Veracruz. Musiał pozwo- | lić im wypocząć, i to nie w Tuxtla, dokąd nie doszłyby po ł zlej, niebezpiecznej górskiej drodze, lecz w najbliższej wsi.

Nie spodziewał się tam kwatery nawet dla siebie. Przewidywał, że będzie musiał spędzić noc przy ognisku lub na jednym z wozów.

Pogrążony w rozpamiętywaniu obelżywych podejrzeń ze strony gubernatora, jechał na czele oddziału w zupełnej ciemności przez piaszczysty, jałowy step, który zaczynał się tuż za murami miasta. Ciężkie, clioczące puste już wozy grzęzły w piachu i trzeba było popychać je wśród okrzyków woźniców i razów spadających na grzbiety zwierząt. Nocny chłód po upalnym dniu przejmował dreszczem.

Tabor rozciągał się, pełził jak leniwy wąż, omijając wysokie nadmorskie wydmy, poza którymi wśród nędznych ciernistych zarośli i usychających palm stały dwa rzędy glinianych domków rybackich. Piubio skręcił w wąską uliczkę między nimi, zatrzymał konia i obejrzał się, aby przynaglić swych żołnierzy, gdy wtem dostrzegł w ciemności jakąś postać, która ujęła cugle, i usłyszał cichy, rozkazujący głos:

–Zsiądź i milcz!

Zdumienie, jakiego doznał, nie przeszkodziło mu w natychmiastowym instynktownym działaniu: wyrwał szablę z pochwy i... poczuł, że wraz z siodłem zwała się na ziemię.

–Caramba! – zaklął. – Przecięli popręgi! – zdążył

jeszcze pomyśleć.

Ktoś zarzucił mu worek na głowę, ktoś wykręcił rękę, wydarł z dłoni rękojeść szabli, jacyś ludzie skrępowali go i wlekli po ziemi, a potem przez próg. Usłyszał kilka strzałów, krótką wrzawę, okrzyki. Trwało to zaledwie parę" minut. Potem ucichło.

Spróbował się poruszyć, rozluźnić pęta.

–Leż spokojnie, hombre – powiedział jakiś głos o cu

dzoziemskim akcencie.

Któż to jest, u diabła? – myślał Rubio. – I co się stało z eskortą? Nie mógł odgadnąć, kto go napadł. Czy zaszło jakieś nieporozumienie, czy też może Herrera nasłał na niego

zbiarów, aby go po cichu porwać? A może to wojska wracające z ekspedycji karnej wzięły jego oddział za parliedę sali leaderów? Tak czy owak nietęgo się spisał: dał się zaskoczyć jak żółtodziób i jeśli nawet nie zadźgają go w krzakach, to jeśli odzyska wolność, skóra jego niewiele będzie warta, gdy przyjdzie odpowiadać przed pułkownikiem w Ori-zabie.

Na szczęście srebro jest bezpieczne – pomyślał.

Ale ta myśl niezbyt go pocieszyła. Jeżeli uległ rozbójnikom *luh* zbuntowanym, a nie jakiemuś oddziałowi wojskowemu, jego kariera była skończona.

Wpadłem – powiedział sobie. ~ Wpadłem przez tego tchórzliwego gacziipino, bodaj nie wyrzął z piekła.

Znów usłyszał głosy kilku ludzi wchodzących do izby, w którą leżał na twardej, suchej polepie z gliny. Mówili obcym, niezrozumiałym językiem, lecz z pewnością nie injl diańskim. Posadzono go pod ścianą i zdjęto mu worek z głowy.

Zobaczył przed sobą przystojnego młodego mężczyznę o atletycznej budowie, niedużym, ciemnym wąsie i wesołych niebieskich oczach. Otaczało go kilku ludzi zbrojnych w noże i pistolety. Na głowach mieli jaskrawe, ciasno związane chustki, podobnie jak ich dowódca; w uszach złote lub srebrne kolce. Wyglądali wojowniczo i groźnie.

Piraci – pomyślał Rubio. – Chyba nie zobaczę już ani pułkownika, ani Orizahy. A może jednak...

Nie dokończył lej myśli. Ujrzał z przerażeniem, że młody herszt wyciągnął zza pasa nóż i błyskawicznym i uchem rozpruł mu brzuch. Zrobiło mu się słabo. Zamknął oczy, aby nie widzieć wypływających wnętrzności, ale nie czując najmniejszego bólu znów je otworzył. Wtedy spostrzegł, że nóż przeciął tylko więzy na jego rękach nie zadrasnąwszy nawet skóry.

Człowiek o niebieskich oczach śmiał się głośno wraz z iuw

flvini. Przysunął sobie pieniek do rąbania drew i usiadł na* przeciw zawstydzonego oficera.

–Głupie żarty – powiedział Manuel odzyskując rezon- –

Mogliście mi rozciąć rękaw, a lo jest mój jedyny mundur.

Piraci wybuchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem – żart więźnia znalazł uznanie.

–Jak się nazywasz, caballero? – spytał człowiek o niebieskich oczach.

–Nie przedstawiam się nieznajomym – odpalił. – Zwłaszcza gdy zarzucają mi worek na głowę zamiast powiedzieć „dobry wieczór” – dodał.

Ta odpowiedź nie wywołała już śmiechu, jaiikolwiek szerokie usta młodego korsarza drgnęły. Stojący najbliżej Manuela szczupły, smagły pirat o ironicznie zmrużonych

powiekach trącił go końcem buta.

–Nie wiesz, do kogo mówisz, hombre – powiedział porywczo. – Jesteś w mocy najslawniejszego kapitana korsarskiego i radziłbym ci...

–Dość! – przerwał mu ten, o którym mówił.

Rubio gwizdnął przez zęby.

–Czyżby to miało znaczyć, że mam zaszczyt rozmawiać z Martenem, którego nazywają. Złotą Kuną?

–Tak – odrzekł Marlen, mile polechtany własną sławą.

–Nazywam się Rubio – powiedział więzień spieszenie. – Kapitan Manuel Rubio. Jestem oficerem wicekróla i dowodzę, a raczej dowodziłem jeszcze przed półgodziną eskortą, która przywozła transport srebra do Veracruz. Spóźniliście się. senor – dodał z odcieniem ironicznego żalu. – Gdybyście nas równie zręcznie napadli w tym miejscu przed świtem, srebro byłoby wasze.

–O, nie ma nic straconego – mruknął Marten. ~ Weźmiemy je sobie ze składów.

–Jak to? – zdumiał się oficer. – Zamierzacie zdobyć miasto?!

–Za wiele chcesz wiedzieć, caballero – zauważył kor. sarz. – To raczej ja będę zadawał pytania. I r a d z i ł b y m c i, jak powiada nasz Tessari, odpowiadać zgodnie z prawdą.

Tessari, zwany Cyrulikiem, poważnie skinął głową, a Manuel pomyślał, że trzeba się zdecydować: wóz albo przewóz.

–Jeszcze tylko jedno – powiedział. – Czy mogę liczyć na waszą wspaniałomyślność, jeśli nie tylko odpowiem na te pytania, ale także dopomogę wam w schwytaniu zakładnika?

–Kogo masz na myśli? – zapytał Marten.

–Su merced Wincentego Herrera y Gamma, gubernatora Veracruz – odrzekł Rubio. – Łączy nas znajomość z najgorszej strony, a dotąd nie powiedziałem mu, co o nim myślę. Nie chciałbym przepuścić tej wyjątkowej sposobności;

Użycie hiszpańskiej bandery w celu wejścia do portu Yeracruz było pomysłem Henryka Schultza. Marten po-1 czątkowo nie chciał się zgodzić na ten niezbyt

rycerski podstęp, zwłaszcza że jego powodzenie wymagało między innymi usunięcia prawdziwych* nazw okrętów i zastąpienia ich innymi. Taka maskarada byłaby zbyt uwłaczająca dla „Zcphyra”.

White usłyszawszy te słowa wzruszył tylko ramionami i oświadczył, że wobec tego całe przedsięwzięcie jest niewykonalne i trzeba go zaniechać, ale kawaler de Belmont jak zwykle znalazł wyjście kompromisowe. Za jego radą ustalono, że do portu wejdą tylko „Ibex” i „Toro” jako mniej znane, „Zcphyr” natomiast nocą stanie na kotwicy u brzegu o trzy mile od miasta pod małą wioską rybacką i tam wysadzi desant, który tę wieś opanuje.

Tak się właśnie stało i Marten, pozostawiwszy na „Ze-

phyrze” Schultza z niewielką załogą, oczekiwał wiadomości od White'a i Belmonta, aby okrążyć Veracruz od zachodu i na dany sygnał rozpocząć atak, gdy wystawione czaty spostrzegły tabor ciągnący ku wiosce. Ujęcie i obezwładnienie tego oddziału i jego dowódcy poszło nadspodziewanie łatwo i sprawnie: żołnierze widząc, że są otoczeni, poddali się prawie natychmiast; nikt nie próbował ucieczki, a kilka strzałów padło tylko na postrach, z pistoletów korsarzy.

Marten dowiedziawszy się od kapitana Rubio o sytuacji, postanowił działać natychmiast, nie czekając na posłańca z miasta.

Rubio prosił go, aby mu pozwolił wziąć udział w natarciu na czele ochotników z eskorty;

– Ani ja, ani moi ludzie nie mamy po co wracać do Orizaby – wyjaśnił widząc jego wahanie. – W najlepszym razie zostanę zdegradowany, a co dziesiąty z nich dostanie kulę w łeb. Pozostaje mi tylko utworzyć partidę z ochotników, a resztę rozpuścić do domów.

– Nie zdaje mi się, żeby ich nastrój był zbyt bojowy – powiedział Marten. – Sądząc po spotkaniu z nami, wcale nie mają ochoty walczyć.

– Ba! Nie czekała ich za to żadna nagroda z wyjątkiem ran lub śmierci. Lecz mając na widoku rabunek, będą się bili jak...; no, może nie jak lwy, ale jak głodne psy. Od roku nie widzieli żołądu.

Martena przekonał ten argument. Ostatecznie ryzykował niewiele, a przy tym odpadała konieczność pozostawienia straży przy jeńcach, skoro, jak go zapewnił Rubio, wszyscy pójną za nim.

Na wszelki wypadek przedsięwziął pewne środki ostrożności: żołnierze z eskorty zostali podzieleni na kilka grup i wcieleni do kompanii korsarskich pozostających pod dowództwem starszych bosmanów. Cyrulik miał sobie poruczoną szczególną

opiekę nad Manuelem, który służył za prze-

Wodnika sił głównych: wystraszonych rybaków i ich rodziny zamknięto w jakiejś szopie pod strażą paru ludzi, mających zarazem utrzymywać łączność sygnalizacyjną z okrętem.

O godzinie jedenastej niewielka armia wyruszyła na południe, ku miastu, okrążając je od zachodu i północy.

Przybycie do portu Yeracruz dwóch okrętów rzekomo ściganych przez korsarzy nie wzbudziło żadnych podejrzeń, lecz tylko powszechne zaciekawienie mieszkańców i władz portowych. Te ostatnie oczekiwały Złotej Floty z potężną eskortą wojenną i nikomu nie mogło przyjść cło głowy, aby] właśnie w tym czasie jakiś szaleniec dobrowolnie wkraadał się do jaskini lwa, który lada chwila powinien był tam się pojawić. Jeśli mayoral portu miał jakieś wątpliwości, to dotyczyły one tylko ładunku obu statków: mógł to być po prostu przemyt niedozwolonych towarów.

Wątpliwości te zostały do pewnego stopnia usprawiedliwione. ponieważ otrzymał sutą łapówkę od kapitanów, po czym zaproszono go na poczęstunek do najbliższej pulquerii. Oliá podrida, którą tam przyrządzano niezwykle smaczkowicie, została podlana taką ilością wina, że mayoral, ledwie trzymając się na nogach, rozkazał swym podwładnym nie czynić żadnych trudności przybyszom i wydał pozwolenie zejścia na ląd dla marynarzy. Rewizję celną oczywiście odłożono do następnego dnia.

Gdy kawaler de Belmont, który dotrzymywał kompanii "zarządcy portu, uznał, że ten ma już dosyć, z „Toro” i „lbexa”. przyplłynęły dwie szalupy z wybranymi uprzednio ludźmi, którzy rozeszli się po mieście, aby zasięgnąć języka i zorientować się w położeniu. Działo się to w chwili, gdy rozgoryczony kapitan Manuel Rubio opuszczał Yeracruz.

W dwie godziny później Belmont odbył krótką naradę i

z White'em i jego porucznikiem Hoogstone'em, po czym wystał Percy'ego Burnesa przezywanego Slovenem do wsi opanowanej przez Marlana.

Percy wcale nie palił się do tej misji. Uważał, że dokonał już bardzo wiele zawarłszy znajomość z dwoma miejscowymi obywatelami, od których dowiedział się o przybyciu transportu srebra do składów miejskich i o ekspedycji karnej przedsięwziętej przez większą część garnizonu. Zjadł przy tej sposobności niesłychaną ilość wszelkiego mięsiwa na koszt swych przysgodnych znajomych, wypił kwartę wina. a w zamian opowiedział im zmyśloną bajeczkę o napaści piratów i rozpaczliwej ucieczce statku, do którego załogi należał. Wreszcie, zachęcony ich gościnnością i zaciekawieniem, opisał również swe dawniejsze dzieje w sposób tak

imponujący, że sam za ledwie mógł w tę swoją przeszłość uwierzyć.

Czuł się po tym wszystkim ociężały i senny, lecz przecież pośpieszył donieść Belmontowi o rewelacjach, które usłyszał. Nie przypuszczał, że dowódca...Toro* już wie o nich. i znów rozwinął wrodzony dar wymowy, ubierając swój raport w nader dramatyczną formę. Umilkł w końcu i potoczył wzrokiem dokoła, jakby zdumiony niezwykłością własnych zasług wywiadowczych, i olo kazano mu teraz błąkać się po nocy w pustyni, w poszukiwaniu jakiejś parszywej wioski...

Z ciężkim sercem (i brzuchem) wyruszył w drogę, lecz już po przebyciu mili natknął się na przednią straż Martena i omal nie został zastrzelony, ponieważ rzucił się do ucieczki przypuszczając, że ma do czynienia z jakimś oddziałem hiszpańskim. Pochwycono go jednak, a Klops, który go pierwszy dopadł, utrzymywał, że poznał Percy'ego tylko po cuchnącej woni brudu, jaką Sloveu wydziełał.

–Śmierdzisz jak skunks - powiedział do niego. – 1 zachowujesz się jak skunks. Gdybyś miał jeszcze futro, warto by cię obdrzeć ze skóry.

–Uważaj na swoją, żebym ci jej nie przedziurawił -J warknął Sloven.

Zaprowadzono go do Martena, a gdy zdał sprawę z otrzymanych poleceń, kompanie znów ruszyły naprzód.

Percy Sloven w ciemności doczołgał się do okna zasłoniętego od zewnątrz żaluzjami. Odsunął w górę cienkie desz-j czułki nanizane na trzy sznurki i spróbował nożem podważyć ramę. Ale okno było zamknięte. Medytował przez chwilę, w jaki sposób dostać się do wnętrza, aby nie narobić hałasu, gdy wtem usłyszał gwałtowny jęk dzwonka i głośny okrzyk. Prawie jednocześnie zza węgła domu dobiegł go trzask wy-l łamywanych drzwi, brzęk tłuczonych szyb, tupot nóg, po czym jeden po drugim gruchnęły dwa strzały.

Mieliśmy to zrobić po cichu – pomyślał ze złością. – J Tamci się nie cackali...

Szarpnął żaluzję, podniósł kamień i wyrzucił nim w szy-j bę, a następnie wsunął rękę i otworzył klamkę okna. Po każdej z tych czynności przy kuczał pod parapetem w oczekiwaniu, że ktoś wychyli się stamtąd, aby dać ognia w obronie przed napaścią. Lecz była to daremna strata czasu: nikt się tu nie bronił.

Uspokoiwszy się pod tym względem, spiesznie przełaził przez parapet i znalazł się w obszernym pokoju. Poczł pod ł nogami dywan, natknął się na jakiś sprzęt, zatrzymał się, skrzesał ognia i dostrzegłszy lichtarz ze świecami, uśmiechnął się z zadowoleniem. Zapalił jedną ze świec i rozejrzał się dokoła; wydało mu się, że usłyszał szybkie oddalające się kroki. W pokoju nie było nikogo, ale drzwi w głębi na prawo zamykały się, jakby przed chwilą ktoś tamtędy wyszedł.

Skoczył ku nim i ujrzał jakąś postać w białym wymy^B kającą się z sąsiedniej izby.

–Stój! - wrzasnął i rzucił się za nią.

Wypadł na korytarz, zobaczył białe widmo na tle bladego prostokąta jeszcze innych drzwi – jak mu się zdało, prowadzących wprost na dziedziniec za domem – i nagle runął jak długi zawadziwszy nogą o coś ciężkiego, co potoczyło się po podłodze wydając głuchy, lecz miły dla ucha dźwięk. •Srebro! – przeleciało mu przez głowę. • Namacał rękami spory, ciężki przedmiot. Podniósł go oburącz i wrócił do pokoju, w którym zostawił zapaloną świecę. Przekonał się, że trzyma w rękach srebrną szkatułkę, i poczuł, jak mu serce wali w całą tę masę dobrego żarcia, którą pochłoniął był przed godziną w Veracruz. Znalazł skarb!

Postanowił go ukryć, ponieważ szkatułka nie dała się naprędce otworzyć, a była zbyt ciężka i duża, aby ją mógł dźwigać wszędzie ze sobą. Zresztą musiałby ją wówczas oddać jako łup do podziału.

Nie, nie miał zamiaru z nikim się dzielić! To, co zawierała, należało się tylko jemu.

Zdmuchnął płomień świecy i wymknął się na korytarz. Słyszał teraz głośnie wrzawę zbliżającą się z dalszych pokoi, lecz wydało mu się, że na dziedzińcu nie ma nikogo. Wybiegł przez otwarte drzwi.

. Zobaczył po przeciwnej stronie podwórza długi budynek ze stromym dachem i małymi okienkami. Stajnia – pomyślał.

Wszedł tam i poczuł zapach końskiego nawozu. Ale koni nie było. Zapewne już je stąd wyprowadzono.

Tym lepiej – uśmiechnął się. – Nikt nie będzie szukał skarbów w pustej stajni.-W odległym kącie namacał w ciemności żłób z resztkami obroku. Postawił szkatułkę na dnie, sięgnął po siano zatknięte powyżej w skośnej drabince i przykrył nim swą zdobycz. Zatarł ręce. Mógł tu wrócić choćby nazajutrz, gdy już będzie po wszystkim.;

Cała ta sprawa zajęła mu nie więcej niż dziesięć minia od chwili rozpoczęcia akcji. Wyszował sobie w duchu, że znalazł się w oddziale Martena, który zaatakował podmiejską rezydencję gubernatora. Poszło tu wszystko gładko jak] po maśle, bez żadnego oporu, Gdyby kawaler de Belmont nie wysłał go do owej wioski, gdzie przebywała załoga „-/reA phyra”, musiałby walczyć w mieście i zapewne nie obłowiłby się tam tak, jak tutaj.

Obszedł teraz dom dokoła i natknął się na Klopa, który| wybiegł głównym wejściem na czele kilkunastu ludzi.

–Dokąd idziecie? – spytał Percy.

–Przeszukać wszystkie zabudowania – odrzekł Klops. – Nie ma gubernatora. Kapitan obiecał tysiąc pesosj temu. kto go znajdzie.

Sloven skrzywił się pogardliwie. Tysiąc pesos? Cóż to dla niego znaczyło teraz!

Wszedł do sieni, a stamtąd do jakiejś dużej sali oświe tionej na przeciwległym końcu przez kilka płonących świec.

Oficer w hiszpańskim mundurze wymyślał jakiemuś wystraszonemu człowiekowi ze związanymi z tyłu rękami, który stał pod ścianą. Uderzył go w twarz, zapewne nie po raz pierwszy, bo już krwawiła. Marten, który przyglądał się tej scenie z niesmakiem, odwrócił się i podszedł do okna.

–Zostaw go, caballero – powiedział. – On nic nie wie.

Ilerrera znajdzie się z pewnością, gdy trochę oświetlimy teren.

–Każe go powiesić – zazgrzytał oficer.

Marten uniósł brwi i spojrzał na niego przez ramię.

–Jeżeli masz z nim osobiste porachunki, rozwiąż go i daj

mu broń do ręki – poradził. – To będzie przyzwoiciej. No.

wreszcie jest trochę jaśniej – dodał patrząc znów w okno.

Percy poszedł za jego spojrzeniem i ujrzał blask pożaru! który migotał na tyłach domu i szybko wzrastał. Pomyślał]

f_e warto rozejrzeć się teraz po innych pokojach w poszukiwaniu czegoś cennego, co po ciemku nie zostało zauważone i zrabowane.

Wycofał się do sieni i otworzył boczne drzwi. Ale ta strona domu tonęła jeszcze w mroku. Postanowił przedostać się tam, gdzie już był poprzednio. Po chwili trafił do korytarza prowadzącego na podwórze i już miał go minąć, gdy straszna myśl przeleciała mu przez głowę: co można łatwiej podpalić niż stajnię z zapasem siana i słomy na strychu?! W dwóch susach znalazł się u wyjścia na podwórze. Spojrzał i poczuł bryłę lodu w żołądku. Dach stajni kryty kukurydzianą słomą płonął sypiąc iskrami.

Z głośnym okrzykiem rzucił się naprzód roztrącając ludzi, którzy się l.am kręcili, i bez namysłu wpadł do wnętrza. Dym chwycił go za gardło, ukąsił w oczy. Nie zważał na to. Xie było tu jeszcze ognia. – Musiał zdążyć...

Macał przed sobą rękami, uderzał o przegrody z drągów wiszących poziomo na łańcuchach, potykał się, padał, wstawał i znów brnął naprzód. Słyszał nad sobą trzask i huk pożaru, a lodowa bryła z żołądka unosiła mu się pod samo serce.

Przez chwilę wydawało mu się, że zbłądził w kłębach dymu, i ogarnęła go rozpacz. Lecz trafił na drabinę wiodącą na strych i zorientował się, że jednak zdąża we właściwym kierunku. Jeszcze dziesięć kroków...

Wtem coś ciężkiego zważyło mu się na plecy, zbijając go z nóg. Był przekonany, że to jakaś przepalona belka ze stropu, i sądził, że ma przetrącony kręgosłup. Lecz przedmiot, który go przygniótł, nie był twardy. Można by pomyśleć, że to snop słomy, gdyby nie jego znacznie większy ciężar. 1. gdyby nie to, że się poruszał...

Percy otworzył oczy i wykręcił szyję, aby sprawdzić, co to takiego. W kłębach dymu majaczyła jakaś biała, osmalona postać, po której pełzały tlejące iskierki. Poczł jej ra-

miona zaciskające się dokoła szyi. Coś sparzyło go w po*[liczek. Diabeł! – pomyślał i włosy stanęły mu dęba. Wrzasnął niehumanym głosem, szarpnął się, spróbował] wstać. Na próżno: szatan czy może upiór trzyma! go w kur-JJ czowyrn uścisku.

Pięć następnych minut Percy zaliczał do najstraszliwszych, jakie przeżył. Dach zawalił się nad.najdalszą częścią budynku, a ściółka, drewniane żłoby i drabinki z sianem zajęły się tam natychmiast od rozżarzonych krokwi. Ogień szedł | ku niemu sycząc i trzaskając, dym stał się gęsty i gorący, a niesamowity potępieniec ścisnął mu gardło.

Percy nie mógł złapać tchu. Leżał w płonącej stajni, wśród ciemności rozświetlonych pełganiem ognia, i dusił się. Dusił się dymem i był duszony przez upiora! Zgroza odebrała mu siły, czuł, że słabnie...

Ale instynkt kazał mu walczyć do końca o życie. Podkurczył nogi, stanął na czworakach i zaczął pełznąć ku wyjściu, dźwigając i wlokąc z sobą ciężar obarczający mu grzbiet i szyję.

Był to wyścig – bardzo powolny wyścig – ze śmiercią. Na domiar złego, wyścig z przeszkodami, najpierw w postaci wielkiej drabiny, o którą zaczepił i która obsunąwszy się upadła z łoskotem na ziemię zagrażając mu drogę, następnie zaś z powodu drzwi, które zatrzasnęła przeciąg.

Dotarł do nich na pół żywy, ale nie mógł ich otworzyć; Walił tylko pięścią, wspierając się na wysokim progu, który wydawał mu się pionową skałą nie do przebycia. W końcu wyczerpał resztę sił i zrezygnował. Ale właśnie wtedy drzwi otworzyły się same – do wewnątrz, nie na zewnątrz, jak tego usiłował dokonać. Zdołał jeszcze przełożyć ramiona przez próg i poczuł, że kilka rąk chwyta go i

wyciąga ze stajni wraz z upiorem.

Nie stracił przytomności, a w każdym razie miał dość

jasny umysł, aby zrozumieć sens okrzyków uznania i podziwu, jakimi powitano jego powrót z ognistej czeluści: spełnił czyn bohaterski wynosząc z pożaru na własnych barkach gubernatora, który ukrył się w sianie na strychu.

Ponieważ nie był ranny i nawet nie poparzony, prędko oswoił się z tym niespodziewanym faktem. Przybrał odpowiednią postawę, ujął Herrerę za kołnierz osmalonej nocnej koszuli i w asyście świadków swej nadludzkiej odwagi zaprowadził przed oblicze Martena.

Pożar stajni w hacjendzie Wincentego Herrery został wzniecony nie tylko w celu oświetlenia najbliższej okolicy; stanowił zarazem umówiony sygnał natarcia dla White'a i Belmonta, którzy oczekiwali w pobliżu portu po drugiej stronie miasta.

White na czele swych Anglików bez większej trudności opanował port, ratusz i składy miejskie, lecz Belmont, który zaatakował koszary i arsenał, natrafił na silny opór. Garnizon gubernialny, uszczuplony do trzech kompanii i pozbawiony artylerii, bronił się jednak dzielnie spoza wysokich murów, zasypując kulami z muszkietów nacierających korsarzy. Tomasz Pociecha, który był obecnie głównym bosmanem „Toro”, dwukrotnie dotarł pod bramę na czele indiańskich puszkarzy i dwukrotnie musiał cofnąć się nie założywszy ładunków wybuchowych. Dopiero za trzecim razem dokonał tego za cenę straty kilku ludzi; udało mu się umocować pod uszakami okutych wrót dwie baryłki prochu i podpalić ich lonty.

Lecz gdy kawaler de Belmont ze szpadą w dłoni rzucił się w wyrwę pociągając za sobą cały odwód, Hiszpanie cofnęli się do budynków i bronili się nadal, strzelając z okien.

Belmont przekonał się, że rozporządza zbyt szczupłymi siłami, aby zgnieść te trzy kompanie. Znaczna część ludzi

musiał być zostawić w zdobytym uprzednio arsenale ora?! w porcie dla ochrony łodzi okrętowych, a oblężeni mieli znacznie dogodniejszą pozycję niż on. Powodowany ambicją, nie chciał zwracać się o pomoc do White'a. lecz uświadomił sobie, że prędzej czy później będzie musiał to uczynić,, jeśli tymczasem nie nadciągnie tu Marten.

Aby nie tracić na próżno ludzi, wycofał się z powrotem pod osłonę zewnętrznych murów. Wiedział, że ten odwrót, może zachęcić hiszpańskich piechurów do przeciwnatarcia, ale bądź co bądź zyskiwał nieco na czasie, mógł dać wytchnąć swoim i uporządkować zmieszane oddziały.

Pchnął do arsenału Pocięchę nakazując mu zabrać stamtąd połowę pozostawionej załogi oraz dwa lekkie falkonety i przytoczyć je tutaj. Przyszło mu na myśl, że w arsenale są zapewne także moździerze, z których można by zbombardować koszący strzelając ponad dachami domów, ale nie miał komu powierzyć tak trudnego zadania; niezbyt wprawni artylerzyści nie potrafiliby celnie poprowadzić ognia.

Wreszcie korzystając z tego, że oblężeni nie przedsięwzięli dotąd żadnej próby wypadu, kazał podpalić kilka domów, chcąc wskazać Martenowi, gdzie się znajduje.

Ten ostatni cel został osiągnięty. Marten, schwytawszy gubernatora, z łatwością wymusił na nim kapitulację miasta i garnizonu, a ponieważ Manuel Rubio nie zdążył powiesić Luiza, nieszczęsny sekretarz miał teraz odegrać rolę parlamentarza.

Rozwiązano go, pozwolono mu się obmyć i przyodziać, po czym Marten kazał mu usiąść w powozie obok jęczącego. Herrery i ruszył wraz z nimi na czele kilku innych pojazdów przez miasto.

Rozszerzający się pożar natychmiast zwrócił jego uwagę i cały tabor tam się skierował.

Przybywszy na miejsce i wysłuchawszy sprawozdani Belmonta, Marten pochwalił jego rozwagę. Luizowi. we-

tknięto w jedną rękę pochodnię, w drugą zaś odręczne pismo corregidora Yeracruz do komendanta garnizonu i białą chorągiew, po czym wypchnięto go poza rozwaloną bramę koszar.

Major dowodzący trzema oblężonymi kompaniami okazał dość zimnej krwi, aby nie zastrzelić umierającego ze strachu wysłannika, oraz wielką nieufność co do podpisu Herrery złożonego drżąc; ręką na dokumencie. Zażądał pół godziny do namysłu nad warunkami poddania się, następnie zaś oświadczył, że ostateczną odpowiedź może dać dopiero po osobistej rozmowie z gubernatorem.

Marten miał tego dość. Kazał zatoczyć przybyłe tymczasem z arsenału falkonety na wprost muru otaczającego dziedziniec koszar i dwukrotnie dać ognia.

Mur okazał się słaby. Pociski, – wymierzone z bliska, wybiły w nim spory otwór. Działa cofnięto i wycelowano teraz w widoczne już okna. Lecz zanim powtórnie zapalono lonty, z okien powiały białe szmaty. Garnizon poddał się.

Nazajutrz spędzono mieszkańców Yeracruz do kościołów i zamknięto ich tam pod strażą, wybierając tylko młodych, silnych mężczyzn do pracy przy transportowaniu srebra i koszeń iii ze składów miejskich na okręty. Zabrano również najlepsze działa, proch i kule z arsenału. Potem zaczął się rabunek sklepów i domów prywatnych, a także orgie pijackie i gwałty trwające bez przerwy dwa dni i dwie noce.

Rozpasani korsarze wyciągali z kościołów kobiety, pozostawiając mężczyzn zamkniętych bez jedzenia i picia. Ogarnął ich szal dzikiej zabawy, a litość i wszelkie ludzkie uczucia opuściły całkowicie ich serca. Hulali za wszystkie czasy. Ani White, ani Marten nie usiłowali ich powstrzymać. Veracruz wyglądało jak jeden wielki lupanar, zdemolowany przez hordę pijaków.

Aby wreszcie położyć kres temu wyuzdaniu i rozprężeniu, za radą Schultza podpalono miasto z kilku stron naraz. Pożar otrzeźwił zwycięzców i wrócił im przytomność. Musieli cofać się przed ogniem, a Marten zdołał wreszcie zaprowadzić wśród nich jaki taki porządek i uwolnić zrozpaczonych, na pół obłąkanych ludzi z kościołów.

Był już wielki czas po temu. Straszliwa wieść o zdobyciu i zniszczeniu miasta dotarła do Orizaby i do okolicznych dowódców wojskowych. Garnizon gubernialny wracał forsownym marszem po uśmierzeniu buntu Indian, a połowa floty wojennej eskortującej statki ze srebrem i złotem oddzieliła się od konwoju i minęła Jukatan, śpiesząc ze spóźnioną odsieczą od strony morza.

Trzeciego dnia pod wieczór, w ostatnich promieniach słońca kryjącego się za potężnymi grzbietami Sierra Madre, po przeciwnej stronie widnokręgu, ukazały się żagle jak rój białego ptactwa.

Dostrzeżono je zarówno spośród dymiących zgliszcz Veracruz, jak z okrętów korsarskich. Westchnieniom, jękom i nieśmiałym okrzykom z brzegu zawtórowały głośnie komendy na pokładach.

„Zephyr”, „Ibex” i „Toro” spiesznie wciągały swoje szar¹ lupy i podnosiły kotwice, a potem oskrzydlając się wzdymanymi przez wieczorną bryzę płótniskami wyszły z portu i odpłynęły na północ,

Powróciwszy z wyprawy na zdobycie Yeracruz, Marten postanowił przez jakiś czas nie pokazywać się na morzu. Belmont i White przyznali mu słuszność. Należało przeczekać wzburzenie, jakie ogarnęło wszystkie miasta Nowej Hiszpanii i wszystkie porty wzdłuż wybrzeża od ujścia Rio Grandę po zatokę Honduras. Między Tampico a Jukatanem i dalej, u zachodnich brzegów Kuby, aż po przylądek Sabie na Florydzie, krążyły silne patrole hiszpańskiej floty wojennej, a specjalna eskadra pod dowództwem caballera Blasco de Ramireza, który był synem corregidora Ciudad Rueda, wyruszyła na północny zachód zaglądając do każdej zatoki, aby wreszcie wytropić i wytępić zuchwałych korsarzy.

Tak energiczne kroki przepłoszyły korsarzy i innych piratów. Znajomi kapitanowie ostrzegli Martena i wynieśli się bądź na Morze Karaibskie do swych kryjówek pomiędzy niezliczonymi wyspami i wysepkami Małych Antyli, bądź na wody Archipelagu Bahamskiego.

Ale Marten ufał, że nawet sam diabeł nie znajdzie go w Przystani Zbiegów. Korzystając z trwającej pory suchej trzy okręty popłynęły w górę rzeki i stanęły przy nabrzeżu Nahua na dłuższy odpoczynek.

Marten powierzył Schultzowi troskę o przeładunek zdo- ' byczy do składów, sam zaś w kilka dni po przybyciu do Amalia popłynął dalej, zabrawszy z sobą Worstę i Pociękę oraz wszystkie szalupy z „Toro” i „Zephyra”, a także dziesięć wielkich członów indiańskich. Wiózł na nich głównie działa, broń, zapasy amunicji i sprzęt do budowy umocnień w kraju Acolhua i Haihole.

Wiedział, że zostanie tam przyjęty z radością: wodzowie tych plemion umieli lepiej ocenić jego wysiłki w spya wie dalszych zbrojeń niż Inika i jej ojciec.

Wprawdzie stosunki z władcą Amaha pozostały przyjazne i nawet serdeczne, lecz Marten wyczuł, że Mędrzec nie jest szczególnie zadowolony z szybkiego przekształcenia się państwa w bazę wojenną białych. Pragnął pokoju. Podkreślał to wielokrotnie z naciskiem. A gdy Marlen odpowiadał, że najlepszą gwarancją pokoju będą fortyfikacje i armaty, unosił brwi z wyrazem powątpiewania.

Co się tyczy Iniki, to wyraziła swe wątpliwości w sposób bardziej wyraźny i zdecydowany.

–Spodziewasz się napaści i zemsty Hiszpanów, czy leż planujesz napaść stąd, od nas? – zapytała, gdy wyruszał.

–Pracuję nad utrwaleniem bezpieczeństwa – odrzekł dotknięty do żywego. – Twego własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa twego kraju.

–Nie wierzę w to – powiedziała. – Zabezpieczasz tylko siebie i swoje okręty. Na tak długo, dopóki tu będziesz. Nic cię nie obchodzi, co się tu stanie, gdy nas opuścisz na] zawsze. Nie dbasz o nas wcale!

–Kio ci powiedział, że mam zamiar opuścić Amaha? – spytał.

–Twoje składy są do połowy wypełnione. Jeszcze kilka wypraw...

–Kto ci to powiedział?! – przerwał jej gwałtownie.

–Kapłan w czarnej sukni. Wydaje mi się, że mówi prawdę, choć jest Hiszpanem.

–Kłamie! – krzyknął. – Każę go za to oćwiczyć.

–Czy i mnie także? Bo i ja tak myślę.

Gniew nagle opuścił Martena.

–Przestań, chica – powiedział śmiejąc się. – Czy nie

przywiozłem ci rzemieślników, o których się dopominałaś?

–A narzędzia? – zapytała. – A żelazne pługi? Nasiona?

–Przecież nie mogłem zbierać ich po estancjach i ran-chach?! Trzeba będzie sprowadzić je z Anglii.

Nie mogła tego pojąć: po co Marten zdobywał srebro, bezwartościowy kruszec, z którego nie można było zrobić nic poza ozdobami i u l) naczyniami, zamiast przywozić żelazo i stal?

Nie wyobrażała sobie, jak wielki jest świat, i – rzecz prosta

–nie miała właściwego pojęcia o Europie. Zapytała, dlaczego

nie popłynął dotychczas do Anglii, aby tam zdobyć wszystko,

czego tu brakowało. Wydawało jej się to równie proste, jak

wyprawy, które dotychczas przedsiębrał.

–Przecież jesteś wielkim żeglarzem i wodzem – po

wiedziała. – I przecież to nie Anglia jest twoją ojczyzną.

Mógłbyś tam zrobić to samo, co uczyniłeś w Veracruz, gdzie mają

tylko dużo srebra i koszeni, a mało przedmiotów na prawdę

cennych.

Próbował jej to wyjaśnić, ale nie był pewien, czy dobrze go zrozumiała. Przynależ, że jeszcze z nią o tym porozmawia, gdy wróci.

–Wróć prędko – odrzekła patrząc mu w oczy.

Szczerze pragnął spełnić to życzenie, lecz budowa umocnień

i założenie podgórszych osiedli wojskowych zajęły mu znacznie więcej czasu, niż przewidywał. Wrócił dopiero w połowie lata, gdy tropikalne deszcze uniemożliwiły wszelkie dalsze roboty i przecięły komunikację lądową na niżej położonych terytoriach.

Był zadowolony z tego, czego dokonał, jakkolwiek dopiero teraz pojął, iż skuteczna ochrona zbrojna granic lądowych Wymagałaby o wiele większych ilości fortyfikacji, armat i wojska, niż mu się z początku zdawało. To tylko kwestia czasu – myślał.

–Za dwa, trzy lata mógłbym zgromadzić takie siły. Tymczasem i

to wystarczy.

W Nahua zasłał okręty w pełni przygotowań do wyjścia na morze. Eskadra Blasco de Rainireza przed dwoma tygodniami przepłynęła obok zatoki u ujścia Amalia, lecz nie próbowała forsować płycizn i wejść choćby do wnętrza-atolu. Wysłał tylko dwie szalupy, których załogi wkrótce| zawróciły przekonawszy się, że prócz kilku łódek rybackich? nie ma tam żadnych statków i że zatoczka nie nadaje się na kryjówkę korsarską z powodu zdradzieckich ławic nie do] przebycia.

Ramirezowi nie mogło nawet przyjść do głowy, że niedz-a ni rybacy są wyszkolonymi żołnierzami, że za gęstą zieloną ścianą mangrowii wznoszą się szczyty z działami gotowymi do strzału i że o kilkanaście mil od brzegu morza kręta rzeka obmywa burty trzech żaglowców, których tak uparcie po- I szukał.

Według wiadomości, jakie różnymi drogami dotarł w ostatnich dniach do Nahua, Złota Flota pomyślnie prz była do Hawany i pod wzmocnioną eskortą odpłynęła na Atlantyk w drogę do Europy. Oznaczało to, że liczba wojennych okrętów hiszpańskich pozostałych w Zatoce Meksykańskiej i na Morzu Karaibskim znacznie się zmniejszyła" Tylko najważniejsze cieśniny i główne porty mogły być nadal strzeżone.

W tym stanie rzeczy Belmont, White i Schultz postanowili przygotować wszystko do następnej wyprawy, a gdyby i powrót Martena miał się opóźnić, podjąć ją na własną

rękę lub wspólnie z innymi korsarzami, bez udziału „Zephyra”.

Marten dowiedziawszy się o tym wpadł w gniew, pokłócił się z White'em, a Schultzowi zagroził, że go przepędzi razem z jezuickim klechą, na którego nie może już patrzeć. Robił także gorzkie wyrzuty Belmontowi, po którym nie spodziewał się tak nielojalnego postępowania. Ale Belmont tym razem stanął twardo po stronie Henryka i Salomona.

–Przybyliśmy do Amaha po to, żeby się wzbogacić –

powiedział. – Ty, jak mi się wydaje, masz teraz na widoku jakieś inne, własne cele i zamierzenia. Jeżeli chcesz wiedzieć, co o nich myślę, powiem ci: to są mrzonki, fantazje, zamki na Jodzie.

–Czy nie mogę sobie, pozwolić na fantazje, jak je

nazywasz? – spytał porywczo Marten.

–Możesz. Ale nie żądaj, aby się w nie angażował White. I

nie licz na mój udział w tym twoim dzieciennym przedsięwzięciu.

Prędzej czy później stracisz wszystko, a nic nie zyskasz.

–„Toro” należy do mnie – zaczął Marten. – Żaden z was nie ma prawa...

Lecz Belmont przerwał mu.

–Jeżeli tak stawiasz sprawę, to nie mamy o czym mówić. Odwrócił się i chciał odejść, lecz Jan go powstrzymał.

–Dokąd mieliście zamiar płynąć?

–Na Wyspy Bahamskie.

–Poco?

–Po czerwone drewno.

–Po drewno?! – zdumiał się Marten.– Po drewno fernambukowe – wyjaśnił Belmont.

–

Używają go do farbowania tkanin. W Tampico można sprzedać każdą ilość tego drewna.

Janowi niezbyt przypadł do gustu taki handel;

–To pewnie pomysł Henryka? – zapytał. Belmont skinął głową.

–A któż będzie ścinał te drzewa?

–Krajowcy. Pedro Alvaro twierdzi, że na niektórych

wyspach cała ludność tylko tym się zajmuje. Kloce leżą go towe

do transportu i...

–To znaczy, że mamy ich ograbić – mruknął Marten. Ryszard roześmiał się.

–Skądże takie skrupuły? W Yeracruz ich nie miałeś.

–Och, nie mam żadnych skrupułów. Tylko... W Yera-cruz mieliśmy do czynienia z Hiszpanami...

–Bardzo możliwe, że i tam będziemy mieli do czynienia z Hiszpanami. O wiele prościej jest zagarnąć ich statki naładowane fernambukiem niż zabierać po trochu z wysp) i wysepek. Czy to uspokoiłoby twoje sumienie, tak barctao czułe na krzywdy krajowców?

–Raczej tak – odrzekł Marten nie zwracając uwagi na ironię zawartą w słowach Belmonta.

Marten siedział na wygładzonym kamieniu przed swoim pawilonem i mówił, nie patrząc na fnikę. która stała na wprost niego, oparta plecami o pień drzewa.

Tak, to prawda: widział, jak zmieniają się chłopcy i dziewczęta ze szkoły rzemieślniczej, która powstała w Na-lma; jak wyraz bojaźni i dzikości ustępuje z ich twarzy; jak z wolna zanika wrogość i obcość między dziećmi Indian i Murzynów; jak zaczynają błyszczeć inteligencją ich oczy; jak świat staje się dla nich bardziej zrozumiały.

–T» prawda – powtórzył. – Ale cóż znaczy ta jedna

szkoła? Co znaczy ta garstka w porównaniu z całą ludnością

Amalia, Haihole i Acolhua? Nie więcej niż kamień rzucony w

odmęt morza!

Zamyślił się. Widział wsie w głębi lądu, w których nadal składano ofiary z ludzi Tlalokowi lub innym bóstwom; gdzie posługiwano się wyłącznie narzędziami o ostrzach z kamienia: gdzie nie znano uprawy roli. gdzie panowały strach i dzikość, a władzę sprawowali czarownicy.

–Trzeba by poświęcić temu całe życie – powiedział na

pół do siebie i w tej chwili uświadomił sobie, że ta myśl od dawna

nie jest mu obca.

W głębi duszy czuł, jak ten kraj go niewoli, jak stopniowo zaczyna opanowywać jego serce. Europa, Anglia, nawet

Polska wydały mu się tak odległe i nierealne, jakby przestały istnieć, jakby zapadły się w morze. Mógłby już nigdy tam nie wrócić i chyba nie czułby żalu.

Inika patrzyła na niego z powagą. Jej twarz o pięknych rysach, slanowcze, spokojne usta, nos o linii pełnej wdzięku i lekko rozdętych nozdrzach przypominały oblicze posągu odlanego w jasnym brązie. Lecz w ostrym, badawczym spojrzeniu spod zmrużonych długich rzęs można było wyczuć wyzwanie.

–Całe życie – powtórzyła. – Tak, całe moje życie.

Lecz cóż ciebie to obchodzi?

Marten uniósł głowę. Inika nie patrzyła teraz na niego. Zauważył, że walczy z chęcią wypowiedzenia jakiejś myśli, która ją nurtuje.

–Wiem, że jestem dla ciebie niczym! – wybuchnę-

ła. – Nie dostrzegasz mnie wcale! Nie liczysz się z moim

istnieniem. Uważasz mnie za dziecko...

Przerwał jej, aby ją zapewnić, że od samego przybycia do Nah.ua świadom jest jej istnienia, lecz nie próbował zaprzeczyć, że aż do tej chwili traktował ją jak dziecko. Dopiero teraz pomyślał, że jest kobietą.

Cień przebiegł mu po twarzy. Wstał i zbliżył się do niej o krok.

–Jesteś piękna – powiedział cicho. – Zwłaszcza kiedy

się gniewasz.

Podniosła wzrok. Jej szybkie spojrzenie jak błysk ostrej słab objęło ogorzałą twarz Martena, mocne ramiona, wysoką, silną postać i ześliznęło się do jego stóp. Uśmiechnęła się. a Jan pomyślał, że ten uśmiech i rumieniec podobne są do uśmiechu słońca przenikającego przez chmury po gromach burzy. I jął obie jej ręce zwisające wzdłuż ciała i pociągnął ją ku sobie.

W trzy dni później „Zephyr”, „Ibex” i „Toro”⁴ znów wyfl płynęły na morze. Inika zaś została w Nahua ze swymi my- «śłami o rozkwitłej miłości.

Z początku bała się tej niezwyklej zdobyczy, z którą trudno się było oswoić. Lecz w miarę jak wzrastało poczucie jej pewności, że Jan do niej należy tak samo jak ona do niego, ogarniała ją radość i duma, a zarazem słodycz podobna do smaku miodu na ustach.

Nie odczuwała najmniejszego żalu z powodu występku,] jakiego się dopuściła w obliczu prawa i zwyczajów swego. | kraju. To, co się stało, było w jej przekonaniu słuszne i naturalne, jakkolwiek nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego.

Marten powiedział jej, że to jest miłość. Nie знаła od-,] powiedniego wyrazu we własnym języku. Pojęcia jej ludu tak znacznie odbiegały w tych sprawach od pojęć ludzi innych, że na próżno szukała jakichś porównań. Miłość była | o wiele piękniejsza, bardziej wzruszająca, gorętsza niż dotychczasowe wyobrażenia Iniki o uczuciach kochanków.

Jan przestał być dla niej tajemniczą istotą przybyłą ze świata, o którym wiedziała tak niewiele. Stał się bliski, realny. Nie lękała się już, że nagle przestanie rozumieć jego słowa i czyny. Przeciwnie, zdawało jej się, że rozumie coraz lepiej] nawet myśli, których nie wypowiadał; że odgaduje zamiary, | których jeszcze przed nią nie odkrył.

Teraz, chociaż odpłynął, choć okręt o wielkich żaglach | unosił go coraz dalej, pozostawał przecież przy niej, tuż blisko. Mogła go widzieć, ilekroć zamknęła oczy. Robiła to często, aby zobaczyć jego ciemne, lekko wijące się włosy nad | szerokim czołem, duże, wesole usta, oczy o pewnym, nieustraszonem * spojrzeniu, równie skłonne do uśmiechu, jak do nagłego gniewu. Słyszała także jego głos, | miły, przyjazny, zniepokojony lub wściekły i nie znośzący oporu. Głos, którego | słuchali marynarze, który jednał mu przyjaciół i przed którym | rym drżeli jego wrogowie.

Czasem, gdy niebo wypogadzało się po przejściu gwałtownej ulewy, wsiadała do wielkiej pirogi i płynęła w dół rzeki po odbiór części połowu należnej władcy od rybaków i wybrzeża. Zajmowała miejsce przy jednej z wysokich burt; brała wiosło i w takt cichego pomruku wiosłarzy przez parę godzin rytmicznie odgarniała w tył mętną, spienioną wodę. Gdy łódź niesiona silnym prądem wypadała na jasną lagunę z cienia lasów pochyłających się nad rzeką, wiosła hamowały pęd, długa wąska piroga zawracała ku małej przystani ukrytej wśród poskręcanych korzeni mangrowii i zwisających lian, wiosłarz klęczący na dziobie wyskakiwał na niski pomost, a wszyscy inni usuwali się na obie strony, aby córka Mędrca mogła przejść nie ocierając się o żadnego z nich.

Inika wysiadała i szła na brzeg morza wydeptaną ścieżką, która okalała lagunę. Siadała na piasku i patrzyła ku wschodowi – w tę stronę, gdzie znikły żagle „Zephyra”. Jasnozielone, gładkie jak atlas fale przybiegały z daleka, a każda z nich po drodze lekko wzdymała zamgloną linię widnokręgu i z cichym szeptem kładła się u stóp Iniki, jakby przynosząc jej pozdrowienie od kochanka.

Czekała na jego powrót cierpliwie i z wiarą, że wróci. Tej wiary, tej spokojnej ufności nie mogły zachwiać złowróżbne słowa Matlok, która oczywiście domyśliła się, co zaszło. Inika nie zwierzyła się babce. Nie zwierzyła się nawet ojcu, choć bynajmniej nie obawiała się jego gniewu. Musiał wiedzieć od dawna, że tak się stanie, że nie może być inaczej. Przewidział to z pewnością już wówczas, gdy mu oświadczyła, że nie zostanie żoną Totnaka, młodego wodza Haiho-lów.

–Nikt nie ujdzie swemu losowi ~ powiedział wtedy. – Oby twój był tak wielki i wspaniały, jak tego pragniesz.

Kiedyś powiedział także: „Jesteś moją córką i będziesz panią Amaha. Jeżeli twoje serce bije dla tego kraju tak jak

moje, nie mogą go krępować żadne prawa. Prawem ma byn wola i rozum władcy.”

Serce Iniki biło dla tego kraju, lecz przeppełniło je także inne, jakże gorące uczucie. A ten, ku któremu się zwracało, obiecał, że uczyni Amalia potężnym i szczęśliwym państwem.

Marlen powrócił z wyprawy na Wyspy Bahamskie i doi Tampico, prowadząc nowy przyz zdobyty na Hiszpanach. Była to karawela handlowa nieźle uzbrojona w pół- i ćwierć-kartauny, przypominająca swą budową „Castro Yerde”, lecz. nieco szybsza. Nazywała się „Santa Yeronica”.

Indiańskie pirogi pónolowały ją do \ahua, gdzie miała pozostać do czasu podróży powrotnej ze zgromadzonymi łupami.

.Marten przewidywał, że ta podróż nastąpi dopiero w końcu przyszłego roku. więc na razie niewiele o niej myślał. Ponieważ jednak „Yeronica” nie doznała prawie żadnych uszkodzeń i szczególnie nadawała się do transportu, postanowił zachować ją na ten cel.

Tym razem postój okrętów w Przystani Zbiegów miał być krótki. Należało wykorzystać nieobecność wojennej floty hiszpańskiej, która nie powróciła jeszcze z Europy i zapewne nie dotarła nawet do Kadyksu. Dlatego Jan nie udał się w górę rzeki, aby przeprowadzić inspekcję nowo założonych osiedli i dopilnować umocnień, lecz cały czas wolny od przygotowań do następnej wyprawy poświęcił Inice.

Jego stosunki z Quiche cechowało w tym okresie pewne napięcie lub może raczej

obustronne wyczekiwanie na i pierwszy krok w sprawie, której dotychczas nie poruszali, a która zawisła między nimi jak beczka prochu z tlejącym lontem. Nie można było przeciągać tego stanu, a Marten wiedział, że zapobieżenie wybuchowi zależy tylko od jego własnej decyzji.

W głębi ducha już ją powziął, lecz pozostawały szcze-o-óty, nad którymi głowił się, nie wiedząc, jak je rozstrzygnąć. Postanowił zostać w Amalia i pojąć Inikę za żonę. Ale jakkolwiek nie był praktykującym katolikiem i nawet powątpiewał o niewzruszoności dogmatów kościelnych, to przecież wzdragał się przed małżeństwem z poganką według obrzędów jakiegoś Tlaloka czy innego bóstwa wyciosanego w kamieniu.

Ostatecznie zdecydował się nakłonić Inikę i jej ojca do przyjęcia chrztu z rąk Pedra Alvaro, a co za tym idzie – doprowadzić do ostatecznego obalenia dawnego kultu pogańskiego w całym państwie.

Gdy doszło do poufnej rozmowy na ten temat. Mędrzec nie wydał się zaskoczony takim projektem. Odrzekł, że zastanowi się nad wprowadzeniem go w życie, co będzie wymagało dłuższego czasu. Nie widział także w najbliższym czasie potrzeby formalnego zawarcia związku małżeńskiego pomiędzy Iniką a Martenem. Oświadczył, że wystarczy mu jego słowo, tak jak to jest w zwyczaju miejscowych.

Jan zauważył, że mimo pozornego spokoju i godności, z jaką Quichę przyjął jego wywody, władca Amalia podlega sprzecznym uczuciom dumy i troski, radości i obawy. Nie dziwił się temu: któż mógłby go zatrzymać, gdyby zechciał odjechać stąd na zawsze? Mędrzec musiał zadawać sobie to pytanie. A jednak mu zaufa! Wierzył w szczerą intencję, jakby czytał w jego sercu, które ~ jak obaj o tym wiedzieli – „biło dla tego kraju”.

Sekretarz, a zarazem zastępca rezydenta z Ciudad Rue-da, Pedro AKaro, ze zwykłą pokorą i uległością przyjął rozkaz Marlana w sprawie utworzenia czegoś w rodzaju misji katolickiej w Nahua. Próbował wprawdzie uzyskać znacznie więcej swobody w działaniu na rzecz nawracania pogan, niż

Marten mu udzielał, a także uskarżał się na szczupłość środków, jakimi na razie mógł rozporządzać, lecz pojął, że nic tą drogą nie wskóra! Był jedynym duchownym chrześcijańskim w stolicy rządzonego despotycznie kraju, w którym nie było innej władzy poza świecką, i to w dodatku pogańską. Mógł się oprzeć w swej działalności tylko na dobrej woli i autorytecie człowieka, którego nienawidził i uważał za odsłepcę, a który mu bynajmniej nie ufał. Mimo to podjął się w tych trudnych warunkach zjednać dla Kościoła i ocalić od wieczystego potępienia możliwie jak największą ilość dusz, nie zaniedbując przy tej sposobności zapewnienia sobie wpływu na politykę i rządu. Tego wpływu właśnie Marten się obawiał i z góry starał się mu zapobiec. W jego planach, podzielanych i popieranym w największej tajemnicy przez Quiche, już

u samej podstawy zaprowadzenia chrześcijaństwa w Amaha leżała schizma, zapewniająca między innymi całkowite podporządkowanie spraw kościelnych świeckiej władzy monarchy czy też wodza. Alvaro doskonale rozumiał tę taktykę, domyślał się jej przyczyn i celów, ale to go nie zniechęcało. Bądź co bądź był to pierwszy wyłom w dotychczasowej zupełnej obojętności Martena na kwestie wyznaniowe w Amaha, skoro zaś Alvaro miał zostać jedynym apostołem nowej religii (nie licząc samorzutnego rozprzestrzeniania się jej za pośrednictwem na polu nawróconych zbiegów), to siłą rzeczy jego autorytet musiał wzrosnąć. Poza tym zaś – poza tym nie wierzył w trwałość obecnego stanu rzeczy. Uważał Martena za zbrodniczego awanturnika o niezwykłych zdolnościach i fantazji, które jednak nie wystarczały do stworzenia i utrzymania niezawisłego państwa pod bokiem potęgi hiszpańskiej. Podejmując działalność misjonarską, czekał pierwszej sposobności, która pozwoli mu przyłożyć rękę do zagłady tego efemerycznego tworu.

Ani ostatnia wyprawa na Wyspy Bahamskie, ani żadna z podejmowanych w następnym roku, 1583, nie przyniosła tak cennych łupów, jak zdobycie Veracruz. Handel i transport hiszpański zamierały na wodach Indii Zachodnich od strony Atlantyku lub raczej przechodziły w ręce korsarzy francuskich i angielskich. Coraz rzadziej można było spotkać na otwartym morzu samotny statek pod żółto-czerwoną flagą, a i wówczas jego ładunek zwykle okazywał się niewiele wart. Transport złota i srebra, koszenili, korzeni, tkanin odbywał się pod silną eskortą w konwojach. Korsarze podejmowali się przewozu innych towarów i dostarczali niewolników, na co władze hiszpańskie przymykały oczy.

W tych warunkach Martenowi pozostawało bądź przerzucić się również na handel, bądź zająć się przemytem, co prawie na jedno wychodziło. Co prawda istniały jeszcze inne liczne porty i miasta, równie bogate jak Veracruz; można było pokusić się o ich zdobycie...

Szczególnie Ciudad Rueda pociągała pod tym względem

wyobraźnię Martena. Lecz Ciudad Rueda leżała nad rzeką, której ujścia strzegły dwa forty dobrze zaopatrzone w działa. White nie chciał nawet słyszeć o podobnym przedsięwzięciu, a Belmont także miał poważne wątpliwości co do jego powodzenia. Zdobycie Ciudad Rueda wymagało większych sił niż te, którymi rozporządzali, a wobec nagromadzenia dużej ilości łupów w Nahua podejmowanie takiego ryzyka w obecnej chwili wydawało się tym bardziej lekkomyślne. Należało raczej pomyśleć "o bezpiecznym przewiezieniu dotychczasowych zdobyczy do Anglii,

Marlen ostatecznie zgodził się z tym poglądem, lecz ssM postanowił zostać w Amaha. Pragnął również zatrzymać Sehultza, powierzając dowództwo...Toro" Belmontowi a „Santa Yeronica" i|oogslone'olvi.

Ale Schullz zaprotestował. Był chory i wyczerpany; nie chciał choćby na kilka miesięcy zmienić klimat, aby powrócić do zdrowia. Jego wychudła twarz o woskowej barwie, zapadnięte oczy i drżące ręce wskazywały, że istotnie jest na kresu sił. Miał przy tym wygląd tak odpychający, jakby nie żywił] uczuć przyjaznych dla nikogo, nawet dla samego siebie. Gdy.] mówił, jego grdyka, niedorzecznie stercząca pośrodku cienkiej szyi, skakała w górę i w dół jak na sprężynie. Oświadczył, że musi zabrać także swego spowiednika; może umrzeć w drodze, a wszak śmierć bez ostatniego rozgrzeszenia i sakramentów stałaby się dla niego wyrokiem na wieczne potępienie. Któż wreszcie miałby zająć się w Anglii sprawami Martena, jeśli nie on?

Jan po dłuższym namyśle uznał, że w obecnej sytuacji rzeczywiście można mianować Williama I'ooogslone"a dowódcą garnizonu w Nahua i na wybrzeżu,

pozostawiając zwierzchnią władzę nad nim swłężnie w rękach Mędrca.

Hoogstone potrafił wymówić zaledwie kilka słów po hiszpańsku, ale – jak złośliwie utrzymywał Belmont – musiał posiadać bardzo gruntowna znajomość lego języka, ponieważ zawsze rozumiał na opak wszystko, co się do niego mówiło. Mimo to z pewnością umiał dzielnie walczyć i dobrze kierować ogniem artyleryjskim, a tylko lakie miało być jego zadanie, gdyby podczas nieobecności Marlena zaszła konieczność obrony przed niespodzianym wrogiem.

Co się tyczyło Pedra Alvaro, to Marlen pozbywał się go chętnie, jakkolwiek nie mógłby zaprzeczyć, że jezuita uczynił wiele dla Amaha. nie tylko umożliwiając poddanym Quiehe wejście do królestwa niebieskiego, lecz także w sprawach mniej niebiańskich i dużo realniejszych. Jednak, właś-

,:e wskutek coraz rozleglejszej działalności społecznej, oświatowej i cywilizacyjnej misjonarza, jego wpływ i znaczenie L₀sły, a Marten bynajmniej sobie tego nie życzył. Nad¹ „t”dł czas, by Alvaro został usunięty z widowni i zastąpiony przez kilku młodych Indian, którzy służyli mu do mszy. wykazując przy tym duże zdolności i zamiłowania duszpasterskie.

Do najtrudniejszych problemów, jakie Marten musiał Rozwiązać, należała sprawa załóg dla trzech okrętów. Nie mógł obsadzić ich ochotnikami indiańskimi i murzyńskimi choćby dlatego, że tylko znikoma ich ilość zdecydowałaby lje na lak daleka podróż, a większość zapewne nie wytrzymałaby żeglugi na wodach północnych. Wprawdzie, przewidując te przeszkody, zawczasu zwerbował w Campeche i na Antylach kilkudziesięciu awanturników, którzy pragnęli powrócić do Europy, ale byli to przeważnie ludzie zdemoralizowani, niekarni, na których nie można było polegać. Musiał więc odstąpić Uelmontowi i SehuHzowi swoich bosmanów, pozostawiając na „Zephyrze” tylko bardzo szczupłą kadrę.

Uporawszy się z tym wszystkim, odetchnął z uczuciem ulgi. W gruncie rzeczy był zadowolony, że na czas dłuższy rozstaje się z While'em, Sehultzem i Belmontem, a nawet z większością dawnej załogi...Zephyra". Wcale nie pragnął mieć ich za świadków swych zaślubin z Iniką. Wiedział, że ten krok i towarzyszący mu ceremoniał niepomiernie by ich zgorszył, a może nawet poniżyłby go lub ośmieszył w⁷ ich oczach. Wolał, aby się to dokonało podczas ich pobytu w Anglii.

Wiedział, że będzie miał dość czasu; liczył, że powrócą najwcześniej za sześć do ośmiu miesięcy. Postanowił przed zawarciem małżeństwa odbyć jeszcze jedną wyprawę wspól- uie z kilkoma korsarzami francuskimi i angielskimi, którzy trudnili się przemytem. Głównym jego celem miał być tym

razem zakup bydła, koni i osłów, a także większego zapasu soli dla Amalia.

Soli! Nie przyznawał się do tego oczywiście, aby nie wy. wołać ironiczych uśmiechów. Sam był sobie winien: naitii czył „dzikich” przyprawiania potraw solą, przyzwyczał ich do tego, a teraz musiał ją sprowadzać, żeby zaspokoić rosną, ce spożycie.

Nie powiodło mu się zdobyć ani jednego worka podczas ostatnich wypraw, ale wiedział, że w Tampico może zakupić nawet kilkadziesiąt ton.

Poza tym na jednej z bezludnych wysepek na wschód od zatoki Honduras posiadał znaczną ilość różnych towarów, które tam niegdyś ukrył, a między innymi kilkadziesiąt beczek rumu, co przedstawiało dużą wartość. Chciał je teraz zabrać i sprzedać w Tampico lub w jakimś innym porcie.

Postanowił zatem wyruszyć w parę dni po wyprawieniu w drogę „lbexa”, „Toro” i „Santa Veronica”, aby jak najprędzej załatwić te transakcje i następnie zająć się własnymi sprawami.

Z myślą o swym stanowisku zięcia i następcy Quiche, o przyszłej nieograniczonej władzy nad sfederowanymi państewkami Amaha, Acolhua i Haihole oraz nad sąsiednimi ziemiami, które mógł podbić i zholdować, zamierzał wznieść powyżej Nahua nowy zamek, o wiele wspanialszy od tego, który zajmował Mędrzec. Myślał o sprowadzeniu architektów, o uruchomieniu dawnych, opuszczonych kamieniołomów w górach, o splawieniu rzeką materiałów na tę budowlę, która miała być wyrazem jego potęgi.

Tymczasem przygotował plan niewielkiego drewnianego domu, który miał stanąć na wzgórzu sąsiadującym z siedzibą Quicbe. Pragnął go urządzić po europejsku i w tym celu-dał Schultzowi listę przedmiotów, mebli i dywanów, jakie miały być zakupione w Londynie.

Prócz tego Henryk otrzymał długi spis towarów, materiałów, narzędzi, naczyń i przeróżnych wyrobów, których „je można było zdobyć na statkach i nawet w miastach portowych Nowej Hiszpanii.

Wreszcie Marten polecił mu zwerbować jak największą ilość rzemieślników i zakupić dla nich kompletne wyposażenie warsztatów, a przecie wszystkim kuźni, ślusarni i stolarni.

Wszystkie te zakupy i żądania przekonały ostatecznie Schultza, że.

Jan został opętany przez jakiegoś demona.

Jeśli tak dalej pójdzie – myślał Henryk – ten szaleniec

naprawdę gotów zostać indiańskim kacykiem. Będzie tu żył wśród dzikich i sam w końcu zdziczeje. Może jeszcze zanim Hiszpanie go powieszą. Zaprzepaści wszystko, co zdobył. Zgubi siebie i mnie.

W skrytości ducha zastanawiał się, czy ma tu powrócić. Mógłby przecież spieniężyć zarówno swój, jak i Martena udział w zdobyczy i wyjechać z tymi pieniędzmi choćby do, Gdańska. Spełniłyby się jego dawne marzenia: stałby się zamożnym kupcem, szanowanym obywatelem. Ożeniłby się z córką jakiegoś patrycjusza miejskiego. Miałyby otwarty wstęp do Dworu Artusa. Zapewne w przyszłości zostałyby rajcą...

Tak, lecz dawne marzenia zbladły pod wpływem coraz obfitszych łupów. Im szybciej rosły bogactwa zdobywane korsarskim rzemiosłem, tym bardziej Henryk ich pożądał, tym wspanialsze perspektywy stawały mu przed oczyma. Dlaczego miałyby poprzestać na majątku zamożnego mieszczanina i zacząwszy od tego, przez lat dziesięć czy dwadzieścia dobijać się o miejsce w senacie, skoro w dwa lub trzy lata mógł podwoić, a może potroić to, co posiadał? Marten miał szczęśliwą rękę; gdyby zechciał, potrafiłby zdobyć nie tylko Ciudad Rueda, ale także' składy srebra W Panamie, a może nawet zapasy złota i bajeczne skarby iNowej Kastylji.

A po wtóre – myślał Schultz – gdybym sobie piyf właszezył jego udział, kio wie, czyby innie nie ścigał.. \ wet w Gdańsku! Jest nieobliczalny i gwałtowny. Nie by bym pewien dnia ani godziny.

Z ty cli sprzeczny eb myśli i pokus wyłaniał się jeden wniosek: należało skłonić Marlena do porzucenia fantastycznych planów dotyczących Amaha. Trzeba było wyrwać go stąd, choćby wbrew jego woli; wykopać przepaść pomiędzy nim a Quiche i tymi dzikusami, którym chciał panować; wyzwolić go spod władzy czarów, jakie na mego rzuciła Inika.

Lecz jak tego dokonać? – zastanawiał się Henryk. – Gdzież jest głos, którego Marten usłucha? Gdzie siła, która go zmusi do opuszczenia Amaha?

Siła? Istniała taka siła. Potęga!

Marten nie mógł się z nią mierzyć. Mogła go zmiażdżyć, zniszczyć, wraz z Przystanią Zbiegów, z Quiche-Mędrceem i jego państwem, z szańcami i działami, które miały jej bronić dostępu.

Unikał jej dotąd. Szarpał ją znieuacka tam, gdzie znajdował słabsze miejsca, igrał z niebezpieczeństwem, lecz cofał się przed ciosami, jakie zdolna była zadawać. Obroniła go tajemnica krętych, wąskich przesmyków pośród muli-słych ławic laguny

i kapryśne, zdradliwe koryto rzeki, na której miał swą kryjówkę. Lecz gdyby na przykład Blasco de Hamirez dowiedział się o istnieniu ilahua i znalazł przewodnika okrętów?...

W pierwszej chwili Henryk sam przeraził się lejącej się myśli. Przecież w takim wypadku „Zephyr” zostałby spalony lub zatopiony, a Marten nie uszedłby z życiem!

Chyba – pomyślał – że nie byłoby go w Amaha.

–Nie będzie go! – powiedział na głos. – ilie będzie go przez kilka tygodni!

Obliznął końcem języka spieczoną wargę.

Muszę zaryzykować – myślał dalej. – Muszę to tak ułożyć- aby o° tu ^{mc} zasiali. To będzie dla niego Wstrząsem, „|(. nie ma innego wyjścia. Powinno mi się udać. Opatrzność „1, „/e ocalić go dla mnie..Jeżeli zaś Bóg postanowił inaczej, dziej się Jego wola. Bądź co bądź otrzymam przynajmniej część udziału tego nieszczęśnika. Zakupię mszę za jego grzeszną duszę. Zakupię dwie msze w Anglii i jeszcze kilka w Gdańsku. Muszę zaryzykować...

Na krótko przed opuszczeniem Amaha Scultz w tajemnicy złożył wizytę teściowej władcy, starej Mallok. po czym spotkał się z nią i z Ualholokiem na zachodnim, krańcu Nahua, w ruinach porośniętych dżunglą. Odbyli tam długą poufną rozmowę, w której wyniku ustalono, że „Santa Yerouica” zabierze przy ujściu rzeki dwóch doświadczonych rybaków znad laguny i poholuje ich łódź żaglową no pewnie odległe łowisko obfitujące w łososie.

Łowisko to było trudno dostępne z powodu silnego prądu płynącego na południe od delty Rio Grandę del Norte i dlatego mało uczęszczane. Łodzie rybackie musiały zapuszczać się bardzo daleko od brzegów, aby ów lokalny prąd ominąć, lecz jeśli jakiś śmiałek zdołał tam dotrzeć, wracał już z prądem, najczęściej wioząc obfitą zdobycz. Co prawda zdarzało się także, iż nie wracał wcale: kapitanowie hiszpańskich statków rybackich z Matamoros uważali połów łososi na tych wodach za swój monopol; Indian przyłapanych na gorącym uczynku chwyтали i wcielali do własnych załóg. Lecz to należało już do ogólnego ryzyka.

W samo południe, gdy okręty naładowane łupami zdobytymi w ciągu trzech lat spłynęły w dół Amaha i kolejno mijały sterczące z wody resztki masztów osiadłego niegdyś

na mieliźnie hiszpańskiego statku, do burty „Santa Vero«| nica” podeszła łódź klepkowa, z pewnością pochodząca z owego wraku. Schultz kazał ją umocować na krótkiej linie i zezwolił rybakom wejść na pokład. Mieli go opuścić dopiero w nocy, na wysokości północnej ławicy de la Mądre, gdzie według planu podróży powinna

nastąpić zmiana kursu na wschodni.

„Santa Veronica” wyszła z zatoki ostatnia. „Ibex” i „Tej ro” oskrzydlały się już płótnem, gdy Henryk wydał rozkaz przebrasowania rej, a następnie postawienia żagli. Szeregi marynarzy złamały się, obiegly maszty; ludzie z małą zręcznością wspięli się na wanty, zawisli wysoko na chwiej * nych pertach *, zrzucili wielkie fałdy płótnisk, zjechali w dół po linach, zaczęli ciągnąć szoty. Żagle trzaskały, wzdymały się, pęczniały. Okręt lawirował pod wiatr, przeciw dziennej bryzie wiejącej z morza.

Bosmani pokrzykiwali przy klarowaniu lin, ludzie pracowali chętnie, na wyścigi, żartowali, śmiali się, pokpiwali z siebie nawzajem. Skończywszy robotę rozeszli się po pokładzie pełni dobrej myśli, widocznie zadowoleni, że wreszcie wracają do Europy. Żaden z nich nie patrzył w stronę lądu. Porzucili Przystań Zbiegów bez żalu.

Tylko Henryk śledził wzrokiem oddalający się gąszcz mangrowii i łańcuch Czarnych, skalistych wysepek. W prostej linii za tymi dwiema, z których jedna podobna była do leżącego w wodzie dwugarbnego wielbłąda, a druga do hełmu ozdobionego pióropuszem, nad brzegiem laguny kryły się szanice usypane przez Broera Worsta, cieśnię z „Zephyra”, i uzbrojone w działa przez Martena.

Można by je stąd zniszczyć ogniem hufnic i ciężkich kas łauków – pomyślał Schultz. – Nie trzeba wcale wchodzić!

Ło zatoki, jeżeli się wie, jak celować. Gdy zamilkną, rzeka stanie otworem, a wtedy...

Odwrócił się gwałtownie: zobaczył dziwaczny czarny cień na deskach pokładu. To był cień Pedra Alvaro, który stał za nim.

–Ojciec chodzi jak kot – powiedział Henryk.

–Mam lekki chód – zgodził się jezuita. – Czy to są te dwie wysepki wskazujące drogę? – zapytał zniżając głos.

–Tak – odrzekł Schultz. – Ale poza tym... Niech ojciec uważa: jeżeli z tego miejsca, gdzie jesteśmy, wymierzyć działą wprost pomiędzy nie i obliczyć kąt wzniesienia lufy tale, aby pocisk padł w lesie w odległości trzystu jardów od brzegu, to trafi on w sam środek fortyfikacji.

–Rozumiem – szepnął Alvaro. – Będę o tym pamiętał.

Noc opadła na brzeg, ciągle jeszcze widoczny po lewej stronie, a potem na morze, które zgasło w jednej chwili, zmieniając barwę. Wiatr ustał, jakby czekał na ukazanie się księżyca. Dopiero gdy rąbek srebrnej tarczy wynurzył się spoza widnokręgu, lekkie tchnienie wieczornej bryzy powiało od zachodu. Jednocześnie na pokładzie

„Santa Verónica” wszczął się ruch, zatupały bosc stopy ludzi, rozległy się głosy bosmanów i okrzyki towarzyszące przekładaniu rejd na przeciwny ciąg.

Bryza zmarszczyła powierzchnię wody, która zaczęła lekko syczeć u dzioba i fosforyzować za rufą, żagle napięły się, zaskrzypiały więźby topenantów *. Księżyc wypływał coraz wyżej, a jego zimny, wilgotny blask rozlewał się szeroką strugą po morzu, obmywając prawą burtę okrętu. Żagle, czarne jak sadza, gdy się na nie patrzyło od rufy, i białe,

Isniące jak atlas od strony dzioba, piętrzyły się wysoko na tle granatowego nieba pełnego gwiazd. Cienie masztów zataczały się tam i z powrotem, przegarniając biały pokład siatką cieni rzucanych przez wanty, paduny * i szlagi.

Po skończonym manewrze wszystko ucichło. Tylko fala syczała teraz głośno u dzioba. Henryk przez chwilę nasłuchiwał tego jednostajnego szmeru, a potem wrócił do kasztelu na rufie, aby dokończyć spowiedzi.

Ukląkł obok krzesła, na którym siedział Pedro Alvaro¹ i przeżegnawszy się wyliczał złamane posty w adwencie oraz dni świąteczne, podczas których pracował wbrew trzeciemu przykazaniu.

Umilkł, zastanowił się, przebiegł w pamięci rachunek sumienia dotyczący dwóch tygodni, które upłynęły od ostatniego rozgrzeszenia, i nie znalazłszy w nim nic więcej, oświadczył, że innych grzechów nie pamięta.

–Ego te absolvo i.n nomine Palris, et Filii, el Spiritus, Sancti,

amen – wymamrotał prędko jezuita, po czym od mówił pacierz i uczynił znak krzyża.

Gdy Henryk wstał oczyszczony i pokrzepiony na duchu, a zakonnik schował przybory liturgiczne i srebrny pacyfikał w podręcznej szkatułce, obaj zasiedli do wieczerzy. Henryk był głodny; nie jadł nic przez cały dzień, aby wieczorem przyjąć komunię. Alvaro zmusił się do przełknięcia paru kęsów i wypił nieco wina z wodą. Nurtował go niepokój, którego nie mógł ukryć. Zapytał, czy dwaj indiańscy rybacy z laguny Amaha są chrześcijanami,

__ Isfic __ odrzekł Schullz, – Ale można im zaufać, jeśli I

chodzi o...

–Rozumiem – przerwał mu Alvaro;

Henryk w zamyśleniu obracał palcami czarkę wina stojącą pJ*^{ze}d nim na siole.

Spojrzał spod spuszczonej powieki na swego spowiednika i oblizał wargi, jakby chciał wślizgnąć wypowiedzenie słów, przed którymi się wzdragał.

–Obiecałem, że ojciec zatroszczy się o nich – powiedział wreszcie. – Nie chciałym...

–Żeby umarli jako poganie? – wtrącił szybko Alvarado. – Bądź spokojny. Jeżeli spełnią to, czego się po nich spodziewamy, uczynię wszystko, aby ich dusze dostały zbawienia. Chyba tylko o to ci chodzi, nieprawdaż?

–Taak – odrzekł Henryk.

Tę to pierwsze kłamstwo, jakie popełnił od chwili spowiedzi;

Krótko przed północą Sehnitz wyszedł na pokład i zaczął się przechadzać wzdłuż lewej burty, zacienionej teraz przez dolne żagle. Ludzie ze służbowej wachty drzemali na swych stanowiskach, z wyjątkiem sternika i marynarza siedzącego wysoko na marsi fokrzasztu. Kilku innych spało w pobliżu przedniego kasztelu, chrapiąc głośno. Przy grot maszcie nie było nikogo, tak jak się tego spodziewał.

Przystanął tam, namacał zamocowane szoty, rozejrzał się i stwierdziwszy, że nikt nie może go widzieć w głębokim cieniu, zaczął rozluźniać liny, aby następnie zamocować je na innych kołkach. Gdy skończył, wsparł się plecami o maszt i dysząc z wysiłku ocierał spocone czoło i szyję. Przeczekał chwilę, póki serce nie uspokoiło się na tyle, że mógł stanąć o własnych siłach. Odetchnął głęboko.

Wrócił na rufę, zamienił kilka słów ze sternikiem i spojrzawszy na sylwetki „Ibe.sa” i „Toro”, dobrze widoczne teraz w świetle księżycy, polecił, aby dano mu znać, gdy tylko tamte okęty zmienią kurs. Wreszcie zapytał, gdzie

są rybacy, których łódź zgodził się holować do ławicy de la Madre. Kazał ich przysłać do swojej kajuty po list, który mieli wręczyć Martenowi powróciwszy do Amalia.

Indianie zgłosili się natychmiast. Nie trzeba było tłumaczyć im, co mają robić opuściwszy okręt. Otrzymali wystąpi czające instrukcje od Uatholoka; byli zdecydowani i milczący! a ich posępne twarze, nieruchome, jak wyrzeźbione w mahoni, nie wyrażały nic zgoła. Wzięli bez słowa dwa niewielkie pakunki, zawierające rzeczy Alvara, i młodszy z nich wrzucił je do swego worka.

Henryk raz jeszcze przypomniał im, w jaki sposób mają podciągnąć łódź pod rufę, aby znalazła się dokładnie pod oknem jego kabiny. Podszedł tam z nimi i pokazał im sznur-J rową drabinkę, która zwisała aż do powierzchni wody.

–” Teraz idźcie – powiedział. – Gdy zaczniemy zwrot, zatrzymam okręt, żeby wam

zostawić dość czasu. Pamiętajcie, że jeśli biały kapłan wylądował pomyślnie w Matamoros, czeka was wielka nagroda po powrocie do Amalia. W przeciwnym razie – śmierć.

–Tak – odrzekł starszy z rybaków. – Wiemy o tyran

Wzięli worek i wyszli na pokład.

Alvaro spojrzał na Schultza i spotkawszy jego wzrok

zauważył:

–Byłoby wielką lekkomyślnością pozwolić, żeby wrócił. Za dużo wiedzą.

–Za dużo – zgodził się Henryk z lekkim westchnieniem.

Podczas wykonywania zwrotu w związku ze zmianą kursu, co nastąpiło w pół godziny później, na pokładzie „Santa Veronica” wszczęło się zamieszanie. Z niewytłumaczonych przyczyn nagle puściły szoty dolnego marszagli przy grotach maszty, a następnie poluzowano inne niż należało, skutkiem czego okręt stracił pęd, zatrzymał się i nawet zaczął dryfować bokiem, spychany przez wiatr. Upłynął kwadrans, zanim

Quiltz przy pomocy starszego bosmana i żaglomistrza zdołał temu zaradzić i zaprowadzić jakiś porządek.

Wśród gorączkowej krzątaniny nikt oczywiście nie zwał na indiańskich rybaków, którzy tymczasem wsiedli do swojej łodzi i odpłynęli. Dopiero gdy „Veronica” znów ruszyła naprzód, z pokładu dostrzeżono oddalającą się szalupę pod rozpiętym gąflowym żaglem.

szkoleni w manewrowaniu osprzętem, lec? przecież nie do równujący białym pod względem bojowym.

Marten nie trapił się tym zbyt: nie zamierzał w lyffl okresie występować zaczepnie przeciw komukolwiek a przyjąwszy taktykę obronną, z łatwością mógł uniknąć bitwy zawierając szybkości, „/epbyra”. Rozporządzał z_{re}. szta obecnie wcale niezłą artylerią, której obsługę Worst i Pociecha ćwiczyli nadal, nie żałując kul i prochu.

W drodze do zatoki Honduras w ciągu pięciodniowej że-glugi nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego... „Zephyr” minął z bliska przylądek Catache w Cieśninie Jukatańskiej i zmieniwszy ogólny kurs na południowo-wschodni, szóstego dnia o wschodzie słońca znalazł się na wprost grupy niewielkich wysp rozrzuconych jak okruchy łądu na rozległej przestrzeni morza. Żadna z nich nie była zamieszкана, a tylko jedna, zwana Wyspą Łabędią, obfitowała w słodką wodę zdatną do picia.

Lecz Marlen nie zamierzał na niej łądować: rzucił kolwi-I eę przy innej, nie wyróżniającej się zresztą ani ukształtowaniem, ani rozmiarami, porosłej bujną roślinnością i przeciętej głębokim jarem o stromych ścianach z osypujących się kamieni.

Ów jar lub raczej szczelinę w skalistej wyniosłości gruntu zasłaniały od strony morza gęste zarośla, a krzewy i pnącza zwisające z krawędzi obu jej zwietrzałych ścian maskowały ją bardziej jeszcze, tak że dopiero stanąwszy na brzegu można było domyślić się jej istnienia. Lecz gdyby nawet ktoś niepowołany wylądował na wysepce i dostrzegł osypisko porosłe kolczastymi krzakami, nie podejrzewałby z pewnością, że pod cienką warstwą ziemi i kamieni leżą szeregi deltowych beczek z rumem oraz że z boku znajduje się podstemplowana wnęka, w której spoczywają skrzynie pełne towarów europejskich i worki z baraniej skóry wypełnione rtęcią z Almademi.

Marten znalazł tę kryjówkę przypadkowo, szukając wo-

Ry. a później zdobywszy w czasie jednej z wypraw pewien Statek hiszpański w okolicach Jamajki i nie mogąc zabrać z sobą wszystkich łupów, zostawił je tutaj.

Kryjówka okazała się bezpieczna: gdy tylko zaczęto od-larniać ziemię, łopaty uderzyły o poczerńiałe klepki beczek. Indiańscy i murzyńscy marynarze przetoczyli je na brzeg i pod kierunkiem Worsta przewieźli szalupami na okręt, po czym przetransportowali w ten sam sposób skrzynie i ciężkie wory, a wreszcie zasypali z powrotem rozpadlinę prowadzącą do wnęki. Reszty miała dokonać sama przyroda; Marten słusznie przypuszczał, że za parę tygodni roślinność przysłoni wszelkie ślady

i że jar znów przybierze wygląd równie niewinny, jak wówczas, gdy „Zephyr” po raz pierwszy zakotwiczył na wprost jego wylotu.

Zabezpieczywszy sobie w ten sposób możliwość ponownego użycia kryjówki, Marten skierował się na północny wschód, ku wyspom Cayman, gdzie podówczas przebywało wielu korsarzy francuskich i angielskich trudniących się głównie przemytem lub nielegalnym handlem niewolnikami. Zależało mu w szczególności na spotkaniu z kapitanem Piotrem Carotte, który dowodził zgrabną fregatą „Vanneau”.

Ów Carotte miał opinię największego spryciarza na Morzu Karaibskim, a zarazem najlepszego kompana wśród marynarzy francuskich. Był uczynny, gadatliwy i dowcipny, poza tym zaś znał wszystkich hiszpańskich celników, mayo-rałi portów i corregidorów miast nadmorskich od ujścia Rio Grandę del Norte na północ-zachodzie do delty Orinoko na południowym wschodzie. Handlował i pił z nimi, dawał im łapówki i oszukiwał ich haniebnie, zbijając majątek raczej na kontrabandzie niż na zwykłym rozboju i rabunku.

Na pełnym morzu używał zwykle flagi francuskiej, ponieważ był patriotą i posiadał dyplom kaperski wydany przez Henryka de Bourbon. księcia Nawarry. Lecz wchodząc do portów podnosił flagę kastylską, do której miał jakieś niezbyt

jasne prawa, nadane rzekomo przez wicekróla w Limie. Nie nadużywał jej nigdy w podstępnych zamiarach i nie mieszał się do ryzykownych awantur, które mogłyby zaszkodzić jego dobrym stosunkom z władzami hiszpańskimi. Nie brał udziału w napadach na porty, jakie przedsiębrali inni korsarze w celu wymuszenia okupu, lecz chętnie ręczył za tych, którzy jak 011 pragnęli tam coś sprzedać, dokonać naprawy swych okrętów lub zaopatrzyć się w żywność i wodę.

Czynił wrażenie człowieka nader zrównoważonego, jakby natura zachowała doskonałą proporcję, obdarzając go wszelkimi przymiotami charakteru. Jeżeli jakaś cnota, spośród wielu, jakimi się odznaczał, dominowała nad innymi, była to sztuka przyrządzania ponczu z pulque de mahis z rumem i wygłaszania toastów przy piciu w wesołej kompanii.

Znajomość z Martenem zaczęła się właśnie przy takiej okazji w pewnej pulquerii w Tampico. Marten wszedł tam, aby ugasić pragnienie i doczekać się powrotu Schultza, który załatwiał sprawę sprzedaży fernambukowego drewna, a kapitan Carotte ugaszczwał kilku angielskich korsarzy, rozprawiając na temat różnych sposobów przyrządzania ponczu. Jan przysłuchiwał się temu przez chwilę, raz i drugi roześmiał się głośno, ubawiony dowcipami Francuza, po czym wtrącił jakąś uwagę i niezwłocznie został zaproszony do kompanii.

Od razu poczuli dla siebie wzajemną sympatię. Carotte był zażywny, okrągły jak solidna beczułka wypełniona wesołym czerwonym winem burgundzkim. Na jego

pełnym, rumianym obliczu, trochę zniekształconym blizną przecinającą policzek i górną wargę pod małym, zadartym nosem, gościł przyjazny uśmiech. Nie wymuszony grymas, jakim zwykle wykrzywiają swoje drewniane gęby- Anglicy, lecz prawdziwy, serdeczny i szczery uśmiech, oznaka dobrego humoru oraz kwitnącego zdrowia ciała i ducha. Marten zaś śmiał się równie szczerze i równie chętnie.

Nim minął kwadrans, założyli się o pięćdziesiąt pesos,

kto z nich przyrządzi dzban lepszego ponczu i kto prędszej i wypije P^{em}ą kwartę.

Carotte, według zdania świadków i sędziów zakładu, wygrał w pierwszej rundzie, lecz Marten zwyciężył go w drugiej wychyliwszy swoją kwartę o dwie sekundy prędszej. Wobec takiego wyniku wypili jeszcze po jednej za zdrowie obu stron i odtąd zostali przyjaciółmi.

Wyruszając po rum i rtęć, pozostawione na Wyspach Łabędzich, Marten wiedział, że Carotte wybiera się do Zatoki Meksykańskiej; chciał skorzystać z jego protekcji, aby razem z „Vanneau” zawinąć znów do Tampico i w sposób pokojowy załatwić tam zamierzone transakcje.

Jego przewidywania spełniły się: gdy rzucił kotwicę na redzie północnej zatoki Cayman Minor, wśród wielu innych okrętów dostrzegł także sylwetkę „Vanneau”, a w godzinę później wszedł na jej pokład, witany z niezwykłą wylewnością przez gościnnego Francuza.

Tampico przeżywało wówczas krótki okres swej największej świetności. Veracruz nie zdołało jeszcze odbudować się po pożarze, który przed dwoma laty wybuchnął za sprawą Henryka Schultza po obrabowaniu miasta i strawił trzy czwarte domów, nie oszczędzając składów i budynków portowych. Dlatego handel i transport morski, a także wiele urzędów, przedsiębiorstw i zamożnych rodzin gacupinów przeniosło się do odległego o sto czterdzieści mil Tampico, na granicę okręgu Tamaulipas. Również komunikacja między metropolią a całą Nową Hiszpanią odbywała się za pośrednictwem tego portu. Wysłannicy Filipa II, nowo mianowani dygnitarze, członkowie residencji * przybywający z Madrytu,

Kadyksu lub Sewilli lądowali w Tampico, aby stamtąd odbyć dalszą drogę lądem aż do Meksyku.

.Miasto rozwijało się gwałtownie, powstawały nowe. spieszenie rozbudowywane dzielnice, zajazdy, gospody. p_un querie; odbywały się tłumne jarmarki, widowiska, walki bv-ków i kogutów, zabawy, bale maskowe i uczyty. Gubernator okręgu Tamaulipas, alcade ordinario i regidores Tampico pragnęli współzawodniczyć z Meksykiem – jeśli nie pod względem wspaniałości budowli, pałaców i świątyń, to przynajmniej w rozwoju handlu oraz w ilości rozrywek.

Ta niezwykła koniunktura ściągała do bogacącego się miasta zarówno bogaczy, jak biedaków; ludzi z morza – kupców, obieżyświatów, awanturników i ludzi z lądu – arystokratów, ziemian, artystów i żebraków. Śpiewacy Tndios i Metysi śpiewali corridos o sławnych salteadoraeh i bohaterach ludowych lub improwizowali nowe pieśni i poematy akompaniując sobie na gitarach i marymbasach..Malarze ozdabiali ściany pulquerii scenami z walk byków lub życia świętych, a także malowali i sprzedawali jako wota do kościołów obrazy na temat cudownych uzdrowień, wybawień od śmierci, ognia, ukąszenia przez żmije i tak dalej, a wszystko to z niewątpliwym udziałem odpowiednich patronów niebieskich. Na krzykliwych rynkach indiańskich, gdzie zajeżdżały wysokie wozy rancherów z llanos z płodami rolnymi, wśród kramów i koszów z clii Hi, frijoles, tamales. tortillas i dulces odbywały się walki kogutów, a w pobliskim Panu-co – walki byków, corridas de toros, nie ustępujące podobnym widowiskom stołecznym.

Kościoły, place targowe i ulice, z wyjątkiem dzielnicy bogaczy, obsiadali żebracy i leperos, wystawiając na widok publiczny swe ropiejące rany. kikuty i brudne ciała. Zebrali i kradli w dzień, w nocy zaś grali w kości i karty, pili, awanturowali się, a nierzadko mordowali lub ograbiali spóźnionych przechodniów, jeśli przedtem nie dostali się w ręce

ętraży municypalnej, która objeżdżała miasto, aby odstawić jCJt du więzień.

\V diii świąteczne odbywały się wielogodzinne, dłuższe niż zwykle nabożeństwa i wspaniałe procesje z muzyką, śpiewami, chorągwiami, figurami świętych, stacjami wyobrażającymi drogę krzyżową, z całą powodzią kwiatów sypanych przez dzieci.

Codziennie przed zachodem słońca, gdy upał stawał się mniej dokuczliwy, przez alamedę w kierunku Panuco sunął tt-olno sznur powozów. Siedziały w nich często piękne, a zawsze bogate damy – żony i córki gaczupinów – wystrojone w jedwabie, z ogromnymi wachlarzami z piór, obwieszane klejnotami, pachnące piżmem i paczulą *, Obok konno kłusowali caballeros i hidalgos. Ich siodła, czapraki i uzdy kapwały od srebra, olbrzymie ostrogi podzwaniały o złoczone strzemiona, a miękkie sombrero, barwne jedwabne kamizelki, aksamitne bolera, krótkie spodnie – zielone, niebieskie lub żółte, naszywaue złotymi taśmami i ozdobione srebrnymi guzikami – mieniły się w oczach.

Tłum pieszych, mniej zamożnych Kreolów. Indios w malowniczych jaskrawych serapach, oficerów niższych stopni, urzędników, Metysów, aktorów i artystów, gringów. wesołych dziewcząt peyne d'oro, przyglądał się tej przejażdżce hombros fiuos. a gdy powozy i jeźdźcy wracali o zmierzchu, rozpraszał się po pulcjueriach. domach gry. budach cyrkowych, gdzie popisywali się kuglarze, ehulos. po salach tańca i lupanarach.

Rozrywki hombres fin. os niewiele różniły się od uciech pospółstwa: damy i

ka\valeroAvie zmieniali strój i podążali

do teatru, na bal maskowy w salonach corregidora lub grali w monte w domach prywatnych, przy czym stopy srebra przechodziły z rąk do rąk, a wino lało się strumieniami.

W ciągu dwóch lat ceny w Tampico wzrosły trzykrotnie, a wobec ogromnego zapotrzebowania na towary europejskie kontrabanda rozwinęła się jak nigdy przedtem. Urzędnicy przyjmowali sute morbidas i zamykali oczy: mayoral portu i celnicy otrzymywali procent od zysków z przemytu. Statki handlowe z Jamajki i z Haiti oraz okręty korsarskie z ładunkiem, o którego pochodzenie nikt nie pytał, wchodziły do portu rzekomo w celu zakupu żywności albo naprawy czy też wymiany uszkodzonych lin i żagli; potem wynoszono z nich skrzynie, paki i worki, aby – zgodnie z prawem – oddać je na przechowanie w strefie wolnocłowej, szyprowie zaś udawali się do miasta, gdzie w kantorach handlowych zawierano transakcje i wymieniano upoważnienia odbioru. Wreszcie w nocy do składów przybywali nabywcy, miejscowi kupcy, hurtownicy i pośrednicy, by przy pomocy urzędników portowych przetransportować towar do własnych piwnic i magazynów. Gdy kapitanowie statków zgłaszali się po odbiór swego ładunku, pieczęcie były wprawdzie nienaruszone, lecz opakowania zawierały srebro i koszenilę.

W ten sposób cła omijały szkatułę Filipa II i spływały bocznym korytem do kieszeni jego poddanych w Tampico.

Marten dowiedział się o tych szczegółach od Piotra Carotte, zanim jeszcze wypróżnili pierwszy dzbanek wina, siedząc pod płóciennym daszkiem na pokładzie jego okrętu. Potem zapytał, czy „Vanneau” ma jakiś ładunek do Tampico i kiedy wyruszy.

. – Jutro – odrzekł Carotte. – Przybyłeś w samą porę. Będzie nas razem sześciu, nie licząc Gerwazego Maddocka.

~ Któż to taki i dlaczego nie liczysz go do tej pączku

Carotte uniósł brwi w górę, opuścił powieki i wydał rumiane policzki, osiągając tym sposobem wyraz pewnego za-ambarasowania.

–Handlarz niewolników – oświadczył niechętnie. – Nie

lubię mieć z nim do czynienia.

Spojrzał na Martena i znów się uśmiechnął.

–To jest pamiątka po zderzeniu „Vanneau” z jego

„Knightem” – powiedział wskazując bliźnię na policzku. – Nie z

mojej winy – dodał.

Musiał zapewne już wiele razy wygłaszać to zdanie i opowiadać całą historię wypadku, lecz nie ociągał się z jej powtórzeniem.

–Ten Maddock wpadł na mnie z tyłu tak nagle, że „Vanneau” nie mogła mu się wymknąć – westchnął z zabawną miną, – To brzmi jak przygoda samotnej dziewczyny napastowanej w odludnym miejscu przez brutalnego wielbiciela – zauważył ze zwykłym humorem. – Niemniej jednak tak właśnie było, a rezultat też był podobny: „Van-neau” uległa i dopiero po dłuższym pobycie w doku udało się doprowadzić jej kadłub do poprzedniego stanu.

–A ty? – spytał Marten.

–Ze mną było o tyle gorzej, że wstrząs przy zderzeniu zwałił mnie z nóg; rozplątałem sobie policzek o kant pokrywy luku okuty żelazem i podrapałem się tak, że nawet moja nieboszczka matka z pewnością by mnie nie poznała. Co prawda, jeśli głębiej zastanowić się nad tym ostatnim faktem, to nie powinien on budzić zdumienia, ponieważ umarła już dość dawno; mianowicie gdy miałem rok i osiem miesięcy. Tak, Janie, myślę, że nawet pomijając tę ranę i wszystkie guzy, jakie sobie nabiłem, musiałem dość znacznie zmienić się od tamtych czasów... W każdym razie ta blizna już mi została.

–I to cię tak zniechęciło do Maddocka? – zapytał Marten śmiejąc się głośno.

Carotte przecząco potrząsnął głową.

–Gerwazy jest bydlęciem. Możesz mi wierzyć, że opieram

tę krótką opinię na długim doświadczeniu. Mon Dieu. Ależ on tu

do nas płynie! – wykrzyknął spoglądając na zbliżającą się pirogę.

–Quel malheur! Po prostu – sięść

i płakać, jeśli ktoś w ogóle uprawia ten rodzaj rozpacz.

Nie wyglądał bynajmniej na zrozpaczonego, a jakkolwiek pogodny uśmiech znikł na chwilę z jego oblicza, to przecież powitał angielskiego kapitana ze zwykłą uprzejmością. Dokonawszy następnie prezentacji Martena, zaprosił Mad] docka, aby usiadł, a potem zawołał o kubek dla niego.

Gerwazy Maddock miał lisią twarz i rzadki* jasnorudy zarost. Był jakiś wymięty,

wyglądał nieporządnie, jakby przez cały dzień wylegiwał się w ubraniu na łóżku. Jego ciemne oczy o nabrzmiałych, zaczerwienionych powiekach miały wyraz senny i zarazem okrutny; ożywiały się nagle, gdy wybuchał krótkim, szyderczym śmiechem, do którego pobudzały go wyłącznie własne dowcipy.

–O! Marten! – mruknął dowiedziawszy się, kto jest

gościem. Piotra Carotte. – Słyszałem o was. To wy okradliście

parę lat temu Veracruz? Musieliście się przy tym nieźle obłócić.

Marten nie odrzekł, jakby nie słyszał. Trącił swoim kubkiem o kubek Piotra i wypił.

Maddock zdawał się zresztą nie oczekiwać żadnej odpowiedzi.

–Zrujnowaliście mi tamtejszy rynek – powiedział. –

Musiałem sprzedać cały transport czarnych za pół ceny w Tabasco,

bo zaczęli mi zdychać pod pokładem. Z głodu – wyjaśnił na

użytek Carotte'a.

.Napił się wina z kubka, który mu podano, i zaczął opowiadać o buncie nieszczęsnych Murzynów na swym okręcie. Stłumił go za pomocą batogów i muszkietów, lecz stracił przy tym część „towaru”, który musiał wyrzucić za bur-

te. Był to opis tak krwawy i ohydny, że mógłby nawet ludożercę przyprawić o mdłości.

–Trzeba ich było widzieć, z jaką ochotą wyskakiwali

później na brzeg, żeby wyruszyć do pracy na plantacje! –

roześmiał się. – Rancheros, którzy ich ode mnie kupili, mieli

miękkie serca: dali im po kolbie kukurydzy i obiecali podrugiej,

gdy dojadą na miejsce. No, ale zdaje się, że nie wszyscy dojechali:

ta kukurydza im zaszkodziła po zbyt dłuojm poście. Stąd prosty

wniosek, że nie należy przekarmiać Murzynów, no nie?

Zaśmiał się znowu krótkim, gardłowym śmiechem, lecz gdy nikt mu nie zawtórował,

obrzucił obu kapitanów sennym, podejrzliwym spojrzeniem i zwracając się do Martena zauważył:

–Nie jesteście bardzo rozmowni, Marten, Chyba nie knujecie z tym pocziwcem ograbienia Tampico?

–Nie – odrzekł Marten. – Bo co?

–Oh, nic w takim razie. Muszę wam tylko powiedzieć, że miałem wielką ochotę wtedy, po tej historii w Yeraeruz, odbić sobie na was moje straty.

–Ciekawym w jaki sposób?

–W bardzo prosty: wasza głowa jest podobno warta pięćdziesiąt tysięcy pesos...

–Wasza w tej chwili znacznie mniej – przerwał mu Marten, któremu krew uderzyła do twarzy. – Muszę wam powiedzieć, że mam wielką ochotę wypróżnić wam czerep, jeżeli tam w nim coś macie, albo go zmiażdżyć, jeżeli jest całkiem pusty. O! tak!

Ścisnął w rękę srebrny kubek z taką siłą, że ścianki zostały zgniecione jak papier, a wino trysnęło na stół.

Maddock przybladł lekko. Widać było, że siła Martena zrobiła na nim wielkie wrażenie.-. Przestraszył się.

–Nie znacie się na żartach – powiedział zmienionym

głosem. – Nie wydałbym was przecież Hiszpanom.

~ Jeśli to miał być żart – odrzekł Marten – mój by} wart tyle samo.

–Nie licząc kubka – westchnął Carotte oglądając pocięty pucharek. – Nie wiem, w jaki sposób odbiję sobie wszystkie straty na tobie, Gerwazy. Rufa mojej „Yanneau”, pokiereszowane oblicze, a teraz ten kubek, który ci uratował głowę.

–Sprawa z kubkiem jest do załatwienia – powiedział miękko Maddoek, który odzyskał już pewność siebie. – Zapraszam was obu w Tampico do winiarni Diaza. Będziesz tam mógł wybrać, jaki ci się spodoba, i wypić na mój koszt tyle, ile tylko zdołasz.

–To cię zrujnuje bardziej, niż wyprawa Martena zrujnowała Yeracruz – odrzekł Carotte.

Gdy żagle siedmiu okrętów korsarskich ukazały się na horyzoncie, a następnie zaczęły się zbliżać ku zatoce utworzonej przez ujście połączonych wód Panuco i Tamesi, zarówno w porcie, jak w samym mieście wzięto je za flotę Enriquéza de Soto y Feran, nowego wicekróla, na którego przybycie czyniono właśnie przygotowania? Dopiero gdy

minęły wejście do portu, pomyłka wyszła na jaw: zamiast wielkich, potężnie uzbrojonych karawel ujrzano fregaty o kilkunastu działach i cudzoziemskie lekkie galeony, z których największa nie przekraczała trzystu pięćdziesięciu ton.

Mimo to gubernator Tampico nie zamierzał robić im trudności. Miasto było wprawdzie dostatecznie zaopatrzone w żywność, lecz zapasy towarów europejskich, zwłaszcza w tych wyjątkowych okolicznościach, przedstawiały się nader skromnie i mogły być uzupełnione tylko przez kontrabandę. Zresztą siedem okrętów stanowiło bądź co bądź poważną siłę; lepiej było prowadzić z ich kapitanami nielegalny handel, biorąc przy tym sute łapówki, niż wszczynać bitwę tuż przed przybyciem wicekróla. W dodatku mayoral portu znał dobrze kilku szyprów, a przede wszystkim niejakiego Piotra Carotte, którego okręt płynął na czele flotylli, ów Carotte zaręczał, że korsarze przybywają tu na krótko, wyłącznie w celach pokojowych, a gubernator wiedział, że można zaufać jego słowu.

Co się tyczyło przybycia wicekróla, to spodziewano się go dopiero za tydzień lub nawet później, zwłaszcza że w Zatoce Meksykańskiej panował jeszcze okres burz i gwałtownych wiatrów utrudniających żeglugę. Oczekiwano go z niepokojem, ponieważ krążyły pogłoski, że jest człowiekiem nie-przekupnym i energicznym, a ponadto, że Filip II polecił mu uporządkowanie praw dotyczących Indian i ponowne zniesienie economiendas, które stały się narzędziem ucisku, wywołując bunty i powstania.

Don Enriquéz de Soto miał wylądować w Tampico, po czym okrężną drogą przez St. Luis Potosi, Querataro, Pa-chuca i Puebla udać się do Meksyku. Wszystkie te miasta współzawodniczyły z sobą we wspaniałości przyjęcia nowego władcy. Dygnitarze, corregidores, bogaci Kreole, nawet dostojnicy kościołni nie szczędzili wydatków, aby pozyskać sobie przychylność wicekróla. Przygotowywano bankiety, fe-

styny, zabawy, pochody, walki byków. bale. iluminacje; po. prawiano drogi., na których miały witać b-oricpieza i jego OH szak kwiatami całe plemiona indiańskie, delegacje raneheros, peoiiias i estaneias.

Tampico i pobliskie Pauuco zamierzały wystąpić z przepychem, który zaćmiłby nawet fiesty stołeczne, toteż ładunek siedmiu okrętów korsarskich mógł się tylko

przyczyn™ do uświetnienia tego przyjęcia.

Na kilka dni miejscowa Casa de Contractacion zawiesiła kontrolę nad handlem i transakcje zawierano jawnie, płacąc za przemycane towary jak za importowane z Sewilli albo z Kadyksu. Okręty stały na kotwicach w północnej części wielkiej trójkątnej zatoki, a ich załogi włóczyły się po mieście pijąc, przyglądając się popisom kuglarzy, walkom kogutów i odwiedzając lupanary.

Kapitanowie i ich sternicy nie pozostawali w tyle. jeśli chodzi o hulanki. Zarobiwszy na kontrabandzie więcej, nfa o tym mogli marzyć, oddawali się podobnym uciechom, z tą jedynie różnicą, że pili w droższych winiarniach i gospodach oraz wybierali sobie najpiękniejsze dziewczęta peyne d'oroj płacąc im cenniejszymi podarunkami.

Postój korsarzy przedłużał się wskutek tego, a zaniepokojone władze miejskie, portowe i gubernialne nie śmiały przedsięwziąć energicznych kroków w celu zmuszenia ich; do opuszczenia Tampico. Nawet Carolte oświadczył, że czeka na lepszą pogodę, ponieważ zaś istotnie Zatokę Meksykańską nawiedzały ustawiczne burze, nie można się było temu dziwić. W końcu jednak nadeszła chwila krytyczna.

Owego dnia Gerwazy Maddock, który z ogromnym zyskiem sprzedał dwustu Murzynów przywiezionych z Afryki, zaprosił Martena i Piotra Carotte do słynnej bodegi Diaza. Marlen nie miał wielkiej ochoty na przyjęcie tego zapro-

lżenia, załadunek „Zephyra” był już ukończony i właściwie tylko niezbyt pomyślny stan pogody powstrzymywał 00 przed podniesieniem kotwicy i wyruszeniem w drogę po* ^rotią do Amalia. Gdyby nie obawa, że konie i krowy zamknięte w przegrodach pod pokładem nie zniosą gwałtownego kołysania na wzburzonym morzu, Marlen wypłynąłby natychmiast.

Lecz ponieważ „Vanneau” miała ukończyć przygotowania do podróży dopiero nazajutrz, a większość przyjaciół Piotra także zamierzała odpłynąć w ślad za nią, Jan uległ ich namowom i zgodził się wziąć udział w pożegnalnej hulance.

Pulqueria i bodega Diaza była pełna gości, lecz dla kapitanów korsarskich przygotowano siół w oddzielnym alkierzu, a olla podrida, którą im podano, okazała się tyleż smakowita, ile pobudzająca pragnienie. Gaszono je wszelkimi rodzajami trunków, poczynając od wy stałej pulcpie i rumu, a kończąc, poprzez liczne gatunki win, na ponczu przyrządzonym przez Carotte'a.

Maddock, widząc na co się zanosi, poprzestał na zapłaceniu rachunku za pierwszą część tej ucztę oraz za srebrny kubek, który ofiarował Piotrowi, po czym pił na umór za pieniądze pozostałycb, aż zwałił się pod stół, skąd służba wyniosła go na podwórze. Stało się to jeszcze na długo przed północą, lak iż można było przypuszczać, że o świcie był już mniej więcej trzeźwy.

Te przypuszczenia, a zarazem pewne podejrzenia zrodziły się w umyśle Piotra Carotte nazajutrz, gdy dalsze wypadki przybrały dramatyczny obrót. Tymczasem nikt nie zwracał uwagi na ubytek jednego towarzysza. Świadczone sobie przyjaźń, wznoszono zdrowie, stawiano coraz to nowe kolejki, Carotte wygłaszał toasty, a czas płynął wesoło i beztrąsko.

Dopiero koło czwartej nad ranem nawet najtężsi opoję

kolejno zaczęli odpadać, zasypiając wprost na podłodze a o wschodzie słońca Carotte usłyszał, że i Marten wycia* gniętv w wygodnym fotelu chrapie jak hipopotam.

Poczuł się osamotniony, a ponieważ podczas ostatniej półgodziny Jan był jedynym biesiadnikiem, którego jeszcze dostrzegał nad powierzchnią stołu, wyciągnął stąd wniosek, że nadszedł czas, aby opuścić gościnne progi winiarni seniora Diaza. Jednak z uwagi na swe talenty i zamiłowania towarzyskie nie uczynił tego natychmiast: poprawił się w siedzę-! niu, aby mieć większą pewność zachowania równowagi, na¹ lał sobie pełny puchar ponczu, wstał ostrożnie, wygłosił! zgrabne, pełne humoru przemówienie i z wielkim zapalem! spełnił toast za własne zdrowie.

Ponieważ mimo to nikt się nie obudził, nalał sobie jeszcze „kapkę”, by zapobiec ewentualnym nieporozumieniom! z nieco już ociężałym żołądkiem, wypił, otarł usta i lekko holendrując pozełował na alamedę, szczęśliwie ominąwszy skały porzucanych krzesel, rafy progów i wszelkie inne przeszkody. Wśród niewielkiego ruchu porannego nawigował zupełnie prawidłowo, bo skręciwszy z promenady na Calea Mon-tezuma i przemierzywszy parę ulic zbiegających w dół, znaj² lał się w dzielnicy portowej. Świeży, dość silny powiew od morza orzeźwił go, a niewielkie, lecz szybko powiększające się zbiegowisko na wybrzeżu pobudziło jego ciekawość. Przyłączył się do gapiów wypatrujących czegoś na morzu wśród oślepiających promieni słońca i gdy przysłonił oczy, wydało mu się, że dostrzega żagle, całe stado żagli na dalekim horyzoncie.

Czuł lekki, przyjemny szum w głowie i dlatego nie był. całkiem pewien wrażeń wzrokowych. Ale okrzyki i uwagi rosnącego tłumu nie pozostawiały żadnych wątpliwości; nie mylił się: ze wschodu nadciągała flotylla wicekróla.

Ten fakt skłonił go do natychmiastowego działania. Prze-

ję wszystkim pośpieszył na pokład „Yanneau”, aby wydać stosowne rozkazy swojej załodze, a także uprzedzić bosmana-ów lub sterników innych okrętów o konieczności ściągnięcia wszystkich ludzi z miasta; następnie wyruszył z powrotem do bodegi Diaza, aby zbudzić kapitanów i zastanowić się wraz z nimi nad sytuacją. Ow ostatni zamiar okazał się tak dalece trudny do urzeczywistnienia, że Carotte uciekł się do

pomocy służby. Spitych szyprów wyniesiono pod studnię, ułożono rzędem i tak długo polewano wodą, aż nieco wytrzeźwieli. Było ich jednak tylko sześciu wraz z Piotrem, Gerwazego Maddocka nie udało się nigdzie znaleźć;

Don Enriquez de Soto y Feran nie posiadał się z gniewu. Źle znosił podróż morską, burzliwe wody Zatoki Meksykańskiej szczególnie dały mu się we znaki, a oto teraz, gdy ujrzał już upragniony port, doniesiono mu, że stoi tam siedem okrętów korsarskich. W dodatku wiadomość tę otrzymał bynajmniej nie drogą oficjalną od władz hiszpańskich, lecz za pośrednictwem szalupy żaglowej z angielskiego okrętu „Knight”, która o wschodzie słońca wymknęła się na morze boczną odnogą Tamesi. Dwaj przybyli na niej urzędnicy portowi oświadczyli, że wśród korsarzy znajduje się sławny Marten, za którego wydanie wyznaczono nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy pesos, i że nagroda ta powinna im przapaść w udziale.

Pierwszą myślą wicekróla było skierowanie ognia dział na tych nędznych rabusiów, lecz obejrzawszy plan portu zrozumiał, że tą drogą nic nie wskóra: wejście do zatoki było niewygodne i płytkie, a wyznaczony wiechami szlak żeglowny tak wąski, że mało zwrotne, ciężkie karawele tylko pojedynczo mogły go przebyć. Korsarze natomiast, osłonięci od strony morza domami mieszkalnymi i budynkami magazynów

portowych, mogli zapalić lub zatopić salwą pocisków każclki okręt ukazujący się w zasięgu ich artylerii. Chcąc nie cheąc don Enriquez musiał z nimi pertraktować, zwłaszcza że znów zbierało się na burzę.

Pertraktacje toczyły się na maleńkiej wysepce położonej na wprost półnwenego krańca laguny Tamiahua, o niespełna dwie mile od wejścia do portu. Ze strony korsarzy prowadził je Piotr Carolte, Tampico reprezentował wystraszony mayoral portu, a don Enriquez przysłał admirała swej floty.

Po krótkiej dyskusji doszło do zgody. Admirał w imieniu wicekróla obiecał nie atakować korsarzy, jeśli przepuszczą go do portu i pozwolą mu spokojnie wylądować, a sami staną na kotwicach opodal i odpłyną przed wieczorem.

W godzinę po zawarciu umowy pierwsza karawela we-' szła do zatoki, a nim słońce zniżyło się ku zachodowi, jej szcze dziewięć innych stanęło wzdłuż brzegu, na miejscu, gdzie poprzednio stały okręty korsarskie. Lecz trzy największe hiszpańskie żaglowce pozostały nadal na zewnętrznej redzie, a gdy tylko orszak wicekróla oddalił się w kierunku alamedy, zagrzmiały działa jego floty.

Było to tak nieoczekiwane i nagłe, że większość korsarzw nie zdążyła nawel podnieść kotwic, gdy już ich maszty zostały strzaskane, a kasztele objął pożar. Jedna z francuskich fregat wciągnęła żagle i guana wiatrem wpadła na niski południowy brzeg. Jej kapitan mimo to rozpoczął ogień ze wszystkich dział, jakich mógł użyć, i zdołał zapalić flagowej okręt Hiszpanów, co na chwilę zmieszało napastników.

Lecz dwie inne fregaty korsarskie tonęły już, podziurawiona, w wielu miejscach ciężkimi pociskami, a gdy odezwały się hufnice i moździerze portowe, zagłada pozostałych stała się*, oczywista i nieunikniona.

Następny z kolei uległ temu losowi „Knight”. Aladdock.; który zaufał swym hiszpańskim wspólnikom i przyrzeczeniu de Soto. jakie za ich pośrednictwem otrzymał w zamian

„wydanie Martena, czuł się zupełnie bezpieczny. Jego fregata stała na kotwicy u południowego brzegu zatoki, a na grotmaszcie łopotała wciągnięta flaga angielska, aby ją można było o tym łatwiej rozróżnić. Ale kapitanowie karawel wbrew wszelkim zapewnieniom i przyrzeczeniom wicekróla nie przymali instrukcji, aby ją oszczędzić. Ich krzyżowy ogień przeszedł po pokładzie „Knighta” jak tornado, zmiatając wszystkie maszty i niemal rozłupując kadłub na dwoje. Hiszpanie strzelali do łodzi ratunkowych jak do kaczek domowych rozproszonych po sadzawce, tak że zaledwie kilka z nich dotarło do brzegu, a dwie zdołały się przemknąć na płytkie zalewy Tamesi.

W ślad za nimi ruszyła nietknięta jeszcze „Vanneau”, a Carotte mijając „Zephyra”, który na gwałt stawiał wszystkie żagle, zawołał na Martena, aby płynął również w tym kierunku.

Marten powziął zrazu szalony zamiar wyjścia na zewnętrzną redę pod ogniem dział nadbrzeżnych i przebicia się przez blokadę od strony morza. Lecz miał na tej drodze wszystko przeciw sobie, nawet wiatr, który z coraz większą siłą dął ze wschodu, pędząc spienione wysokie fale poprzez zatokę, Lawirowanie pod ten wiatr w ciasnym przesmyku pomiędzy płyciznami już samo przez się stanowiło nawet dla „Zephyra” ogromne ryzyko. Cóż dopiero, gdy z brzegów padały pociski, a u wyjścia oczekiwało co najmniej po trzydzieści armat z każdej burty hiszpańskich okrętów.

Zważywszy te okoliczności, Jan zdecydował się pójść za radą Carotte'a, choć nie miał pojęcia, którędy następnie „Zep-hyr” i „Vanneau” mogłyby wydostać się na pełne morze. Bądź co bądź chwilowo – podobnie jak i Carotte – znalazł się poza donośnością dział Hiszpanów, którzy nie odważyli się na pościg wzdłuż zachodniego brzegu zatoki, gdzie ich karawele o zbyt głębokim zanurzeniu mogły z łatwością natknąć się na mieliznę.

Ale żegluga po tych płytkich wodach także i dla „Zephyra” przedstawiała pewne niebezpieczeństwo.; Od; wschodu pędziły chmury, wicher świstał w olinowania i okręt, z boku szturmowany przez fale, kołysał się tak gwałtownie, że ludzie zaledwie mogli utrzymać się na nogach

Marten wiedział, na co „Zephyr” może się zdobyć w takich trudnych warunkach* jeśli nie zawiedzie jego załoga; Lecz teraz miał na pokładzie przeważnie Indian i

Murzynów, nie swoich niezawodnych marynarzy;. Małe opóźnienie w wyko-nanSu manewru, drobna niedokładność przy zmianie usta-wlenia rej mogły rzucić okręt na ląd, nie mówiąc już o mle-liznach, które mógł spotkać po drodze, szybując z prędko* ścią dziesięciu mil na godzinę;

Na domiar złego Marten nie znał dokładnie ukształto* wanla brzegów zatoki, a jedyną wskazówkę w tym względzie stanowiła *,Vanneau" wyprzedzająca go o pół mili; Musiał nieustannie śledzić jej manewry 1 zaufać całkowicie Piotrowi Carotte, nie mając pojęcia, jakie są jego zamiary w ogóle I co uczyni w następnej sekundzie?

Tymczasem zaczęło się ściemniać; chmury pokryły całe niebo* przedwcześnie gasząc zachodzące słońce; Na ich szarym tle przelatywały z zawrotną szybkością niskie strzępy burzy* czarne 1 złe, warczące grzmotami i miotające krótkie błyski piorunów? Od północnego wschodu toczył się ciężki, masywny wał sinych obłoków napęczniałych ulewą, która tworzyła nieprzeniknioną ścianę między spienioną powierzchnią zatoki a posępnym niebem; Oba okręty zmierzały teraz wprost ku prawemu skrzydłu owej ściany idąc ostrzej do wiatru, dzięki czemu boczne kołysanie trochę się zmniejszyło na korzyść wzrastających przechyłów trymowych *s Wysoka fala wpadała skośnie na dzioby, chlustała powyżej przednich

kaszteli, a bryzgi i płaty piany, porywane pędem wichury, smagały dolne żagle i spadały na deski pokładów z trzaskiem przypominającym odgłos gradu.'

Wtem,Marten, który stał obok sterującego Pociechy, dostrzegł wśród odmętu niskich chmur, białawych grzywaczy i deszczu siekącego wodę skośnymi biczami ciemnoczerwony błysk, niepodobny do błysku piorunów, a w sekundę później ujrzał z przerażeniem, że przedni maszt,„Vanneau"* wali się na pokład. Dopiero wtedy usłyszał przeciągły huk salwy armatniej, która to sprawiłaś

j,Vanneau"* gwałtownie wykręciła z wiatrem f – jak gdyby utknęła dziobem w jakiejś niewidzialnej przeszkodzie.-. zaczęła się obracać w miejscu, wznosząc joraz wyżej rufę;

~ Tonie! – ? zawołał Pociecha? – Tam! Karawela.:?

Wicher rwał słowa, mieszając je z okrzykami załogi; W miejscu, z którego błysnęła salwa, zamajaczyła przez chwilę sylwetka hiszpańskiego okrętu, jak złowieszcza zjawa, i rozplynęła się wśród chmur,-

Carotle aż do ostatniej chwili doskonale wiedział, gdzie się znajduje i którądy płynie; Zdawał też sobie sprawę z położenia wszystkich okrętów nieprzyjacielskich, przynajmniej w tym stanie rzeczy, jaki istniał przed rozpętnaniem się burzy j Chciał je wyminąć pod osłoną ulewy, przypuszczając słusznie, że w tych warunkach nie ruszą się z miejsca? Nie mógł jednak przewidzieć, że kotwice jednej z karawel, stojącej

najbliższej głównego ujścia Panuco, zaczęły pełznąć pod naporem wiatru i fali, orząc miękkie, muliste dno? W ciągu niespełna pół godziny kapitan owej karaweli kilkakrotnie próbował znaleźć lepszy grunt kotwiczny i wreszcie istotnie go znalazł, lecz jego okręt zdryfował tymczasem prawie o dwie mile dalej na zachód^

Ujrzawszy na swej drodze karawelę wylaniającą się* z chmur w odległości skutecznego ognia, Carotte nie mógł już się cofnąć. Nie mógł też zmienić kursu ze względu na bliskość mielizn, o których istnieniu uprzedzały go charakterystyczne i nie załamujące się fale. Kazał wycelować działa, lecz zanim wypaliły, „Vanneau” została po prostu zmiażdżona salwą;! Hiszpanów i natychmiast zaczęła tonąć, pogrążając się bardzo szybko. Dwie trzecie jej załogi padło od pocisków, a wielu ludzi odniosło ciężkie rany. Carotte też był ranny w kark i w głowę, lecz na razie nie stracił przytomności. Zdołał jeszcze spuścić dwie szalupy, z których pierwszą wyrzuciły fale; Do drugiej dostał się wpław ostatni i następnie uratował jeszcze paru swych marynarzy, lecz był już tak osłabiony wpływem krwi i walką o własne życie, że myśli mąciły mu się jak w gorączce, oczy zachodziły mgłą, a świadomość przenikało jedynie dojmujące uczucie żalu i bóleści po stracie „Van-neau”. Zapewne dlatego nie wydał wioślarzom żadnego rozkazu i łódź miotana falami znalazła się na drodze „Zephyra”, który leciał wprost na nią z rozpostartymi żaglami jak duch zagłady i zniszczenia.

Carotte ujrzał go w chwili, gdy szalupa odrzucona grzbietem wielkiego grzywacza zapadała w głęboką, białą od piany bruzdę. Ujrzał go za późno, aby mu się usunąć, a straciwszy równowagę upadł na wznak i już nie usiłował się podnieść.

Był pewien, że to koniec; przy następnym skoku łodzi zobaczył długi, lśniący bukszpryt i wspaniałe tors skrzydlatego młodzieńca, a za nim ciemną masę okrętu wzbijającą się prosto w chmury. Zamknął powieki w oczekiwaniu że wszystko to zwali się na niego, lecz zamiast łoskotu dru-zgotanej szalupy usłyszał wśród wycia, wiatru i ryku morza daleki, a mimo to wyraźny i donośny okrzyk Martena: – Ster prawo na burt! Otworzył oczy i dźwignął się z trudem. Głęboko pochy-

jona lewa burta, skośnie sterczące maszty i piramida żagli wibrujących z napięcia przemknęły nad nim tak blisko, że nieomal można było dotknąć ich wyciągniętym wiosłem. Pod osłoną „Zephyra” wiatr urwał się jak odcięty nożem, a po kilku sekundach ze zdwojoną wściekłością wypadł z rufy, przy czym szalupa została odrzucona w bok o dobre dwadzieścia jardów. Być może, iż właśnie dzięki temu jej załoga otrząsnęła się wreszcie z apatii, a Carotte podtrzymywany swą niezwykłą żywotnością przedostał się do steru i objąwszy komendę kazał wiosłować tak, aby w położeniu dziobem do fali utrzymać się w miejscu lub przynajmniej osłabić dryf;

Tymczasem „Zephyr” przeleciał prawie pół mili, nim Marten zdołał wykonać zwrot po skróceniu żagli i prze-brasowaniu rej. Wracał teraz wśród zapadających ciemności, płynąc wolno w pół wiatru, smagany ulewą, która zagarnęła go ponownie

wraz z łodzią Carotte'a i zacieśniła pole widzenia do kilkudziesięciu jardów;

Ze dwudziestu Indian i Murzynów zgromadzonych na przednim kasztelu na próżno wypatrywało szalupy i Jan zaczął już tracić nadzieję, że uda mu się ją odszukać. Obawiał się, że mogła zatonać, gdy „Zephyr” minął ją w pędzie wznosząc za sobą potężne fale. Wreszcie jednak dostrzeżono ją w bruździe między dwoma spienionymi grzbietami wodnymi. Kilka zręcznie rzuconych lin spadło z góry wprost w ręce rozbitków i po chwili Garotte ścisnął dłoń Martena, który pomógł mu wejść na pokład.:

Nieliczni mieszkańcy północno-zachodniego wybrzeża zatoki, biedni rybacy, którzy pomimo ciemności nocnych czuwali przy swych pirogach i sieciach w obawie przed falami wdzierającymi się aż pod ściany chat, opowiadali później, że w pobliżu ich wioski odbyła się jakaś piekielna rozprawa o dusze hugonotów i heretyków; Całe stada upiorów i dia-

blów zleciały się zewsząd* a o straszliwych zapasach SwladJ czyły nieludzkie jęki* wrzaski i wycia potępieńców, których, ciała moce szatańskie zamieniły w końskie i krowie ścierwo.-Gdy wieść o tym niesamowitym zdarzeniu dotarła do przewodniczącego kolegium inkwizycji, Alonso Munioza, specjalna komisja udała się na odludne wybrzeże i – ku zgrozaj obywateli Tamplco – stwierdziła, że istotnie fale wyrzuciły kilkadziesiąt krów i koni * poderżniętymi gardłami;

Wielebny Munioz kazał pozbierać te podejrzone trupy,; a także -; na wszelki wypadek – aresztować rybaków; Tych] ostatnich poddano surowemu śledztwu i torturom, a gdy na4 zajutrz schwytano w pobliżu wioski jeszcze kilkunastu roz-1 bitków z okrętów francuskich i angielskich, wszystkich razem! spalono na stosie wraz ze zwłokami zwierzęcymi; W tenl prosty i radykalny sposób święta inkwizycja poradziła sobie z szatańską i heretyką zarazą*

Lecz jej zwycięstwo nad mocami piekielnymi nie było całkowite: władze portowe utrzymywały, że jeden z okrę-ij tów korsarskich nie został zatopiony i z całą pewnością; nie wyszedł z zatoki na pełne morze, a mimo to zniknął bez śladu?

Pogłoskę tę potwierdziła admiralicja: jedyne wyjścieJ było zablokowane przez trzy karawele, które wprawdzie z nadejściem burzy schroniły się na wewnętrzną redę, lecz nie opuszczały ani przez chwilę żeglownego szlaku, zatem żaden korsarz nie mógł się tędy wymknąć* Ze zgodnych zeznań świadków – dowódców karawel i ich ludzi – wynika*! to jasno, że zatopiono ogniem dział tylko cztery fregaty i jed- ną brygantynę oraz że jedna fregata rozbiła się na brzegu?? A przecież wszyscy widzieli na własne oczy, że flotylla kor-, sarzy składała się z siedmiu okrętów*

Poszukiwania wszczęte przez flotę wicekróla i łodzie ry«vj backie nie dały żadnego wyniku: odnaleziono z łatwością pięć wraków, których maszty sterczały nad

powierzchnią wody.

S z k u n e r – staleŁ o masztach bez rej i żaglach gaflowyeh lub trójkątnych.

ym udało się uniknąć ognia hiszpańskich armat i hakownic. pięciu kapitanów, dwunastu poruczników i głównych bosmanów, około sześciuset marynarzy bądź utonęło, bądź zginęło od ran, bądź spłonęło na quemadero. Była to zaiste la noche triste dla korsarzy...;

Marten niezbyt długo przejmował się ich losem, zwłaszcza że nie wiedział o okrutnej śmierci tych, których schwytali Hiszpanie. Współczuł bardziej żywym niż umarłym, a szczególnie Piotrowi Carotte, który stracił swój ładny okręt. Wyobrażał sobie, a raczej nie mógł sobie wyobrazić własnej rozpacz, gdyby stracił „Zephyra”. Dlatego nie usiłował nawet pocieszać przyjaciela, rozumiejąc, że żadne słowa tu nie pomogą;

Carotte zniósł tę stratę po męsku, ze spokojem, który wzbudził podziw Martena. Nie rozpaczał i nawet nie wspominał głośno i „Vanneau”; Co więcej, nie zamknął się w sobie i od pierwszej chwili, nieledwie natychmiast po opatrzeniu ran, jakie odniósł, zajął się sprawami żeglugi na „Zephyrze”, pełniąc obowiązki sternika na równi z Tomaszem Pocięchą, którego sobie od razu ujął. W jego sercu pozostała jednak blizna, z pewnością głębsza niż ta, którą miał na twarzy;

Martena nurtował gniew i żądza zemsty na Hiszpanach; Najchętniej wywarłby ją na samym wicekrólu za zdradzieckie złamanie słowa-. Lecz hrabia Enricjuez de Soto y Feran odbywał zapewne swą powolną, pełną monarszego przepychu podróż do stolicy Meksyku, on zaś, straciwszy większość dział i cały ładunek, musiał myśleć o powrocie do Przystani Zbiegów;

Ta ostatnia myśl paliła go jak płomień. Jakże miał się tam pokazać bez obiecanych zapasów, bez owych koni i krów, które musiał wymordować, bez łupów, na do połowy rozbrojonym okręcie? Pragnął wystąpić świetnie i wspaniale, w ca-

łym blasku swej korsarskiej sławy, a oto wracał jak zbiegi zaledwie uniknąwszy zagłady^

Cóż odpowie Inice na pytanie, co jej przywiózł? Jak znieś pełne zawodu spojrzenie Quiche, z którym przed samym wyruszeniem na tę nieszczęsną wyprawę omawiał sposoby upowszechnienia hodowli bydła? W jaki sposób wytłumaczy nadzorcom składów w Náhua, że „Zephyr” wraca bez zapasów soli i że w ogóle nie ma żadnego ładunku? Jaką minę zrobi ten osioł Hoogstone, zauważywszy brak dział na«jego pokładzie?

Było to zbyt upokarzające! Po prostu nie do zniesienia!-

Carotte nie pytał go, dokąd płyną, 1 to jeszcze bardziej • utrudniało Martenowi

szczerą z nim rozmowę, której podświadomie pragnął; Lecz drugiego dnia żeglugi na wschód, gdy nadszedł czas powzięcia decyzji co do zmiany kursu, Francuz pierwszy zagadnął go w tej sprawie;

~z Nie wiem, co zamierzasz – powiedział podczas śniądania – ale wydaje mi się, że zanim przedsięwzięiesz cokolwiek, trzeba by pomyśleć o uzupełnieniu artylerii Ł, Zephyra'YZ tym, co tu zostało, można w najlepszym razie pokusić się o zdobycie paru kłóców fernambuku* lecz trudno byłoby obronić nawet taki ładunek przed pierwszym lepszym rabusiami

=3 Fernambuk? – powtórzył Marten pogardliwie. ~ Doj diabła z fernambukiem! Gdybym miał swoje półkartauny 1 falkonety, w ciągu miesiąca odbiłbym wszystkie straty.– Dałbym się tak we znaki Hiszpanom, że podnieśliby cenę na moją głowę w dwójnasób;

|~ Osobiście nie marzę o czymś podobnym -• rzekł Ca-'J rottej 'T~. Co się tyczy mojej głowy* jest mi zupełnie obojętne, na ile ją ocenią; Natomiast co do armat.;;

rr. Co do armat – podjął gniewnie Marten – to leżają na dnie Panuco i Tamesi, Nie wydostanę ich stamtąd!

–Rzeczywiście – zgodził się Carotte.– – Znacznie łatwiej byłoby zaopatrzyć się w nie na przykład w Campeche. r^oani pewnego człowieka, który nimi handluje? Marten nadstawił uszu? ^- Gdzie? – spytał krótko.-i- Na północny wschód od raf alakrańskich. Mam z nim pewne rozrachunki handlowe, a saldo na moją korzyść jest dość okrągłe; Więc gdybyś zechciał...:

i, – Hombre! – wykrzyknął Marten; – Przyjmę cię do [spółki, jeśli mi to załatwisz!

–Tylko proporcjonalnie do moich wkładów – zastrzegł się Piotra – Nie przyjąłbym od ciebie ani grosza, bo przecież uratowałeś mi życie, ale wskutek tego faktu muszę jakoś zarabiać* aby je przedłużyć. Muszę ci także wyznać, że nie mam ochoty wracać do Europy jako rozbitek?

–Ja w ogóle nie mam ochoty wracać – odrzekł Marten; – Chyba na krótko; tylko po to, aby w odpowiednim czasie uzyskać protektorat Anglii nad pewnym królestwem.- Gdybyś mi teraz pomógł.;; We dwóch dokonalibyśmy wielkich rzeczy!

Zaczął mówić z zapalem o swoich planach dotyczących Amana* o szczegółach* z których dotąd nie zwierzał się nikomu, nawet Inice i jej ojcu

Carotte słuchał go w milczeniu, z coraz większym zdumieniem i zainteresowaniem? Nie przerywał, nie uśmiechał się Ironicznie nie wzruszał ramionami, nie uczynił najmniejszego gestu powątpiewania w możliwość realizacji tych fantastycznych rojeni

Jeśli kto zdoła tego dokonać, to właśnie on – pomyślał o Martenie?

–To jest nadzwyczajne – powiedział głośno; – Tak

nadzwyczajne i śmiało, że prawie niemożliwe? Ale Cortez

i Velasquez również dokonywali rzeczy na pozór niemożli

wych, przy czym obrali metodę gwałtu. Jeżeli ci się uda.;?

–Uda się! – zawołał Marten. – To kwestia kilku J_{at}. Za kilka lat Amaha będzie nie do zdobycia. Popłynę wtedy do Anglii. Przekonam królową. A potem, potem zdobędę olbrzymie terytoria na północ od Rio Grandę. Wyrzucę Hiszpanów z Matamoros. Zbuduję flotę, o jakiej nie śniło się Filipowi. Zorganizuję korsarzy. Uczynię z Zatoki Meksyki kańskiej i Morza Karaibskiego jeziora zamknięte dla hiszpańskiej żeglugi. Zawładnę Meksykiem i Antylami. Stworzę mocarstwo indiańskie, jakiego nie widział świat!

Oszalał – pomyślał Carotte. – Ale ma dwadzieścia pięć lat i – być może – dwa razy tyle przed sobą; dość czasu na rozczarowania i zwątpienia...

W dwie doby później „Zephyr” rzucił kotwicę u brzegów jednej z licznych wysepek rozsianych na płytkich wodach ławicy Campeche, a po upływie dalszych czterech dni wyruszył na morze uzbrojony w nowe działa.-Lecz teraz szczęście zdawało się opuszczać Martena. Jedyłą zdobyczą, jaką udało mu się pochwycić, był niewielki bryg * z marnym ładunkiem.

Wziął go u zachodnich wybrzeży Kuby po krótkim po-J ścigu wzniciwszy pożar na jego pokładzie. Potem przez; dwa tygodnie na próżno lawirował między Florydą a Wyspami Bahamskimi i Kubą, czatując na statki hiszpańskie, a wreszcie, opłynąwszy od wschodu Haiti, dostał się na Morze Karaibskie.-Tam zapuścił się w labirynt Wysp pod Wiatrem i wreszcie napotkał duży konwój statków płynących w kierunku Panamy;

Wyglądały bardzo obiecująco, lecz były strzeżone przez kilka dużych okrętów, krążył więc dokoła nich przez trzy

Jjii i trzy noce upatrując jakiegoś marudera, a w końcu zdecydował się na ryzykowny atak przed świtem.

Nie chcąc, by huk wystrzałów zwabił potężne karawele, | z których każda miała trzy razy więcej armat niż „Ze-phyr”, Podkrał się blisko pod osłoną wyspy Ave de Bario vente i zręcznym manewrem starł się burtą w burtę z dużym, niezgrabnym statkiem, który pozostał w tyle za innymi- Na jego wanty zarzucono z pokładu „Zephyra” bosaki i liny z hakami, po czym Marten i Tomasz Pociecha na czele białych, Indian i

Murzynów wdarli się na burty, aby go wziąć abordażem.

Hiszpańska załoga, zaskoczona nagłą napaścią, broniła się słabo, lecz kilku marynarzy udało się dopaść want i wspiąć się na marsy, skąd zaczęły padać strzały. Marten wiedział, że nie ma czasu do stracenia, i zawołał do Piotra, aby ich stamtąd przepłoszył paru salwami z hakownic, gdy któryś z nierozważnych bosmanów wpadł na pomysł podpalenia żagli.

Suche, sztywne płótna zajęły się natychmiast i płomienie strzeliły w górę, prosto pod niebo. Wprawdzie żar spędził strzelców, ale ogień natychmiast zwrócił uwagę eskorty, a w dodatku zagroził żaglom i masztom „Zephyra”?

Na szczęście Carotte zorientował się w porę, kazał zwinąć żagle i wysłał na reje ludzi z pełnymi wiadrami, aby zapobiec przeniesieniu pożaru na własny pokład, niemniej jednak trzy najbliższe karawele zawróciły z wiatrem i ukazała się o parę mil od szcepionych okrętów.

Hiszpanie zapewne uważali zaatakowany statek za bezpowrotnie stracony, bo nie wahali się przed rozpoczęciem ognia. Pierwsze pociski nie doniosły, ale Marten zrozumiał, że nie zdąży ich uniknąć, jeżeli zaraz się nie cofnie.

Wydał rozkaz odwrotu, lecz gdy przyszło do odczepienia „Zephyra” od burty prawie już zdobytego przyżu, okazało się, że jego reje pospadały wskutek przepalenia się tope-;

nantów i uwikłały się w iakielunku obu statków. Wywołało to dodatkową zwłokę a gdy WFGSZC1G i)

Zephyr” został oswobodzony i znów zaczął oskrzydlać się płótnem, jeden z hiszpańskich pocisków trafił w grotmaszt i strzaskał go pomiędzy bramreją a górną marsreją, zrywając lub nadwerężając przy tym wszystkie vanty, sztagi! paduny;

Marten nie stracił zimnej krwi, Korzystając z nieostrożności Hiszpanów, którzy byli pewni, że go pochwycają, i zbliżali się teraz szybko, posłał im celną salwę z całej lewej burty wprost w żagle^

Najbliższa karawela została z nich prawie całkowicie ogołocona 1 wykręciła tak gwałtownie, że następna musiała zakręcić również aby uniknąć zderzenia; Trzecia okrążała Je łukiem nie bacząc na to, że wystawia się na ogień z drugiej burty manewrującego już „Zephyra”g

I ten błąd został natychmiast wykorzystany: siedem pocisków wpadło na jej pokład, wywołując zamieszanie, które pozwoliło Martenowi przebrasować reje i oddalić się znacznie. Zephyr okaleczony przez utratę górnej części grot-masztu, który na razie był w ogóle nie do użycia, żeglował jednak dość sprawnie, aby wyjść z zasięgu**

ognia hiszpańskich hufnic i moździerzy. Lecz jego zwykła prędkość zmniejszyła się prawie o jedną trzecią i zapewne nie była teraz większa od prędkości przeciętnej karaweli, a Hiszpanie widocznie zamierzali go ścigać. ⁰ Ow zaciekły pościg rozpoczęty» świcie pośrodku Małych Antyli Podwietrznych trwał przez całą dobę i zakończył się tylko wskutek burzy, która rozproszyła karawele i skłoniła hiszpańskich kapitanów do schronienia się za osłoną wysp Los Hermanos i Blanguia, „Zephyr” natomiast, sko-

I łatany, szturmowany przez wichry 1 fale dotarł aż do Te-f ętigos i dopiero tam zakotwiczył na noc, aby choć tymczasowo opatrzyć doznane uszkodzenia.

Zaledwie jednak załoga pod kierunkiem Pocięchy i Worsta zdołała umocować nowe liny usztywniające kikut grot-masztu o tyle że można było zawiesić na nim trzy reje, od południa ukazała się inna flotylla hiszpańska, złożona z czterech okrętów, przed którą Marten znów musiał uciekać?

Los wziął się na niego; Nie tylko nie odbił strat poniesionych w Tampico, lecz poniósł dalsze i nie mógł już teraz liczyć na wygraną,“ póki „Zephyr” żeglował z okaleczonym masztem* pozbawiony swobody manewrów, tropiony i ścigany z dala od swej bezpiecznej kryjówki?

Morze Karaibskie roilo się od hiszpańskich okrętów wojennych? Mogło się zdawać, że skoncentrowała się tu cała potęga morska Filipa II, I to wyłącznie w tym celu, aby zniszczyć „Zephyra”s Marten zrywał się, kłął, lecz miał dość rozwagi, by ustępować przed pewną klęską? Kluczył, wymykał się, lawirował wśród wysp i raf, zdecydowany już na odwrót aż do Amaha, gdzie mógłby przygotować skuteczny odwet? Lecz od Przystani Zbiegów dzieliło go prawie dwa tysiące pięćset mil morskich, to znaczy w najlepszym wypadku ponad dwa tygodnie żeglugi

W rzeczywistości przebył drogę znacznie dłuższą zużywając na nią więcej niż miesiąc, Ujrzał dwie wysepki wyznaczające wejście na lagunę w sto czterdzieści cztery dni od chwili, gdy stracił je z oczu wyruszając na tę nieszczęsną wyprawę, która według jego przewidywań miała trwać zaledwie kilka tygodni?

Ujrzał je na spokojnym morzu, w pełni dziennego światła, wkrótce po wschodzie słońca, które zdawało się uśmie-

chać pogodnie i beztrosko. Wielka cisza leżała nad ciemnym brzegiem, a resztki porannej mgły pędzone lekką bryzą roz-| pływały się w łagodnym, ciepłym powietrzu.

Ten senny, głęboki spokój podziałał kojąco na Martena Wróżył wypoczynek dla niego i dla okrętu, po śmiertelnych zmaganiach z ludźmi, z burzami i z wichrem, z zawistnym, podstępным losem, który niemal przez pięć miesięcy ścigał „Zephyra” i jego załogę grożąc im zagładą. Tu nie mógł ich; dosięgnąć. Linia prosta wyznaczona

przez pióropusz drzew na ściętym szczycie stożka i przez siodło pomiędzy dwoma garbami czarnych wysepek stanowiła granicę oddzielającą zamęt reszty świata od błęgiego spokoju Przystani Zbiegów.-Żaden nieprzyjaciel, żadna wroga siła nie mogła wtargnąć do krainy leżącej wśród puszczy za płytką, pełną mielizn laguną. Wnętrze łądu otwarte było tylko dla tych, co znali tajne przesmyki kapryśnych wód Amalia.

Marten sam sterował wprowadzając „Zephyra” do zatoki. Trochę go zdziwiło, że ani jedna piroga nie wypłynęła na spotkanie okrętu.- Nie ujrzał też żadnej łodzi rybackiej, a spoza ciemnych mangrowii porastających brzegi nie doszedł go żaden dźwięk, żaden odgłos życia. W ciszy zawieszony pod niebem z nieruchomymi obłokami rozległy się głośnie komendy, bosa stopy zatupały po deskach pokładu, zazgrzytały bloki, z szelestem opadły trójkątne żagle, reje obróciły się i stanęły równolegle do osi kadłuba.

Okręt sunął przez lśniąca wodę w milczeniu, tracąc z wolna pęd, aż z kluzy na dziobie wypadła kotwica i gwałtowny łoskot łańcucha runął w przestrzeń rozwalając ciszę, która ugięła się, pękła i znów zwarła się nad laguną.

Lecz i ten głośny hałas oznajmiający powrót, „Zephyra!” nie wywołał żadnego echa na wybrzeżu. Ciemny gąszcz lasu nie drgnął, nie odezwał się żaden okrzyk, nie zadudniły tajemniczym sygnałem indiańskie bębny, gładkiej powierzchni wody nie przecięła zmarszczka płynącego czółna. Łąd – ta-

•mniczy* głuchy i ślepy – nie przemówił, nie ocknął się, aliby le8**a na nmi Piecz§6 milczenia.

Dziwne – pomyślał Marten czując ogarniający go niepokój.:

Kazał spuścić małą szalupę i stojąc w rufie skierował ją ku pomostowi ukrytemu, we wnęce między olbrzymimi korzeniami mangrowii;

Łódź przybiła burtą do przystani, on zaś wyskoczył na poczerńnięte kłody i szedł prędko pod zielonym sklepieniem gałęzi, liści i lian, aż u drugiego końca nagle stanął jak wryty. O dziesięć kroków przed nim, w poprzek ścieżki prowadzącej do fortu zbudowanego przez Broera Worsta, leżały rozkładające się zwłoki jakiegoś Murzyna. Straszliwy zaduch unosił się dokoła, a roje wielkich, błękitnych much bzykały nad trupem.:

Martenowi zimny pot wystąpił na czołoi '

Co tu się stało? – «

Wstrzymując oddech ruszył przed siebie, przekroczył zwłoki i zaczął biec, gnany najgorszymi przeczuciami. Wkrótce musiał zwolnić: głębokie leje od pocisków armatnich i zwalone drzewa zagroziły mu drogę. Ominął je przedzierając się przez gęstwinę i po zrytym zboczu szanica wdrapał się na górę;

Szczątki wysokiej palisady sterczały dokoła zrujnowanych umocnień, rozbite działa leżały na pół zagrzebane w ziemi którą objęła już w posiadanie bujna roślinność, Trupy murzyńskich puszkarzy ogryzione przez szczury i mrówki wały się dokoła, świecąc białymi, wyschniętymi żebrami i pieszczelami.-Gwałtowny łopot skrzydeł zwrócił jego uwagę. Spośród wystygłych zglisz(Sc osady położonej opodal fortu porwało się kilka sępów o czarno-białych skrzydłach i rdzawych szyjach. Spojrzał w tamtą stronę. Pośrodku placu, który niegdyś z trzech stron otaczały drewniane domy, tkwiły trzy pale

wbite w ziemię; zwisały na nich trzy szkielety. Szmaty s] nowiące resztki europejskiej odzieży wskazywały, że byli I biali marynarze, którzy Marten zostawił do pomocy Hoo», stone'owi,. Zginęli tu zapewne wśród straszliwych tortur. Lec kto ich zamordował? Jak się to stało?

Marten minął miejsce kaźni i szedł dalej; Ścieżka, zaro sła już młodymi drzewkami I krzewami, ledwie widoczna w gęszczy zaprowadziła go nad brzeg poniżej przystani, gdzie niegdyś stały chaty Indiańskich rybaków,– Nie było po nich nawet śladu: zwęglone ściany rozsypały się, a popiół rozmyły deszcze? Wysoka trawa paprocie 1 pnącza rzu. ciły się ze wszech stron 1 objęły z powrotem w posiadanie grunt wydarty Im przez ludzi? Ani jednej pirogi nie było widać u brzegu,– Pozostały tylko podarte, postrzępione sieci rozwleczone wiatrem I wplątane w gęszczj

Marten zawrócił; Zimna obręcz zgrozy uciskająca mu serce 1 mózg zdawała się rozluźniać, Myśli pędziły teraz szybko, goniły jedna drugą?

Sądząc po śladach pocisków I po kierunku, w jakim zo-l stały powalone drzewa napad musiał nastąpić od strony morza, Mogli go dokonać tylko Hiszpanie, Zapewne pochwycili miejscowych rybaków I wymusili od nich zeznania o położeniu umocnień nad lagunę; Musieli coś niecoś słyszeć o kryjówce „Zephyra"? Wieści o Przystani Zbiegów od dawna przecież krążyły po Zatoce Meksykańskiej a Indianie I Murzyni zbiegli z plantacji hiszpańskich znajdowali drogę do Amaha; czemu nie mieliby jej znaleźć Hiszpanie?

Czy Ich okręty weszły na lagunę?

Marten w to powątpiewał, jakkolwiek pod kierunkiem! ludzi dobrze znających położenie mielizn można się było pokusić o przeholowanie ciężkich karawań nawet w górę rzeki. Tak czy owak po bombardowaniu artyleryjskim napastnicy z pewnością wysadzili silny desant, który rozprawił się z pozostałą przy życiu załogą fortu i wymordował¹

lub uprowadził mieszkańców, jeśli nie udało im się uciec z głąb lasów

A Hoogstone? Czy był tu, czy też w Nahua? Zginął czy

żyje?

Zadawszy sobie to pytanie, Marten zatrzymał się; Nie zauważył zwłok innych białych poza trzema nieszczęśnikami u słupów pośrodku osady^{*^} Oswoivszy się z okropnym widokiem i mdłym zaduchem, postanowił przyjrzeć się z bliska ofiarom ich ciała a raczej kości i wyschłe ścięgna^{*} utrzymująca jeszcze obnażone piszczele członków były nie do rozpoznania^{*} Lecz na czaszkach pozostały resztki ciemnych włosów a Hoogstone miał włosy kasztanowatej

To niczego nie dowodzi – pomyślał Marten: ~ Mogli go uprowadzić na okręty Mogli go zmusić, aby im wskazał drogę do Nahuai

Ta myśl sparzyła go jak ukrop Nie chciał uwierzyć w tak przerażającą możliwość. Byłoby to najgorsze ze wszystkiego; zbyt okrutne.

Hoogstone nie jest tchórzem – myślał dalej ~ Jeśli nawet jakimś sposobem dostali go w swoje ręce żywego musiał wiedzieć że za żadną cenę nie uniknie losu tych^{*} których tu zamęczyli na śmierć[^] Raczej wpakowałby ich okręty na mieliznę, niżby je tam zaprowadził Zakorkowałby rzekę, to jasne! Nie miał nic do zyskania i bardzo mało do stracenia

To rozumowanie uspokoiło go trochę, lecz przecież nie rozwiało całkowicie obaw

Muszę dostać się tam jak najprędzej – pomyślał

Już miał zawrócić, gdy jego uwagę zwróciła niewielka deszczułka, krzywo przybita nad głową szkieletu zwisającego na środkowym palu, – Był tam jakiś napis, lecz deszcze splukaly go prawie całkowicie; Marten oderwał ją i usiował odczytać wyblakłe pismo; Daremnie; tylko w prawym rogu w dołu pozostało kilka niezupełnie zatartych liter

wbite w ziemię; zwisały na nich trzy szkielety, Szmaty („nowiackie resztki europejskiej odzieży wskazywały, że byli biali marynarze, których Marten zostawił do pomocy Hoogstone'ow!.-Zginęli tu zapewne wśród straszliwych tortur[^] Lecz[^] kto ich zamordował? Jak się to stało?

Marten minął miejsce kaźni i szedł dalej, Ścieżka, zarośnięta już młodymi drzewkami i krzewami, ledwie widoczną w gąszczu, zaprowadziła go nad brzeg poniżej przystani, gdzie niegdyś stały chaty Indiankich rybaków, – Nie było po nich nawet śladu: zwęglone ściany rozsypały się, a popiół rozmyły deszcze? Wysoka trawa, paprocie i pnącza rzucały cień ze wszech stron i objęły z powrotem w posiadanie grunt wydarty im przez ludzi, Ani jednej pirogi nie było widać u brzegu, – Pozostały tylko podarte, postrzępione sieci rozwleczone wiatrem i wplątane w gąszcz?

Marten zawrócił, – Zimna obręcz zgrozy uciskająca mu serce i mózg zdawała się rozluźniać. Myśli pędziły teraz szybko, goniły jedna drugą*

Sądząc po śladach pocisków i po kierunku, w jakim zostały powalone drzewa, napad musiał nastąpić od strony morza, – Mogli go dokonać tylko Hiszpanie, Zapewne pochwycili miejscowych rybaków i wymusili od nich zeznania o położeniu umocnień nad laguną. – Musieli coś niecoś słyszeć o kryjówce „Zephyra”? Wieści o Przystani Zbiegów od dawna przecież krążyły po Zatoce Meksykańskiej, a Indianie i Murzyni zbiegli z plantacji hiszpańskich znajdowali drogę do Amaha; czemu nie mieliby jej znaleźć Hiszpanie?

Czy ich okręty weszły na lagunę?

Marten w to powątpiewał, jakkolwiek pod kierunkiem ludzi dobrze znających położenie miejsc można się było pokusić o przeholowanie ciężkich kanałów nawet w górę rzeki. Tak czy owak po bombardowaniu artyleryjskim na pasmieniu z pewnością wysadzili silny desant, który rozprawił się z pozostałą przy życiu załogą fortu i wymordowali

lub uprowadził mieszkańców, jeśli nie udało im się uciec i głąb lasów?

A Hoogstone? Czy był tu, czy też w Nahua? Zginął? Czy

Zadawszy sobie to pytanie, Marten zatrzymał się; Nie zauważył zwłok innych białych poza trzema nieszczęśnikami u słupów pośrodku osady* Oswoiwszy się z okropnym widokiem i mdlącym zaduchem, postanowił przyjrzeć się z bliska ofiarom? Ich ciała* a raczej kości i wyschłe ścięgna* utrzymujące jeszcze obnażone piszczele członków* były nie do rozpoznania^ Lecz na czaszkach pozostały resztki ciemnych włosów* a Hoogstone miał włosy kasztanowatej

To niczego nie dowodzi – pomyślał Marten? – Mogli go uprowadzić na okręt* Mogli go zmusić, aby im wskazał drogę do Nahuai

Ta myśl sparzyła go jak ukrop? Nie chciał uwierzyć w tak przerażającą możliwość. Byłoby to najgorsze ze wszystkiego; zbyt okrutne.;?

Hoogstone nie jest tchórzem – myślał dalej? ~ Jeśli nawet jakimś sposobem dostali

go w swoje ręce żywego* musiał wiedzieć* że za żadną cenę nie uniknie losu tych* których tu zamęczyli na śmierć* Raczej wpakowałby Ich okręty na mieliznę, niżby je tam zaprowadził; Zakorkowałby rzekę, to jasne! Nie miał nic do zyskania i bardzo mało do stracenia?

To rozumowanie uspokoiło go trochę, lecz przecież nie rozwiązało całkowicie obaw?

Muszę dostać się tam jak najprędzej – pomyślał?

Już miał zawrócić, gdy jego uwagę zwróciła niewielka deszczulka, krzywo przybita nad głową szkieletu zwisającego na środkowym palu. Był tam jakiś napis, lecz deszcze splukały go prawie całkowicie.; Marten oderwał ją i usiował odczytać wyblakłe pismo; Daremnie; tylko w prawym rogu u dołu pozostało kilka niezupełnie zatartych liter

.anta:.i na – odcyfrował je mozolnie. – ::.sco de.;

mirez. t

–Blasco de Ramirez! – wykrzyknął głośno, – Wifl

trafił tu jednak w końcu,.;

u

–Napadli nas w nocy – mówił William Hoogstone siedząc naprzeciw Martena i Carotte'a w kajucie kapitańskiej „Zephyra”?

–To było tak nagłe i niespodziane, że obudził mnie dopiero wybuch pierwszego pocisku. Przypląnąłem tego dnia z Nabua, pozostawiwszy tam tylko młodszego bosmana Webstera, i nocowałem w forcie gdzie wszystko zastałem w najlepszym porządku.; Spałem twardo, ale gdybym nawet czuwał, nie wpłynęłoby to wcale na bieg wypadków.; Ramirez miał z sobą sześć karawel i chyba ze trzysta lub czterysta dział różnego kalibru, a ja – tylko cztery hufnice i osiem moździerzy.; Gdyby próbował wejść na lagunę i stamtąd rozpocząć ogień, straciłby co najmniej połowę swoich okrętów, bo przecież szalupy musiałyby je holować pojedynczo przez wąski, kręty farwater, a my byliśmy doskonale wstrzelani w ten szlak podczas ćwiczeń. Ale nie pchał oję tam. O ile mogłem wywnioskować z kierunku ognia, stanął na wprost tych dwóch wysepek, które wskazują wejście do zatoki, i od razu pierwszą salwą zniszczył główny szaniec razem z dwiema ciężkimi hufnicami. Potem rozpętało się nad fortem takie piekło, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi. Nie potrafię tego opisać.;; Widzieliście sami – zwrócił spojrzenie na Martena, który patrzył w przestrzeń zdając się nie słyszeć i nie widzieć nic zgoła;

–Nie zdołałem nawet obrócić armat w stronę morza gdy już zostały rozbite – mówił

Hoogstone dalej.; – Nie na wiele by się to zdało zresztą, bo przecież nie widziałem celu i nie znałem dokładnie jego położenia. Ogień trwał chyba z kwadrans, ale już po trzeciej salwie miałem najwyżej trzydziestu ludzi żywych ł całych. Parkins i Royde byli ranni; przy pomocy Bowena udało mi się odprowadzić ich do osady; Zgromadziłem tam wszystkich niedobitków, w nadziei że Hiszpanie poprzestaną na zniszczeniu fortu i odpłyną; Ale nie odpłynęli; Wysadzili desanty: jeden od strony morza, drugi na brzegu laguny. Wzięli nas we dwa ognie, a na każdego z moich ludzi wypadło chyba po dziesięciu żołnierzy; Broniliśmy się w domach, które kolejno podpalali, a potem w ruinach fortu. Stamtąd wysiałem Bowena z dwoma Murzynami do wioski rybackiej; Mieli się przekraść przez las wsiąść do pierwszej lepszej pirogi i popłynąć do Nahua z wiadomościami dla Quiche. Nie udało im się: Hiszpanie pochwycili ich żywcem; Bałem się, że i nas to spotka, bo kończyła nam się amunicja, więc postanowiłem przebić się ku pomostowi, przy którym było kilka łodzi, i albo zginąć, albo ująć w" górę rzeki. Ruszyłem do ataku na czele piętnastu ludzi bo tylko tylu było jeszcze zdatnych do walki; Ale na pomost dotarło nas zaledwie czterech; Skoczyliśmy do jedy-

nego czółna, jakie tam przypadkiem pozostało nie uszkodzone, i zdołaliśmy uciec

Byłem ranny w biodro, ale kula nie naruszyła kości 3 więc po opatrunku trzymałem się wcale nieźle; Dopłynęli,' śmy do Nahua wieczorem,– Tu już wszyscy wiedzieli, co za» | szło; Indiańskie bębny warczały bez przerwy w głębi lasów, wzdłuż rzeki, a ten tłusty diabeł Uatholok odpowiadał im raz] po raz ze swojego kurnika i – jak mi się zdaje – namawia) Mędrca do opuszczenia stolicy. Na miejscu Quiche kazałbyml go powiesić. Licho wie, czy nie był w porozumieniu z Raml-J rezemj

Nie przypuszczałem, żeby Hiszpanie odważyli się holo-| wad swoje okręty w górę Amahaj Skąd mogli wędzledj o istnieniu Nahua? A gdyby nawet wydostali tę wiadomości od Bowena, w eo wątpię, to kto, ti diabła, mógł wskazać im [właściwą drogę? To jest dla mnie do dziś zagadką nie do] rozwiązania; No, ale tak się właśnie stało: bębny uprzedziły] nas, że cztery karawele spuściły szalupy 1 płyną ku nami

Muszę powiedzieć, że mnie to ucieszyło. Tu już nie mo*;j gH wysadzić żadnego desantu Inaczej niż pod ogniem naszych j moździerzy 1 oktav, a nie przychodziło ml do głowy, żebyj wiedzieli o ich stanowiskach, tak jak to było w forcie nad laguną? Quiche też ufał, że się obronimy, bo wbrew radom! tego swojego czarownika nie opuścił Nahua; kazał tylko od-:J dalić się kobietom z dziećmi; Wysłał też gońców pieszych] i na łodziach do Haihole i Acolhua z żądaniem pomocy?

Nie bardzo na tę pomoc liczyłem, bo mogła przybyć naj- j wcześniej za trzy, cztery dni, ale wydawało mi się^że sami] rozprawimy się z Hiszpanami, i to bez większych stratd Każdy Ich okręt, każda szalupa od najbliższego zakrętu rzeki> musiała znaleźć się w zasięgu wszystkich armat na wzgórzu;) Przewidywałem, że zatopiwszy pierwszą karawele, jaka siej ukaże, zablokujemy drogę następnym, a potem wybicie

za-| łóg lub wzięcie ich do niewoli będzie już tylko kwestią czasu^ Niepokoiło mnie trochę moje biodro. Kana zaogniła się i bar-J dzp ml dokuczała; Zdecydowałem się na wyjęcie kuli, która l

jp tkwiła, ale straciłem przy lym zabiegu sporo krwi l ezu-j_em się diabelnie osłabionym

Zamierzałem wysłać oddział Indiańskich strzelców lądem w dół rzekł na spotkanie Hiszpanów\$ aby te niepokoił w drodze, strzelając z zasadzek do szalup holujących Jsarawele; Powiedziałem o tym Mędrcom, ale zdaje mi się, lq nie dość jasno mu to wytłumaczyłem, bo z początku nta chciał się zgodzić na mój projekt Nie bardco mogłem się a nim dogadać po hiszpańsku, a nie miałem żadnego tłu-• maczaj Przekonałem jednak jego córkę, która mi dopomogła, l w końcu, jeszcze tej samej nocy, pięćdziesięciu ludzi % muszkietami l około stu z łukami, strzałami l włóczniami poszło brzegiem aż do pierwszej odnogi Amaha; O ile mogłem zrozumieć, ta dzielna dziewczyna starała się nakłonić ojca, żeby kazał Uatholokowi wezwać do podobnej walki z zasadzek wszystkich mieszkańców wiosek po obu stronach rzeki, co na pewno Jeszcze bardziej opóźniłoby zbliżanie się Hiszpanów? Qulche zgodził się na to, lecz za późno, bo Uatholok tymczasem wziął nogi za pas l uciekł;

W każdym razie mój plan okazał się niezły: Od świtu słyszeliśmy ustawicznie odległą strzelaninę, która zbliżała się bardzo wolno: Myślę, że rekiny przy ujściu zatoki miały w ciągu tego dnia prawdziwą ucztę z hiszpańskiego ścierwa;

Nie powstrzymało to jednak Ramlreza od dalszej żeglugi; Wkrótce po południu zamilkły ostatnie strzały o jakie półtorej mili stąd, a w pół godziny później nasz oddział wrócił prawie bez strat; pozostawiwszy tylko paru ludzi na czatach, zgodnie z moim poleceniem; Czekaliśmy teraz na ukazanie się spoza kolana i*zekł szalup holujących pierwszy okręt* Nabite działa, gotowe do Strzału, były wycelowane tak, że pociski nie mogły chybić; domy nadbrzeżne l spichrze obsadziłem wyborowymi strzelcami uzbrojonymi w muszkiety, na wypadek gdyby jakaś szalupa wymknęła się spod ognia armatniego X chciała przybić do przystani: Byłem zu-

pełnie pewien, że odeprzemy ten atak, {tylko pragnęła żeby rozpoczął się jak najprędzej, bo siły opuszczały mn^ coraz bardziej;

Hiszpanie zdawali się wahać, bo minęła jeszcze godzin-bez zmiany sytuacji. Potem jeden z Indian pozostawiony^ na pikiecie za zakrętem rzeki przybiegł z wiadomością, że karawele rzuciły tam kotwice, lecz nie zamierzają widocznie wysadzić desantu, ponieważ wszystkie szalupy wciągnięto na pokłady. Oczywiście desant w pobliżu Nahua był prawie niemożliwy i musieli zdawać sobie z tego sprawę. Zresztą l na taką ewentualność byliśmy przygotowani. Nie wiedziałem więc, co o tym sądzić, ale po naradzie z Quiche i jego córką doszliśmy do wniosku, że chyba odłożyli generalne natarcie do rana dnia następnego. Gdyby tak było, postanowilibyśmy napaść na nich w nocy i podpalić okręty. Nie miałem dość sił, żeby prowadzić atak, więc zamierzałem

powierzyć dowództwo Websterowi, jednemu białemu, jaki dotychczas prócz mnie pozostał przy życiu.

Ale nie zdążyłem nawet powiedzieć mu, o co chodzi, gdy rzeczy przyjęły taki sam obrót, jak nad laguną: Hiszpanie zaczęli ostrzeliwać wzgórze! domy z najcięższych moździerzy, nie pokazując się wcale w polu widzenia. Sam diabeł musiał kierować ich ogniem, bo tylko z rzadka pociski padały poza celem, a każda następna salwa równała z ziemią nasze pozycje obronne. W kilka minut z pałacu Quiche zostały gruzy, a on sam zginął pod walącym się sklepieniem; Domy nad rzeką i dachy skła'dów płonęły. Cztery stanowiska naszych armat zostały rozbite, a obsługa innych uciekła. Zginął także Webster. Zostałem sam.;

–Nie, nie sam – poprawił się zaraz. – Została przy mnie

ta dziewczyna. Jej zawdzięczam ocalenie.

~ Co się z nią stało? – spytał nagle Marten chrapli- wym głosem;

–Nie wiem – odrzekł Hoogstone; – Zawlokła mnie

na dół, bo nie mogłem iść o własnych siłach. Potem jacyś Indianie przenieśli mnie do ruin w lesie na zachodnim krańcu osady. Nie widziałem jej od tego czasu.

Umilkł i zdawał się porządkować w pamięci dalsze wypadki.

–Chyba straciłem wtedy przytomność – powiedział po chwili. – Obudziłem się w nocy, zapewne wskutek zimna. Nahua dopalała się, a nad okolicznymi wioskami wstawały kolejne łuny świeżo wzniesionych pożarów. Słyszałem daleki zgiełk i wrzawę aż do rana. Zaczółgałem się do jakiejś dziury w tych ruinach; zdaje się, że to był grobowiec, ale dokładnie już obrabowany, a w każdym razie – bez nieboszczyka. Miałem przy sobie pistolet, więc wiedziałem, że jeśli mnie tu znajdą nie dam się wziąć żywy. Ale nikt mnie nie szukał. Omijali tę kryjówkę. Szukali natomiast zbiegów, zwłaszcza, jak mi się zdaje, Murzynów. Kilkakrotnie widziałem, jak ich pędzili ku przystani małymi grupkami.

Byli tu trzy doby. Potem odpłynęli. Dokuczał mi głód i pragnienie, więc zaraz przedsięwziąłem wyprawę do spalonej osady, w nadziei, że znajdę tam coś do jedzenia. Szedłem bardzo wolno, podpierając się dwiema żerdziami wyłamanymi z najbliższego płotu. Rana dokuczała mi, ale głód był jeszcze gorszy. Po drodze napotkałem małe źródółko, więc położyłem się na ziemi, żeby zaczerpnąć wody i wtem usłyszałem okrzyk. Odwróciłem głowę, ale nie zdążyłem sięgnąć, po broń. Trzej Indianie rzucili się na mnie z tyłu. Nie byli stąd, lecz – jak się później dowiedziałem – z Haihole. Wzięli mnie zapewne za Hiszpana i prawdopodobnie zamierzali mnie zabić. Powstrzymał ich od tego jakiś dryblas, który im rozkazywał. Porwali mnie i zanieśli nad rzekę, powyżej tych ruin, w których się ukrywałem. Stało

tam u brzegu ze trzydzieści czółen, w największym zaś siedział ich wódz; nie pamiętam jego imienia.

~ Totnak? ^ rzucił Marten.-

Ł Zdaje się *» potwierdził Hoogstone niepewnie? «| Trudno się z nim było porozumieć, nawet przez tłumacza,' który akurat tyle umiał po hiszpańsku, Ile jaj Ale powtarzałem w kółko „Marten" ł„Zephyr"*i wskazując na siebie, i widocznie go to przekonało; Dali mi jeść, a jakiś ich caai-równik opatrzył mi ranę. Zaraz doznałem ulgi, a później wy-kurowałem się przykładając wywar z ziół, które uri zostawili Ale jeszcze przedtem chcieli mnie zabrać z sobą w górę rzeki? Odmówiłem naturalnie, bo spodziewałem się lada dzień waszego powrotu? Usiłowałem Im to wytłumaczyć i chyba mi się udało? Długo się naradzali, czy mnie tu zostawić, ale w końcu odpłynęli beze mnioi

Początkowo zagospodarowałem się w tym na pół spalonym spichrzu, który stąd widać? Miałem dość żywności, bo zostało tam trochę kukurydzy, a w sadach dojrzewały owoce? Ale wypłoszył mnie odór rozkładających się trupów? Nie mogłem sam ani Ich pogrzebać, ani powrzucać do rzeklj Jest tego przecież parę setek??! Gdyby wiatr wiał w tę stronę, jeszcze teraz nie moglibyśmy oddychać, chociaż sępy już oczyściły większość z nich?

Rana goiła się szybko, więc – żeby uniknąć tego straszego smrodu – przeniosłem się na wzgórze? Tam było stosunkowo niewielu zabitych; Zdołałem pośclągać zwłoki do wykopów po stanowiskach artyleryjskich I przysypać ziemią? Zamieszkałem w tyra pawilonie, który wyście dawniej zajmowali, kapitanie Marten? Nic więcej tam nie ma prócz rumowisk, ale ten budynek jakoś ocalał? Aha, ocalał także posąg bożka; doprawdy trudno w to uwierzyć, bo oktawy, pomiędzy którymi stał, zostały rozbite pociskami * hiszpańskich moździerzy? No, ale stoi tam dotąd 1

A ja czekałem; Miesiąc, dwa miesiące, trzy; Wypatrywałem was albo Hiszpanów? Mogli przecież powrócićj Byłem na to przygotowany? Lecz nikt się nie pokazywał? Ani z dołu, ani z góry rzeki, ani od strony lądu? Nie było tu

żywego ducha przez cały ten czas; Tylko sępy I kruki::? Myślałem, że oszaleję od Ich krakania 1 kwilenia!

No, ale nle oszalałem r- powiedział z odcieniem przechwałki czy też triumfu?;- Natomiast zacząłem szukać jakiegoś czółna, które dałoby się naprawić. Znalazłem tylko dwie dziurawa pirogi na dnie małej zatoczki; Wszystkie Inne Hiszpanie puścili z prądem albo zatopili na głębiny? Jedną z tych dwu zdołałem wyciągnąć i załatać. Ukryłem ją w sitowiu daleko w górze tam gdzie Amaha rozdziela się na kilka odnóg, aby w razie czego odpłynąć w stronę Haihole? Czasem wyprawiałem się na połów ryb a raz dotarłem aż do laguny 1 wtedy przekonałem się eo.Blasco Ramirez zrobił z

Bowenem, Parklnsem I Roydem? Nie mogłem pogrzebać Ich zwłok, bo nie miałem żadnych narzędzi, a od zaduchu, jaki tam panował robiło mi się słabo! Wróciłem tu i czekałem znowu, ale traciłem już nadzieję na powrót, „Zephyra”, więc postanowiłem czekać na „lbexa” 1 tamtych?

Wczoraj po południu usłyszałem daleki warkot bębnow, pierwszy raz od czterech miesięcy! Czuwałem przez całą noc a potem przez cały dzisiejszy dzień, gotów do ucieczki na wypadek gdyby to mieli być Hiszpanie; Zobaczyłem łodzie na zakręcie rzeki ale nie byłem pewien, czy holują „Zephyra” Dopiero kiedy się ukazał odetchnąłem z ulgą; Dostrzegłem zaraz, że grotmaszt jest strzaskany, więc pomyślałem sobie że i was także musiało spotkać jakieś niepowodzenie;?!

Spojrzał pytająco na Martena I Carotte'a lecz nie otrzymawszy ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia swych domysłów, rażno zatarł dłonie I rzekł:

z~ No, to się przecież da teraz naprawić;

–Nic się już nie da naprawić -^A powiedział Marten cicho, lecz takim tonem, że Hoogstone zamilkł z otwartymi ustami;

Przez całą noc Marten snuł się po pokładzie „Zephyra” z założonymi w tył rękami i z opuszczoną głową. Hoogstone siedział na stopniach prowadzących na rufę, przejęty niepokojem i troską, której źródła nie mógł sobie w pełni uświadomić. Żał mu było Martena, lecz to uczucie z kolei zdumiewało go niepomierne. Uważał tego człowieka za zbyt potężnego, aby się o niego martwić, a zarazem był przeświadczony, że powinien uczynić coś, aby go wyrwać z apatii. Pierwszy raz w życiu doświadczał podobnej rozterki. Nigdy dotąd nie przejmował się tak dalece ani własnym, ani cudzym losem. Czuł się przy tym bardziej osamotniony, bezradny 1 pozbawiony wszelkiego oparcia niż wówczas, gdy Marten zostawił go w Nahua powierzając mu jej bezpieczeństwo i obronę, a nawet niż wówczas, gdy został tu sam jeden po klęsce.- Marten bowiem nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Nie patrzył ani na niebo, ani na rzekę, ani na brzeg. Zdawał się nie dostrzegać nic zgoła. Nie czynił mu wyrzutów, nie zadawał pytań, nie dociekał przyczyn pogromu.;

Trwało to już osiem godzin. Księżyc wzeszedł, przetoczył się po niebie i znów ich opuścił, kryjąc się za górami. Rzeka płynęła leniwie, czarna I niema. Wiatr ucichł, Było chłodno, rosa kapłała z want i skantowanych rej;

Hoogstone nie mógł już tego wytrzymać dłużej. Od chwili, gdy zamilkł skończywszy o zachodzie słońca swoją dramatyczną opowieść, zamiast jakiegokolwiek ulgi i odprężenia czuł coraz bardziej przytłaczającą go odpowiedzialność za to, co się stało.– Nie mogłem temu zapobiec – wybuchnął wreszcie; – Musicie to zrozumieć! Nie mogłem nic więcej zrobić!

Marten zatrzymał się przed nim. Wyraz zdziwienia przemknął po jego twarzy;

_ - Naturalnie – powiedział z pewnym wysiłkiem, ia Nie można było nic więcej zrobić. To jasne;

' - Więc nie uważacie, że zawiodłem wasze zaufanie? – chciał się upewnić Hoogstone.

–Nie, nie uważam. To ja zawiodłem zaufanie tych ludzi – odrzekł Marten na pół do siebie. – Tego się nie da naprawić...: Reszta.;; – machnął ręką i odwrócił się;

Nie potrafię tego znieść – pomyślał ogarniając wzrokiem przystań, zgliszcza domów na brzegu, na pół rozwalone spichrze i ruiny zamku Mędrca na wzgórzu.

Jego wzrok zatrzymał się na posągu Tlaloka. Okrutny bożek zdawał się spoglądać z góry na pobożowisko dawnych swoich czcicieli, co go odstąpili i zapomnieli o nim. Triumfował. Triumfował za sprawą tych, których wiara odebrała mu wyznawców.;

Hoogstone podniósł się 1 odszedł. Marten tego nie zauważył.– Zadawał sobie pytanie, czy pozostał przy życiu ktoś, kto mógłby się upomnieć o jego słowa, stanąć mu do o*czu z wyrzutem za niedotrzymane obietnice; ktoś, kto wiedział o wielkości jego zamierzeń i marzeń; kto obdarzał go bezgranicznym zaufaniem, które rozwiało się wraz z dymem hiszpańskich dział nad Amaha.

–Inika – szepnął w ciemność, jakby ją przyzywał, zz Jnika.ii

W ciągu wielu następnych dni Marten usiłował otrząsnąć się z przygnębienia, porzucić daremne rozmyślania, odzyskać dawną energię, a przede wszystkim władzę nad samym sobą Na próżno.-Wydawało mu się, że jest zupełnie kimś innym; że. Jan Kuna, zwany Martenem, który miał w życiu coś do zdziałania, który mówił do ludzi i słuchał ich słów, który snuł wielkie plany – umarł;

Pamiętał go-, I te jego plany również; Rozpatrywał je A z trzeźwą ironią z wyżyn gorzkiego doświadczenia; Chciał] stworzyć mocarstwo, a oto sześć hiszpańskich okrętów w ciągu dwóch dni obróciło w perzynę wszystko, co w tym j kierunku działał przez cztery lata? Jakże był śmieszny w swoich porywach! Jakże naiwne były podstawy* na których budował swe zamierzenia! Z czymże porwał się na olbrzymią potęgę Hiszpanii, skoro jakiś mierny, zaledwie znany, bynajmniej nie okryty chwałą zwycięstw dowódca prowincjonalnej flotylli za jednym zamachem zmiotł z powierzchni ziemi jego „królestwo"g

Czuł się zdruzgotany? Palił go wstyd, żal, wyrzuty sun mienia? Nie mógł ani pozostać tu, ani wrócić do Europy, bo nie miał po co\$

r-' Nic się już nie da naprawić – powtarzał sobie to, co'j povviedział Hoogstone'owi?

– Straciłem wszystko?

Carotte i Hoogstone pytali go, co mają robić, Pocięcha i Worst czekali na jego rozkazy

–Róbcie* co chcecie – odpowiedział?

Unikał ich? Błądził samotnie po wzgórzach pośród ruin,' zapuszczał się daleko w pola, wpatrywał się w wycięte przez Indian najeźdźców, uschłe drzewa sadów* przesiadywał godzinami nad rzeką, nasłuchując, czy nie rozlegnie się plusk wiosł j płynących z góry Łodzi i czółen? Budził się często wśród nocy, bo wydawało mu się, że słyszy warkot bębnow albo dźwięki Indian gita* i wesole śpiewy? Lecz noce były głuche i ciemne? Bębny, które nie wiadomo dokąd i komu niosły wieść o jego powrocie, milczały teraz uparcie? Nikt z dawnych mieszkańców nie wracał do Nahua, jakby w obawie przed tchnieniem śmierci, która wtedy przeszła? Porzucone pola i pastwiska krok za krokiem zdobywała z powrotem puszcza, zacierając ślady mozolnej pracy kilku pokoleń?

Po tygodniu Indianie i Murzyni z załogi „Zephyra” zaczęli znikać, Oddalali się w las i nie wracali więcej. Gdy;

Hoogstone powiedział o tym Martenowi, ten skinął tylko głową, jakby przyzwalał na ich ucieczkę. Opuszczali go cichaczem, bez słowa, jak szczury opuszczają okręt, do którego % niewiadomych powodów tracą zaufanie. Tu powody były jasne i zrozumiałe, nie mógł temu zaprzeczyć, Odkryli jego słabość i bezradność, Przejrzeli; Potęgę dawnego sprzymierzeńca Ouiche rozsypała się w ich oczach,– Była tylko złuda, wywołana zapewne czarami białego człowieka Czarami, które jednak nie-ostały się mocy obrażonego Tlaloka; Dawny bóg mścił się na odstępcach, lecz ~ być może ?~ uda się go przebłagać.!)

Pewnego dnia Marten zauważył, że u stóp posągu Tła-Joka leżą naręcza świeżych kwiatów,– Nazajutrz pojawiło się tam zabite koźle, którego krew zbryzgała popiersie bóstwa. Wkrótce zaczęły tu składać ofiary z ludzi ~ pomyślał, ale nie uczynił nic, aby tej możliwości zapobiec

Nie doszło zresztą do tego,– W końcu miesiąca jednej nocy wszyscy pozostali Indianie i Murzyni uciekli,– jZephyr* miał już tylko białą załogę złożoną z kilkudziesięciu ludzi, których jedynym pragnieniem było wydostać się stąd jak najprędzej;

Lecz Marten zwlekał. Chciał się doczekać przybycia White'a, Schultza i Belmonta, przynajmniej tak twierdził,-Carotte i Hoogstone uznali słuszność jego motywów nie można było przedsięwziąć żadnej wyprawy z tak szczupłą załogą, a tamci powinni byli wrócić z Anglii najdalej za kilka tygodnia

W rzeczywistości Marten nie myślał o innych wyprawach i nie miał żadnych projektów, a jeśli na coś czekał, to jedynie na znak od Iniki, Przypuszczał, że uszła z innymi do jakiejś wioski w głębi kraju lub znalazła schronienie w Hai-bolej Ta ostatnia możliwość wydawała mu się najbardziej prawdopodobna, ponieważ – jak wynikało z opowiadania Hoogstone'a ~ młody Totnak przybył tu ze spóźnioną od-

sieczą i zapewne obozował w pobliżu, podczas gdy Hiszpa- i nie gospodarowali w okolicy Nahua.'

Powrót „Zephyra” został z pewnością dostrzeżony przez mieszkańców owych wiosek, do których broniły dostępu gąszcze i bagna możliwe do przebycia tylko dla krajowców. Ich bębny poniosły tę wieść aż do podgórszych krańców Amalia, do Acolhua i Haihole, a potwierdzili ją zbiegowie z załogi okrętu. Jeśli więc Inika żyła, musiała już wiedzieć, że Marten wrócił. Jeśli chciała go zobaczyć i mówić z nim, powinna dać mu znać o tym.

Może napotkała jakieś trudności – myślał. – Może jej wysłannik zginął w drodze. Może okoliczności chwilowo nie pozwalają jej na skomunikowanie się ze mną. A może czeka na wiadomość ode mnie? Może zwątpiła w moje słowo, jak wszyscy?

Te myśli dręczyły go niewypowiedziane i nie dawały mu spokoju ani w dzień, ani w nocy. Obawiał się, że w końcu, gdy White i Belmont wrócą, będzie musiał odpłynąć i nigdy się nie dowie o losie tej dziewczyny, która – być może – uważa go za zdrajcę.

Wreszcie nie mógł znieść tego dłużej, Oświadczył Ca-rotte'owi, że zamierza udać się w górę rzeki i powróci za dwa tygodnie.; Wybrał dziesięciu ludzi z dawnej swojej załogi i nazajutrz wyruszył o świcie, żegnany niechętnymi spojrzeniami francuskich marynarzy z i, Vanneau", którzy już zapomnieli, że zawdzięczają mu życiej

Wkrótce potem jak szalupa minęła pierwszy zakręt Amaha i jej wartki prawy dopływ, mniej więcej o sześć mil od Nahua, z głębi puszczy odezwały się bębny; Było to dziwne i niezrozumiałe, ponieważ ani na rzece, ani na jej brzegach Marten nie dostrzegł najmniejszego śladu istot ludzkich. Jednak czyjeś oczy musiały go śledzić, bo bębny odzywały się z przerwami przez cały dzień aż do wieczora i umilkły dopiero wtedy, gdy łódź zatrzymała się pośrodku

głównego koryta u małej wysepki, gdzie jej załoga spędziła noc przy ognisku.

Marten nie krył się bynajmniej ze swymi zamiarami. Zresztą byłoby to daremne. Wiedział, że jest śledzony i że nie zdołałby się obronić przed napaścią.– Ale nie przypuszczał, by mu groziło poważne niebezpieczeństwo ze strony miejscowych Indian, a także od Haiholów.– Nie walczyłby z nimi, nawet gdyby go napadli: nie chciał przelewać krwi swych dawnych sprzymierzeńców, co przecież do reszty pogrążyłoby go w ich oczach; Przybywał do nich jawnie, jako przyjaciel, nie tak

potężny jak niegdyś, lecz równie ufny 1 szczerzy; Tylko w ten sposób mógł ich przekonać i osiągnąć cel zamierzony;

Nazajutrz i jeszcze przez dwa dni następne łódź płynęła pod żaglami korzystając z pomyślnego wiatru; Rzeka nadal była pusta, a brzegi bezludne; Niezmierzone lasy, rozległe bagna porośnięte gęstwiną krzaków, trzcin i sitowia ciągnęły się z obu stron. Liczne mniejsze i większe dopływy, leniwe i błotniste albo o bystrych, szumiących nurtach, przyłączały się z lewa i z prawa, tworząc niekiedy przy ujściu spore jeziora i płytkie rozlewiska; Zrywały się z nich całe chmury ptactwa i krążyły nad szalupą, ale nigdzie nie było widać ludzi;

Dopiero czwartego dnia o zachodzie słońca Marten z daleka dojrzał smugę dymu unoszącego się spoza drzew. Gęstsze przerzedziły się, pomiędzy wyniosłą kolumnadą cedrów, mahoniowców, surmii *, jakarand i sukadorów przeświecał czerwony blask ogni płonących na suchej, wyniosłej polanie, a na płaskim, piaszczystym brzegu, który dalej tworzył urwistą skarpę, stały wyciągnięte pirogi;

Pilnowali ich trzech Haihole uzbrojeni w dzidy i łuki. Gdy szalupa zaczęła się zbliżać, jeden z nich wdrapał się na skarpę i pobiegł ku ogniskom. Dwaj pozostali patrzyli w milczeniu na przybyszów, nie poruszając się wcale, jakby widok łodzi z opadającymi żaglami był im doskonale obojętny, Nie drgnęli, nie przemówili nawet wtedy, gdy dwaj biali marynarze wbili w piasek zaostrowany palik z łańcuchem przytrzymującym dziób szalupy...-Marten wysiadł i spojrzał w górę na ową skarpę, która wznosiła się powyżej jego głowy zasłaniając widok. Cztery sylwetki Indian w fałdzistych serapach ukazały się na tle dogasającego nieba; Nie mógł rozróżnić rysów ich twarzy, ale w jednej z nich poznał zręczną, wysmukłą postać młodego wodza;

–Witaj, Totnaku – powiedział w narzeczu Haihole.

–Witaj – odrzekł Totnak; – Z czym przybywasz? Marten nie od razu odpowiedział. Nie odwracając spojrzenia

wyciągnął zza pasa pistolet i ująwszy go za lufę podał Worstowi, który stał za nim. Potem w ten sam sposób pozbył się noża i dopiero wtedy rzekł:

–Chcę mówić z Iniką;

Totnak milczał przez dłuższą chwilę, jakby się wahał. Stali naprzeciw siebie – Indianin nad samą krawędzią urwiska, biały w dole na piaszczystym wybrzeżu – oddzieleni niewielką pustą przestrzenią stromego zbocza.

***~ Wejdz sam – powiedział wreszcie Totnak;**

Ogniska szerokim półkolem otaczały namiot ze skór koźlich, którego wejście przesłaniała wzorzysta tkanina wełniana przypominająca kilim. Wieczorna mgła

ścieliła się nisko nad ziemią tworząc słabe czerwone aureole dokoła płomieni. Na tle tego przyćmionego blasku z rzadka snuły się czarne cienie ludzi, a niewyraźne sylwetki siedzących poru-

szały się czasem nieznacznie, gdy ktoś dorzucił nieco chrustu, aby podsycić ogień. Słychać było cichy pogwar stłumionych głosów i trzaskanie palących się gałęzi.

Inika stała przed namiotem, z rękami opuszczonymi w dół i wzniesioną głową. Miała na sobie niebieski serape z otworami na ramiona, przepasany powyżej bioder paskiem splecionym z cienkich rzemyków. Czerwony odblask żaru od ogniska oświetlał słabo jej twarz o regularnych rysach i odbijał się w ciemnych, szeroko otwartych oczach, nie użyczając ciepła ich spojrzeniu. W głębi tych nieruchomych źrenic patrzących na Martena było coś tak twardego i zimnego jak marmur. Wysłuchiwała go w milczeniu, po czym lekko potrząsnęła głową.– Oszukałeś mnie i siebie – powiedziała cicho.– – Oszukałeś mojego ojca i mój naród. Twoje oczy i głos, które były dla mnie samą prawdą, kłamały każdym spojrzeniem i każdym słowem. Droga, którą mi ukazałeś, była fałszywa. Prowadziła tylko do twoich celów, a ja, mój kraj, moje zamysły, to były tylko środki, jakimi się posługiwałeś. Chcieliśmy żyć w pokoju, a ty przyniosłeś nam wojnę i śmierć, chociaż mówiłeś, że twoje armaty i muszkiety obronią pokój.

–Gdybym był w Amaha... – zaczął Marten, ale przerwała mu.

–Nie było cię. Właśnie wtedy cię nie było! Kto nas zdradził? Kto wywołał zemstę Hiszpanów? Dlaczego ta zemsta zwróciła się przeciw memu ojcu, przeciw naszym spokojnym domom, przeciw tym wszystkim, którzy już nie żyją, 1 przeciw tym, których uprowadzono? A teraz, gdy się to stało, chcesz, żebym poszła za tobą! Po co?

Marten chciał odpowiedzieć, ale spojrzawszy w jej twarz pomyślał, że na próżno by ją przekonywał. Nie było w niej żadnego wyrazu, żadnych uczuć, nawet gniewu czy żalu. W oczach Iniki życie zdawało się gasnąć. Nie dostrzegł

w nich ani bólu, ani nadziei, ani śladu dawnej czułości i ri miętności, jakby po tej klęsce wszystko się W niej skończył wypaliło na popiół, nawet wspomnienia.– Odejdź i zapomnij – powiedziała^

Zanim Marlen odpłynął z obozu Totnaka; odbył z młodym wodzem Haiholów poufną rozmowę, podczas której obiecał mu, że najdalej za miesiąc opuści na zawsze Amaha i nie powróci tam nigdy. Ze swej strony chciał się upewnić co do losów Iniki. Totnak oświadczył, że udziela jej schronienia na stałe.

–Będzie miała swój dom w moim kraju ~ powiedział

patrzając w ogień płonący przed szałasem opodał jej namio tu. –

Nie zabraknie jej niczego;

Podniósł wzrok i spojrzał na Martena;

–Był czas – powiedział wolno – że chciałem cię zabić.

Zanim jeszcze do ciebie należała.– Lecz żadna kobieta nie jest

warta życia mężczyzny, a twoja śmierć pociągnęłaby za sobą

śmierć wielu mężów – Gdybym był wiedział, gdybym wówczas

przeczuł, co się stanie!...

Umilkł i znowu zapatrzył się w płomienie;

–Wolałbym zginąć – rzekł Marten. – Przyszedłem tu bez broni i...

–I odejdziesz stąd żywy – przerwał mu Totnak. – Gdybyś zginął, twój duch nie znalazłby spokoju i mnie by go odebrał. Blasco de Ramirez żyje! Możesz pomścić się na nim. Cóż przyszłoby mi z tego, gdybym cię teraz zgładził? Nie odzyskałbym przez to Iniki i nie nasyciłbym ani swojej, ani jej zemsty. Odejdź i walcz. Nie wracaj nigdy!

Marten pomyślał, że nic innego nie pozostaje mu do zrobienia. Odpłynął natychmiast i spędził bezsenną noc na jednej z licznych wysp o parę mil poniżej obozu. Był przybity i zrezygnowany.

Jest już po wszystkim – myślał. – Nie pozostał więcej nikt, kto mógłby zarzucić mi fałsz, zdradę, kłamstwo lub powiedzieć choćby jedno słowo wymówki. Nie ma nikogo, kto wiedziałby o mojej wierności i przywiązaniu do tego kraju; kto wierzyłby w nie. A jednak, ciężko jest udźwignąć to brzemię samemu.

Czuł, że obcy mu są wszyscy ludzie, że nie zależy mu już na niczym i na nikim. Los strącił go z takiej wyżyny marzeń, że wydawało mu się, iż spadł w otchłań, z której

nie ma wyjścia.

„Odejdź i zapomnij” – powiedziała Inika. Czy zdoła zapomnieć kiedykolwiek?

„Odejdź i walcz, możesz się zemścić” – powiedział Totnak. Czyżby zemsta mogła przynieść zapomnienie?

Ten nastrój beznadziejnego przygnębienia nie opuszczał go w drodze powrotnej do Nahua. Przybył tam wcześniej, niż był zapowiedział, i zastał na pokładzie „Zephyra” tylko Piotra Carotte z jego francuskimi marynarzami z „Vanneau”. Hoogstone z resztą załogi wyprawił się do Przystani Zbiegów, aby pogrzebać zwłoki zabitych oraz pozostawić na stra-

ży Tomasza Pocięchę i kilku ludzi – zarówno w celu porozumienia się z White'em, jak na wypadek ponownego przybycia Hiszpanów. Carotte obawiał się, że Blasco de Ramirez! raz jeszcze zechce spróbować szczęścia i przychwycić „Ze-phyra”. Gdyby karawele hiszpańskie rzeczywiście ukazały się w pobliżu, Pocięcha miał natychmiast popłynąć do Nahua, aby ostrzec o tym Martena.

Poza tymi środkami ostrożności Carotte chciał przeholować okręt dalej w górę rzeki, aż poza następny zakręt, dokąd Hiszpanie z pewnością nie mogliby dotrzeć inaczej niż na szalupach. Czekał z tym na powrót Hoogstone'a i jego ludzi, a gdy po kilku dniach wrócili, przedstawił swój plan Martenowi.

Jan zgodził się w milczeniu, z obojętnością, która wywołała głębokie westchnienie Hoogstone'a.

–Myślałem, że się z tego już otrząsnął – powiedział

porucznik do Carotte'a. – Ale.;; sami widzicie. Zmarnuje się

przez tę dziewczynę.

Carotte uśmiechnął się wyrozumiale;

–Taki człowiek jak on nie zmarnuje się przez jedną dziewczynę – odrzekł. – Został mu przecież „Zephyr”;

–To prawda! – potwierdził Hoogstone z zapalem. – Gdybym ja miał „Zephyra”...:

–Chodzi o coś więcej – przerwał mu Piotr. – Ale czas jest najlepszym lekarzem, Czas go uleczy^

'..". j

Czas płynął. Oczekiwanie na powrót „Ibexa”, „Toro” i „Santa Veronica” przedłużało

się w nieskończoność. Martena zdawało się to niewiele obchodzić, ale Carotte niepokoił się coraz bardziej. Skrzętnie zebrane zapasy żywności zaczęły się wyczerpywać, a załoga szemrała. Ludzie nie rozumieli, po co siedzą w tej zapowietrzanej dziurze, zamiast wyjść na morze i zwerbować potrzebną ilość marynarzy w Campeche lub

na Antylach. Żaden z nich nie wierzył już, że tamte okręty przybędą kiedykolwiek. Anglia była daleko; ktoś mógł wiedzieć, ile burz spotkały w drodze i czy się im oparły? Kto mógł zaręczyć, że nie zostały zatopione przez Hiszpanów?

Nawet Hoogstone zaczął wątpić; nawet Pocięcha i Worst przechylali się na stronę większości załogi.

Niespodziewanie Marten sam rozstrzygnął tę sprawę, pewnego wieczora, powróciwszy jak zwykle na okręt po całodziennym bląkaniu się wśród ruin, wezwał Piotra i Hoogstone[^] do swojej kajuty;

–Chcę stąd jutro odpłynąć – oświadczył;

Byli obaj tak zdumieni, że żaden z nich nie odpowiedział. Marten zresztą nie pytał o ich zdanie. Mówił dalej w swój dawny, energiczny sposób, krótko i jasno. Zamierzał poze-glować na wschód i uzupełnić załogę bądź na wybrzeżu Campeche, bądź na wyspach Cayman. Spodziewał się spotkać po drodze wiele okrętów korsarskich, odnowić znajomość z ich szyprami i dobrać kilku śmiazków, którzy byliby gotowi na pewne dość ryzykowne przedsięwzięcie;.

–Muszę je dokładnie obmyśleć – dodał; – Ani Tam-pico, ani Ave de Barlovente nie mogą się powtórzyć;.

–Co masz na myśli? – spytał Carotte.

–Rozprawię się z Ramirezami – odrzekł Marten, – Z gubernatorem i z jego synem.

–Chcesz zdobyć Ciudad Rueda?

–Z d o b ę d ę Ciudad Rueda! I – na Boga! – to miasto przestanie istnieć, tak jak nie istnieje Nahua!

–Pamiętaj, że Ciudad Rueda ma znacznie więcej dział, niż ich tu było do obrony – powiedział Carotte.– – Diego de Ramirez rozporządza także silną flotą, a jego syn.;j

–Jego syn nie miał jeszcze ze mną do czynienia – przerwał Marten. – Ich karawele nie doświadczyły naszego ognia w otwartym spotkaniu; Przeciwstawię im równą siłę, a wtedy.;i

Zawiesił głos i uśmiechnął się, bodaj po raz pierwszy (chwili, gdy tu powrócił przed kilku miesiącami.

–Wtedy – dokończył – zmuszę Blasco Ramireza do walki wręcz, tylko ze mną.

sz Do licha, chciałbym to widzieć! – mruknął Carotte;

„Zephyr” wyruszył nazajutrz, holowany w dół rzeki przez cztery szalupy. Marten stał na tylnym pokładzie, wsparty o reling lewej burty, i patrzył na brzeg oddalający się szybko. Gdy minęli zakręt, spoza którego Blasco de Ramirez zbombardował stolicę Amaha, Jan odwrócił się gwałtownie i przeszedł na dziób. Jego wzrok, twardy i chłodny, wybiegał teraz już tylko naprzód.

Rzeka leżała przed okrętem pełna słonecznych lśnień pośrodku i cieni wielkich drzew przy brzegach. Szerokie jej koryto rozdzielało się czasem na kilka węższych odnóg, obmywając wydłużone wyspy albo tworząc obszerne, daleko wybiegające w głąb lasów meandry o stojącej, ciemnozielonej wodzie, w której pluskały duże, srebrzyste ryby. Główny nurt wybijał się na powierzchnię, niecierpliwy i bystry, a „Zephyr” sunął po nim spokojnie, lekki, zaledwie na tyle obciążony balastem, aby mieć zapewnioną stateczność i sterowność.

Była wiosna. Puszcza tętniła życiem, trelami ptasich śpiewów, ciurkaniem, świergotem, kwileniem, poświstywaniami. Wrzask papug i małp zdradzał jakieś ich nieporozumienia domowe, całe roje kolibrów przelatowały nad kwitnącymi pnączami jak garście rzucanych klejnotów, brzęczały owady, z błotnistych zalewów odzywały się żaby.

Dopiero koło południa, gdy biały żar słoneczny rozpałił niebo i ziemię, wszystkie głosy zaczęły przycichać. Tylko muchy, żuki i świerszcze bzykały, cykały jak przedtem, a na mielizny wypełzły kajmany, aby wygrzewać się na piasku;

„Zephyr” mijał wielkie ławice mułu osiadłe pośrodku rzeki przed jej ostatnim zakrętem. Szlak żeglowny zwężał się tu i gmatwał, zbliżając się do lewego, to znów do prawego brzegu. Trzeba było utrzymywać okręt na głębini za pomocą długich żerdzi, które marynarze wbijali jednym końcem w grząskie dno, aby odepchnąć rufę na środek ciasnego przesmyku. Stan wody był wyjątkowo niski pomimo przyływu który właśnie się kończył. Wiatr wiał z głębi ładu 1 nie wspomagał fali, lecz przeciwnie – odrzucał ją z powrotem.-Należało się śpieszyć, jeśli „Zephyr” miał przebyć lagunę i wyjść poza atol przed kolejnym odpływem.

Ludzie pracowali z wysiłkiem, załogi szalup wzięły się do wiosł, aby dopomóc żaglom.

Wtem z daleka od strony wybrzeża morskiego nadleciał znajomy, nieregularny warkot bębna. Układał się w zwodniczy rytm, umykał z niego nagłą pauzą, dudnił

spiesznie, zwalniał, podnosił się i opadał. Umilkł, jakby czekał na odpowiedź, i znów się rozległ powtarzając coś, co było wezwaniem, ostrzeżeniem, jakąś wiadomością, złą czy dobrą, któŁ mógłby to odgadnąć.

Umilkł znowu. Lecz teraz odpowiedź nadeszła natychmiast. Odpowiedź czy też po prostu wierne jak echo odtworzenie tamtych uderzeń, pasażów i pauz? Ten drugi bęben dudnił dalej, bardziej w górę rzeki. Nim skończył, odezwał się trzeci...;

Marten słuchał ze zmarszczonymi brwiami.– Żegnają nas – powiedział Hoogstone;

Jan przecząco pokręcił głową.

–Gdyby tak było, sygnał szedłby nie od morza w głąb lądu, tylko odwrotnie. Tam się coś stało – dodał cicho, jakby jego niespokojna myśl sarna niebacznie przeobraziła się w słowa;

Spojrzał po pokładzie, na którym ludzie zastygli w bezruchu, a potem rzucił szybkie spojrzenie ku szalupom, Wio-

siarze siedzieli wyprostowani, uniósłszy wiosła. Wszyscy na-1, słuchiwali w napięciu, jakby te słowa „Tam coś się stało” zagrzmiały głośnym okrzykiem nad ich głowami.

–Naprzód! – zawołał Marten. – Do wiosel!

–O-hej! – odkrzyknięto z pierwszej szalupy. – O-hej na „Zephyrze”!

–Co tam?! – zawołał Hoogstone.

–Nasze czółno! – dobiegł głos po wodzie. – Czółno z laguny!

Teraz i Marten je dostrzegł. Walczyło z prądem, popędzane szybkimi uderzeniami indiańskich wiosel. Widać było krępą, niedźwiedziowatą postać Tomasza Pociechy, który stał w rufie szeroko rozkraczony i odpychał się długim drągiem na płycznach.

Zbliźali się prędko. Mijali kolejno szalupy, nie odpowiadając na pytania załóg.

–Trap! – rzucił Marten za siebie. – Z prawej burty!

Opuszczono trap sztormowy, linową drabinkę o żelaznych

szczebelach. Pociecha zawisł na niej, w chwili gdy czółno otarło się o kadłub okrętu, podciągnął się na rękach, namacał stopą szczebel, wspiął się na pokład.

–Mów – powiedział Marten.-

Główny bosman „Zephyra” rozejrzał się, jakby z wahaniem.

Dyszał ciężko, a po jego czerwonej twarzy zarośniętej aż po oczy jasną, twardą jak ryżowa słoma szczecina spływały krople potu.

–Mów – powtórzył Marten. – Nie czas ukrywać co

kolwiek.-

–Osiem okrętów zbliża się ku zatoce – powiedział

Pociecha. – Idą, jakby znały drogę, lawirują tak, żeby wejść w beidewind od strony wysepek;

–Kiedy je zauważyłeś? – spytał Marten.

~ Przed dwiema godzinami – odrzekł Pociecha.

Oczywiście wtedy szły prawym halsem i nie miałem pewności, dokąd zmierzają. Ale później, chyba z godzinę temu, położyły się na przeciwny ciąg. A teraz.::

–Nie niosą żadnych flag? – przerwał Marten.

Pociecha zaprzeczył ruchem głowy.

–Nie mogłem ich dokładnie rozpoznać nawet z kształtów. Trudno powiedzieć coś pewnego. Pierwszy wygląda na niewielką karawelę, tak ze czterysta ton. Ma wysokie, dwupiętrowe kasztele na dziobie i na rufie. Trzy maszty. Teraz będzie je wszystkie widać jak na dłoni – dodał. – Muszą być już bardzo blisko.

–Aha – mruknął Marten. – Nie mamy odwrotu – powiedział na pół do siebie. – Im prędzej, tym lepiej.

To było jasne: nie mieli odwrotu. „Zephyra” nie udałoby się odwrócić dziobem w górę rzeki, a gdyby nawet do-kazano tej sztuki w którymś z wąskich przesmyków między płycznami, to holowanie go pod prąd w czasie odpływu nie byłoby możliwe przy tak szczupłej załodze. Zakotwiczenie w tym miejscu nie uchroniłoby go przed odkryciem przez przybyszów, a tylko w niewielkim stopniu przed ogniem ich dział, bo aż do laguny nie było zakrętów, z wyjątkiem jednego tuż przed ujściem.

Sytuacja była trudna, ale – zdaniem Martena – nie rozpaczliwa. Przedstawił ją swej załodze w kilku zdaniach, po czym z niezachwianym przekonaniem powiedział:

–Mamy tylko jedno wyjście: musimy się przebić na

otwarte morze i przebijemy się! Sam przeprowadzę okręt przez

lagunę. Wiatr nam sprzyja, a „Zephyr” jest szybki

i zwrotny jak ptak. Od was zależy sprawność manewrów

i celność naszego ognia. Pokażcie Hiszpanom, co umiecie, a w godzinę będziemy ich mieli pięć mil za rufą.

Jego spokój i pewność siebie wywarły pożądane wrażenie.-Ludzie nabrali otuchy; uwierzyli mu. Wszak „Zephyr” nieraz bywał osaczony, a przecież wymykał się swym wrogom, zadając im ciężkie straty. Dlaczego nie miałby i teraz ujść cało?

Marten powierzył Hoogstone'owi i Pocieszce przygotowanie dział, a gdy minęli ów ostatni zakręt, kazał szybko wciągnąć szalupy na pokład i postawić wszystkie żagle.

Carotte i Worst uwinęli się z tym w nieprawdopodobnie krótkim czasie. Marynarze pędzili w górę po drabinkach want, rozpierzchali się wśród pert, zrzucali wielkie płótna i zjeżdżali w dół na łeb na szyję, jak wcielone diabły. Reje zostały obrócone, szoty naciągnięte i zakołkowane, a „Ze-phyr” natychmiast poddał się wiatrowi i zaczął nabierać pędu.

Przed nim, na wprost, leżała szeroka jasna laguna i częściowo tylko widoczny spieniony przybojem atol oddzielający zatokę od pełnego morza.

Lecz aby się tam dostać, trzeba było wyminąć wszystkie ławice i mielizny po obu stronach niczym nie wyznaczonego krętego szlaku. Wprawdzie Marten znał go na pamięć i nie mógł się pomylić, ale nigdy jeszcze nie przebył go pod wszystkimi żaglami i przy tak silnym wietrze.-Carotte, który teraz gotowy na każde skinienie czuwał ze szczupłą wachtą przy fokmaszcie, zwątpił, czy się to uda; Wątpił zresztą od początku w powodzenie tej bitwy przeciw ośmiu okrętom zamykającym wyjście z zatoki. Był przekonany, że jeśli zdoła przemknąć obok nich w takim pędzie i nie zostanie natychmiast potem zdruzgotany pociskami, to w każdym razie dozna poważnych uszkodzeń i nie będzie mógł uciec,-

Nie zdradzał tych swoich obaw, ale gotował się na śmierć. Na

śmierć wśród walki oczywiście.

Tymczasem ostatnie drzewa po obu stronach rzeki rozbiegły

się w lewo i w prawo, brzegi rozstały się szeroko i „Zephyr”

wypadł na lagunę.– Bandera na maszcie! – zwołał Marten.-Worst sam podciągnął ją w górę. Czarna flaga ze złotą kuną

załopotała głośno i zatrzymała się u szczytu masztu, pod stopami

srebrnego orła, który zdobił jabłko.

Wszystkie spojrzenia pobiegły ku niej i wróciły, znów

kierując się ku morzu.;

Poza atolem na kotwicach stało pięć okrętów, dwa pod

skróconymi żaglami manewrowały u wejścia do zatoki, a jeden, z

ogołoconymi rejami, holowany przez szalupy, sunął wolno

poprzez to wejście, trzymając się środka głębiny.-No, tego sprzątniemy zaraz – pomyślał Marten.– – Niech

tylko wejdzie na szerszy przesmyk, żebym mógł go wyminąć.

–Gotuj zwrot! – zawołał głośno;

Musiał za chwilę wykręcić w lewo przed wielką ławicą

naniesioną prądem rzeki, a zaraz potem – w prawo, blisko brzegu. Obliczył, że właśnie wtedy niewielka karawela dotrze do miejsca, gdzie szlak żeglowny rozszerzał się znacznie... Obejrzał się na Worsta.

–Powiedz Hoogstone'owi, żeby dał ognia z trzech dział,

jak tylko będziemy mieli ten okręt z lewej burty – rzucił

prędko. – Mierzyć w kadłub na linii wodnej. A celnie!

Worst skoczył ku schodni, powtórzył rozkaz i wrócił. Był już wielki czas: fale załamywały się na płyciźnie o kilkaset jardów przed dziobem „Zephyra”.– Luzuj i ciągnij! – zawołał Marten.-Reje obróciły się, uchwyty koła sterowego zawirowały w lewo. „Zephyr” skłonił się, zakręcił i znów się podniósł.

–Na przeciwny ciąg! – padła komenda.-

Ludzie chwycili brasy, pociągnęli. Brzeg przed dziobem zaczął sunąć w lewo, skończył się, jego miejsce zajęło dalekie półkoliste ramię atolu, potem rufa karaweli, potem jej prawa burta...

Wtem rozległ się głośny okrzyk Worsta:

–Nie strzelać! Na miły Bóg, nie strzelać!

–Oszalałeś?! – wrzasnął Marten. Lecz w tej samej chwili zrozumiał, co zaszło: dowódca

karaweli na gwałt podnosił angielską flagę, a na maszty pozostałych siedmiu okrętów zaczęły się wspinać takie same, z herbami Tudorów: trzema lampartami i harfą irlandzką.

–To jest przecież „Santa Veronica” – wyjąkał Worsl

załamującym się głosem.

Marten nie miał już co do tego najmniejszych wątpliwości: dostrzegł postać Henryka Schultza na tylnym pokładzie, a na dziobie nazwę okrętu złożoną z wypolerowanych mosiężnych liter.

–„Toro” wchodzi do zatoki! – zawołał bosman siedzący

na marsie. – O-hej! Widzę za nim „Ibexa”!

–Górne żagle na dół! – rozległa się komenda Martena.

A zaraz potem:

–Cała załoga na pokład! Dolne żagle na giejtawy! Obie

kotwice, Tessari!

Zanim spełniono te rozkazy, „Zephyr” zbliżył się ku „Veronice”, zrównał się z nią i zaczął ją mijać lewą burtą, tracąc z wolna pęd.

Henryk Schultz końcem języka zwilżył wargi. Serce łomotało mu o żebra, tętna waliły w skroniach. Marten stał za sterem swego okrętu z ręką wzniesioną w górę gestem powitania – czy może groźby – i patrzył na niego poprzez wąską przestrzeń wody, która ich oddzielała.

–Nareszcie! – zawołał. – Długo kazaliście mi czekać!

Schultz machinalnie uniósł dłoń w górę, ale nie zdobył

się na inną odpowiedź. Huczało mu w głowie,

Jak to?! Więc nic się nie stało?! Przez osiem miesięcy?! Nic?!

Szukał w rysach Martena śladów katastrofy, jakiej się spodziewał, lecz nie mógł ich znaleźć. Jan trzymał się prosto, stał z podniesioną głową i patrzył na niego błyszczącymi oczyma, w których widać było tylko podniecenie i triumf..

–Kto przybył z wami? – zawołał.

**–Francis Drake! – odkrzyknął Henryk z wysiłkiem,
pokonawszy wreszcie skurcz gardła.-**

Chciał o coś zapytać, ale zanim się zdecydował, „Zephyr”

minął go i rzucił kotwice, a rumor łańcuchów zagrzmiął po zatoce jak grom przed burzą.

Przez dwie doby dziewięć okrętów korsarskich stało na redzie Przystani Zbiegów, a na pokładzie „Złotej Łani” w ciągu wielu godzin toczyły się narady* W ich wyniku powstał szczegółowo opracowany plan zdobycia Ciudad Rue-da oraz zniszczenia głównych sił floty wojennej wicekróla.

Ciudad Rueda nie dorównywała bogactwem i znaczeniem takim miastom, jak Veracruz czy nawet Tampico. Była zaledwie stolicą niewielkiego okręgu, siedzibą gubernatora.

a także rezydenta zakonu jezuitów. Lecz port Rueda ustępował wówczas rozmiarami tylko Hawanie na Kubie i mógł pomieścić bodaj całą flotę Nowej Hiszpanii strzegącą Zatoki Meksykańskiej. Blasco, syn gubernatora Diego de Ramireza, dowodził flotyllą dobrze uzbrojonych karawel, która tam miała swą stałą bazę. Prócz niej w Rueda stacjonowały lżejsze okręty, brygantyny i fregaty, budowane na wzór holenderskich, przeznaczone do służby przybrzeżnej i patrolowej. W sumie było ich około trzydziestu, co stanowiło prawie trzecią część tak zwanej Północno-Wschodniej Floty Prowincjonalnej;

Gdyby te poważne siły morskie jego wicekrólewskiej mości Enriqueza de Soto y Feran zostały zniesione, zachodnie i południowe wybrzeża Zatoki Meksykańskiej, a także Campeche i Honduras, aż po Ławicę Moskitów na Morzu Karaibskim, stałyby się niemal bezbronne wobec ściągnięcia wszystkich większych okrętów do ochrony Złotej Floty przybyłej z metropolii do Panamy po skarby Nowej Kastylii.-Taka sytuacja strategiczna skłoniła Franciszka Drake'a i Jana Hawkinsa Młodsze do rozpatrzenia propozycji wysuniętych przez Martena, a następnie do opracowania planu taktycznego przy udziale kawalera de Belmont, który kilkakrotnie był zarówno w porcie, jak w mieście Rueda;

Gdy już wszystkie szczegóły zostały dokładnie przemyślane i ustalone, okręty podniosły kotwice i rozdzieliły się. Jan Hawkins na „Revenge” wraz z trzema Anglikami odpłynął na ławicę Campeche, aby przyprowadzić pozostałą część flotylli Drake'a, złożoną z dwunastu fregat jej królewskiej mości Elżbiety, Marten i Schultz pożeglowali wzdłuż wybrzeża na południe, a Drake na „Złotej Łani” oraz White na „Ibexie” i Belmont na „Toro” eskortowali ich z daleka, lawirując tak, aby nie budzić podejrzeń lub domysłów, że działają wspólnie, lecz aby zapewnić im pomoc w razie potrzeby;

Zadaniem Sehultza było zebranie po drodze możliwie największej ilości członów indiańskich z nadbrzeżnych wsi rybackich. Zebranie lub raczej z a k u p i e n i e, jak mu to z naciskiem polecił Marten, a co Henryka bardzo gniewało. Zapłatą bowiem za owe członka miały być narzędzia przywiezione przez niego z Anglii: piły, siekiery,

młoty, dłuta, łopaty, kilofy, pilniki, noże – wszystko w najlepszym gatunku! Dla Indian!• W zamian za pirogi, które nie były warte nawet dziesiątej części tych przedmiotów! Za które Schultz najchętniej w ogóle by nie płacił, mogąc po prostu zabrać je siłą.;

Lecz Marten już taki był: lekkomyślnie trwonił pieniądze, które w rękach Henryka dawałyby ogromne dochody bez żadnego ryzyka.

Gdyby „Zephyr” należał do mnie – myślał Schultz -stałbym się najbogatszym obywatelem Gdańska. Gdybym miał taki udział w zdobyczy jak Marten, wiedziałbym, gdzie lokować zyski. Nie robiłbym głupstw; nie budowałbym zamków na lodzie. Gdyby „Zephyr” należał do mnie, Marten musiałby słuchać moich rozkazów, a wtedy...:

Uratowałem go od zguby – myślał dalej. – Pokrzyżowałem jego szaleńcze zamiary tylko dla jego dobra. A przecież gdyby o tym wiedział, zabiłby mnie! Nie powinien, nie może się dowiedzieć!

Zadawał sobie pytanie, czy Pedro Alvaro jest w Ciudad Rueda. Bardzo go to niepokoiło. Mogło się przecież zdarzyć, że jezuita wpadnie w ręce Martena i wyzna, skąd Blasco de Ramirez wiedział, jak kierować ogniem, aby zniszczyć fortyfikacje, ominąć mielizny, przedostać się aż do Nahua i obrócić ją w gruzy nie narażając swych okrętów.

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Ujawnienie jego roli w tej katastrofie, która miała na celu „jedynie dobro Marlena”, stanowiło poważne ryzyko. Nawet jeśli Alvaro zginie lub jeśli go nie będzie, to wszak obaj Ramirezowie muszą

o wszystkim wiedzieć. Czy uda im się ujść z rąk Martena, a jeśli nie, to czy zachowają tajemnicę?

Nie mógł ich uprzedzić, a gdyby nawet zdołał dokonać tego w jakiś sposób, to wówczas naraziłby całe przedsięwzięcie na klęskę i sam prawdopodobnie by w niej zginął;

Nie! Nie mógł podcinać gałęzi, na której siedział! Musiał raczej wyteńczyć cały spryt, aby nie dopuścić do zetknięcia się Alvara i Ramirezów z Martenem.

Muszą uciec lub zginąć ~ pomyślał, – Lepiej, żeby zginęli^

W ciągu trzech dni powolnej żeglugi z licznymi postojami w małych zatoczkach, u brzegów wysepek i w ujściach niewielkich rzek, gdzie Henryk Schultz prowadził niezwykły handel kupując pirogi od miejscowych Indian, „Santa Veronica” i „Zephyr” dotarły do zachodnich krańców zatoki Campeche, po czym skierowały się na wschód, aby z daleka ominąć Veracruz i podążać na punkt zborny w pobliżu grupy

wysp Arenas Cay.

Oba okręty przedstawiały zaiste dziwny wygląd: na ich pokładach piętrzyły się czółna, dziesiątki czółen złączonych po dwa burta w burtę lekkimi poprzeczkami, na których JBroer Worst i Herman Stauffl ustawili niewielkie maszty zaopatrzone w żagle. Piotr Carotte wyposażył tę flotyllę w swoistą broń: u burt i na dziobach pirog umocowano krótkie rury z drewna taguara *, wypełnione prochem i smolnymi ładunkami zapalającymi, a następnie połączono je lontem. Po jego podpaleniu proch w rurach wybuchał kolejno, a płonące żagwie wylatywały na wszystkie strony, aż wreszcie także! pirogi obejmował płomień. Wówczas następował dodatkowy wybuch dużego ładunku umieszczonego pośrodku.

Tym sposobem drewnianym budynkom, pomostom, okrętom i wszelkim łatwopalnym przedmiotom, jakie znalazłyby się w pobliżu owej samoczynnej artylerii, groził pożar.

Po pierwszej udanej próbie, przeprowadzonej u brzegów Arenas Cay, Carotte obliczył prędkość spalania się lontu, tak że zależnie od jego długości mógł dowolnie regulować czas rozpoczęcia ognia.

Ukończywszy te wstępne przygotowania, Marten, Drake i Hawkins ustalili ostatecznie czas i kolejność działań, po czym „Zephyr”, „Santa Veronica” i „Toro” oraz sześć fregat królowej Anglii wyruszyło na południowy zachód, wprost ku wybrzeżom przesmyku Tehuantepec.

Zdobycie Ciudad Rueda i opanowanie portu przez dziewięć okrętów korsarskich i flotę Elżbiety pod rozkazami jej admirała Franciszka Drake'a wstrząsnęło Nową Hiszpanią; Ten pierwszy cios wymierzony w otwartej wojnie koloniom Filipa II zaważył być może na jego późniejszych decyzjach i przyspieszył tylekroć odwlekaną zbrojną rozprawę z Anglią, choć nie wspomina o tym wyraźnie oficjalna historia. W każdym razie wszystko, co nastąpiło później – zdobycie Haiti, spalenie Santo Domingo, złupienie wybrzeży Kuby i Florydy – nie wywołało już tak piorunującego wrażenia, jak błyskawiczny atak na Ciudad Rueda przeprowadzony w ciągu jednej nocy i uwieńczony niebywałym zwycięstwem.

Owa noc – bezksiężycowa i ciemna – zdawała się sprzyjać korsarzom. Kilka ich okrętów niepostrzeżenie zbliżyło się do brzegu zaledwie o trzy mile od wschodnich bastionów portu Rueda i weszło do niewielkiej odludnej zatoki, aby tam zakotwiczyć pośrodku spokojnej tafli wodnej. Wyszadzono na ląd oddział żołnierzy z paruset ludzi, który natychmiast, bez wystrzału, opanował pobliskie estancje i rancho. Zabrano stamtąd wozy, konie, muły i woły, a ludzi ~ zarówno Kreo-

łów, jak Indian – zmuszono do pomocy przy transporcie kilkunastu dział okrętowych na zawczasu wybrane pozycje, do sypania szańców i okopywania stanowisk

artyleryjskich.

Tymczasem inny oddział w liczbie sześciuset wioślarzy i popłynął na indiańskich pirogach w górę piaszczystej strugi, która stanowi jedną z niespławnych odnóg rzeki Minatitlan i łączy się z jej głównym korytem o trzy mile na zachód odfl. nabrzeżnych fortyfikacji portowych. Sześćdziesiąt czółen, połączonych burtami po dwa dla większej stateczności, trzeba było kilkakrotnie przenosić przez wydmy i progi wysychającego strumienia lub przeciągać przez płytkie mielizny, lecz uporano się z tym przed północą. Czółna spłynęły następnie w dół Minatitlan i zostały zakotwiczone o pół mili przed mostem, który od strony lądu łączył wały Bastionu Wschodniego z miastem na tyłach portu Rueda.

Punktualnie o pierwszej, wraz z uderzeniem zegara na ratuszu miejskim rozpoczął się gwałtowny ogień armatni kielichowy z dwunastu okrętów blokujących wejście do portu. Ciężkie pociski zaczęły razić stanowiska hiszpańskiej artylerii portowej, a zaskoczona załoga dopiero po kilku salwach zorientowała się, skąd do niej strzelają.

Widok kilkunastu żaglowców, które – jak z początku mniemali Hiszpanie – pokusiły się o atak z morza na potężne fortyfikacje, pozwoliłyby zapewne ochłonąć obrońcom. Lecz w chwili, gdy oficerowie mieli już opanować panikę i zapędzali swoich puszkarzy do dział, odezwały się hufnice i moździerze z lądu, a zaraz potem nastąpił wściekły szturm z tyłu, na najmniej umocnione wały przy moście.

To niespodziewane uderzenie, przeprowadzone z niebywałą furią i szybkością, zdecydowało o losach Bastionu Wschodniego, a bodaj czy nie o klęsce Hiszpanów. Załoga została wycięta w pień, działa obrócone na port, most zdobyty i dalsza droga od strony lądu otwarta.

Wówczas to dowódca flotylii karawel, Blasco de Ranairez, popełnił błąd, który ostatecznie przyczynił się do za-o-Jady wszystkich okrętów znajdujących się w porcie. Ufny w osłonę armat drugiego bastionu wzniesionego na lewym brzegu wejścia do portu i widząc zaledwie dwunastu przeciwników na morzu, postanowił wypłynąć i rozbić ich, odcinając przez to – jak mniemał – odwrót nieprzyjacielskiemu desantowi.

Karawele, a za nimi lekkie fregaty i brygantyny spiesznie podniosły kotwice, by lawirując pod wiatr opuścić bezpieczne schronienie i wyjść na zewnętrzną redę, gdzie bezkarnie manewrowały niewielkie żaglowce angielskie. Lecz właśnie wtedy od mostu na Minatitlan ruszyły parami czółna o małych żaglach. Wspomagane prądem rzeki i nocną bryzą, prawie niewidoczne w ciemnościach, wpadły pomiędzy flotę wicekróla i nagle zaczęły wyrzucać na wszystkie strony ogniste pociski* a potem wylaływać w powietrze siejąc dokoła pożary i zniszczenia.

Wśród hiszpańskich załóg wszczęła się panika. Stłoczone okręty zajmowały się

jeden od drugiego, płonęły żagle i maszty, paliły się pokłady, huczały ogniem kasztele, a gdy pożar sięgał głębiej, następowały potężne wybuchy prochu.

Kapitanowie potracili głowy; wielu z nich zamiast schronić się pod lewy bastion, uciekało w popłochu wprost pod pociski dział prawego lub spieszenie opuszczało szalupy, zostawiając nawet nie objęte pożarem fregaty i brygi na łaskę wiatru, który gnał je z powrotem w głąb portu.

„Santa Maria”, flagowy okręt * Blasco de Ramireza, jeden z

pierwszych uległ pożarowi, a jego dowódca bynajmniej nie dał przykładu męstwa i zimnej krwi w obliczu nieznanej, a tak skutecznej broni, jaką okazały się indiańskie pirogi z piekielną maszyną pirotechniczną. Jego początkowa bez-

radność, sprzeczne rozkazy, które później zaczął wydawać, a wreszcie ucieczka pierwszą spuszczoną na wodę szalupą, wzmogły zamieszanie i przyczyniły się do upadku ducha wśród podwładnych mu kapitanów. Nikt już nie myślał o ratowaniu płonących okrętów; zamierzony kontratak najlepszej eskadry Północno-Wschodniej Floty Prowincjonalnej w ciągu pół godziny zamienił się w jej zupełną klęskę.

Tymczasem oba desantowe oddziały korsarzy połączyły się i zdobywszy po krótkiej walce przeciwny przyczółek mostu, przeszły na lewy brzeg Minatitlan, aby zająć miasto i ze wszystkich stron otoczyć fortyfikacje zachodnie.

Garnizon gubernialny nie stawiał prawie żadnego oporu. Bronił się tylko ratusz, i to przez czas bardzo krótki, oraz kolegiata położona na stokach wzgórza pomiędzy katedrą a jakimś żeńskim klasztorem, dokąd ściągnięto najbitniejsze kompanie kreolskie.-Marten dowiedział się o ucieczce Blasco Ramireza od rozbitków i pogorzalców wziętych do niewoli u nabrzeży portowych w samym mieście. Skłoniło go to do natychmiastowego marszu na pałac gubernatora; ale otoczywszy rezydencję przekonał się, że oprócz wystraszonej służby nikogo tam nie ma. Zwrócił się więc w kierunku kolegiaty, skąd dochodziły odgłosy gęstej strzelaniny i gdzie widać było łunę wielkiego pożaru.

Wraz z Henrykiem Schultzem, który od początku towarzyszył mu nieodstępnie, dotarli pod zabudowania kościelne w chwili, gdy kawaler de Belmont na czele stu ludzi z załogi „Toro” gotował się do nowego szturmu. Marten miał z sobą także około setki marynarzy z „Zephyra” i „Santa Veronica”, za nim zaś nadciągał Carotte, prowadząc dwa lekkie falkonety zdobyte po drodze.

Doczekali się ich przybycia pod osłoną murów klasztornych i natychmiast potem skierowali ogień dział na zabarykadowane wrota kolegiaty, które po kilku strzałach ru-

nęły wyłamane z potężnych zawiasów,. Dokonało się to wśród zupełnych ciemności,

bo pożar okazał się tyleż gwałtowny, ile krótkotrwały.

Marten nie zważał na to. Rzucił się naprzód, porywając za sobą innych. Startł się z kimś w ciemnej sieni, zwałił go z nóg i ryknąwszy za siebie: „Światła!” – wpadł na schody

Bliski strzał z muszkietu osmalił mu policzek. Pchnął na oślep szpadą, usłyszał jęk, wyminął staczające się w dół ciało i pędził już przez korytarz w pogoni za łoskotem uciekających kroków.

Schultz, który został nleco w tyle, potrącony przez mijających go bosmanów, ogłuszony ich wrzaskiem, nie mogąc złapać tchu usunął się pod ścianę u szczytu schodów. Musiał choć przez krótką chwilę odpocząć. Słyszał tupot nóg i zaczął rozróżniać w mroku dzikie postacie ludzkie przebiegające tuż obok. W oknach wychodzących na dziedziniec wstawał krwawy blask nowej łuny, a w sieni zamigotały płonące pochodnie;

–Tutaj! Na górę! – rozległy się okrzyki. – Dawajcie światło!

Nowa fala spoconych, wrzeszczących ludzi przewaliła się obok Henryka i runęła za pierwszą. Żółte płomienie chwiały się nad ich głowami jak trzepoczące flagi, a grobowe cienie, przyczajone we wnękach i na ścianach, skłaniały się naprzód i odskakiwały w tył, jak czarne potwory, ciekawe i płochliwe zarazem^

Schultz miał już podążyć za innymi, gdy jego uwagę zwrócił głośny zgiełk dochodzący z dołu. Obejrzał się. Było tam prawie jasno od licznych pochodni i płonących za oknami stodół klasztornych. Kilku korsarzy pędziło przed sobą jeńców.-Poczuł dreszcz zgrozy: byli to księża i zakonnicy;

Zawahał się, Mógł ich uratować. Wśród eskorty rozpo-

zna} rzemieślników, których na polecenie Martena przywiózł z Anglii – kowali, stolarzy i ślusarzy. Wiedział, że tylko wyjątkowe okoliczności zmusiły ich do przyjęcia służby na „Zephyrze”. Lecz jakże prędko stali się awanturnikami i jak łatwo przedzierzgnęli się w rabusiów morskich mimo początkowych protestów! Byli Anglikami, heretykami; mordowanie „papistów”, zwłaszcza księży, było dla nich posłannictwem, zasługą wobec ich skażonej wiary.

Czy usłuchają rozkazu? Czy nie rzucą się na niego samego, jeśli stanie w obronie Hiszpanów? Nie było bezpiecznie narażać się na ich gniew, zwłaszcza że to on przecież wprowadził ich w błąd: mieli otrzymać spokojną, dobrze płatną pracę, a zostali zmuszeni zgoła do czegoś innego.

Nic na to nle poradzę – pomyślał. – Ten grzech spadnie na głowę Martena. Nic tu nie zawiniłem.Mam czyste ręce.-Wtem wśród innych dostrzegł znajomą twarz i

postać w czarnej sutannie przepasanej szarfą z połyskującej mory;

–Alvaro!

Zdawało mu się, że krzyknął głośno to nazwisko, choć w

rzeczywistości wypowiedział je zaledwie zduszonym szeptem.-Nie mogę ryzykować – pomyślał; Zbiegł w dół po schodach i chwyciwszy za ramię starszego

bosmana, który przewodził innym, zapytał:

–Dokąd prowadzicie tych klechów?

Bosman poznał go; błysnął zębami w uśmiechu;

–Pójdą pobłogosławić szturm na forty – odrzekł. – Kapitan Belmont kazał.

–Potrzebny mi jeden z nich na przewodnika – przerwał mu Schultz. – Tego wam zabiorę – wskazał Pedra Alvaro.

Nie czekając na odpowiedź ujął jezuitę za kołnierz i wyciągnął go z szeregu.

–Prowadź do klasztoru – powiedział po hiszpańsku, –

Prędko!

Popchnął go ku wyjściu, a gdy znaleźli się obaj na zewnątrz, zrównał się z nim i powtórzył:

–Do klasztoru, ojcie. Tam już nikogo nie ma, a dalsza

droga jest wolna. Nie zdążyli otoczyć całego miasta;

Przeszli prędko obok płonących budynków i przedostali się na podwórzec klasztorny, za którym droga wysadzana drzewami skręcała ku tylnej bramie.;

–Co tam jest? – spytał Schultz.

–Cmentarz – odrzekł Alvaro. – Dalej już tylko win

nice i pola;

Najrozsądniej byłoby tu z nim skończyć – pomyślał Henryk; – Ale nie zdobędę się na to.:: Nie mogę. Żaden kapłan, chyba nawet sam ojciec święty nie odpuściłby mi takiego grzechu. Nie, nie zdobędę się na to.;?

Alvaro dysząc z pośpiechu mówił coś o księżach i zakonnikach uprowadzonych przez korsarzy.– Wyrzucił mu obojętność na ich los, karmił go za udział w tej zbrodni! Henryk go nie słuchała

–Dosyć! – przerwał mu wreszcie. – Czy nie możecie

zrozumieć, ojcze, że nie zdołałbym sam jeden ocalić was

wszystkich?

Zatrzymał się przy bramie cmentarza?

–Dalej pójdziecie sami; Uratowałem wam życie. Ale gdyby

ktokolwiek się dowiedział.;? No, lepiej nawet o tym nie myśleć;

Nie żądam od was nic prócz rozgrzeszenia in articulo mortis i

odpustu grzechów, które jeszcze wypadnie mi popełnić w tym

roku;

Alvaro spojrział na niego niepewnie? Jak to rozumiesz, synu? – zapytał;

–. Nie mam czasu na spowiedź – odrzekł niecierpliwie Schultz; – Nie wiem, kiedy będę miał okazję wyspowiadać

się i przyjąć sakramenty. Nie wiem, czy nie zginę, zanim to nastąpi.

–Ależ ja nie mogę...: – zaczął Alvaro, lecz Schultz przerwał mu.

**–Możecie! Możecie rozgrzeszyć mnie bez spowiedzi, jak umierającego. I – na Boga!
– zróbcie to prędzej, abym nie zaczął żałować, że was wyrwałem z rąk heretyków!**

W jego głosie zabrzmiała groźba, a Pedro Alvaro znał go zbyt dobrze, aby ją zlekceważyć. Uczynił więc, czego Henryk żądał, i zapewnił go o skuteczności tych zabiegów, mimo nie całkiem formalnego ich przeprowadzenia.

Zanim się rozstali, Schultz zapytał jeszcze o gubernatora i jego syna.

–Byli tam – odrzekł jezuita wskazując ruchem głowy

kolegiatę. – Don Diego już nie żyje. Przyniesiono go z pałacu

nieprzytomnego. Od kilku tygodni stała nad nim śmierć a dziś o

pólnocy miał gwałtowny krwotok. Blasco jest przy nim, to znaczy

był przy nim przed godziną.

Schultz przygryzł wargę. Targnął nim gwałtowny niepokój.

–Muszę tam wrócić – powiedział. – Niech was Bóg

prowadzi.

W tej samej chwili od strony kolegiaty dobiegi ich wzmożony zgiełk i gwar. Huknęło kilka strzałów, a potem tuż blisko rozległ się tętent cwałującego konia. Jakiś jeździec gnał przez podwórzec klasztorny, skręcił na drogę, przeleciał obok nich jak wichur, znikł za bramą cmentarza,

–Kto to był? – spytał Schultz.

–Nie wiem – odrzekł Alvaro. – Zostańcie z Bogiem,

Zakasał sutannę i pobiegł w ślad za jeźdźcem,

W chwili gdy Henryk Schultz dostrzegł wielebnego Pedra Alvaro pomiędzy jeńcami spędzanymi do przestronnej

sieni na dole, Marten na czele kilkudziesięciu ludzi z załogi „Zephyra” przełamał ostatni opór, jaki stawiali mu hiszpańscy żołnierze przed drzwiami refektarza na piętrze kolegiaty; Nie brano tam jeńców: kto rzucał broń, ginął tak samo jak ci, co walczyli do ostatka. Zaledwie kilku obrońców uniknęło tego losu dzięki Martenowi, który chciał z nimi mówić, a nie mogąc od razu powstrzymać nacierających, sam zastąpił im drogę odbijając ciosy, póki nie ochłonęli z zapalczywości i gorączki boju;

Zdołał im wreszcie wyjaśnić, że chodzi mu o pochwycenie żywcem gubernatora i jego syna, do czego mieli się przyczynić pozostali przy życiu Hiszpanie; Tu jednak czekał go zawód: gdy wyłamano wrota refektarza, gdzie według zgodnych zeznań oficerów i żołnierzy mieli się znajdować Blasco de Ramirez i generał dowodzący załogą Ciudad Rueda, ogromna sala okazała się pusta. *Nie* było z niej innego wyjścia, a przecież porzucone w nieładzie papiery, płaszcze wojskowe i kapelusze zdawały się świadczyć, że istotnie jeszcze przed chwilą toczyły się tu gorączkowe obrady sztabu^

~ Gdzież się podzieli, u licha? – zapytał Marten, patrząc groźnie na jeńców;

Przyszło mu ha myśl, że w którejś ze ścian musi być ukryte przejście. Ale natychmiast pojął, że trudno byłoby je odnaleźć. Spojrzał na sześć wysokich okien wychodzących na podjazd od strony miasta. Były zamknięte, a zresztą ucieczka tą

drogą wydawała się mało prawdopodobna, bo przed głównym wejściem stały strażnicy i kręcili się zbrojni ludzie z oddziału Belmonta;

Już miał odwrócić się i wydać rozkaz, by przeszukano cały gmach, gdy ostatnie okno poruszyło się wskutek przeciągu; Podeszedł spieszenie i otworzył je na oścież, Wąski ganek z kamienną balustradą biegł wzdłuż zewnętrznej ściany; Można było przedostać się nim do takich samych okien sąsiedniej sali

Marten bez wahania skorzystał z tej drogi. Tamte okna też były tylko przymknięte.

W mrocznym wnętrzu płonęły cienie świecy; Kaplica? – pomyślał.

Przebiegł przez niski parapet i ujrzał pośrodku pustej izby wysoki katafalk, a na nim sztywne zwłoki. Wyminął je i dostrzegł półotwarte drzwi na lewo. Wyjął z lichtarza jedną świecę i szedł dalej.

Następna sala też była prawie pusta, pozbawiona sprzętu z wyjątkiem łóżka z rozrzuconą pościelą, stołu i dwóch krzesel;

Na wprost – znów drzwi i znów podobna izba, a za nią większa narożna sala z oknami na podjazd, ciemną półkolistą wnęką w kącie i drzwiami po prawej stronie, wiodącymi zapewne na główny korytarz.

Marten podeszedł bliżej, aby to sprawdzić, lecz gdy chwiejny płomyk gromnicy rozproszył panujący tam półmrok, spostrzegł, że drzwi są zamknięte na zasuwę i podparte ciężką dębową ławą.

W tej chwili usłyszał za plecami jakiś niewyraźny szmer, a potem zbliżające się kroki i głosy. Obejrzał się. Głosy dochodziły od strony amfilady, którą przebył. Niewątpliwie jego ludzie szli za nim. Ale ów szmer?

Usłyszał go znowu. Nie szmer nawet: coś, co mogło być oddechem czy też westchnieniem, czy może tylko biciem serca? Czuł czyjąś obecność, czyjeś spojrzenie.;;

Postąpił kilka kroków ku środkowi sali i uniósł w górę świecę. Lecz wątły płomyk oświetlił zaledwie część obszernego wnętrza; kąty, wykusze pod oknami i głęboka narożna wnęka tonęły w cieniu;

Wtem przez otwarte drzwi od sąsiedniej izby wpadł potok światła; Tomasz Pocięcha, Cyrulik i Worst, za nimi zaś inni z zapalonymi pochodniami stanęli w progu;

'- Znaleźliśmy zwłoki gubernatora, kapitanie – powiedział Pocięcha; – To on leży na katafalku?

Lecz Marten już nie słuchał; W dwóch susach dopadł wnąki, szarpnął małe, niewidoczne dotąd drzwiczki i ujrawszy za nimi jakąś skuloną postać zaczął się z nią szamotać wlokąc ją na środek sali;

–Światła! – zawołał;

Otoczyli ich ludzie z pochodniami. Marten puścił schwytanego człowieka i odstąpił krok w tył. Przed nim stał wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu narzuconym na ramiona, ze szpadą u boku; na podłodze leżał jego kapelusz z piórami ozdobionymi złotymi galonami;

–Kim Jesteście? – spytał Marten.

Hiszpan zmierzył go dumnym spojrzeniem. Bez pośpiechu

schylił się, podniósł kapelusz i otrzepawszy go z kurzu włożył na głowę;

–Nazywam się Blasco de Ramirez – powiedział;

–Aha! – wykrzyknął Marten. – Szukałem was właśnie,

kawalerze de Ramirez. Nazywam się Jan Marten; Musieliście

słyszeć o mnie coś niecoś, sądząc z wizyty, jaką złożyliście w

Nahua?

Ramirez drgnął i cofnął się o krok, kładąc dłoń na rękojeści szpady; – To wy – szepnął;

–Tak, to ja – odrzekł Marten.– – Możecie zmówić

pacierz, zanim wyjmiecie tę szpadę z pochwy; Potem was zabiję.

Ramirez rozejrzał się po otaczających go postaciach;

–Zapewne – odrzekł. – Jest was dziesięciu.

–Zginiecie z mojej ręki – przerwał mu Marten; -Oni będą tylko przyświecać temu, co się tu stanie. Rozstąpcie się! – rozkazał swoim ludziom;

Ramirez spojrział ku oknu; zdawał się nasłuchiwać przez chwilę dochodzącej stamtąd wrzawy, turkotu wozów, rżenia

konf, zgiełku czynionego przez korsarzy plądrujących pobliskie domy Marten nie spuszczał go z oczu?

–No i cóż? – powiedział drwiąco. – Widzę, że nie macie

ochoty ani na modlitwę, ani na walkę. Uciekliście przede mną ze

swego okrętu, ale stąd uciec się nie da. Brońcie się!

Jego ciężki szwedzki rapier śmignął w powietrzu i pęk piór z admiralskiego kapelusza, ścięty jak brzytwą, spłynął na posadzkę; Wśród bosmanów trzymających wysoko wzniesione pochodnie gruchnął śmiech, a przez bladą twarz Ramireza przeleciał ciemny rumieniec gniewu; Blasco odrzucił precz kapelusz, strząsnął płaszcz z prawego ramienia i dobył szpady.-Przez sekundę mierzyli się wzrokiem, po czym starli się gwałtownie i stal zadźwięczała o stal. Marten cofnął się o krok, o dwa kroki, odbił jeden i drugi sztych, jakby na próbę, potem cofnął się jeszcze i nagle błyskawicznym młyńcem przejechał po tylcu szpady przeciwnika. Mogło się zdawać, że zaledwie ją musnął, lecz jęknęła i wyleciała w tył z furkotem, a Blasco, blady jak ściana, skamieniał w miejscu;

–Podnieś ją – usłyszał głos Martena;

Nie mógł się ruszyć; czuł drętwotę w prawym ramieniu,

kolana miał jak z waty, a serce obejmowała mu ciasna kłująca obręcz.

–Podnieś ją i walcz! – powtórzył Marten dotykając

końcem rapiera jego piersi.

Blasco przemógł się i odwrócił głowę. Jego szpada tkwiła w podłodze pośrodku wnęki odłupawszy dębową drzazgę. Złocona garda kołysała się jeszcze, jak wzniesiona głowa żmii. Ruszył ku niej i w tej samej chwili dostrzegł światło za uchylonymi drzwiami. Wiedział, co oznacza; czekał na nie.

Szybko wyrwał ostrze ze szczeliny w twardym drewnie.

skoczył ku drzwiom, zatrzasnął je za sobą, popędził w dół po kręconych schodach;

Za pierwszym zakrętem spotkał czterech ludzi z latarniami, którzy usunęli mu się z drogi.

–Ścigają mnie! – zawołał. – Powstrzymajcie ich tutaj! Zgaście światło!

–Konie czekają za murem, wasza wielmożność! – odrzekł jeden z nich.

Blasco sadził w dół ze szpadą w dłoni. Słyszał w górze łomot i trzask wyważanych drzwi. Ciemność spadła nań z tyłu, ale przed sobą widział już słaby prześwit wyjścia.

Wybiegł na boczny mały dziedziniec otoczony niskim murem, za którym ciągnął się sad. Zanim zdołał przedostać się na drugą stronę, z okien na piętrze poleciały szyby, gruchnęło kilka strzałów. Lecz już ujrzał w mroku pod drzwiami dwa wierzchowce przytrzymywane za uzdy przez stajennego Metysa.-Skoczył na siodło, wyrwał zza pasa pistolet i z bliska strzelił w łeb drugiemu koniowi. Potem spiął ostrogami swego, skoczył przez mur, roztrącił w cwale ludzi zbiegających się od podjazdu, pomknął w stronę klasztoru i minąwszy go, zakręcił na drogę ku bramie cmentarza.

Jeńcy duchowni wzięci w kolegiacie nie zostali użyci jako osłona oddziałów korsarskich, które miały szturmować Bastion Zachodni, ponieważ forteca poddała się przed świtem. Marten kazał ich uwolnić, a po złożeniu okupu pozwolił wszystkim mieszkańcom opuścić Ciudad Rueda i udać się w kierunku Suchal albo do wsi i dworów na równinach. Posunął swą wspaniałomyślność tak daleko, że kobiety i dzieci wyjechały z miasta na wozach, które utworzyły długą kolumnę przy południowej bramie;

Gdy ostatni z nich mijał most na fosie, rozpoczął się ca-

łodzienny rabunek domów i sklepów^ a wieczorem flota Franciszka Drake'a wystrzeliła pięćset sześćdziesiąt pocisków na miasto i port. Wreszcie nazajutrz kilku ceigwartów z „Ze phyra” podpaliło lonty w prochowniach obu bastionów po towach, które w kwadrans później wyleciały w powietrze/

Kamień na kamieniu nie pozostał z Ciudad Rueda; w gruzach legła twierdza broniąca portu, na którego dnie spoczęły na zawsze trzy najlepsze eskadry Północno-Wschodniej Floty Prowincjonalnej; droga na Morze Karaibskie została otwarta;

Jan Kuna, zwany Martenem, stał na pokładzie „Zephy-ra” patrząc na to dzieło zniszczenia, które dokonało się za jego sprawą?

Ruiny i zgliszcza, krew i łzy – oto co pozostawiał po sobie zarówno u przyjaciół, jak u wrogów; A przecież nie dopełnił jeszcze obietnicy; nie nasycił zemsty: Blasco de Ra-mlrez żył i był wolny;

Ile miast spłonie, ile okrętów pójdzie na dno, ile zgaśnie ludzkich Istnień, zanim mu odplacę? – pytał się w duchu;

Pomyślał, że ma więcej takich długów. Rajcom z senatu gdańskiego, a zwłaszcza panu Zygfrydowi Wedecke winien był odpłatę za śmierć brata, Karola – odpłatę, którą poprzysiągł będąc jeszcze dzieckiem; Nie odplacił też dotąd sędziom którzy wzięli jego matkę oskarżoną o czary; Nie pomścił śmierci ojca i nie rozprawił się z mordercami Elzy Lengen; A także nie zakończył porachunków z jego ekscelencją Juanem de Tolosa, który odwdzieczył mu się zdradą za wspaniałomyślne uwolnienie

po zdobyciu „Castro Verde”?

Kto wie, czy nie zapomnielibym o nich wszystkich, gdyby Ramirez nie zburzył Nahua – pomyślał. – Kto wie,;;

Spis treści

Część pierwsza

CASTRO VERDE... 5

Cześć druga

PRZYSTAŃ ZBIEGÓW. 137

Digitalizow

ał „BodzioKB”

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-15

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/